

ADOLF NOWACZYŃSKI

PAMFLETY

STUDJÓW I SZKICÓW

TOM VI

WARSZAWA — 1930
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

IGNIS ARDENS

Prawdę mówiąc szczerze, można było jeszcze dwa lata przeczekać i tak gdzieś z wiosną, może i trzeciego kwietnia 1929 r., przy dusz gromadzkich innem nastrojeniu ziemską resztkę do ojczyzny przewieźć, no i gdzieindziej, w Kordjanowej katedrze złożyć. Ale stało się i może dobrze się stało. W ten sposób my inaugurujemy obchodzenie stulecia romantyzmu wielkim narodowym uroczystym pogrzebem. Może z okazji tego żałobnego święta powstanie znów z martwicy w świadomości inteligencji cały ten świat przedziwny romantycznej ery, z jej wielkimi i świętymi, z jej wichurami myślowemi, głębinami dociekań, z dostojnością żywotów i patosem posłannictwa poezji. Wywrze to może swój głęboki dobroczynny wpływ i na dzisiejsze piśmiennictwo, które z dnia na dzień staje się antypodą romantyzmu, służalstwem dnia i mas, pracą mrówek dla mrówek, słowem — szare, nijakie, przemijające.

Był czas przed wojną europejską, że dewocję romantyczną należało zwalczać, a kwiaty kultu wyrywać wraz z innymi chwastami. Lekarstwo, które przez cały wiek podtrzymywało żywot narodu w letargu, z biegiem dziesiątków lat sfermentowało i okazało się szkodliwe, infekowało pogardę doczesności i pieszczenie się ino snami. Romantyzm polski bowiem był nietylko podmiotowem zjawiskiem piśmiennictwa, ale i przed-

miotowym czynnikiem dziejowym. I rządem dusz i mózgów. W tym charakterze wyjątkowym miał olbrzymie zasługi w historycznym okresie dwóch generacyj; dla ideowego podtrzymania trzeciego pokolenia okazał się już za słaby, tembardziej, że dla tego pokolenia wydobywano z niego już wyłącznie wartości metafizyczne i mistyczne, luksusowe, dla elity. Romantyzmowi jako światopoglądowi należało się ze względów pedagogiczno utylitarnych przeciwstawiać. We Francji przeprowadziło ten proces kilku znakomitych myślicieli z Lasserrem, Seillièrem i Lemaîtrem na czele, w Niemczech—Dühring, Wulffen i inni. U nas podjął się tej walki Wyspiański i stoczył ją na tem polu chwały, gdzie Wielka Trójca na jakiś czas zapanowała, t. j. w teatrze. I stoczył zwycięsko.

Dziś, gdy Polskę rzeczywistą budują już „realni świata cieśle", romantyzmowi można na nowo otworzyć drzwi naoścież, ba — nawet trzeba, ba — nawet należy przyśpieszyć to z „świętymi obcowanie". Niema już żadnych możliwości, żeby w rozwoju politycznej myśli miał do odegrania taką rolę jaką w w. XIX. Natomiast w dziedzinie twórczości w gospodarce ducha nawrót romantyżmu byłby ze wszechmiar znów pożądany. Zanadto już bowiem i za głęboko żaryliśmy się w doczesności i tylko doczesności. Niema już i nie pisze się książek, któreby odrywały od ciągłej i ustawicznej rzeczywistości. Niema już firmamentu niebieskiego nad dzisiejszą poezją, ani tęsknot i niepokojów metafizycznych, ani kontemplacji nad kwestjami „finalnemi", ani świętego zapału do osiągania tego co nieosiągalne, ani zagłębiań się w zagadnienia i tajem-

nice bytu, ani udręki i cierpień myślowych, ni wiary ni niewiary. Nec locus ubi Troia romantyzmu fuerit. Ignorabimus. Młodzież się prometeizmu zrzekła. Na miejsce światoburczych i bijących pięściami w niebo negacyj obowiązująca wszystkich afirmacja. Czy to będzie praesenteizm czy urbanizm, uniwersalizm czy regjonalizm — wszystko jest kolektywne, stadowe, przyziemne. Twórczość z krótkim oddechem. Talenty termitów, zapracowane sensualistyczne, aż już i przykrzy się brać do ręki nowe dzieło i zachwycać nowym drobnoustrojem, jętką-jednodniówką, nie sławą nawet, ale sławką dnia powszedniego. Przejadło się to przeżuwanie tylko tego co jest...

Pora tedy wracać od tych nieprzeliczonych „zjadaczów chleba" i wytwórców razowca duchowego do karmazynowych poematów i dramatów. I pora przypomnieć młodzieży w jutro idącej bogów z wielkiego Olimpu. Nie samą bowiem produkcją współczesną niech żyje człowiek w Polsce, ale i tem co zapisane w wielkich księgach wieszczów, eklezjastów i hetmanów słowa. Romantyzm odżyć musi w naszej świadomości pospólnej, o ile nie chcemy shołotnieć, splebeizować się, schamieć, wyzbyć się tego wszystkiego co z nas robiło naród panów, bo górnie, chmurnie, z pańska myślących.

Puścizna twórcza Słowackiego może stać się najmocniejszem antidotum na despotyzm materjalistycznej, utylitarystycznej, antyprometejskiej literatury. Ma w sobie bowiem najwięcej materjału wybuchowego, rozsadzającego i niepokojącego. Ale żeby młodej inteligencji znowu podnieść wzrok do góry, trzeba skarbiec ro-

mantyzmu odebrać z rąk niepowołanych a zawodowych. Mamy tu na myśli kastę uczonych. Cała wielka scheda naszych druidów i wajdelotów popadła pod zarząd i władztwo belfrów i pedagogów. Żywi ludzie nie mają dostępu, bo zmonopolizowali patronat nad romantyzmem ludzie kałamarza i bibuły, nieprzeliczony legjon rozprawkowiczów i przyczynkarzy, seminarzystów i specjalistów, szperaczy i dociekaczy, „beiträgerów“ i „haarspalterów“, pedantów i komentatorów, doktorów i biegłych w Piśmie, rzeczoznawców i ekspertów, Buchmanów z Dobrzynia i buch-manów, czyli mólów i mułów książkowych. Zwartem, zaciśniętem kołem otaczają sarkofag każdego z wielkich. Z rozprawek i druków wystawili mur papierowy. Sekcją i wiwisekcją, analizą i egzegezą, zawodową dewocją, banalnym entuzjazmem i głupowatą „obroną“ to „Adama“ to „Juljusza“ przed pseudo-wrogami obrzydzili pielgrzymom cały Monsalwacz polskiego romantyzmu. Czerepy belferskie nie mogą pojąć tego, że gorejące intelekty, dobywając się z furją do murów „Grenady“, więcej „przyczyniają“ się do galwanizacji romantyzmu od kopy „przyczynkowiczów“, ślęczących i żerujących na spadku po „Adamie“ i „Julku“. Gdyby nie było bluźnierców, nie byłoby tem żarliwszych apostołów. Właśnie jest i pora na młoty (malleus) romantycznych wielkości, żeby z rozgromu mógł Feniks odrodzić się z popiołów. Byle nie było indyferentyzmu i zobojętnienia, a na tem tle konwencjonalnego, płaskiego, obowiązującego, „rządowego“ kultu. Oczywiście mają i swoje zasługi przyczynkowiczowie i Buchmani, ale do pewnych granic i do pewnego czasu. Zbogacili zasób drob-

nych, mozaikowych wiadomości i szczegółów biograficznych, bibljograficznych, analitycznych, genetycznych, „rozbiorowych“, buchalteryjnych; natomiast drobiazgowością, pedantyzmem, scholastycznymi gmatwaninami i polemikami zdołali setnie obrzydzić temu czynnikowi, do którego poezja przedewszystkiem winna przemawiać, t. j. młodzieży samą puściznę, sam objekt omawiany, samą świętość, relikwje. To też najwyższy czas jest, żeby patronat nad kryptą poezji romantycznej odebrać z rąk monografomanów i oddać poetom, entuzjastom, duszom gorejącym, młodzieży i tym, dla których wielka twórczość wielkich nie jest martwą literą, aktami do referatów, zielnikiem, atlasem antropologicznym, kompletem tomów, ale „rewelacją“, ale przeżyciem.

Szczególnie zaś Słowackiego trzeba co prędzej wydobyć ze szponów hemoroidalnych badaczy i pedagogów, polonistów i speców. Swoje zrobili, mogą odejść w spokoju. Ich dewocja i symplistyczne bałwochwalstwo, ich demokracki zelotyzm szczególnie dla ostatniej mistycznej fazy „Juljusza“, jest tem bardziej irytujący, im bardziej to zespolone z rozgadanem, płytkiem i nieudolnem interpretowaniem i komentowaniem tekstów. Nie wymieniając nazwisk stwierdzić tylko trzeba, że w tej dziedzinie można czytać u nas humorystyczne horrenda, diatryby i filipiki ciężkie od nonsensów i barbarzyństw. Po szczerych, poważnych, prostych i serdecznych wielbicielach, Małeckim, Tarnowskim, Chlebowskim, Biegeleisenie, po głębokich, gorących miłośnikach-myślicielach, Pawlikowskich, Górskim, Jabłonowskim, Lutosławskim, Zdziechowskim, po godnym

szacunku a fundamentalnie wykształconym antagoniście Tretiaku, nastała duża kompanja gadułów, Pamfilów i Rzecznickich. Tam gdzie oczekiwało się intelektu równorzędnego i suwerennego, nie niewolniczego i prościnkowego, tam na miejsce Brzozowskiego zjawił się płytki i przeto „kultem" nadrabiający Matuszewski i t. p. I stąd ten spór o „bluszczowość" u „wielkiego Julka", na samej tylko powierzchni badań stoczony między beatyfikatorami i hagiografami z jednej strony a tropicielami i szpiegami wpływów i zapożyczań z drugiej, w którym to sporze obie grupy miały tylko bardzo wątlutki zapas i magazyn dowodów, obie nie miały pojęcia o istotnym ogromie długów myślowych, zależności, filjacyj, przejęć, powtarzań i podobieństw formalnych, funkcjonalnych, konstrukcyjnych, ramowych, obrazowych; obie też strony nie miały żadnego pojęcia o tem, że w tym fenomenalnym wyjątku, jak w drugim jeszcze tylko w światowej literaturze t. j. in casu Szekspira, cała kwestja, tak pobieżnie postawiona i tak bez definitywnych rezultatów przeprowadzona, ma narazie znaczenie tylko anegdotyczne i rekreacyjne.

A tymczasem to sprawa jest pryncypalna, ekspertyzy godna i emocjonująca, ale na szerokim terenie i przez innego kalibru mózgi postawiona i przeprowadzona. Tu zawodowi przyczynkowicze i obiecujące suplenty nie wystarczą i rady nie dadzą, tu trzeba większego rzutu i zasięgu myślowego, tu trzeba umysłowej niezależności i pańskości, a nadto przy całej wnikliwości w dociekaniu tkliwego, wieloletniego umi-

łowania tego, z którego my wszyscy, ale nieliczni — wszyscy.

Aby ten „bluszczowości" problemat raz podnieść w wyższy regjon dyskusyjny, trzeba przedewszystkiem raz jeszcze szeroko sobie uświadomić tragedję tego w Polsce największego tragedjopisarza, tragiczność tego żywota archanielskiego. *Onorate infelicissimo poeta.* Niema, stanowczo niema genjalnego twórcy, którego żywot byłby tak wyjątkowo skomplikowaną Gehenną. Wszystko, stanowczo wszystko złożyło się fatalnie na to, aby życie stało się dlań ogrodem udręczeń, różańcem mąk i niedoli, katorgą osamotnienia. Starajmy się zestawić ważniejsze punkty. Psychofizjologicznie do końca życia nieświadomość, zdaje się tego faktu, że jest produktem somatycznym dwóch ras, skoro Januszewscy (jak stwierdzają poważne źródła) byli frankistami. Jeżeli tak jest istotnie, musiało to wpłynąć na kształtowanie się psychiki nawet genjusza. Dziedzicznie zatem „obciążenie" pewnemi niepozbędnemi właściwościami, charakterystycznemi dla nawet bardzo wyjątkowych jednostek, ze skrzyżowania dwóch ras idących. W każdym razie problem to ważki i godny poważnego studjum, gdyż, gdyby rasową promiskuicję stwierdzono, wiele kwestyj zagadkowych i niezwykłych dałoby się łatwiej wytłumaczyć i wyjaśnić.

W samem zaraniu życia cios po ciosie. Przedwczesna śmierć ojca, matki ukochanej marjaż z człowiekiem, który — jak się okazało — długie był lata konfidentem moskiewskiego gubernium. Samobójstwo najwierniejszego i najukochańszego przyjaciela w chłopięcym wieku. Pierwsza miłość nieodwzajemniona, kończąca się mał-

żeństwem ideału z Moskalem. Jak na lata sielskie, anielskie wstęp do życia, introitus straszliwy.

A potem to życie całe. Phtysis, suchoty w umiarkowanej formie występujące, ale niepozbędne. Wątły, niski, niepewny siebie, nieufny, lękliwy, przeczulony, a serce w chorej piersi dumne, nabrzmiewające raz po raz pychą ogromną. Rok 31 i nie wzięcie czynnego w nim udziału (tylko jedna spełniona misja dyplomatyczna), a stąd jakby wyrzuty na dnie sumienia kołatające. A potem tułactwo, podróże, krótkie przyjaźnie, żadnej odwzajemnionej miłości, same rekuzy, nieznana miłość ziemska, cielesna. I znów problem ważny, godny specjalnego studjum, możeby nawet jakiegoś adepta psychoanalizy Freuda, a u nas stale wstydliwie przemilczany, bo ni uczeni stateczni ni przyczynkowicze i Buchmany w tej materji „delikatnej" nie mieliby nic do powiedzenia, jako że to domena frywolnych Hoesicków, a nie bakalarskich Janików. Tymczasem erotyczne życie każdego twórcy daje często klucze do otwarcia wielu tajemnic.

Na emigracji rosnące z roku na rok osamotnienie. Nie żył a czytał, nie żył a pisał. Utracenie kontaktu Anteuszowego z ziemią ojczystą, utracenie kontaktu z rzeczywistością. Paryża nie lubi, z Francuzami nie obcuje, francuskiej literatury nie znosi. W Hotelu Lambert źle widziany. Z radykałami polskimi, którzyby go ochotnie akaparowali jako „ludowego wieszcza", żyć nie może, bo co on ma wspólnego z takiemi wyrzutkami, jak Gurowski, Czyński, Ostrowski, ksiądz Pułaski? Chopin i jego otoczenie Słowackiego nie znoszą. Nie żyje a czyta i pisze. A to, co mu wy-

daje „mój Eustachy, mój Eustachy“, to przez lata całe jest bagatelizowane. Czytają, ale wzruszają ramionami. „Cierpienia jego i męki serdeczne“. Coraz bardziej „sam wśród ludzi“. Wszędzie mu smutno i zawsze mu jedno. Jedyne refugium: listy do ukochanej matki, wdowie po doktorze Becu... a w tych listach confessions z katorgi chorej, przeczulonej ambicji gigantycznej... plany twórcze i relacje z lektury, ciągłej lektury. Obcowanie z ludźmi coraz rzadsze, zawody ciężkie, przyjaźni literackie przemijające. Protegują go przelotnie tylko ci wielcy, co wielkość jego wygrywają przeciw innemu, przeciw... Tamtemu.

Nad tą całą bowiem Gehenną ciąży... On, który mu zasłania cały horyzont. O Nim myśli bez przerwy od rana do nocy. W Jego orbicie krąży, jest księżycem tego słońca. A On? twardy, zacięty, mściwy i nie ubłagany... Antagonizm wieszczów! Kilka piór temu poświęciło tomy ale bezwzględnej oschłej, werdyktowej prawdy nikt nie ośmielił się powiedzieć. Stosunek Mickiewicza do Słowackiego jest antypatyczny, nieludzki, oburzający. Zapewne, iż biedny „gruźlik“ nie bez winy. Po Konradzie „Kordjan“, a w prologu Mickiewicz dostrzega siebie chyba od pierwszego momentu. A o „Panu Tadeuszu“: „cały Tadeusz jest ubóstwieniem wieprzowatości życia ludzkiego“. A o Wallenrodzie? „Wallenrodyczność czyli wallenrodyzm...“ A potem jeszcze: „Dziś jezuityzm jak wąż ciebie łamie. Sam go wskrzesiłeś, widzisz, mój Adamie“... Ale ileż razy wzniośle i pięknie, może zaciśniętem, zachrypniętem gardłem, lecz z niewolniczą omal czcią i pokornem uznaniem! A Mickiewicz — mściwy, „zacięty

Litwin", jeszcze przez akolitów podjudzany. Nawet gdy mu już Słowacki przebaczył doktora Becu w „Dziadach", on mu nigdy nie przebaczy zuchwalstwa w zestawieniu się z nim na jednej wyży „jako dwa bogi". Bóg emigracji ma być jeden, jedyny, samodzierżawny. „Wodzostwa" nie dzieli się z nikim. Jeszcze „Anhellego" uznaje, choć jest responsem na „Księgi", ale reszty? — nigdy. O makulaturze „Dziejach Wacława" w prelekcjach będzie mówił, „Kordjana" nie wspomni, „świątynia bez Boga!"... A o „Królu-Duchu", który Słowacki nie zawaha się nazwać „alfą i omegą świata", „a zatem i ojczyzny", Mickiewicz odzywa się: „Co wy w tem widzicie, ja czytam i czytam jak Boga kocham, nic nie rozumiem". Nic nie rozumie w imię „zdrowego rozsądku", tego zdrowego rozsądku, którego twórca „Króla-Ducha" nienawidzi do szału, przepastnie, obłędnie. I „Księdza Marka" ma mu za złe brat Adam za to, że pijaka, karciarza, hulakę Jandołowicza Słowacki, intuicją wiedziony, bez przesadnego traktuje respektu. I wszystko, cokolwiek napisze nieszczęsny „gruźlik", „Pan Litwy" ma mu za złe i za nieudane, pychą byrońską nadęte. Ale gdy brat Adam nań kamieniem, brat Juljusz najcudowniejszymi piorunami „Beniowskiego", a w „Zawiszy Czarnym" widzi go jako Jagiełłę, a w „Królu-Duchu" daje mu najpiękniejsze poprzednie żywoty Piasta, Chrobrego, św. Stanisława... rapsoda Śwityna i Zorjana. Aż nawet jest już coś niemiłego, dysonansowego w tej względności, w tej przebaczalności, w tem ukorzeniu się przed Adamitą. Za dużo i za ciągle go widzi. Całkiem niepotrzebnie w ukryciu i skrytości pisze swoje „Dziady",

swego „Wallenroda“, swego „Pana Tadeusza“ i po „Odzie do młodości“ koniecznie „Odę do wolności“. Całkiem niepotrzebnie także o tem marzy, aby jego książki zbłądziły pod strzechy! („Teogonja“? „Samuel“?) Całkiem niepotrzebnie zadrażniony i obolały jest tą awersją do Króla Mendoga i boi się, że „Litwin z Litwinem“ „wezmą go w paszczę“, i całkiem niepotrzebnie upiera się, że Ikwa jest tak piękna „jak Niemen“... Majestat proroczy twórcy „Ksiąg pielgrzymstwa“ rósł i potężniał jeszcze tem, że genjalny, posępny „gruźlik“ miotał się i ciskał, degradując czasem siebie do roli Arymana buntującego się przeciw Ormuzdowi, ba — nawet Kalibana przeciw Prosperowi, podczas gdy przecież w tym Arielu rozśpiewanym było więcej świetlanych promieni, jak w twardym, posępnym, zmarszczonym Litwinie z... „Trybuny Ludów“. I czyż nie więcej było też suwerenności genjuszu w tem dumnem, skazańczem, dobrowolnym odseparowaniu się od potępieńczych swarów i w tem nietscheańskiem osamotnieniu szczytowem największego w literaturze świata wizjonera, niż w tem wiecznem Adama otaczaniu się świtą i dworem Litwinów-pochlebców, „braci“, „guślarzy“, wałęsaczy emigranckich i w tem jego łazęgostwie i w tej politycznej ruchliwości gorączkowej i w tem intryganctwie ideowem, jakie tak druzgocąco np. podpatrzył w Mickiewiczu Zygmunt Krasiński w Rzymie w 48-ym roku? A jednak Słowacki na tego wielkiego człowieka, przepełnionego małostkami, patrzył nie z równego terenu, ale z... dołu. I to jest najbardziej irytujące w tym „antagonizmie wieszczów“, to Juljusza zatrącanie poddańczością, to czucie się pretendentem,

może równoprawnym, ale ciągle ubiegającym się, nie zaś legimistycznym władcą „Wołynia, Ukrainy, Podola", pasterzem dusz i mocarzem słów bezwzględnie i bez wykazywania dopiero swych papierów i wartości równym. Czem się to dzieje, że ten duch wolny, „wieczny rewolucjonista", tak się swą rebelją przeciw Mickiewiczowi właśnie korzył i upokarzał? I oto jest znowu problem dla badacza w niebelferskim stylu. Czy to poczucie inferioritatis nie leżało przypadkiem w podświadomem przeczuwaniu swej rasowej półodrębności? Czy też tkwiło w tej przewadze pierwiastku femalnego w psychofizjologicznym kompleksie Słowackiego, co znowu mogłoby stanowić przedmiot studjum nad naszym wieszczem ze stanowiska doktryny Weinningera (autora „Ueber die letzten Dingen").

W każdym razie twórca „Dziadów" na życiu twórcy „Króla-Ducha" zaciężył niepozbędnym, wieloletnim, zmornym ogromem swego niekwestjonowego autorytetu, łatwej popularności i umiłowania u rodaków (robaków co pełza) i sławy od momentu, kiedy powziął do niego głuchy, gorzki do zgonu żal za unieśmiertelniające napiętnowanie w „Dziadach" jego choć ojczyma, ale bądź co bądź męża matki, takiej matki tak nieszczęśliwej, zapoznanej, dziwnej, innej, ale jakże tem bardziej umiłowanej matki! Najbardziej zaciążył zaś nie potęgą swego słowa, nie obojętnością wzgardliwą (na pogrzeb nawet nie poszedł), nie podrażnianiem „gruźlika" do gigantomachji i nie żadnymi „wpływami", lecz najgłówniej tem, że przez kategoryczny mus przeciwstawiania się i zaprzectwa Mickiewiczowi Słowacki — Anhelli dał się zepchnąć i uwieść na to

stanowisko zbuntowanych archaniołów, ducha „der stehts verneint“ i siły, „die stehts das Böse schafft“, na stanowisko Lucyfera wobec Stwórcy... w „kolumnę tych duchów, która w dziejowości polskiej zaczyna się od Popiela... Bolesława... Samuela...

Zaciążyli na jego gorejącym intelekcie i inni. Ale na osobowości, na człowieczeństwie zaciężył najbardziej Olimpijczyk Mickiewicz, Białorusin Mickiewicz.

Na umysłowości natomiast zaciążyli wszyscy, literalnie wszyscy. W wielkim wedle Seillière'a szpitalu romantycznej literatury pacjentem najprzewlekłej i najnieuleczalniej chorym na t. zw. przez Sellière'a mimetyzm jest bezsprzecznie nasz największy dramatysta. W swojej „Romantycznej chorobie“ znakomity francuski, a w Polsce prześlepiony uczony badacz jako typ najbardziej mimetyczny analizuje i prezentuje Stendhala, tego samego, który orzekł sto lat temu, że „nie można pisać żywotów wielkich ludzi, nie pytając przedtem ich doktorów“. Nie można dziś omawiać i owartościowywać jakiegokolwiek romantyczne „nomen magnum“, nie znając rezultatów metod babawczych Seillière'a i jego szkoły naukowej. W zastosowaniu tych wyników (krytyki romantyzmu jako całości) do Słowackiego dochodzimy do przekonania, że jak Beyle-Stendhal we francuskiej, tak — si parva licet comparare magnis, mutatis mutandis — autor „Marji Stuart“ i „Beatrix Cenci“, „Kordjana“, fragmentów „Pana Tadeusza“, „Wallenroda“, „Dziadów“ (sic) w polskim romantyzmie jest najwyraźniejszym też arcytypem zapadającego na mimetyzm. I tu na-





wracamy znów do... wpływologji, tak przez symplistów naszych zbanalizowanej a tak emocjonującej.

Mimetyzm to jest ciąg psychiczny do naśladownictwa. Sellière wywodzi to od mima (aktor), ale równie dobrze można to wywodzić od... prawa mimicry. Beyle, czując nieprzepartą pasję do naślado-(Henri Bulard), dochodził do tego, że w książkach jego wykazano ostatecznie całe partje wcielone z dzieł obcych bezwiednie i bezwinnie. Wchodzi w obręb tego mimetyzmu także dążność do okazania się kimś innym, wyjścia poza siebie. Mimetyzm szerzej pojęty będzie i w przyrodzie (do której romantyzm nawracał) obserwowanem w świecie i roślin i zwierząt inklinowaniem do przypodabniania się do mocniejszego, oporniejszego, dojrzałego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobrażeniowej, zaczem o osłabionej, skobieconej woli, poddaje się „oddaje“ myślowo każdemu indywidualizmowi genjalnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genjalnych jednostek, spotężnieniu władz pamięciowych („mnemo“), staje się tym trybem bezbronny wobec wszystkich sugestyj idących od organizmów już skrystalizowanych i przewrażliwy na napór ideowy idący od dzieł już gotowych, dojrzałych. Na prozaiście Stendhalu każda książka przeczytana czyniła wrażenie tak nieproporcjonalnie silne, że przy niesamowitem rozwinięciu władz pamięciowych dopuszczał się nawet wprost plagjowania. Mimetyzm u Słowackiego wykazać można na tem, że nasz archiromantyk chciał być kolejno to Schillerem,

to Goethem, to Szekspirem, Wiktorem Hugo czy Calderonem, no a przedewszystkiem Nadmickiewiczem, nietylko Mickiewiczem, znacznie mniej Byronem, choć się o tem byronizmie tyle się mówiło i pisało. Każde dzieło każdego z tych „rewelatorów ducha“ było dlań... rewelacją. Ponieważ ten samotnik nie żył a czytał, więc każdy nowo poznany utwór stawał się dlań nowo poznanym człowiekiem, zdarzeniem, wypadkiem, objawieniem, olśnieniem, zachwyceniem. „Calderon kości ducha mi połamał“... Wielkie reprezentatywne archidzieła ery romantycznej wprawiały ten cudnie egzaltowany umysł w najsłodsze ekstazy, w wysokiego stopnia gorączkę cerebralną. Ba, ale czy tylko dzieła mające „moc zadziwiającą wynalazczości“ czy tylko Platon, Homer, Dante? Nie, bo i... Karamzin i... Bukaty (Bukary)... czasowo Fourrier i Proudhon, czasowo nawet znachor, mistyczny z Białejrusi, szarlatan i „poławiacz szczurów“, komedjant, hipokryta, uwodziciel dusz obolałych, carskiej Rosji gloryfikator, na trzeźwo obłąkany delirant, mistrz Andrzej... mistrz Towiański, ten dostawca szwarcowanego haszyszu metafizycznego, który zaraził mózgi największych a literaturę światową okradł o kilka arcydzieł, z jego przyczyny nienapisanych lub dzięki jego mikrobom gigantycznie poronionym. Z hipnozy tego „pająka mózgów“, tego Svengalego, tego „oszusta z niebios“, Słowacki wcześnie się wyleczył, niestety, nie bez plam gangrenowych na najwznioślejszych swych rapsodach. Ale ślady, zapładniania, zależności, sugestje, reminiscencje imitacje i asocjacje, parafrazy i „wpływy“ po tych wszystkich dziełach nie czytanych a chłoniętych utrwa-

2*

lone są w całej hiperprodukcji Słowackiego. Ba, ale nietylko po wielkich, nietylko po... Apokalipsie. I po małych, duchowo maluczkich „z najniższych sfer globalnych" dużo, mrowie pozostało zapożyczeń; nietylko po „Sewerynku", ale po Karolu Sienkiewiczu, po Rzewuskim i po innych, a to w materjale osnowy, w koncepcjach, w sytuacjach, w komplikacjach, w charakterów lepieniu i konfliktów zadzierzganiu, w obrazowaniu, w metaforach są różnorodne, czasem drobiazgowe *przejęcia*... Tylko się tem jego przejmowaniem zbyt przejmować nietrzeba, gdyż jak nie miał racji Greene, który Szekspira nazwał „sroką w cudze piórka się strojącą", tak nie byłoby sensu do najrozrzutniejszego świata fantasty stosować: „pawiem poetów byłeś i papugą". Płaszcz na duchu jego, choć bowiem bywał tu i owdzie pstry i zszywany, duch sam zawsze królewski i cezaryczny.

Mimetyzm?... Tak!... Przyczynkowicze i detektywi zapożyczeń u „Julka" nawet nie mają przeczucia ani wyobrażenia o tem, do jakiego stopnia biernie i kobieco poddawał się ten wirtuoz szału poetyckiego osmozie z dzieł innych druidów, jak daleko i zawikłanie sięgają rozgałęzienia genealogiczne i genetyczne w dramatach, ba — jak czasem mało przetopione są spławy z najrozmaitszych metali, jak nawet obrazy czy ryciny z pewnych malarzy owoczesnych (Dorée, Delacroix) zmieniają się w pewne persekucyjnie, prześladowczo powstarzające się obrazy poetyckie (łódź sternikami napełniona), jak to zdanie „ja się w mej twórczości męczę", należy tłumaczyć sobie także i walką z koszmarnym zwałem i natłokiem reminescencyj i su-

gestyj z dzieł „rewelacyjnych". Przecież poniektóry dramat przedstawia się oczom wtajemniczonego w piśmiennictwo romantycznej ery omal jak mozaika. Z poniektórego zaś możnaby wypleść nić po nici, włókno po włóknie jak z kilimu, a wszystkie omal obce, pobrane, przejęte. Byłaby to atoli praca Penelopy. Na drugi dzień pod wieczór kilim byłby znów arcydziełem, jak arcydziełami były świątynie greckie, ze wszystkich gatunków marmuru pobudowane. Zostaje język symfoniczny i piękno samo w sobie. Dramat o Hamlecie i legenda o Fauście istniały na dziesiątki i setki lat przed „Hamletem" i „Faustem"... Mimetyzm...

Ale jest pewna kategorja, pewien kompleks „wpływów", który trzeba raz wyodrębnić i wywyższyć w rozpamiętywaniach o Słowackim, t. j. wpływ romantycznej ideologji germańskiej.

Z jakichś głupiutkich, rubasznie lechickich powodów mało się nad tem kontempluje w bractwie zawodowych gadułów, mało to wyjaskrawia a jakby konspiracyjnie przemilcza. Konwencjonalnie uznaje się i rejestruje „wpływy" Dantego, Calderona, de Vigny, Byrona, Waltera Scotta (?), nawet Alfieriego! Lekko i przelotnie raczyli zgodzić się po Małeckim, Tarnowskim na pewne wpływy niemieckiej poezji pp. Pigoń, Hahn, Hoesick. A tymczasem tu jest gruby tom do napisania. I niema się czego „żenować". W pierwszej połowie XIX w. w Allemagne mieszkał „Volk der Dichter und Denker". I cały romantyzm wywodzi się nie ze Szkocji, ale z Germanji, polski także, a jakże. I niema racji, o bakałarze prowincjonalni, ukrywać tej prawdy pod korcem angielskim czy francuskim. Rous-

seau, Byron i Niemcy. Polski Romantyzm jeszcze więcej jak francuski.

Niemcy odkryła Europie pani de Staël, r. 1813. Ta książka o Schillerze i Goethem była ewangelją Salomei z Januszewskich. Ojciec Euzebjusz uczył jeszcze „klasyków" niemieckich, ba — nawet tłumaczył idylle Klopstocka i Gessnera. Matka grała na fortepianie Händla, Bachów, Mozarta i pierwsze walce wiedeńskie. „Julka" na klawicymbale uczył Niemiec Fock, niemieckiego języka kandydat filozofji Gravet. Ojczym, doktór Becu, choć nazwisko francuskie, pochodził z emigrantów berlińskich, z Niemców! Tak na uniwersytecie warszawskim jak na uniwersytecie wileńskim na niektórych wydziałach przeważali sprowadzeni rdzenni Niemcy (Kulturdünger); w Warszawie w r. 1818 było Niemców profesorów dwudziestu, a wychodziły stale trzy pisma niemieckie. Przyjacielskiemi domami pani Salomei były niemieckie rodziny Berkmanów i Spitznaglów, przyjacielem Julka — Werter Spitznagel. Ojciec Lelewela (Loehleffel v. Loevensprung) mówił źle po polsku, profesor literatury na uniwersytecie wileńskim Borowski wyszydzał literaturę francuską a gloryfikował niemiecką. Filaretów i filomatów utworzono na wzór „Jugendbundów" niemieckich. Młody Mickiewicz krótko popasał przy „Darczance" i racjonalistach, aby prędko rzucić się w objęcia balladystów niemieckich.

Przyjaciel rodziny Odyniec rozpowiadał cuda o niemieckiej poezji, a pani Salomea, mocno przypominająca berlińskie plutokratyczno-profesorskie Egerje romantyzmu, „studjowała" Kanta i Humboldta, tego

Humboldta, który w podróż po Azji wziął ze sobą także Polaka... Witkiewicza.

W gimnazjum na lekturę uczniom dawano tragedje Kleista. W „Dzienniku Wileńskim“ bywały tylko prace o niemieckich uczonych i poetach. A czy to grał teatr polski, czy zjeżdżała raz po raz trupa niemiecka, repertuar bywał przeważnie z dzieł niemieckich. Tak więc z teatru jak z księgi p. de Staël, jak od Odyńca, Borowskiego i pana Mickiewicza, młody przed dwudziestą wiosną Słowacki słyszał, widział, wczerpywał i wchłaniał w siebie: „Zbójców“, „Don Carlosa“, „Wallensteina“, „Tella“, „Goetza z Berlichingen“, „Egmonta“, „Tassa“, „Dziewicę orleańską“, „Narzeczoną z Messyny“. Z pani de Staël „De Allemagne“ dowiedział się po raz pierwszy o Werterze... i o „Fauście“. W teatrze niemieckim (1825) usłyszał po raz pierwszy nazwisko Beniowski w melodramidle Kotzebuego („oder die Verschwörug von Kamtszatka“); tu też tragedję Körnera „Helena (oder die Hajdamaken in der Ukraine)“.

Kiedy wyrusza w świat po raz pierwszy a na zawsze, matka (często bywała w Karlsbadzie) daje mu do torby podróżnej przedewszystkiem... „Rozmówki niemieckie“.

W liście do matki z Wrocławia (1831) pisze: „Mówię już trochę tym językiem“. A potem z Drezna: „W ustach dam ładny język“, a potem z Drezna: „Czytam wiele przez dzień cały“, a potem z Genewy: „Pracuję teraz ciągle, czytam bardzo wiele, *rzuciłem się cały w filozofję niemiecką, pomimo wielu czczych marzeń idealizmu karmi ona moją imaginację* (1834),

a potem z Paryża (którego nie znosił): „gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniósłbym się do Niemiec i żył spokojnie i tanio“, „*do literatury francuskiej zawsze miałem wstręt*, nie myślcie więc, żebym kiedyś został renegatem“ (1839). A kiedy umiera Goethe: „dowiedziałem się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, że Bóg wziął go z tego świata żeby dla mnie wydającego poezje miejsce zrobić“.

Goethem i „Faustem“ przepełniony jest umysł jego od pacholęcia. Mniej Schillerem. Mniej „Werterem“. „Mając lat 19 miałem Mahometa wystawić, ale w guście „Fausta“ lub „Manfreda“, rozmawiającego z duchami“ („Pamiętnik“). „Pociągnę hausta, jak się rozogni myśl, napiszę „Fausta“. W listach do Bobrowej raz po raz o „Fauście“. W dziełach ciągle przewija się Faust: „Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony“, „Haha, jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym zejść się na ziemi i w tym famulusie mego faustyzmu niewydrwione strony wydrwić“ („Pamiętnik“). „Z rozpaczy kończę tak jak Werter w Getym“. W dramacie o Beniowskim: „Dziwak, misjonarz wielki, który chował Niemca, ażeby z nim filozofował. Ten Niemiec, człowiek dowcipu, nauki. I wiadomosci dawnowiecznych starych wielki przyjaciel, formy oraz sztuki filozoficznej także ścigacz mary. Zwał się Faust. Czuły go na zamku kruki“.

Gdzie ruszyć, w dziełach, listach, pamiętniku, raptularzu — wspomnienia z niemieckiego romantyzmu. To Werter, to Tell (w „Kordjanie“), to markiz Poza z „Don Carlosa“ („O potrzebie idei“), to o szylleryz-

mie (recenzja z „Nocy letniej“ Krasińskiego), to o balladach niemieckich...

Że język niemiecki znał (w co powątpiewali Tarnowski i Jabłonowski) — nie ulega najmniejszej kwestji. Jeżeli w późniejszych latach Mac Donald angielskiego nauczył go w trzy miesiące, to ten język, który od chłopięctwa mógł słyszeć w Wilnie w domu, w rodzinach przyjacielskich, w teatrze, w szkole, musiał posiadać po r. 1831 już w każdym razie bardzo mocno, skoro w Genewie nawet rozczytywał się głównie w niemieckich filozofach, wówczas albo jeszcze na żaden język nie tłumaczonych, albo wogóle nieprzetłumaczalnych. Wszyscy nasi romantycy język tak sympatycznych wówczas dla Polski Niemców biedermayerowskich znali i począwszy od Mickiewicza (po r. 1831), Brodzińskiego, Garczyńskiego, a skończywszy na Szabrańskim, Kossaku, Grozie („panie Grozo, lepiej prozą“), tłumaczyli co było do tłumaczenia na wyścigi.

„Rzuciłem się cały w filozofję niemiecką“. W idealistyczną filozofję! W to samo rzucili się Wordsworth i Coleridge... Beyle-Stendhal i Wiktor Hugo. A w tej filozofji i Szwed Swedenborg („De origine Anhellorum“), Boehme, Goerres, Schleiermacher, Novalis, Angelus Silesius (mistycy), dalej Hegel, Fichte, Herder, Tieck, Schleglowie („Fragmenty o sztuce dramatycznej“), Schelling... całe wodospady nowych idej, nowych spekulacyj... emocyj... rewelacyj... „absolutna wiedza“... „fenomenologja ducha“... gnozis... Kabała...

I znów cały duży tom do wypisania, do kontynuowania i rozszerzenia studjum Pawlikowskiego Jana Gwalberta. Jak M. Bienenstock wykazał w kompletnie

nikomu nieznanej a bardzo sumiennej pracy (1909, Wadowice) olbrzymiość literackich sugestyj i powinowact niemieckich (Goethe i Schilller), tak musi się znaleźć ktoś, kto nietylko przestudjuje mistyków, ale i całą plejadę niemieckich filozofów romantycznych sprezentuje (Irzykowski, Sobeski, Miller?)

I tu trzeba teraz przypomnieć, jak się to na tych pisarzy i twórców „wykarmionych mlekiem Hegla et Comp.“, zapatruje „malleus romantismi“, wielki oskarżyciel i inkwizytor Ernerst Seillière. Krótko mówiąc: „zaraza germańska“, mal du siècle, psychoza, choroba mózgów, laboratorjum trujących gazów i obłąkanych błąkań i rozpust myślowych... państwo szatana negacji... zatruta cysterna... „siły fatalnej“... „niewidzialnej“, całą elitę umysłowości europejskiej gniotącej i terroryzującej...

Pod tym kątem widzenia trzeba też raz na to spojrzeć, posługując się racjonalistycznymi kryterjami publicysty, by dać może impuls solidnej metodologicznej egzegezie „uczonych w Piśmie“. Sielskim, domorosłym hagiografom i patrologom romantyzmu daje się w ten sposób okazję do obrony świętości przed ikonoklastami i bluźniercami. W każdym jednak razie dyskusja powinna być wreszcie raz i na ten temat otwarta i świeże powietrze do zatęchłych gabinetów przyczynkowiczów, rozprawkowiczów i mistyficińskich wpuszczone.

Jak i którędy droga prowadzi od romantyzmu do... anarchji, wykazał Seillière w diagnozie pacjenta, romantycznego utopisty Fourriera, zapiekłego wroga rządów „zdrowego rozsądku“, wróżącego już w r. 1803,

że ludzkości tylko Rosja da wieczny pokój!!! i „Nową Jerozolimę!!“... (harmonie universelle?) Jeden zaś z bojowników Seillière'owskiej krucjaty przeciw romantyzmowi, Félicien Pascal, w dziele p. t. „Du romantisme à l'anarchie“ (1906) przeprowadził prokuratorski dowód prawdy, że ideologja romantyzmu wiedzie w prostej linji spadkowej do rozprzężenia i rozstroju wszelkich więzi społecznych, do anarchji.

Idzie też droga od idealistycznej filozofji niemieckiej, od mefistofelizmu goethe'owskiego „Fausta“ I i II części aż do lucyferyzmu w „Samuelu Zborowskim“ i przepotężnej obrony diabolizmu Popiela w „horyzontalnie najpierwszym poemacie“ i do apokaliptycznej wizji ludowego papieża słowiańskiego w „Królu-Duchu“.

Ongiś Anhelli, później „Julinicz“ (wieszcz ludowy z „Niedokończonego poematu“ Krasińskiego), przeszedłszy przez dantejskie piekło najsmutniejszego żywota, dosłownie sam i obcy wśród ludzi, rozpięty na krzyżu swoich ambicyj, obolały i poraniony w „Kampf gegen die Umwelt“, pełen wzgardy dla harfiarzy, którym „tłum klaszcze a sam bez świata oklasków“, nabrzmiały „Weltschmerzem“ a może i swoją osobistą Hamletiasis przytłoczony, zrażony kolejno do wszystkiego co swojskie i do wszystkich co swoi, odgranicza się już w swym solipsyzmie od całej ojczyzny ziemskiej, realnej, doczesnej i przenosi w astralną, sztuczną, metafizyczną. Już dawniej z iście heinowskim sarkazmem i ironją mówił przecież, że „plunąłby w oczy temu, ktoby go zapytał, czy ja Lechita. Cóż to? czy mi z oczu patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,

siedm grzechów głównych, gust do wrzasków, do ukwaszonych ogórków, do herbów..." Tak już w zaraniu twórczości się odgradzał. A teraz po katordze całego żywota... „duch pasji" dyktuje rozgoryczonemu, storturowanemu obojętnością „gruźlikowi":

„Nie mówcie mi już o mękach narodu.
Cóż naród dla mnie, bezdzietnego człeka?
Serce się moje nagle stało z lodu,
I myśl od ludzi jak zbójca ucieka
I brata w żadnym człowieku nie widzi
I zamiast kochać ludzi — nienawidzi".

W tym stanie ducha Byron apoteozuje Kaina, a nasz „natchniony z niebios" (wedle słów Puszkina) Serafita, któremu „Bóg obronę przyszłości poruczył", „duchem Bożym przepełniony", staje przed wielkim trybunałem z lucyferyczną obroną dwóch skazańców naszej dziejowości, z obroną Samuela i Popiela.

I z tego stanowiska bowiem można odnosić się do tych najdroższych każdym sercom i duszom arcydzieł, po przestudjowaniu dzieł krytykujących dziś cały kosmos romantyzmu filozoficznego i poetyckiego jako olbrzymi nurt pojęciowy, z zachorzałych umysłów wyrodzony a doktryny zgubne, odśrodkowe, negacyjne, dezorganizacyjne i destrukcyjne egzaltujący i propagujący.

Za szczyty najwyższe poezji Słowackiego, twórczym, wulkanicznym wybuchom genjalności ponad wszystkie polskie pasma górskie wzniesione, uważać dziś już musimy: „Króla-Ducha" i „Samuela Zborowskiego". Tu już sięgamy gdzie wzrok normalny nie sięga, tu już osiągnięte jest to co nieosiągalne. Ale gdy „Król-Duch" jest i pozostanie tylko kwiatem lotosu dla

niewielu, „Samuel“ stanie się z czasem dla wszystkich chlebem bożym może nawet dla „duchem maluczkich“. I w tem tkwi niebezpieczeństwo. Nie rozumiejąc „Króla-Ducha“ możemy z tego „ignorabimus“ się rozgrzeszyć, możemy zacytować nawet trywjalny osąd Krasińskiego, tego samego Krasińskiego, który „Julinicza“ wyżej stawiał, goręcej kochał i zbożniej szanował a jednak pisał: „Nic prawie nie rozumiem: albom ja warjat czytelnik albo autor co to wszystko napisał; jeżeli dwadzieścia strof rozumiem — najwięcej“. Dzisiejsi komentatorzy, katechumeni i egzegeci pono wszystko rozumieją. Ale gdyby Słowacki żył, toby się ich może potrzykroć zaparł, jako Hegel heglistów, Marx — marxistów, Wagner — wagnerzystów, a Nietsche — nietscheanów. Nie ma z nich bowiem żaden w rękach nici Arjadny do tego labiryntu poplątanych cudownych wizyj i upajających majaczeń, genezyjskich tajemnic, prawd wiecznych, kolumn żywotnych, egocentrycznych walk o „wodzostwo“, przemieszanych raz po raz z historjozoficznymi dygresjami, to znowu z dociekaniami o pochodzeniu gatunków, to z apokaliptycznemi halucynacjami, co w sumie jest jako potok wezbrany niepospolitego piękna odurzających, oczadzających alegoryj, aluzyj, metafor, obrazów, hiperboli, przy niesłychanej rozrzutności słownej i rozwiązłości, „zgubnej płynności“ i „zawrotnej dowolności“ rymów. Jeżeli czysta poezja jest czystym irracjonalizmem, to ten wizyjny chaos przedstworzenny jest otchłanią piękna samego w sobie, nic tylko muzyką, samą muzyką, którą tak brać należy. Ale jeżeli komentatorzy siłą się zapoceni, żeby nam do rozumu

przemówić i logicznie tłumaczyć, tak jak Apokalipsę św. Jana, to próżny ich trud, skoro sam Słowacki wtedy przyznawał, że „myśli me gryzą się i strzegą...“, „już prawie jestem człowiek obłąkany“. I tu nic nie pomogą i nie rozwidnią te nad przepaściami warjantów, dopisków, skreśleń rozpięte mosty naciąganych komentarzy i odcyfrowań, gdzie jeden ekspert czyta: „skała“, drugi: „Skałka“, jeden „Kwiatynę“ wyjaśnia jako kwietnik, drugi jako boginkę słowiańską, a wszyscy mistykolodzy głowią się nad pryncypalnem zagadnieniem ustalenia definitywnego, jaka jest kolejność przewcielań w „łańcuchu genetycznym“ a to Mickiewicza, a to Słowackiego!! A toż przecież na samą „prawdę wieczną“ metampsykozy (sic) i sam Słowacki negatywne miewał poglądy, skoro Towiańskiemu zarzucał swego czasu, że „ideę mesjanizmu dowolną indjanizmu (sic) metampsykozą *pobrudził*“. A jakżeto już wierząc żarliwie w platońskie i swedenborgiańskie systema przechodzenia dusz, w preegzystencję wielkich duchów, w kolumny żywotów, siebie w tych łańcuchach genetycznych konkretyzował raz tak a raz owak! W „Wykładzie nauk“ (1845) był pierwszym człowiekiem Edenu, potem przeszedł w ciało Homera (w tym roku tłumaczył „Iljadę“), potem w Rzymianina posągowo pięknego, to znów w św. Antoniego, w krzyżowca walczącego z Turkami, w malarza, wreszcie przewcielił się w Polsce. Tymczasem w rozmowie z Budzyńskim („Wspomnienia“) był kolejno: kaznodzieją na Libanie, rozbójnikiem w górach, wreszcie harfiarzem-druidem w Polsce... To też i w „Królu-Duchu“ nawet, w tej pryncypalnej kwestji rzeczo-

znawcy-wykładacze, a to pater Artur a pater Gwalbert i inni braciszkowie z „zakonu“, w mrocznej dżungli toporem drogi rąbiący, często sobie wzajem przeczą, zabawne przytem dysputy wiodąc: „homousios“ czy „homojusios“ czy „Śwityn“ — „Zorjan“ to Mickiewicz, czy nie Mickiewicz?... czy Wodan od wody, czy od Wodana germańskiego?... i t. p. W romantycznej literaturze angielskiej jest dwóch takich poetów mistyków, nieodcyfrowalnych książąt ciemności, t. j. Blake i Browning. A dla ich egzegezy i uprzystępnienia zjadaczom chleba i „iron-eatorom“ istnieją całe societys literackie; może tedy i u nas tylko kolektywne w klasztorku jakimś dociekania dadzą temu radę. Contra spem speramus.

Pozostaje atoli idea generalna, „absolutna prawda“ tej gigantycznej monoepopei, skrystalizowana w apologji tej kolumny duchów, która zaczyna się od Hera Armeńczyka, poprzez Rytygiera-Popiela... Mieczysława, Bolesława Śmiałego zbacza aż do... ks. Michała Twerskiego... ażeby właściwie kończyć się... Samuelem... względnie samym poetą. I tu miałby wiele do powiedzenia polski Seillière czy Lasserre czy Pascal. Tu są owoce „zarazy germańskiej“, ślady infekcji intelektu idealistyczną filozofją niemiecką... dialektyką heglowską... mefistofelizmem z „Fausta“, a pochodnie i pośrednio też stąd się wywodzących... Karamzina i... Towiańskiego... Tego znachora i carofila, który głosił w „Kole“ kategoryczny mus obmycia się z „grzechów wobec cara Rosji spełnionych“ tego Masynissy tułaczów czar i upiorny urok na poetów rzucony, trwał jeszcze nawet po zerwaniu, i jego czysto rosyjskie po-

jęcie, że do poznania tego co dobre trzeba przejść przez grzech i zbrodnie, że złu się sprzeciwiać nie trzeba, że zło pomaga w postępie ludzkości do celów finalnych, do szukania absolutu. A eksponentem tych mongolskich poglądów, kultu „siły ducha“ jest legendarny Popiel z „Balladyny“, ale pogłębiony, demoniczny: „Jam jest bicz boży okropny“. Władzę i rządy zdobywa gwałtem i zbrodnią. Przez występki, okrucieństwa i znikczemnienie, rabunkami i mordem naród swój kształci, wychowuje i podnosi. Tak Karamzin wielbił swego Iwana Groźnego. A wywodziło się to ubóstwienie „potęgi ducha“, z Herren-Moral, „idealistycznej“ spekulacji o państwie Hegla. A ten Popiel Groźny, nienaski, nie lechicki i polski, ale pruski i karamzinowski, przeciwstawia się tu (i będzie się przeciwstawiał w dziejowości polskiej po dziś dzień) Zorjanowi-Świtynowi, rapsodowi z kołodziejskiej, słonecznej, lechickiej „kolumny duchów“, z patrjarchalnej chaty „na szmaragdowych łąkach przy Kruszwicy“ przeciwstawiał „piastującemu sprawę Pana...“ Piastowi...

„...Starzec sławą słynął,
Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Na dwu srebrzystych morzach mnie posadził
Stary — a miecza do pochwy nie chował...“

I temu Piastowi Popiel wbija w nogę szpic posocha jak Iwan słudze Kurbskiego Kniazia... I Popiel (Rytygier) nurza się w okropnościach, wyzywa niebo, ugniata i prześladuje piastowską Polskę kołodziejską i w imię dobra, przyszłego dobra swego ludu *łamie prawo boże*, tak jak Samuel *łamać będzie prawo ludzkie...* I tem są wielcy? Tak, tem są wielcy.

Z „horyzontalnie najpierwszego poematu“, z falang

cudownie rozdźwięczanych strof, z kaskady złotolitych rymów, z kurzawy najdrogocenniejszych słów, z symfonji dźwięków i z chórów jakby anielskich przebija się dysonans moralnego fałszu i błędu, mefistofeliczny chichot: przez zło do dobra, przez łamanie prawa Bożego do potęgi...

A jak przez łamanie *prawa ludzkiego* do... sławy grodu, to znów prawda „absolutna" „Samuela Zborowskiego". Jak tam zmaganie się z Polską kołodziejską, piastowską, tak tu w stan oskarżenia postawiona Polska kanclerska, Zamoyska (bo tych świetnych kanclerzów Zamoyskich było przecież dwóch: Jan i Andrzej). Rapsodja — misterjum dramatyczne z nazwiskami także i historycznemi, ale z autentyczną historją nie ma to ani jednego włókna wspólnego. Romantyczni dramaturdzy nasi wyrobili sobie przywilej całkiem subjektywnego i suwerennego traktowania dziejowości polskiej. Jest to więc raczej historjozoficzno-syntetyczne widzenie i ujęcie materjału historycznego; postacie w tem nic nie mają w sobie z historycznych charakterów, są natomiast projekcjami pewnych myślowych pojęć i doktryn. W dramatach z legendarnej, omszałej, przedhistorycznej Polski Słowacki jeszcze najbardziej estymuje prawdę wierutną, ponieważ ta prawda jest tam fikcją, zmyśleniem, mitem. Natomiast w jego Polsce Jana Kazimierza nic niema z tej ery i z jej charakteru. Król „Ślubów w lwowskiej katedrze" sprezentowany tu parodystycznie Mazepa do Mazepy swego biografa Kostmarowa w niczem niepodobny. Marja Stuart jak u Schillera tak u Słowackiego — to fantom, z „Queen Mary" nic a nic wspólnego.

Spisku koronacyjnego w erze Kordjana wcale nie było. W konfederacji barskiej zaś przeważał żywioł bałagulski, awanturniczy, pijacki, nieco może faszystowski, reakcyjny, anarchiści z epoki saskiej. Beniowski nie był ani „piękny, jak Bóg" ani „wielki duchem", ani „żywotem wszechludzkim", tylko źle po polsku mówiący pijaczyna globettrotter.

A Samuel historyczny? Słowacki znał go i brał na wiarę z książki-pamiętnika Karola Sienkiewicza (1844). My go znamy z dzieła Dzierzgowskiego (1901), tak jak dziś znamy dobrze Makrynę Mieczysławską, exżydówkę i konfidentkę-szpiega rządu mikołajewskiego, „świętą" romantyczną... na służbie i żołdzie policji petersburskiej.

Zborowscy byli ewangelikami. Trzej bracia, rozpasani magnaci-degeneraci, katylinarne egzystencje, ród banitów. A najgorszy Samuel, anarchista, zbrodzień, morderca Wapowskiego, rozbijacz, fałszerz, intrygant, pieniacz, pijak, antypaństwowiec. W każdem innem państwie europejskiem byłby już trzy razy wisiał za swoje crimina i szaleństwa, zanim w Polsce raz został ścięty późno, gdyż jako adherent elekcyjny króla Stefana długi czas u dworu miał protekcję.

Tymczasem już Karol Sienkiewicz lekko go próbował rehabilitować. I w oczach bezkrytycznie czytającego twórcy „Beniowskiego" już go zrehabilitował. I oto znów z ducha przekory i przeciwstawiania się duchowemu kanclerzowi emigranckiego partykularza paryskiego Słowacki, podnosząc styl, charakter i atmosferę dramatycznej rapsodji w najwyższe regjony dialektyki i moralnie filozoficznych kontrowersyj, całkiem

bagatelizując i pomiatając materjałem faktycznym (nawet w Sienkiewiczu jednak stwierdzonym), z czegoś co najczarniejsze robi duszę nad śnieg bielszą. Z antenata Zebrzydowskich, Lubomirskich i innych duchów Popielowych staje się „podobny dawnym rycerzom pół-bogom“, „animusz wielki“, co „miłość ojczyzny stworzył“. Z wichrzyciela i zdrajcy staje się „duch wolny, nie lennik“, co „całem sercem miłość swej ojczyzny włonił i całą nosił w sobie“, „Cezar polski śmiały, dumny“. Ten Samuel „słynął wszędy“, a Zamoyskiego „kłuł w oczy zaporoską sławą“. Jeszcze mało. „Niewinny zginął człowiek“. „Przez ducha zabitego szła dawna Polska w górę“. „Święta sprawa w Zborowskim żywa“, „wielka sprawa boża“. „Droga ducha idzie przez Polskę i na niej mord spełniony“, „Polsce taki czyn nie bratni“, „Prawidła zgwałcone“ i „prawo nowe co wolność ducha zabezpiecza“. Jeszcze mało. „Powietrze całe było przy nim święte“, „cierniowa korona męczennika“, „Leży jak Pan Jezus“! Przez to zaś, że „zdjęto łeb“ temu łajdakowi, jednemu z najgorszych w naszych dziejach, zosłała „złamana piewsza pieczęć na wolności polskiej“, „pogwałcony duch“... Dość!

Tak, to są najwyższe turnie i wirchy tego romantyzmu, „mal du siècle“, który drogą negacji i zaprzectwa, byronicznego buntu przeciw „martwym siłom praw“ boskich i ludzkich wiódł (jak to wykazał w swej pracy Pascal) poprostu ku anarchji i rozstrojowi wszelkich więzi i moralnych i społecznych.

Orędownikiem i obrońcą, advocatus diaboli jest tu diabolus sam, Prometyda Lucyfer, Erdgeist, reprezen-

tant „postępu sprawy ducha“, a równocześnie deuterotyp Mefistofelesa z „Fausta“ niemieckiej filozofji idealistycznej, „germańskiej zarazy“ adept i emisarjusz. On to, Lucyfer, poprawiony, pogłębiony i udostojniony Mefistofel, staje w rzecznictwie polskiej złotej wolności, on, nazywający się sam „Iskarjotą“ i „czerwoną duszą“ (rozmowa z Nereidą). On to umoczył chustkę we krwi ściętego złoczyńcy, on ją jako manifest prezentuje trybunałowi, on podnosi wielki krzyk o „nieprawości“ i on, z Fausta zrodzony szatan dziejowy Zamoyskiemu przypomina, że „kanclerze nie byli kaci“. I on głosi mu werdykt: „U nas ty jesteś nie ludzki, nie bratni, a za ostatnim Polakiem ostatni“.

I oto tu mamy ową „siłę fatalną“ („ein Theil von jener Kraft“) i tu mamy „ducha wiecznego rewolucjonistę („der Geist der stets verneint“), uchwyconego na gorącym uczynku obrony tego co dla polskości jako więzi społecznej, jako rasy, jako całości, byłoby odśrodkowo rozsadzającym, wybuchowym materjałem najwyższej siły. Lucyfer majordomusem księcia Polonjusza, ...„odrostka królów“! Przeciw *prawnikowi*, organizatorowi, statyście, sędziemu, rozgrywany jest *krwawnik*, demoniczny, destrukcyjny czynnik naszych dziejów, „złotej wolności“ źrenicy... apologeta...

I oto gdzie leży, gdzie mogłoby leżeć właściwie pewne niebezpieczeństwo. Oto w tem, gdyby w miarę podnoszenia się, choćby powolnego, całego intelektualnego poziomu u nas, a wraz z nim rafinady i wybredności gustów literackich, w przyszłości na miejsce „Pana Tadeusza“ dostawał się do rąk niepowołanych... „Samuel Zborowski“... Może to są melodje dalekiej przy-

szłości, ale w każdym razie to nie byłaby książka, która winna zabłądzić pod strzechy czy na powszednią lekturę młodzieży. W tym jednym tomie bowiem nagromadzony jest sbarbiec piękna istotnie najdrogocenniejszego, najbardziej upajającego i uwodzącego. Naszej dramaturgji całej jak szeroka i długa to dzieło choć również z arcypolskim bezładem skonstruowane, to jednak jako gejzer gorących i parzących myśli, utwór najszczytniejszy, nigdzie przez nikogo już nigdy niedosięgalny. Wobec tego kwiatu agawy, na sto lat raz rozkwitającego, smak „Pana Tadeusza" przypomina dobre okrągłe rumiane jabłko; na gorącą imaginację lechickiej młodzi wnet ta Soplicowska idylla zacznie działać jak wypłowiały muzealny arras. Z tem większym impetem zwrócą się w stronę tej trybuny w granicie kowanej, z której przemawiać będzie błyskawicami, wszystkie horyzonty rozświetlającymi, „wieszcz ludowy" Julinicz.

Jego bowiem będzie za grobem w przyszłości zwycięstwo, bo w nim tylko, a nie w Mickiewiczu i nie w Norwidzie, są jeszcze całe archipelagi, całe Atlantydy niezbadane i nieodkryte, tajemnicze, zwodne, czarujące, bo on tylko jeden jedyny ma w rwącym szumiącym potoku złocistym swej twórczości obok szerokich rozlewnych płycizn rozhulanej, rozcwałowanej improwizacji — dziwne, zawrotne, ciemne głębiny. On jeden w Słowiańszczyźnie, a Dostojewskij drugi.

Temci bardziej trzeba tego przepełnionego „duchem Bożym" herezjarchę poznawać, badać, odkładać, znów wracać doń, rzucać książką o ziemię i znów jej brzegi całować, spierać się z nim, zrywać i znów o prze-

baczenie prosić, ale nie rozstawać się przez życie nigdy. Tem to przyjdzie łatwiej, że ten jeden z naszych wielkich, domowych „wielkich“ (bo przez Europę stale i konsekwentnie nieuznawanych i nieznanych), nas, wiernych „Trójcy“ najświetniejszej, jeden jedyny, nie znudzi nigdy a podnieca i podrażnia zawsze. I kochać tę małą bladą, czarnowłosą dziwną postać, mocno „niesamowitą“ nawet w galerji „niesamowitych“ wielkości, tego naprawdę tułacza, pielgrzyma, cierpiętnika i strąconego na ziemię anioła.

I kochać go trzeba bez poddańczej dewocji i patetycznego służalstwa, nie na wiarę i słowa magistrów i nekrofilologów, urzędników biograficznych i czepiających się plebejów ducha, ale osobiście, żarliwie z pasją, nawet bluźniąc (bo i blasfemje są wiarą à rebours, naopak), byle z poczuciem własnej niepodległości, byle nie konwencjonalnie, byle nie z nakazu tłumów i autorytetów. I kochać go należy za to, że wiele nienawidził, że miał pańską wzgardę dla szerokiego bezmyślnego collectivum zjadaczy chleba, czerepów rubasznych, czered i kochać za to, że słowa: król, królewski, królewkość, korona, berło... były dlań najświętszymi dźwiękami mowy ludzkiej, że polską szlachetność rycerską wiednie czy bezwiednie rozsrebrzył, uskrzydlił, tysiącem blasków i tęcz opromienił, że dla dziedzicznego polskiego maksymalistycznego indywidualizmu, może grzesznego, błędnego, trującego, ale rasowo, plemiennie organicznego indywidualizmu, wyśpiewał najwspanialsze, ponaddziejowe w peanach i w misterjach symbole. I z miłości (aby nam było przebaczone) wybaczyć mu trzeba to wszystko co w nim było z czasów i z epoki,

i to co z dziedzicznych obciążeń, i to co z drobnych ludzkich ułomności, i to co z pychy nadmiernej, i to co z pokory „wielkiej przemiany“, i to co z „mal du siècle“, i to co z mimetyzmu i romantycznych chorób i waporów, i to co z awersji do rzymskiej formy „straszliwej, gorszej od mongolskiej“ bo w epoce ukorzeń Watykanu przed... caratem.

Wraca do nas teraz nie żaden „wieszcz ludowy“ Julinicz, pater partji, ale Patriae pater, najrozrzutniejszy szafarz piękna, arystokrata ducha, z tych, o których mówi Emerson, że w najwyższych sferach ducha są autochtonami, — wraca jeden z tych, bez których „próba grobu“ nie byłaby zwycięsko przeprowadzona. Wraca ten, z którego nie wy wszyscy! — a my nieliczni, sercem gorejący po tej i tamtej stronie brzegu... Ignis Ardens...

Już dziś wie, „gdzie się w mogiłę położy“...

KOMU ZAWDZIĘCZAMY MORZE?

I

Wśród badaczów i znawców naszych dziejów pomorskich, historyków Gdańska, wskrzesicieli tradycji dawnej żeglugi morskiej polskiej i marynarki czyli „armady" polskiej wyrobiło się pewne konwencjonalne pojęcie, jakoby wraz z całą rządzącą w niepodległej Polsce warstwą szlachecką także i wywodzący się z niej genetycznie pisarze i poeci jako z profesji hreczkosieje, ziemianie, *species* konna i zagonna, „lądowe szczury" tak do pomorza jako i do morza oraz do wszystkich kwestyj z niem związanych odnosili się jeżeli już nie niechętnie, to w każdym razie obojętnie. Ani się w Gdańsku nie gnieździli ani na pobrzeże rzekomo nie jeździli, handlem zawsze się brzydzili, przysłowiem *ex undis divitiae* gardzili, ważności pokumania się z oceanami nie doceniali, zbyt słonej wody się obawiali.

Ze wszystkiem to nie jest prawda. Jako zawsze tak i tu było cząstkowo. Jeżeli bowiem jako dowód stale się przytacza Sebastjana Fabjana Klonowicza i jego znane:

„Może nie wiedzieć Polak co to morze,
gdy silnie orze",

to na to respons jest, że Klonowicz Acernus właśnie nie ze szlachty szedł — lubelskim mieszczaneczkiem

był a burmistrzem został. No a zresztą tenżesam Acernus, choć we „Flisie“ tyle na Gdańsk i handel morski urąga i choć pisze: „Jeno wżdy morzom daj pokój a w Wiśle frachtuj zdrów“, to jednak na innem miejscu jak to sobie morski krajobraz wychwala:

„Z brzegu na morze patrzeć i na szumne wały
Rozkosz jest kiedy fale wzdęte łamią skały!...“

Nie opierając się upornie na tym jednym Klonowiczu, raz można będzie jednak i godzi się zestawić tu piękną plejadę pisarzów polskich epoki Zygmuntowskiej a potem Stanisławowskiej, którzy problem polskiego dostępu do morza nietylko właśnie nie lekceważyli, ale duży nacisk kładli, często go przypominali, ba nawet walki o pierwszorzędność wagi tego problemu z przeciwnikami przyziemnymi staczali.

W krótkim zarysie postaramy się tu przypomnieć polityczne mądre ich jasnowidztwo i zasługi. Poczem rehabilitacji tych przewidujących rozumów obywatelskich w dzisiejszem pokoleniu będziem domagać się.

Na sam początek idzie może pierwszy Długosz, Wieniawita, pierwszy historyk, protoplasta dziejopisów polskich. Uradowany Pokojem Toruńskim z Kreuzigerami w r. 1466 zawartym, w którym to pokoju stracone anno D. 1316 Pomorze po 150-letniej rozłące znów wraca na Ojczyzny łono, (aby się przy Republice przez 306 lat utrzymać) uradowany tym traktatem, w tem nieco podobnym do Czerwcowego Wersalskiego z r. 1919, że też niepotrzebnie zostawiającym izolowaną wschodnią-pruską eksklawę, poświęca Jan z Niedzielska w swej *Historiae Polonorum*,

w XIII-tej księdze dłuższy ustęp reannekcji Pomorza. (Podajemy w tłumaczeniu z łaciny z r. 1875):

„I mnie, tego, który te roczniki piszę, radość ogarnia niepomierna z powodu zakończenia wojny pruskiej i zwrotu oderwanych niegdyś krain i zjednoczenia Prus z całością państwa; albowiem smutkiem mogło mię tylko napełnić wspomnienie, że ta dzielnica polska aż dotąd między różne narody była podzielona. I dlatego za szczęśliwego poczytuje siebie i współczesnych swoich, iż dane nam było dożyć po tylu wiekach zwrotu tej dzielnicy".

W następnych zdaniach znakomity statysta daje się poznać jako rzetelny imperjalista:

„Uważałbym się jednak w istocie za szczęśliwego, gdyby Śląsk, także Słupia i Pomorze, w których obrębach Bolesław Wielki, król polski i ojciec jego trzy biskupstwa założył, t. j. we Wrocławiu, Lubiszy i Kamieniu za moich czasów jeszcze do Korony Polskiej za pomocą Bożą znowu wróciły. Wtedybym weselej rozstawał się z tym światem i snem spokojnym na łożu śmierci usypiał".

To będzie może pierwszą glossą polityczną o morzu. Chronologicznie biorąc druga jest pióra poety z Nagłowic jegomości pana Reya. Ten, chociaż (jako poeta rymorobem) wystąpił raz z takim wierszem:

„O Szwedzie i Duńczyku nie śmiem mówić,
Bom nie bywał na morzu, nie chcę śledzi łowić.
Tum jeno po sadzawkach polskich trochę pływał,
A na morzu bodaj tam nikt dobry nie bywał..."

to jednak jako parlamentarzysta jako poseł na Sejm (r. 1559) tak mądrze, roztropnie i tak aktualnie (!!) grzmiał w swej oracji do króla i panów senatorów: na Gdańsk.

„...Byście opatrzyli pruskie miasta i zamki, którzy się z tem nie tają, że nie radzi są pod posłuszeństwem Polakom, a zwłaszcza Gdańsk, bo i tu teraz jest pleban gdański pewien, który przed niektórymi z nas posły nieraz powiadał... a napominany o to, aby się baczył, co mówi... powtarzał: że gotowi te węzły zerwać, i Gdańszczanie jawnie o tem mówią, żechmy my Gdańszczanie nie powinni nic koronie Polskiej, bośmy są ludzie wolni, nie dobyto nas mieczem, aleśmy się do-

browolnie poddali królowi polskiemu, którego gdy nie stanie, możem sobie obrać pana albo podać się komu chcemy, gdyżeśmy są ludzie wolni..."

Tako rzecze pan Rey.

Że i w Grochowskim poecie było wielkie zrozumienie ważności dostępu Polski do morza, dowód znów w tem, że pisząc pochwałę swego monarchy wśród największych zalet pan Wespazjan podaje:

„Było i na Oceanie
Znaczne jego panowanie,
Bo i tam chciał być ogromnym
Nieprzyjaciołom koronnym".

A jakąż to znowuż aktualność przedziwną mieści w sobie takie zdanie wyciągnięte jako klejnot z „Dziejów w koronie", autora „Dworzanina" (Il Cortegiano) i jako klejnot dziś nietracące blasku:

„Może i do tego przyjść, że na morzu będą polskie okręty, a zatem pruska ziemia i miasta nad morzem w kleszczeby ujęte były a król duński (sic) inaczejby siedział niż teraz siedzi".

Niechętnemu wszystkiemu, co morzem trąci Kasprowi Miaskowskiemu, który wyraźnie całą służbę morską zwala tylko na Kaszubów w słowach:

A maszt, żagiel i kotew krzywą niech ci mają
Co nad słonym Neptunem od pieluch mieszkają

przeciwstawić można najwyższego Karmazyna poezji tej ery, bo Jana z Czarnolasu, który w okolicznościowym na hołd pruski pisanym „Proporcu" kilkakrotnie z entuzjazmem odnosi się do morza, bo na niem „Delfinowie gęści po wierzchu wód złotem połyskując igrają"... „gdzie brzegi bursztynowe świecą"...

Pierwszą chronologicznie zapowiedź zaistnienia w przyszłości... Gdyni znajdujemy u jednej z najpeł-

niejszych postaci polskiego renesansu. Przemawia do nas mianowicie jedna z tych buńczucznych, pełnokrwistych wszechstronnie wykształconych figur, jakich wiele zrodziło wówczas bogate, szeroko-rozpostarte, zdobywcze i zaborcze państwo. Były dworak królowej Bony, peregrynant, który nawet Ferdynanda Korteza poznał w swych podróżach, jeden z godnych poprzedników satyryka Krasickiego na warmińskiem biskupstwie... Nazywał się Hoefen, w Gdańsku nazywali go ironicznie „Flachsbinder“, sam się sygnował: Joannes Danticus. Zirytowany już wówczas praktykowanym biernym oporem i pychą Gdańszczan, prowokowany obelżywemi już wówczas na Polskę napaściami poety Królewieckiego Hasenstoedtera, zachęcony przez kardynała Hozyusza, także gente Niemca (Hose), pisze Juvenalis warmijski poemat satyryczny p. t.: „Jonas propheta“. W tym zaś poemacie (rok 1577), oczywiście jak humaniście godziło się po łacińsku pisanym, jest taka apostrofa wróżebna do Gdańska (Chłańsk jako zwano):

„Jeśli tak rozumiesz, że szlachta polska nie ma wygodniejszego i sposobniejszego portu, jako twój tutaj, to teraz bacz, abyś nie pobłądził! Podobno potrzeba Polakom tylko pokazać drogę a nauczą się, aby tam sobie port otworzyli, gdzie ty się *(Gdańsku scilicet)* bynajmniej tego nie spodziewasz!...

Najgłębiej atoli i najtrafniej w samo sedno sprawy utrafia inny jeszcze dostojnik kościelny a przytem literat, przy końcu żywota lwowski, królewski *secretarius cancellariae* Zygmunta Augusta Jan Dymitr Solikowski. Prócz Pamiętnika senator ten i dyplomata wytrawny zostawił oryginalną „Rozmowę kruszwicką“ „Piasta z Gościem“ w r. 1573 napisaną.

W tym to djalogu politycznym ustęp tyczący się morza kulminuje w tych zdaniach:

„*Gość:* Kto ma państwo morskie a nie używa go, albo je sobie da wydzierać ten wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, z swego cudzym, z pana kmieciem.

Piast: W ciele człowieczem oko jest członek najważniejszy, ale najszlachetniejszy. Tego gdy nie ma człowiek, wszystek stawa się niepotrzebnym bałwanem. Tak i Korona dawszy sobie skazić port gdański, to oko, którem patrzy na wszystek świat, nie co innego będzie jeno gburstwo *(znaczy się gospodarstwo chłopskie)*, a oractwo cudze, a k'temu niedostatek."

Tako rzecze Solikowski.

Tak mówił i pisał polski pisarz i pamiętnikarz 350 lat temu!

Toż teraz sumując garść tych gloss i aforyzmów, czyż nie przychodzi zdumieć się i podziwiać rozum stanu, rozsądek polityczny, realizm gospodarczy, nowoczesność poglądów u tych czcigodnych antenatów? Czyż nie wyrazili oni w skromnej ale lapidarnej, skondensowanej formie szczere złoto tych myśli, maksym i aksjomatów, które dopiero w sto lat po nich we Francji wypowiedzieli organizatorzy floty handlowej i budowniczowie portów Colbert lub Richelieu, autor tego dogmatu że *on ne peut sans la marine ni souter la guerre ni profiter de la paix.* Bez egzageracji!

A skonfrontujmyż teraz choćby tylko to, co mówił Rey z Nagłowic i to co Solikowski z tem, co Niemcom dopiero między 1840 a 1850-tym rokiem obwieścili i objawili Fr. Liszt lub Jordan. Ten pierwszy tak często cytowany ekonomista i propagator morskiej ekspansji niemieckiej mówił zgoła po Solikowsku:

„Morze to jest główny gościniec na kuli ziemskiej, to jest arena dla igrzysk narodów, to teren zapasów ich sił i ducha, przedsiębior-

czości wszystkich ludów, to wolności kolebka. Kto nie ma uczestnictwa w morzu, ten jest wyłączony od udziału w dobrach i zaszczytach świata... Naród bez żeglugi jest jakby ptak bez skrzydeł, jak ryba bez pletw"...

Drugi zaś Wilhelm Jordan na Sejmie Rzeszy w roku 1848 we Frankfurcie specjalnie apostrofował do Polski:

„W naszych czasach żaden naród nie może istnieć bez brzegów morskich. Polska więc musiałaby dążyć do wybrzeży Bałtyku t. j. do Królewca"...

A jeszcze później, bo już za naszych czasów to wszystko, co w XVI-tym wieku mówili Sarmatom ich pisarze i poeci Długosz, Dantyszek, Sarbiewski, Hozyusz, to yankesom amerykańskim streścił kapitan Mahan w swem dziele: *Influence of the Sea Power on the history of the World...*, od czego nawet wywodzi się termin „mahanismus" jako przeciwstawienie militaryzmowi.

A teraz od pierwszych morskich głosów z ery Zygmuntowskiej przerzućmy się aż do ośmnastego wieku, do ery Stanisławowskiej. Z tego okresu mamy kilku wybitnych pisarzów polskich, pasjonujących się do kwestji dostępu Polski do morza. Są to Trembecki, Wybicki, Staszic, Czacki, w pewnej mierze i Naruszewicz.

Pan Szambelan J. K. Mości i autor „Zofiówki" często brał pod satyryczne pióra zagadnienia polityczne. Ostro rozprawiał się z próżniactwem i gadulstwem Sejmowem, o czem jest wiersz niepozbawiony aktualności jak również aktualnym jest wiersz o złych a kłótliwych hetmanach. Prusactwo i pruską etykę znał na wylot od czasów Fryderyka II. Na Marcowe przymierze z Prusami (r. 1790), które skleciła partja „patrjotyczna", zapatrywał się z najwyższym sceptycyzmem

tak jak z poważnych historyków: Sybel Niemiec, Sorel Francuz i Polacy ks. Kalinka, Korzon, Dembiński, a nie jak prof. Askenazy. Ponieważ zaś promotorem tego Marcowego „aljansu wbrew naturze“ była Anglja, był Pitt młodszy, a ten tworząc wielką koalicję antyrosyjską i antyaustrjacką za cenę handlowego traktatu z Anglją domagał się od Polski w poufnych notach dobrowolnej cesji Torunia i Gdańska... i ponieważ aranżerem tej kabały był rezydent angielski inż. Hayes of Dalrymple, przeto szambelan królewski Trembecki, nie mogąc go atakować jawnie, w kilku anonimowych pamfletach polskich i francuskich ostrzegł Polaków przed fatalną lekkomyślnością (do której już byli skłonni Potoccy, Ogiński i inni) oderwania Polski, już i tak okrojonej, od kontaktu z morzem i oddania Prusom jedynego portu.

W tym samym roku (1791), kiedy pamfletami walczył z Anglją roztropny mądry choć zawadjaka Trembecki, z ciekawą broszurą wystąpił założyciel Krzemieńca i historyk praw polskich, znakomity Tadeusz Czacki. Praca nosiła długi i ciężki tytuł: „Refleksje nad uszkodzeniem *(sic!)* dla krajów Polski wynikającem z zaniedbywania handlu pochodzącego z mniejważenia *(sic!)* porzuconej nad Gdańskiem opieki“. Temat i stanowisko identyczne z paszkwilem antyalbiońskim Trembeckiego „di Birbante Rocca“ i uroczystego a pedantycznego Czackiego zajmuje stateczny Staszic, który w swoich Skargowskich „Przestrogach dla Polski“ obok zaciętej obrony ciemiężonego ludu wieśniaczego pisze także przeciw Prusom i preciw cesyi Torunia czy Gdańska:

„Trzymajmy się morza! Starajmy się o sprzymierzeńców, ale nie kupujmy sprzymierzeńca! Ten sprzymierzeniec dopiero przed kilku laty brał *(aluzja do pierwszego rozbioru Polski)* i już na nowo chce brać"...

„Źleby było, gdyby Polak za to przymierze miał podpisywać niewolę, choć jednego miasta".

Trzymajmy się morza! *Amare Mare!*

Tak to bronili polskiego „oka na świat" a zarazem suwerenności podległego li tylko koronie emporium Gdańskiego: Trembecki, Czacki, Staszic. Ale najtragiczniej ten problem i przemyślał i przecierpiał i przeżył jeden z najsympatyczniejszych pisarzów tej epoki, twórca słów do polskiej Marsylianki Józef Wybicki. „Pamiętnik" pewnej części jego długiego a jakże czynnego żywota wydała z świetnym wstępem dobrze ojczyźnie zasłużona krakowska „Bibljoteka Narodowa". Trud i mozół krwawy jego twórczej wędrówki ziemskiej dzięki historykowi Skałkowskiemu leży przed nami jak na dłoni. Pomorzanin urodzony w Będoninie wśród Kaszubów jako 20-letni młodzik został posłem na sejm. Przeżył pierwszy rozbiór i zabór Warmji. Potem wciągnąć się dał do plejady patrjotów sprzymierzonych niestety z zawsze wiarołomnymi Prusami. Potem widział jak aljant pruski zagarnia całą etnograficzną Polskę pomnażając dwukrotnie i cyfrę swojej ludności i terytorjum parwenjuszowskiego państwa. Wybicki wtedy poszedł na banicję. Rozczarowany do wszystkiego działacz, który zaczynał życie publiczne jako organizator Barczan w Starogardzie! usuwa się teraz na długie lata z widowni i oddaje literaturze, twórczości scenicznej, pisze tragedje (Zygmunt August), komedje (Kulig", „Szlachcic mieszczaninem") libreta rokokowych oper („Pasterka

zabłąkana), ale pisze też jak dawniej broszury polityczne tak teraz ekonomiczno-gospodarcze: „Wykład sposobów do rzekospławności *(sic!)* i handlowości wprowadzenia", gdzie o Wiśle, o Pomorzu, rybołówstwie, portach, Gdańsku pomysłów sporo. Szczęśliwy dożywa Napoleona, Jeny, przepędzenia Prusaków, powrotu do Torunia, a w maju roku 1807 wejścia do ukochanego Gdańska, gdzie po Tylży garnizon pód Rappem obejmuje gen. Grabowski... Upływa lat siedem. Wali się znowu w gruzy cały sztuczny gmach z kart Napoleońskich, Prusacy wchodzą przez Lange-gasse, majątki Wybickich dostaje familja von Zastrow. Żadnej pracy specjalnie morzu czy Pomorzu poświęconej autor wiersza o tytule: „Jeszcze Polska nie umarła" *(sic!)* nie zostawił, ale całe dzieło jego długiego († 1822) żywota (w kulcie dla Cara „wybawiciela" Aleksandra zakończonego!) przepojone było troską i miłością tej dzielnicy, która do Bałtyku przypiera...

Troskę o morzu i tematy prac tej grupy pisarzy Stanisławowskich wzięli na siebie ostatni urodzeni jeszcze w niepodległej Polsce i starali się niejako jako testament ideowy przechować i następnym pokoleniom przekazać t. j. Wawrzyniec Surowiecki i Tomasz Święcki. O „rzekospławności" rozprawiał dalej Surowiecki w broszurze p. t.: „O rzekach i spławach krajów księstwa warszawskiego" (1811). O Gdańsku zaś, żegludze morskiej Sarmatów, o armadzie królewskiej... kaprach, frajbitterach... marynarce... walnej wiktorji floty pod „Oliwą" rozgadywał się i rozpisywał Tomasz Święcki...

A potem... potem... dopiero przyszedł poeta, wielki

poeta, który w swojem i naszem najnieśmiertelniejszem dziele, w epopei, zaczynając się od „Litwy ojczyzny"... o... Gdańsku powiedział tylko słów kilka, ale „kategoryczny imperatyw" królewieckiego filozofa Kanta w sobie noszących: ...ongiś nasze ...jeszcze będzie...

Tak więc pisarze, poeci, historycy ...literaci niepodległej królewskiej Polski pamiętali o morzu i Pomorzu, pamiętniki o Plutarchowem: *navigare necesse! vivere non est necesse.*

KOMU ZAWDZIĘCZAMY MORZE?

II

Sto czterdzieści siedem kilometrów morskiego brzegu, zatem trzy procent całej linji granicznej naszego państwa... a wzdłuż tego brzegu pięciokilometrowy pas wód terytorjalnych, a te wody nie słone, a ledwo słonawe, nawet bez jednego procentu soli! a to morze bez prawdziwego przypływu i odpływu i omal że pustynia rybna! Mało tego, niewiele... Sam Szekspir *ten dostęp* do morza nazwał „skorupą od jaja“ („an egg-shell“: „Hamlet“, IV, 4), spłachciem ziemi („a plot“ „Hamlet“, IV, 5), niewiadomo czy wystarczającym na mogiłę wojowników Fortinbrasa!... A jednak? A jednak w przeciągu dziesięciu lat ten kawał ziemi polskiej, unieśmiertelniony w „Hamlecie“, stał się nam najważniejszy, najdrogocenniejszy, najumiłowańszy...

Już teraz w świadomości całej inteligencji polskiej głęboko zakotwiczył się ten dogmat, że od posiadania i władania tą ziemią, w której przechowały się najstarsze kruszce języka polskiego, zawisła jest cała teraźniejszość i cała przyszłość państwa i że w wierze ogółu w Plutarchowy imperatyw: „navigare necesse est, vivere non est necesse“ leży także nadzieja w hartów i charakterów przemianę i poprawę. Otworzyć im drzwi i okna na szeroki, piękny, oceanami oblewany świat, skąpać ich dusze w niebezpieczeństwach

i hazardach przestworów, wpuścić im w dom z rudery przebudowywany ostre, ozonowe powietrze północne, którem oddychają rasy wikingów, a zobaczycie, jacy będą za sto lat, duchowo i moralnie zdrowi, normalni, prości szczerzy i niezakłamani, oduczeni od parafjańszczyzny, zasiedziałości, nierzutkości, domatorstwa, hreczkosiejstwa, kieratowości, biurokradztwa, pasywizmu, zramolizowania...

Mapy tego małego Szekspirowskiego „strzępu ziemi" leżą dziś na biurkach wszystkich dyplomatów, statystów, mężów stanu i publicystów politycznych całego globu ziemskiego. To jest bowiem jeden z „newralgicznych punktów Europy", a zatem całej planety. Ileż to książek, broszur, wydawnictw, jakie krocie artykułów dziennikarskich w każdym języku świata. Tak jak ten kawałeczek skorupy ziemskiej studjowali w drugiej połowie XVIII w. Fryderyk II i Katarzyna, Marja Teresa i Pitt i Ludwiki w Paryżu i Wolter i Goethe, tak i teraz pochyleni nad chorągiewką na szpilce utkwioną w globusie w punkcie, gdzie napis „Gdańsk", zamyślają się poważnie i posępnie ci wszyscy, co teraz wpływają na bieg dziejów ludzkości. Tylko 147 klm. pobrzeża, a jednak tu każda piędź ziemi jest rozstrzygająca. Tylko 147 klm., a jednak w perspektywie kilkuwiekowej przeszłości ileż to krwi ludzkiej polało się o ten skromny dostęp do najgorszego, najbiedniejszego, małosłonego, małorybnego morza, ile to narodów walczyło o ten cichy a w porównaniu z Gibraltarami jakże mało efektowny pejzażyk! Kto tu nie rozbijał się i nie hazardował o zdobycie tej bajory trójzębem Neptuna, o którem francuskie przysłowie mówi,

że „le Trident de Neptune c'est le sceptre du monde"... Bywało, że władali tu Duńczycy, ale bywało, że i... Król czeski (jak prawdę mówił Szekspir), i Kreuzigery, i Szwedzi, i Moskale, i Francuzi, a Gdańsk bywał czasami omal całkiem flandryjsko-holenderski, a to znowu pokostowany po angielsku, a to znowu królewsko-polski, a wreszcie cesarski i pruski. Ale jak łagodnymi falami uderza raz po raz Bałtyk o strond, tak łagodnymi falami uderzało raz po raz od południa morze Lechitów, osadzając tu na piachach „frutti della Polonia"... złoto, złoto ziarna pszenicznego. I zmywały przypływy Lechitów wszelki najazd obcych, „norman conquest" jaki tu chwilowo osiadał. Ale odpocznienia i wywczasów nie było bo być nie mogło, bo to był zawsze teren przechodni, olbrzymi pomost parcia na wschód rasy silniejszej, więcej żelaza mającej we krwi i stal twardszą w dłoniach opancerzonych.

Teraz nad tem pobrzeżem znowu władają Lechici. I teraz dopiero i w szczurach z najgłębszego lądu wyrobiła się pełna świadomość tego, że oś niepodległości przechodzi od Górnego Śląska gdzieś tam, gdzie rządziły najstarsze herzogi piastowskiej krwi, aż do Gdyni, Orłowa, Oxywia, gdzie kaszubski „gbur stał jak mur", szczerbiony ale niewstrząśnięty.

My w tych dziedzinach jesteśmy odnowa jako te niemowlęta, nie jako raczej te szczeniaki małe, dopiero oczy roztwierające. Ale jesteśmy. Już jesteśmy. I już się spędzić od morza nie damy. Pazurami wpijemy się i zębami wgryziemy się w ten kęs ziemi. I niema takich Fortinbrasów na świecie, tu idących na „polską wojnę", którymbyśmy nie odpowiedzieli

szyderczo słowami Hamleta do Laertesa (V, 1): „woot drink up Weissel, eat a crocodile?“ („chcesz wypić Wisłę, zjeść chcesz krokodyla?“)

Tym razem to już zostaniemy nie jako beati ale jako possidentes. To już nie będzie epizod historyczny na wielką skalę, choćby napoleońską (1809—1815). Nie. To już na wieczność. Nie marzy nam się, nie roji dominium maris Baltici, jak się marzyło niektórym naszym wielkim monarchom, ale przyrodzonego prawa do „łyżki słonej wody“ naród tylomiljonowy wyrwać sobie nikomu nieda. Traktaty jak traktaty; w pierwszych latach po zawarciu nietykalne jak święte księgi Koranu, po latach stają się tykalne i ulegają metamorfozie. I mogą sobie korygować linje granic tam czy ówdzie. Nietykalne natomiast jest prawo do szerokiego oddechu narodu, któryby się zadusił odepchnięty od morza, wspólnej własności całej ludzkości, od morza, które wzmacnia, uszlachetnia i uskrzydla duszę ludzką, od morza, które z legawych, niewolniczych i Duńczykom podległych Saksonów i Celtów zrobiło dzielnych, światowładnych Brytańczyków i podyktowało im hymn narodowy:

Rule Britannia, rule the wawes.
For Britains never shall be slaves.

I my chcemy uczyć się panować nad falami... I my chcemy być jako bywali ongiś Fenicjanie, Grecy, Portugały, Hiszpanie, Holendrzy. A już „nie chcemy nigdy być niewolnikami“. Sto czterdzieści siedem kilometrów strondu jest nasze. I nasze pozostanie.

* * *

Otóż teraz atoli zachodzi pewna kwestja.

Komu to ten dostęp do morza właściwie zawdzięczamy i że tego a tego marca 1917 r., taki a taki memorjał został wręczony Balfourowi, a tego a tego października r. 1918 taki a taki memorjał Wilsonowi? że tego a tego maja r. 1918 uniwersytety krakowski i lwowski taką a taką wydały deklarację, a przedtem tacy a tacy posłowie wypowiedzieli postulat dostępu do morza w parlamentach wiedeńskim i berlińskim?

I teraz komu to zawdzięczamy, że Wilson zmienił swój pogląd z r. 1914, kiedy to jako profesor z Princetown wydał dzieło p. t. „Państwowe, praktyczne i historyczne pierwiastki polityczne", gdzie czytamy o „dawnem już zgermanizowaniu Prus Zachodnich" i t. p. idee, z niemieckich dzieł czerpane?

Komu dalej zawdzięczamy, że teraz, teraz w lecie r. 1929 trzydzieści pociągów wali dziennie przez „korytarz", że całe archipelagi czarnego jak sadze węgla wysypują w porcie w czeluście holowników w świat idących, że dzień i noc słychać świsty syren okrętowych, dudnienie olbrzymich młotów, zgrzyty łańcuchów, rzężenie pił, huk i stukot infernialny gigantycznej roboty, że wyrastają z płytkiej bezdni długie mola i łamacze fal, że głęboko w ląd wryły się proste ocyrklowane baseny, że na tle nieba rysują się jakieś stalowe koronki, jakieś wysokopienne żelazne wieże, jakieś żórawie, dźwigi, krany chwytające w zęby całe zwały ciężarów, że słowem rośnie, po starosłowiańsku mówiąc, „bugaj" dla „korabli"...

I komu dalej zawdzięczamy, że w kasarniach miast kaszubskich stoją dziś polskie garnizony, a na czer-

wonocegłych magistratach błyszczą białe orzełki, a gościńcami i szosami, wzorowo odrzewionemi, maszerują harcerze... wileńscy „śpiewająco“, a pod Hallerowem obozują harcerki „z pod Lwowa“, a w Wejherowie teatr amatorski regjonalny gra, nie wstydząc się, po kaszubsku?

A komu dalej zawdzięczamy, że wzdłuż całych 147 klm. brzegu, na wyglansowanych przybojem wód plażach, na żwirem krzemionkowym wyścielonych pochyleniach, na piaszczystych cycach i usypiskach, roją się gromadki gołych polskich dziecisków, wątłych jeszcze i bladych, ale zwolna pod słońcem gorzejących a wdychających w siebie z mocnem powietrzem morskiem zdrowy ozon i zalążki wyższego, heroicznego, nadmorskiego, wspólnego narodom żeglarskim planetarnego na świat poglądu?

Komu to zawdzięczacie? I komu zawdzięczacie, że mentalność polityczno-parafjalna, opłotkowa, wąskotorowa zwolna przekształca się na szerokotorową, globalną, antyprowincjonalną? I komu zawdzięczacie, że językowy stan posiadania zaczyna się z dnia na dzień wzbogacać nowymi zasięgami i obszarami językowymi, nowem bogactwem gwarowem żaglowo-okrętowo-marynarskiem, rybackiem, morskiem, że już tam na północy napływowa inteligencja rozmawia językiem nowym o kilku tysiącach słów, których Polak z przed lat dziesięciu ani nie przeczuwał, i że równocześnie już przedzierają się do potocznej polskiej mowy prastare słowa połabsko-wendyckie, z XI i XII w., przechowane u Kaszubów, jak muchy w bursztynie... po starosłowiańsku jak „chmyzy“ w „jantarze“.

Komu tedy to wszystko co z morza i co pomorskiego zawdzięczamy? Kto przechował przez stulecie niewoli pamięć i tradycję o morzu, o Gdańsku, o dominium maris Baltici? Kto szeptał do ucha skrępowanego Łazarza: *memento mare?* Kto podtrzymywał tlący płomienek w popiołach i tego także znicza? Czy polscy mężowie stanu, statyści, wielcy prowodyrzy warstw górnych, hetmani lub trybuni ludu, czy wodzowie powstań, naczelnicy, generałowie? Czy Lubecki i Wielopolski, Skrzynecki, Dwernicki, Mierosławski lub Traugutt, namiestnik w Poznaniu, Radziwiłł czy Gołuchowski we Lwowie, Ziemiałkowski, Bobrzyński, Biliński? politycy dzielnicowi, politycy realni, praktyczni, obdarzeni „constructive statesmanship"? Czy myślami swojemi w ciemnej erze niewoli wybiegał choć jeden z nich poza koliska dzielnicowe, zaborowe tak daleko, żeby sięgnął imaginacją aż do brzegu morskiego?

Otóż nie! Żaden. Nad podtrzymaniem iskierek Znicza nadmorskiego starali się, nad światłem w nadbrzeżnej latarni czuwali, postulat — po stu latach odgrzebany — stale przypominali tylko i wyłącznie ludzie pióra, intelektualiści, uczeni, badacze, szperacze, historycy, literaci, poeci, publicyści, mole książkowe, ludzie wiedzy i ludzie imaginacji i wyobraźni.

To należy teraz wydobyć na światło i dług wdzięczności spłacić zasług ich i dzieł przypomnieniem. Tylko tej ciągłości podtrzymywania tradycyj historycznych, w wykazywaniu etnologicznej więzi, językowej i plemiennej wspólnoty, tylko tym podawanym przez „literatów" testamentarycznie, łańcuchowo, z pokolenia na

pokolenie przykazaniom, hasłom, wspominaniom i reminiscencjom zawdzięczać mamy, że od uczonych i poetów w spadku przyjęła postulat dostępu do morza w ostatnich latach niewoli grupa polityków realnych i praktyków.

Od ostatnich pisarzów z niepodległej Polski, czy sejmu czteroletniego i rozbiorów, którzy się o dostęp Polski do morza troskali i problemat ten w pismach swych rozważali, t. j. od Trembeckiego, Staszica, Czackiego, Wybickiego, wziął niejako w spadku testamentarycznym hasło „niema Polski bez morza" nie kto inny jak Mickiewicz, który je wyraził, zestrzelił niejako w jednem zdaniu, tylokrotnie powtarzanem i cytowanem o mieście Gdańsku, niegdyś naszem: „jeszcze będzie nasze". To jedno zdanie z najpopularniejszego polskiego arcydzieła narodowej poezji stało się jakby mementem, jakby wieczystem przypomnieniem.

W tym roku, w którym umiera ostatni z niepodległej Polski miłośnik Pomorza, Wybicki (1822), przychodzi na świat pierwszy ludowy gwarowy pisarz, Florjan Ceynowa. Syn gbura kaszubskiego, uczęszcza do gimnazjum w Chojnicach (1831—41) i już jako chłopczyna roztacza działalność wyzwoleńczą w tajnym związku, w „Jugendbundzie", na wzór filomatów wileńskich założonym pod wezwaniem... „Mickiewicza". Jako student medycyny w Wrocławiu bierze w r. 1846, w pierwszej „wiośnie narodów", gorący udział w szturmie młodzieży polskiej na Starogard, na ten sam Starogard, w którym poeta Wybicki... kilkadziesiąt lat temu zorganizował konfederację barską. Wzięty do niewoli, wywieziony do Berlina, skazany na śmierć,

ułaskawiony na dożywotnie więzienie w Moabicie, uwolniony z tegoż Moabitu wraz z gromadką Polaków w marcu r. 1848. Jako praktykujący lekarz w wolnych chwilach pisze swoje prace naukowo-kolekcjonistyczne jako „Wojkaszyn ze Sławoszyna", mocno zawiany ideowo modnym wówczas słowianofilstwem, czego wyraźny dowód składa, biorąc nawet udział w moskiewskim zjeździe panslawistów w r. 1867. On to pierwszy gromadzi klejnoty i świecidełka folkloru kaszubskiego w „Gadkach kaszubskich", w „Skarbie kaszubskiej i słowińskiej mowy", a wreszcie w gruntownym „Zaresie do gramatici". W tym samym r. 1879, kiedy w miasteczku Święciu wychodzi gramatyczka kaszubska dr. Ceynowy, samoucznego teoretyka prymitywnych poczynań literackich, równocześnie w Toruniu wychodzi pierwszy dojrzały owoc regjonalnej literatury kaszubskiej, t. j. Jarosza Derdowskiego drukowany w Toruńskim „Przyjacielu" poemat humorystyczny: „O panie Czorlińcim co do Pucka po szece jechał"...

Derdowski — to nie jest ktoś, na kogo można spoglądać jak na naiwnego, prostackiego, dzielnicowego. gwarowego, ludowego rymoroba. Wprost przeciwnie: wcześniej czy później indywidualność jego będzie wydobyta z cienia i przesunięta do oficjalnych dziejów literatury. To nie był żaden symplista w chłopskim typie, „Poznaniok z czarnem podniebieniem", nie, to był przedziwny wagabunda, cygan artystyczny, szaleniec zresztą i alkoholik, wprost kurjozalny i zgoła ekscentryczny a europejski na tle takiego Torunia. Człowiek, który całe życie właściwie spędzał w knaj-

pach, nietylko w toruńskich ale i... paryskich, (gdzie studjował gorzelnictwo), w... rzymskich, gdzie się także zabłąkał, ba i... w Petersburgu, no a wreszcie siedemnaście lat przeszło w Ameryce, gdzie był trampem, wagabundą i dziennikarzem nieco w stylu Marka Twaina. Ożeniony wreszcie z Amerykanką, miał dwie córki, które wyszły za Yankesów... Coś w nim było i z Verlaine'a, coś z Fritza Reutera (piszącego w „plattdeutsch"). Był Derdowski (mówiący pięcioma językami) także i w Warszawie po r. 1880 po wyjściu swego „Czarlińskiego", ale krótko, bo uznał ją za najpłytsze miasteczko pod słońcem. Lansowany przez Kraszewskiego, któremu poemat poświęcił, stał się nawet objektem sezonowych fetowań i owacyj, przyczem jego humorystyczna epopea — „Pan Tadeusz" kaszubski czy też „Na Skalnem Podhalu" kaszubskie — zyskała sobie szereg nadzwyczaj życzliwych omówień i recenzyj. Jak się to mogło stać, że w tej filisterskiej, konwencjonalnej, deskami od świata wówczas zabitej, lekkomyślnej i w swój pępek wpatrzonej „Warszawce" mógł zyskać sympatyczny rezonans utwór regjonalistyczny, pisany trudno zrozumiałą gwarą, a więc utwór nie burżujski, — to należy wytłumaczyć.

Otóż w erze popowstaniowej po r. 1871 i po pogromie Francji i proklamacji cesarstwa niemieckiego, w erze wszechpotęgi bismarckowskiej, obok oficjalnego i obowiązującego i w umysłowości kierunku pozytywistycznego wzbudziło się w naukowości odświeżone zainteresowanie dla problematów rasowo-historycznych, dla badań i studjów pradziejów, obyczajów, religji i języków słowiańskich. Słowianofilstwo rosyjskie w Pol-

sce znalazło wyraz w poświęceniu się wielu uczonych poszukiwaniom, studjom i odkopywaniom tych Słowian nadłabskich i pomorskich, którzy ongiś stali się podścieliskiem germańszczyzny. Patronował temu ściśle naukowemu slawizmowi uczony petersburski Wilhelm Bogusławski, odkrywca saskich Łużyc w latach 1860-tych. Starożytności, wykopaliska i folklor starosłowiańskich szczepów stały się modne jako objekty nauki ścisłej. Poważni uczeni, szperacze, etymolodzy, lingwiści, brodacze i móle książkowe grzebali w bibljotekach i zaciekle polemizując z takimiż brodaczami i szperaczami niemieckimi, udowadniali im na podstawie dzieł dawnych uczonych niemieckich (jeszcze nie hakatystycznych i imperjalistycznych) że tam a tam, wszędzie na północy Lechici od wiek wieków byli autochtonami, udowadniali, że „Swewowie“ to byli Słowianie a nie „Szwabowie“, przypominali o tem, jak to Prusy, nietylko Królewskie ale i Wschodnie Książęce, były zamieszkałe przez element lechicki, że wszędzie tam, gdzie Niemcy władają, stały lechickie grodziszcza, bogate „zatopione miasta“ z bugajami dla żaglolotnych korabli... że tam wszędzie szły szlaki handlowe na północ po „jantar“, po bursztyn.

Jednym z pierwszych pisarzy polskich, co własną stopą przemierzył nadmorskie dzierżawy Polski, był Faleński. W rok po wygaśnięciu powstania styczniowego nasz niejako Swinburne schronił się jako samotny żałobny eremita nad morze aż w Pucku, i tam rozpętana burza dała mu asumpt do improwizacji, w której alegorycznie pociesza skatowane społeczeństwo tem, że po każdej dziejowej nawałnicy przychodzi zawsze słońce.

Rówieśny Faleńskiemu, tak podobny doń z wyniosłej postawy i pogardliwej dumy wobec wszystkiego co nie jest kapłaństwem w twórczości, Norwid raz tylko potrąca o problemat morski — w „Krakusie".

Do jeszcze późniejszych zamierzchłych czasów nawiązuje skromny sobie dramatopis, z historycznych tematów czerpiący podniety twórcze, Bronisław Grabowski. Dał on dramat, grany na krakowskiej scenie o „Mściwoju i Swanhildzie", biorąc za bohatera Mszczuja, Mściwoja, inaczej Mestwina, brata Sambora a syna Sulisława, który w zaraniu XIII w. panował w Gdańsku, księciem się zwał a potem zwycięskim Duńczykom i królowi Waldemarowi hołd składać musiał.

Z popularnych, w owe czasy rozgłosem cieszących się poetów jeden z nich, rzecz dziwna, predestynowany do gorętszego zaopiekowania się Pomorzem, niewiadomo z jakich przyczyn o tej ziemi zapomniał: Wincenty Pol, pochodzący z niemieckiej rodziny Pohlów, z Warmji do Małopolski przesiadłych. „W pieśni o ziemi naszej" opisuje wszelkie dzielnice i dzierżawy, wszelkie szczepy i obyczaje ludowe, a zapomina o jednych... o pomorskich Kaszubach, których przecież znać musiał. Dziwne to przypomnienie, tem bardziej, że w „Pieśniach Janusza" daje Pol wiersz p. t. „Nocleg w Czersku", gdzie zacny rymujący gawędziarz (uczestnik powstania z 1831) opisuje, jak to gorąco i gościnnie przyjmowano emigrujących powstańców w Czersku (nad Brdą, na wschód od jeziora Wdzydzkiego), ongiś stolicy starostwa, a dziś fabrycznem, uprzemysłowionem, ruchliwem kaszubskiem mieście.

Podówczas Derdowski aktywnie prowadził akcję rozbudzania uczuć narodowych u Kaszubów. Poza dziennikarską pracą w „Przyjacielu" i „Gazecie Poznańskiej" gromadził pieśni, „gadki", „fraszki", „klechdy", „francówci" i facecje ludowe i podtrzymywał patrjotyzm i solidarność z Polską szeregiem wierszy ulotnych, z czasem ulubionych i popularnych. Wreszcie, jakby na pożegnanie z ojczyzną przed emigracją do Ameryki, rzucił swym Kaszubom wesoły, czupurny poemacik figlarny p. t. „Kaszuba pod Wiedniem", w którym, nieco podkpiwając z lokalnej megalomanji Kaszubów (rzecz dziwna, mających w sobie i coś z Gaskończyków), opisał przygody pewnego gbura, Kulczyka, który z Janem III wybrał się pod Wiedeń ratować chrześcijaństwo.

Również patrjotyczną intencję podkreślenia solidarności z Polską i zbudzenia zadrzemanych uczuć rycerskich w Kaszubach miał inny pisarz pomorski, uczony ks. Kujot, piszący w stylu popularnym na wzór „Obrony Trembowli" czy „Obrony Olsztyna" „Obronę Pucku" czyli „Ojca Grzegorza". Ten trzyaktowy dramat ludowy, tęższy i bardziej literacki od „Obrony Częstochowy", drukowany był w „Pielgrzymie" pelplińskim (1881) a grywany niekiedy przez amatorów lub w klasztorach przez młodzież. Rzecz dzieje się w czasach „Potopu" (r. 1655) za Jana Kazimierza, kiedy to dzisiejszy biedny poniechany Puck był tęgą warownią (zatopioną potem przez morze).

Na poważniejszą skalę zakrojoną akcję i propagandę ideową, przypominającą inteligencji polskiej kategoryczny imperatyw intensywniejszego zajęcia się

Pomorzem i morzem, rozpoczyna przedewszystkiem mało znane i przepomniane dzieło poznańskiego doktora Kusztelana, „To i owo o morzu“ (1882). Jest to pierwszy polski podręcznik, encyklopedja, silva rerum, kompendjum, seminarjum o morzu. Czego tam niema? Jest Kolumb, Magellan, Franklin, są dzieje Fenicjan i Niderlandów, jest Horacy, Plinjusz, Amerykanin M. F. Maury z jego „Geografją morza“, jest dysertacja o soli morskiej, o fosforescencji morza, o Atlantydzie... są wiersze greckie i łacińskie i polskie o morzu i są wreszcie takie zdania: „Gdyby przodkowie nasi nie byli wciąż się od morza Bałtyckiego usuwali i gdyby morze to pozostało wyłącznie w polskiem posiadaniu, nie byłaby dzisiaj Ojczyzna nasza ową Niobą narodów, a ci, co wczoraj byli Polski lennikami, nie byliby dzisiaj nam panowali“...

Niezależnie, a może nie znając nawet foljału Kusztelana, idee w nim rozrzucone rozwija już w poważnie skonstruowanym, szerokim, zasadniczym, na historjozoficznych fundamentach opartym programie politycznym Jan Popławski. W licznych, gruntownych, głęboko przemyślanych pracach, drukowanych w „Głosie“ i w „Przeglądzie Wszechpolskim“ (1887—1903), rozprowadza Popławski ten program z żelazną i nieprzepartą logiką argumentacji.

Równocześnie z propagandą tej orjentacji politycznej szły prace „wykopaliskowe“ uczonych historyków, lingwistów, etnologów, Kętrzyńskiego, Pawińskiego, do których dołączyli się teraz Litwin Parczewski („Szczątki kaszubskie“) i Warmjak Barczewski (też „Szczątki kaszubskie“). O gwarach pomorskich dawał

studja Ramułt, słowianofilstwo tamtejsze analizowali Matusiak i Pobłocki, Wachowski zagłębiał się aż w najstarsze pogańskie dzieje Pomorzan szczecińskich i wolińskich. Ks. Gołębiowski dał pierwsze (przed Jerzym Bandrowskim) „Obrazki z żywota rybaków“ (1888), których egzemplarze są dziś białymi krukami.

Literatura nadobna nie pozostawała w tyle i sekundowała wykopaliskowej akcji brodaczy i szperaczy. Czcią Warszawy otaczana i kadzidłami krytyki odurzana wieszczka-improwizatorka Deotyma-Łuszczewska daje powieść tak popularną wówczas jak dziś opowiastki Makuszyńskiego — t. j. „Panienkę z okienka“ z tłem gdańskiem, Gomulicki zaś „Pieśń o Gdańsku“. Jak widzimy ludzie pióra, pracownicy intelektualni, uczeni, publicyści, poeci dokazali już swego. Inteligencja polska, długie lata rozmarzająca się „Wschodem Polski“, krzepiona na sercu kolejno powieściami Kraszewskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego i Sienkiewicza, odwraca zwolna oczy od „Dzikich Pól“ Ukrainy, Wołynia, Podola, Pokucia i zaczyna patrzeć w stronę Pomorza na północ. W Niemczech cesarskich oczywiście rozbudza się zaniepokojenie i reakcja. Kanclerz Żelazny podejmuje ofensywę testamentarycznie przekazaną przez Fryderyka II i kolejno w kilku mowach grzmi przeciw tym niespodziewanie manifestującym się historycznym pretensjom i marzeniom polskim.

Ale jest już za późno. Fala zainteresowania i zaciekawienia dla problematów północnych we wszystkich trzech zaborach wzrosła. Już mnoży się liczba „literatów“ piórem z powrotem zdobywających ziemię

i plemiona pozornie przepadłe. Rocznica grunwaldzka, uroczyście obchodzona po większych miastach (mowa prof. Balzera), dodaje silnego bodźca wszelkim badaniom tego wszystkiego, co z niemieckim najazdem i zaborem związane. Programowi Popławskiego idzie z sukursem szereg piór luźnie lub ściśle z jego grupą polityczną związanych. Dorpatczyk Czesław Jankowski rekapilituje „Sześćset lat stosunków polsko-pruskich" (1903). Ukrainka z pod Odessy Marcelina Kulikowska omal pierwsza opisuje swoje wrażenia turystyczne z kraju tysiąca jezior mazurskich i z rybackiego Pomorza („Z wędrówek po kraju", 1900). Boratyński bada komercja Polski z Wenecją, Ramułt — statystykę kaszubskiego plemienia, Kościński słusznie alarmuje „Kaszubi giną!" Równocześnie program, zawarty w wskazaniach Popławskiego, rozprowadzają w innych dziedzinach, dostarczając arsenałowi publicystycznemu naukowej poważnej amunicji: Stanisław Szczepanowski, J. Makowski, Fr. Duda, z młodszych J. Buzek, St.Kutrzeba, a najszerzej, najgruntowniej, aczkolwiek miejscami po doktrynersku i nieco chaotycznie, świetny historyk A. Szelągowski w szeregu prac źródłowych.

Sami Pomorzanie sekundują temu rozbudzeniu się w Polsce „głodu słonej wody" w miarę sił i środków. Ramułt daje definitywny i wyczerpujący słownik języków pomorskich i kaszubskich, przez Akademję krakowską drukowany. Prof. Łęgowski ze Sobot pod pseudonimem dr. Nadmorskiego opracowuje monografję Kaszubów i Kociekawiaków, dzieje rozwoju i rozsiedlenia Polaków w Prusach Zachodnich i pier-

wszą Pomorza mapę. Wreszcie w małym zniemczonym „Krähwinklu“ kaszubskim, w „Berent“ (Kościerznie) powstaje pierwsze stałe literackie gwarowe pismo „Gryf“ (herb Pomorza). Omal w tych samych latach, kiedy na południu wiąże się grupa podhalańska (Stopka, Galica, Orkan), tutaj łączy się w bractwo grupa gburskich i rybackich synów, dumnie wnosząca w skarbiec literatury polskiej małe, drobne, ledwie że obrobione bursztyny swej rodzimej mowy. Wydaje „Gryfa“ lekarz z duszą entuzjasty, z zapałem apostoła, z pasją kolekcjonisty, Majkowski.

I wtedy to dzieje się równocześnie jakaś rzecz przedziwna... W Anglji w metropolji Królowej Oceanów świat elity intelektualnej dowiaduje się, że autor najbardziej angielskich i najbardziej morskich żeglarskich powieści, cieszący się rosnącym mirem w elicie umysłowej, jest z pochodzenia czystej krwi... Polakiem z Ukrainy... nazywa się Korzeniowski... W Berlinie zaś w piśmie również elity intelektualnej „Pan“, wychodzi poemat morski „Am Meer“, niemiecki hymn do morza, podpisany polskiem nazwiskiem: Stanisław Przybyszewski, hymn wzbudzający niebywały entuzjazm krytyki niemieckiej, pruskiej, dziękującej polskiemu poecie za to, że twardą niemiecką prozę... „uszopenizował“!

I kiedy równocześnie Conrad w języku angielskim, Przybyszewski w języku niemieckim wypowiadają z przedziwną, jakby z pod ziemi gejzerowo wydobywającą się niepowstrzymaną siłą, podświadomie tęsknoty swego narodu do morza, równocześnie cicha, zapo-

znana, zapomniana już poetka polska również rzuca w naród swoją modlitwę... „Al Mare“! A w „Panu Balcerze“ stara się Konopnicka dać nawet obraz burzy morskiej, zbliżony nastrojowo, obrazowo i werbalnie do „Burzy“ Faleńskiego.

Sienkiewicz, który w „Krzyżakach“ już zbliżał się do problematu naszych dziedzicznych, rasowych konfliktów historycznych w jednej z ostatnich swych powieści, pisanej już w dobie „homeryckiej drzemki“' t. j. w „Na polu chwały“, miał okazję i mógł poruszyć to co wówczas rozogniało całe społeczeństwo. Nie skorzystał z niej. Tłem powieści była odsiecz wiedeńska. Król Jan III, choć ukraiński kresowiec, najlepiej czuł się na Pomorzu. W samym Gdańsku rezydował raz jednym ciągiem przeszło pół roku (1768). Ze wszystkich monarchów polskich był tu obok Leszczyńskiego najpopularniejszy. Z bursztynu koronę mu dali. Miał tu rozległe włości, starostwa gniewskie, puckie, Nowy Dwór. Królowa rezydowała w Kolibkach i w Sobotach. W Rzucewie Aleję Lipową sadził czterorzędną, którą Miciński unieśmiertelnił swym wierszem... zapomnianym. Mógł tedy wielki mistrz prozy polskiej, wyczuwszy w społeczeństwie te rodzące się ku morzu rozpędy, więcej uwydatnić w Janie III jego pomorską politykę, inklinacje i sympatje. Niestety, przypomniał tylko to sobie, że pod Wiedniem odznaczyła się świetna piechota pod wodzą pomorskiego wojewody Denhoffa...

W r. 1910-tym wyszedł z druku dramat historyczny niżej podpisanego p. t. „Wielki Fryderyk“, omawiający w kilku pryncypalnych scenach problemat

dostępu Polski do morza. Grany na sześciu scenach polskich przeszło trzysta razy ze Solskim w roli tytułowej, dramat bardzo życzliwie przyjęty przez krytykę, gorąco i serdecznie przez wielkich zmarłych, Reymonta, Kasprowicza, Przybyszewskiego, a najgoręcej i najżyczliwiej przez Tego, który już wtedy zaczął się tą całą „bolączką polską" po swojemu, namiętnie, gorączkowo, żarliwie, z furją rozegzaltowywać i roznamiętniać, t. j. przez Żeremjasza.

Poeta „Dumy o hetmanie" i „Walgierza Udałego" już wtedy zaczął zaczytywać się po swojemu, t. j. śmiertelnie, dzień i noc, we wszystkiem, co się tyczyło Pomorza, Kaszubów, Fryderyka Wielkiego... Obotrytów... Wendów... Mazurów... statystyka, folklor, słowniki, cieżkie prace historyczne. Z innych epok wonczas złoto do swoich powieści dobywał, a w bursztynowej ziemi już oburącz grzebał, Ramułta, Łęgowskiego, Szelągowskiego, Kujota, Gołębiowskiego, co mu pod rękę popadło, czytał i wchłaniał. Pomorza jeszcze nie znał, ale lubiał o morzu i Pomorzu słuchać od tych, co tam od lat bywali. A wtedy to odkrył skromnie dla Wielkopolan kaszubski pejzaż radykalny narodowiec poznański, mecenas i publicysta, ewangelicznego uroku człowiek: Chrzanowski. I jak Bernard z Clairvaux na krucjatę, tak Bernard Chrzanowski na masowe wędrowanie na Pomorze zaczął zachęcać rodaków.

Bardzo nieliczna była wtedy gmina tych, co się kochali, a to w Gdańsku (Wyczół, Or-Ot, Słoński, Łuniński), a to w Pomorzu samym i jego ludziach. Ale ci, co już raz powąchali słonego powietrza, ci już agitowali innych zapamiętale. Najpierwszym pionierem

z głębi kraju, ze szczurów lądowych był Chrzanowski, który już w r. 1902 tajne „wieczornice“ kaszubskie po miasteczkach wyczyniał. W prasie warszawskiej, t. j. w „Świecie“ i „Nowej Gazecie“, słowo Gdynia pierwszy raz wypisane zostało przez niżej podpisanego. Potem przyszedł Antoni Chołoniewski, żarliwy Gdyńczanin. — A wszyscy mościli drogę temu, co z ostatnich ciemnych lat niewolniczego bytowania zaczął dobywać nadchodzącą „Urodę życia“... Trzeba tu jeszcze przydać, że w tej dobie, kiedy Żeremjasz zaczął się rozpalać do czerwoności furją na zaborców Pomorza, tam w Berlinie już zaczęto walić we wszystkie bębny na alarm. Pomstowali kanclerze i hakatyści na „grosspolnische Bewegung“ (wielkopolskie i wszechpolskie), pisali księgi przeciw ruchowi zdążającemu do wyzwolenia Pomorza Bernhardti, Cardinal v. Wildern, Harden i stu innych; sekundowali im sławniejsi beletryści, czerpiąc tematy z Pomorza, Max Halbe swoim dramatem o Wiśle: „Der Strom“, Sudermann swoim dramatem historycznym, dziejącym się w Gdańsku i na Helu p. t. „Strandkinder“, oraz cała banda tandeciarzy, smarujących historyczne „hintertreppenromany“, paszkwile na Polskę, przeważnie renegatów o przekręconych słowiańskich nazwiskach.

Żeremjasz jeszcze wtedy nogą nie stąpnął na Pomorzu, gdyż dopiero w 1913 r. pierwszy raz pojechał na lato do Sopot. Znał ziemię i ludzi, obyczaj morski i morze, język i dusze ale tylko z nieprzeliczonych książek, map, fotografij, broszur, opowiadań, artykułów i z „Gryfa“.

I wtedy to wiosną r. 1911 pisał na karteczkach,

takich samych w formacie jak karteczki, na których pisywał Reymont, takie zdania... i to na ślepo, na niewidziane... poomacku:

„...widać było w pobliżu piasczyste wybrzeże, pochyłe sosny na niem stały i jasne domki świeciły się z pośród zieleni. Piotr zapytał otaczających go oficerów:

— Jak się nazywa ten ląd, który tam widać?

Odrzekli chórem:

— Pommern!

Wytężył wzrok w tamtą stronę. Wpatrzył się w żółte, lśniące wybrzeże. Podźwignął ręce i wyciągnął je do dalekich, dalekich domków kaszubskich, o których marzył przez całe życie. Wyszeptał:

— Pomorze!

I oto z rąk strudzonych Żeromskiego, autora „Urody życia", który dostał ją w spadku od długiego szeregu poprzedników, dostała się wielka sprawa o morze w ręce tych polityków realnych, którzy ją potem sprezentowali, tempore belli, na Zachodzie Balfourowi i Wilsonowi.

Morze i dostęp do morza zawdzięczamy ludziom pióra.

KHAKI-SZEKSPIR

Odkąd Goethe wypowiedział swoje *Shakespeare und kein Ende!* niema wróżby literacko-historycznej, którąby tak ściśle wypełniła się po wieki wieków.

Żyjemy właśnie w dziesięcioleciu likwidowania i mumifikacji wszelkich olbrzymów i kolosów literatury. Wszelkie rocznice urodzin i stuleci rozmaitych wielkości, ostatnio Ibsena, Woltera i Hugo, przekonywają nas dość wyraźnie, że wszelkie próby galwanizowania wielkich „moszczy" literackich kończą się bez echa i bez rezonansu w współczesności. Poprostu nikt już nic słyszeć nie chce o Byronach, Schillerach, Cervantesach, czy nawet Tołstojach, lecz nawet prawdę mówiąc i nasi wielcy odchodzą gdzieś w cienie, nowej generacji młodzieży omal obojętni, omal obcy. I tak się dzieje wszędzie. I niema już takiej znakomitości, którąby zdołała rozgrzać dusze i serca młodzieży dzisiejszej, odchodzącej masowo z Propylei i gimnazjonów do stadjonów i w szeroki świat. Może tak i lepiej? A może to są czasy przejściowe? A może to koniec sztuki i literatury wogóle?

Jeden atoli naród posiada jedyną wielkość, która jest niedobita, nieuciszona, niezlikwidowana, wieczyście żywa i napastliwie młoda, świeża, wiecznie spory i kłótnie prowokująca. Szekspir, bez końca Szekspir! Ostatnie lata, ostatnie, że tak powiemy sezony 1927 1928 1929

znów stwierdziły i to w spotęgowanej nawet formie, że ten konkurent nadal sobie żyje, zapycha repertuary na obu półkulach, każe o sobie pisać najtęższym piórom, tłumaczony jest na różne języki po raz setny i setny pierwszy i wogóle nie schodzi ze sceny światowych zainteresowań, normalnie *semper vivus*, w ostatnim roku znów... modny. Na zapytanie, co go znów uczyniło „modnym w szablonowym tego słowa znaczeniu, odpowiedzieć musimy, że właściwie idea t. zw. *khaki* Szekspira, t. j. granie go eksperymentalnie w strojach nowoczesnych. Ale nie to tylko. Tak twórczość Szekspira jak i życie są nadal kopalnią niezgłębioną tajemniczych uroków i nowopowstających zagadek. Jego fenomen nadal daje impulsy intelektualne całej różnojęzycznej gminie wiernych akolitów i wyznawców. Postarajmy się naprzód zaregestrować, co w zeszłym roku w tym świecie Szekspirologów i Szekspiromanów zdziałało się nowego a ciekawego.

Przedewszystkiem tedy powstała wielka Bibljoteka Szekspirowska. W Waszyngtonie koło Bibljoteki Kongresu stanął gmach sumptem kolekcjonisty Folgera, do którego przeniesiono zbiory z Nowego Jorku, liczące 20.000 tomów o Szekspirze oraz 30 egzemplarzy Szekspira pierwszych wydań *in folio*. Co znaczy Szekspirowskie wydanie in folio, to dość powiedzieć, że tejże zimy na licytacji publicznej w Londynie tom dziewiąty, editio 1623, defektowy, bez dwóch kartek, osiągnął sumę 80.500 funtów szterlingów. Dalej już w tym kierunku zajść nie będzie można. Owszem, ale zaszli. A mianowicie „Dziennik parafjalny“, sztambuch parafjalny czcigodnego reverendy wikarego Johna Warda,

sąsiada domostwa Szekspira w Stradfordzie z ciekawemi zapiskami księdza, zakupił antykwarz Rozenthal za sumę miljona 240 tysięcy marek! Jeżeli chodzi o rekordy pietyzmu dla zadrukowanego i zapisanego papieru, ten rok w dziedzinie Szekspirowskiej dostarczył największych.

Wieczyście aktualnego „Hamleta“ znowuż na język francuski przetłumaczył bardzo modny, perwersyjny powieściopisarz André Gide, aczkolwiek istniało z przed kilku lat nowe tłumaczenie Marcela Schwoba, a we francuzczyźnie tłumaczeń Hamleta jest do dwudziestu! Sonety świeżo przetłumaczył Larband. Co do Hamleta, to trzeba na pierwszem miejscu poinformować, że największy żyjący dramaturg niemiecki, Gerhard Hauptmann powziął i wykonał wysoce interesującą ideę napisania dalszego ciągu Hamleta, dramatu w 5-ciu aktach, o którego walorach i nieśmiertelności zdania krytyki są niemożliwie podzielone. Studjów i prac adoracyjnych, analitycznych, egzegetycznych i polemicznych w języku angielskim wyszła znów moc wielka. Na wyszczególnienie zasługują w pierwszym rzędzie znakomitego dramaturga i poety, Johna Drinkwatera paralela *Shakespeare and Lincoln*, i takaż paralela poety i filozofa, Johna Midletona Murraya: *Keats and Shakespeare*. Hubert Grifith dał polemiczne studjum: *Iconoclastes or the Future of S.*, a Moore sztukę biograficzno-teatralną *The Make of Immortality* z całym szeregiem współcześników Szekspira, przeniesionych na scenę już na podstawie wyników najnowszych badań naukowych, a więc z królową, Baconem, Bourbadgem, Ben. Johnsonem i innymi rywalami i protek-

torami tajemniczego genjuszu, tkwiącego w ciele aktora-włóczykija W. S.

To dali poeci i marzyciele. A uczeni także w ostatnim roku wytężyli swe energje dla rozjaśnienia różnych zagadek. Różnorodne te same problemy życiorysowe i krytyczno-analityczne nadal przetrząsane były przez dawnych „uczonych w piśmie" oraz przez nowych adeptów. Jak zawsze: tajemnica autorstwa 40 sztuk, jak zawsze zagadka sonetów i „W. H.", jak zawsze „Czarna Dama", no i nowe: katolik czy nie katolik? Że i najegzotyczniejsze słowiańskie narody wciągane są już do wielkiej gminy Szekspirologów, o tem świadczą dźwiękowo nazwiska nowych badaczy: Pasternak... Oczeret..., o tem świadczy wiersz sowieckiego poety Borysa Pilniaka, ku czci tego skroś „burżuazyjnego", konserwatywnego i imperjalistycznego poety Albionu!

Szał wszczęty przez Delję Bacon w roku 1856, polegający na kategorycznem odmówieniu Szekspirowi możliwości napisania arcydzieł, a przypisujący je „kuzynowi" Baconowi, obłęd, już po wojnie znów podsycony potężnie foljałami uczonej gadaniny Abela Lefranca, kontynuuje dalej grupa Anglików i Francuzów. Według jednych Sonety pisał lord Derby, zięć, według innych lord Oxford, teść, ale, oczywiście, nie jakiś aktor wędrownej szmiry, który sześć razy zawsze inaczej nazwisko swe podpisywał. Nowem sitkiem na kołku jest Peter Alvroz, debiutujący z hypotezą, że część dramatów jest pióra Rutlanda a część Southamptona, oczywiście, arystokratów, gdyż plebejuszby „tego nie mógł" (Villon, Rabelais, Petrarca, Cervantes?). Za literami W. H.,

którym dedykowano sonety, ukrywa się już nie William Herbert (z ostatnich lat badań), ale William Harly, odkryty w r. 1927; pisane zaś były „na zamówienie" też tegoż, t. j. trzeciego męża... matki... księżnej Suffolk... Na demoniczną wampirzycę Szekspira, zalotnicę, anioła i wiedźmę w jednem ciele „Kleopatrę" z sonetów, damę dworu, która go poznała w 1597 r., puściła w 3 lata potem i wyszła za hr. Pembroke, tym razem rzucił się (po Sidney Leem z lat poprzednich) znakomity polemista i satyryk, poróżniony ze wszystkimi „Leon Daudet londyński" Frank Harris, odmawiając demonowi czci, wiary i urody i stawiając tezę, że temu szatanowi winniśmy „Otella", ale też i temu samemu przepastny pesymizm „Tymona Ateńczyka". Nadal poważni i po sam pas zatopieni w hagiografji Szekspirowskiej E. K. Chambers, Ch. Longworth, dodający tylko nowe przyczynki do przyczynków i „przyczynki o przecinkach" u Szekspira, Harley, Granville Barker, dający nowe *préfaces* do dramatów, w typie świetnych przedmów prof. Dyboskiego, dwaj Amerykanie: Hazelton Spencer („Ulepszony Szekspir"), William J. Lawrence („Fizyczne warunki Teatru Szekspira") a wreszcie profesor Gray z Cambridge, uczony i dyrektor Teatru uczniów z Cambridge, właśnie do pewnego stopnia patronujący t. zw. *Khaki-Shakespearowi.*

Polskiego czytelnika specjalnie będzie chyba to jeszcze obchodziło, że ostatnio prof. Wachholz z krakowskiej Alma Mater, drukował w wiedeńskiem dziele zbiorowem ku uczczeniu psychjatry kryminologa, prof. Haberdy, studjum o Szekspirze i jego postaciach ze

stanowiska medycyny sądowej i kryminologji. W paryskiej zaś *Revue Hebdomadaire*, autor pracy o „Szekspirze, jako epistolografiie“ (pisarzu listów), przypomniał swoje rozmowy z J. Conradem (Korzeniowskim), w których tenże szeroko i entuzjastycznie zwierzał się, że języka angielskiego uczył się na Szekspirze, którego w całości pochłonął w r. 1882. Tu jeszcze przypominamy, że ojciec Conrada, Apollo Nałęcz Korzeniowski, entuzjasta Szekspira, już w r. 1868 drukował w „Bibljotece Warszawskiej“ bardzo poważną i na głębokiem znawstwie opartą pracę p. t.: „Studja nad dramatycznością w utworach Szekspira“. Można tedy śmiało postawić tezę, że do literatury angielskiej i do pisania w tym języku Conrada pchnęły nie rozmaite motywy i preteksty, niedawno jałowo u nas wałkowane, ale... Szekspir.

Dom w Stradfordzie, w którym rzekomo miał się urodzić Szekspir, zwiedziło w roku 1927 osób sto tysięcy!... t. j. znacznie więcej niż w latach poprzednich. Czem się to dzieje? Bowiem Szekspir znów stał się aktualnie... modnym. Przez co? dzięki czemu? Dzięki Khaki. Co to jest Khaki? Khaki jest to kolor munduru nowoczesnego Tommy Atkinsa. Tommy Atkins? to jest pospolitak, żołnierz, szeregowiec, euferma angielska. Co znaczy Khaki-Shakespeare? Jest to Szekspir grany w strojach, w dekoracjach, w rekwizytach nowoczesnych.

Wprowadzili tę na pierwszy rzut myśli horendalną rzekomo inowację w kraju Szekspira poeta John Drinkwater, autor „Lincolna“ i reżyser, obdarzony przez J. Królewską Mość Jerzego VII tytułem *sira*, pan Barry Jackson. Po głębokiem rozmyśleniu i prze-

dyskutowaniu wszelkich *pro* i *contra*, poszli drogą nie najmniejszego, ale największego oporu i w kraju najkonserwatywniejszym i najbardziej pietystycznym, wystawili największe arcydzieła tego poety, który jest tylko wart dla Anglji, co... Indje, wystawili najekscentryczniej. Ci sami dwaj Dioskurowie, którzy w swoich trzech teatrach od r. 1913 począwszy, dali 17 sztuk Szekspira tradycjonalistycznie, stereotypowo, najpierw koturnowo, potem kotarowo, zaryzykowali co się zowie unowocześnienie, zaktualizowanie, zbliżenie Szekspira do tej publiczności dzisiejszej, żyjącej skroś samą tylko aktualnością, momentami i motywami dnia, wystawiając po raz pierwszy w r. 1923, jako skroś dzisiejszą sztukę „Cymbelina". Stało się to „bluźnierstwo" w bogatem, ale czysto angielskiem (mało zsemityzowanem), przemysłowem mieście Birmingham, gdzie Drinkwater i Jackson od r. 1913 byli dyrektorami nowego literackiego, wytwornego, dla elity przeznaczonego teatru *Repertory Theatre*.

Sir Barry i jego literacki *adviser* i *observer* w swem antytradycyjnem poczynaniu i przedsięwzięciu — wychodzili z zasady ultratradycjonalistycznej, a mianowicie z tego nie dającego się zaprzeczyć faktu, że w epoce klasycznej teatru Elżbietańskiego a więc największego rozkwitu twórczości dramatycznej w dziejach ludzkości, liczne wówczas dramaty i tragedje z dziejów greckich i rzymskich grano w strojach, dekoracjach i rekwizytach ówczesnych, Elżbietańskich, zaczem nowoczesnych, że następnie znów przy końcu wieku 18-go przy odrodzeniu repertuaru klasycznego, Szekspirowskiego i greckiego znów największa tragiczka mrs

Barry i największy aktor w dziejach, Garrick, tak tragedje greckie i jak i dramaty Szekspirowskie grali w strojach i dekoracjach (nawet perukach) ówczesnych, znaczy nowoczesnych. Epoka dzisiejsza zaś nie jest gorsza (technicznie-cywilizacyjna dynamika genjalności ludzkiej) ani od rokoka, ani od renesansu. Nie wstydźmy się swoich strojów, swoich domów, mieszkań, obyczajów, swego *Khaki*-koloru, który przekształcił fizjognomję globusu. Nadto Szekspir jest uniwersalistyczny, jest wszem — każdoczesny, równoczesny. Ani spełzł, ani zżółkł, ani nie zwietrzał. Każdej wiosny świat „Snu Nocy Letniej“ pokrywa się świeżą runią. Dusza ludzka, serce, sumienie, namiętności, przypadłości, cnoty, przymioty, wzloty, upadki, krew, muskuły tesame. Średniowiecznych szekspirowskich terminów: tarcza, puklerz, miecz, dzida, włócznia, twierdza, hełm, przyłbica, łuk, cięciwa, Amor, Hymen, Jowisz, Hades, Pluto, mnich, gwardjan, klasztor, pręgierz, szubienica, aloes, wino włoskie, wino hiszpańskie etc. i t. p. używa się nadal choćby tylko w przenośniach. Unikać zatem należy tylko słów: telefon, gramofon, fox-trott, bo rażą i drażnią i grać z lekką rewizją tekstu, jakiej zresztą realizacje sceniczne podlegały zawsze i wszędzie, skoro Hamlet grany ściśle z egzemplarza trwałby godzin osiem!

Rzecz prosta, słuszna i spodziewana, że już Cymbelin wywołał tu mniejszy tam większy sprzeciw i opór konwencjonalnej krytyki, oraz veta i protesty ortodoksów Szekspirowskich. Więcej jeszcze od uczonych profesjonalistów, zaskoczonych tem, ale połechtanych w kulcie, rzucili się na zuchwałych inowatorów renomowani liweranci repertuarów t. zw. „playwright“

(cieśle sztuk), popularni w jednem dziesięcioleciu jednej generacji. Od Cymbelina rozpoczęła się wojna dziennikarska; pro i contra, pro-khaki, contra khaki i stary ale jary William znów stał *en vogue* w ogniu ognistych polemik, znów monopolista repertuaru, znów najgroźniejszy, najaktualniejszy, wiecznie... rywal i konkurent. Nawet klownujący żongler G. B. Shaw „poszedł w odstawkę" ze swemi kawałami. Był to obłęd, ale ten „obłęd stał się metodą" i... businessem. Eksperyment zwyciężał. Po Birminghamie odważono się w Londynie. Po „Cymbelinie": „Poskromienie Sekutnicy" sukces, potem New-York daje „Kupca Weneckiego", dalej idzie „Hamlet" w Birmingham i w Londynie, sukces, potem „Makbet" mniej udany i fortunny, wreszcie w czerwcu b. r. Shylok w Londynie, gdzie rządzi Shylocracy: wielki sukces. Równocześnie w Berlinie w teatrze, gdzie reformator Jessner rządził: Ryszard III!

I gdy w tym samym Londynie równocześnie dyrektor Casson dla swej żony, świetnej Sybil Thorndike gra kolejno popularnie, starodekoracyjnie i staroinscenizacyjnie całą girlandę dramatów w tym stylu, w jakim grywała niezapomnianej pamięci „Modjeska", to w Cambridge! pod auspicjami prof. Graya studenci grają w kolorze khaki! Lody przełamane, nowa idea zwyciężyła, Szekspir znów „autorem" o którym się mówi, ba o którego kłócą się w pismach, jakby był conajmniej rekordzistą w footballu, jakby był pięściarzem, nie... pieśniarzem, poetą.

U nas niestety, Szekspir nie pojawił się ani jeden raz na liście repertuarowej żadnego teatru! Smętny to dowód ogólnej degryngolady kulturalnej. Ale co więcej!

U nas dotychczas nie istnieje normalne, w każdym kraju i państwie dawno już ukonstytuowane „Towarzystwo Szekspirowskie“! Mamy świetnych i głębokich znawców, mamy Pinińskiego, Dyboskiego, Tarnawskiego, Tretiaka, a nie mamy jeszcze Towarzystwa Szekspirowskiego, które np. w Czechosłowacji liczy przeszło 300 członków.

Apelujemy tedy do naszych dyrekcyj teatralnych, żeby przypomniano tam sobie o egzystencji tego dosłownie Nieśmiertelnego. Możemy sobie śmiało pozwolić na eksperyment z Khaki-Szekspirem, skoro go już uświęciło prastare Cambridge. Doradzałoby się granego w Londynie i w New-Yorku a w Polsce zawsze aktualnego: *Merchant of Venise*, ot granego np. na dekoracyjnem tle motywów z Kazimierza nad Wisłą. Ta próba, rozniecìwszy spór taki jak wszędzie, zwróci znów uwagę P. T. publiki na „rodaka“ Chamberlaina i Cherstertona. I wtedy założymy w Warszawie „Towarzystwo Szekspirowskie“ coprawda nieco dość późno, bo po Grecji, po Białogrodzie, po Boliwji i Brazylji. Ale lepiej późno...

* * *

Dobrze i szczęśliwie się stało, że w tych czasach, gdy na genjusz *semper vivus* znów idą z najrozmaitszych stron przedziwne napaści, gdy opętańcza i ma njacka akcja to „dezyntegracji“, to znowu „parcelacji“ Szekspira nietylko nie uspokoiła się w swych atakach, ale nowych zyskała bojowców i orędowników, w Polsce w czasokresie trzech lat wychodzą kolejno dwa magi-

stralne dzieła, stwierdzające po staremu jedność, monolitość i autentyczność Jedynego z nieśmiertelnych, dosłownie Nieśmiertelnego.

Skonstatujmy bowiem (wzruszając równocześnie ramionami nad bezmiarem uporu i kołowacizny mentalnej ludzkiej), ża obłęd i furja dziwaków różnorodnych, odmawiających nadal Szekspirowi autorstwa girlandy arcydzieł, obłęd niebacznie sześćdziesiąt lat temu wszczęty przez ekscentryczną Amerykankę, zwącą się Delja Słonina (Bacon) znów zyskał sobie kilku jegomościów, niepohamowanych w swych egzotycznych, ekscentrycznych pomysłach.

Z najostatniejszych czasów znów mamy do zanotowania a raczej do przyparcia do ściany trzy takie chyba że dziwadła.

Wytrzymać jeszcze można z tym panem J. M. Robertsonem. To jest tylko t. zw. „dezyntegrator". De zyntegratorami zwą w szekspirologji tych uczonych, którzy wychodząc z hyperkultu dla twórcy Hamleta, żeby wyżej podnieść jeszcze jeden łańcuch arcydzieł odmawiają autentyczności lub podają w wątpliwość szereg innych utworów scenicznych, względnie poezyj. Dezyntegratorów jest legjon. Im będzie jeszcze wybaczone, ponieważ wiele kochali i z miłości do Willa zdecydowali się na postponowanie np. „Henryka VI"! lub „Tytusa Andronika". Ci uczeńcy wychodzą z założenia, że jak bywało „zasypiał czasem Homer", a Goethe gdzie niegdzie okazał się grafomanem czystej krwi, a czystą wodę lał ze siebie Byron, a Robert Browning mętne niedorzeczności i fumisterje, tak też i Szekspir miewał momenty osłabienia genjuszu, ataraksji, abulji,

astenji i atrofji i wtedy klecił widowiska niebardzo przepotężne, i to nie sam a na spółkę, czasem dopisując tylko pewne sceny. Dał temu poglądowi swój wyraz i polski szekspirolog prof. Roman Dybowski w pracy pisanej na wygnaniu w Moskwie w r. 1917 („Rytmika wysiłku i znużenie w twórczości Szekspira"). *All right.* Na to jeszcze, jeszcze, po krótszej kłótni zgodzić się można.

Ale niejaki a wielce szanowny J. M. Robertson stanowczo przeszedł granice *fair play* w zapale dezyntegracyjnym. Na 154 sonetów mr. Robertson 60-ciu odmawia autentyczności. Widocznie nie orjentując się w średniowieczu w dworskiem życiu *nobility*, nic nie słysząc o *mignonach* króla francuskiego Henryka Valois, odmawia autentyczności tych sonetów, w których poeta egzaltuje się z czysto przyjacielsko-dworsko-panegirycznych względów do tajemniczego „W. H." co Oskarowi Wildeowi dało jak wiadomo pretekst do słynnej broszury...

Mr. J. M. Robertson idzie atoli w swych wywodach za daleko. Wedle niego bowiem Szekspir nietylko nie napisał Henryka VI, Henryka VII, Tytusa Andronika, Tymona, Peryklesa ale nawet... ale nawet „Juljusza Cezara"! No! już chyba świat się kończy a wszechświat głupstwa i nonsensu zaczyna. Mr. Robertson osiągnął rekord. *Habeat sibi!* Na to się jeszcze nikt nie odważył. Zyska mu to jednoroczną sławę. Wielki nieboszczyk w sarkofagu się nie obróci. Najwyżej zaśmieje. A śmiać się umiał.

Mniejsza jednak o tych dezyntegratorów. Gorsi są „parcelanci". Ci bowiem należą do wielkiego obozu

zaprzeńców, szkalowników, dyfamatorów, słoniniarzy (baconistów). Słoniniarze odmawiają wczambuł, autorstwa dramatów Szekspirowi. To był sobie lichy aktor, awanturnik, pijak, kradł zwierzynę, opuścił żonę, w testamencie zapisał jej gorsze łóżko i t. p. i t. p. Takie indywiduum nie mogło napisać ...Hamleta... Słoniniarze wychodzą z górnego i podniosłego pojęcia o posłannictwie i doczesnym życiowym przebiegu wielkich twórców; nawet ze średniowiecza i żywoto-pisma Marlowa, Villona, Rabelais'a, Dantego, Aretina, Cervantesa, Reja, Orzechowskiego nic ich nie pouczają. Dramatów Szekspira nie mógł pisać znany i pochowany w Stradfordzie kabotyn i cygan. Wobec tego cały dorobek dramatopisarski idzie na parcelacje ...oczywiście między lordów i wielmoże. To napisał lord Derby, to Oxford, to sir Walter Raleigh, to Southampton, z łaski tylko jedno napisał... Marlowe... Albo też wszystko wogóle napisał kanclerz J. K. Mości Elżbiety wielce szanowny Bacon, tylko się „wstydził" podpisać, bo „mu" nie wypadało... „*Can't*". ...Albo może Bacona brat?... Pisanie dla sceny wówczas — *shocking*.

Z dzieł parcelantów, zarażonych ćwieczkiem z główki Amerykanki Słoninówny, (która sobie ubzdurała, że jest potomkinią kanclerza a była córą poczciwego ale bogatego świniopasa), z dzieł tych biednych nieszczęsnych monomanjaków i monografomanów i monografjografomanów możnaby sobie skompletować całą bibljotekę, oczywiście chyba tylko nato, aby ją ofiarować zakładowi w Tworkach, Kulparkowie lub... w Dziekance.

Rekordy atoli osiągnęli w bieżącym roku już nie

parcelanci, nie Słoniniarze, ale wprost eksprioprjatorzy, aneksjoniści inaczej zaborcy Szekspira... wprost odbierający W. Brytanji Szekspira! bez żadnej ceremonji odbierający go, to na benefis Italji, to znów oddający go Francji!

Uczony włoski Santi Paladino zdecydował po dłuższym namyśle i głębokiem studjum. że Szekspir to nie Szekspir tylko niejaki Michał Anioł Florio, poeta banita. Ten to Michele Angelo Florio jako protestant musiał emigrować, tułał się tu i owdzie, wreszcie osiadł w Londynie. I tu wydał tomik poezji: *Secondi Frutti* „Drugie Owoce" (dlaczego nie trzecie?). Ponieważ w tych niedrogich chyba owocach jest kilka myśli podobnych do zawartych w kopalni Hamleta, przeto... resztę niech sobie czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa. Nadto Santi Paladino powołuje się jeszcze na to, że skoro przeważna część dramatów dzieje się w Italji (Juljusz Cezar, Antonjusz i Kleopatra, Otello, Romeo, Kupiec, Dwaj Panowie z Werony, Burza, Poskromienie Sekutnicy) Szekspir zaś (podobnie jak Mikołaj Rey) z „miłey oyczyzny nigdzye nie yeżdżając tum się pasł w swey oyczyźnje yako lesie zayenc"... przeto autorem... Makbeta, Króla Lira, Henryków i innych dziesięciu, dziejących się w Anglji musi być tylko... M. A. Florio. Zdaje się, że faszyzm wśród kilku motywów, jakie przyjął z Pangermanji wziął też i manję anektowania wielkich ludzi... Zdaje się, że nawet Eusapia Paladino nie mogłaby była w transie wpaść na taką ideę, na jaką wpadł Santi Paladino.

Logiczniejszą może acz równie śmieszną a zresztą już nie nową jest aneksja dramatów szekspirowskich

na conto francuskiego pisarza ...Montaigna. Logiczniejsza... wobec olbrzymiego wpływu jaki „Essais" Montaigna wywarły na umysłowość Szekspira. Ten barokowy pomysł, że Montaigne to Szekspir, odświeża świeżo prof. Fortunat Strowski z Paryża. Idea znowu amerykańska. Okazuje się, że w suchych Stanach Zjednoczonych miewają ludzie bardzo mokre alkoholiczne pomysły. Montaigne tedy napisał 36 sztuk na scenę. Trzymał je pod kluczem w kantorku. Nie wiedział, co robić z niemi. Nie pisnął o tem nawet przyjacielowi La Beotie... ani żonie... Pisząc zamykał się też na klucz... Kiedy umarł, kanclerz Bacon wysyła na pogrzeb swego siostrzeńca do Bordeaux. Wdowa znajduje 36 skryptów... przepisanych na Underwoodzie? Całkiem bezinteresownie wręcza je siostrzeńcowi. Ten odwozi Francis Bacanowi; ten wzywa pokątnego aktora Shakespeare'a, daje mu cały pakunek i mówi: grajcie to sobie w „Globie" czy gdzie indziej... a dla cenzury teatralnej pan się pod tem poderżnij, mości Szekspir, czy jak ci tam...

Tak referuje o tem z bardzo lekkim zresztą sceptycyzmem zapalony, ale fachowy Montaignista prof. Strowski.

Zaiste dywagacje myślowe świetnych nawet intelektów nie znają już granic, a w odcyfrowaniu tajemnicy szekspirowskiej schodzą uczeni w piśmie na tereny zupełnej aberacji... A czego to dowodzi? Tylko jednego tj. olbrzymości, przepastności, wszechstronności, niebywałości i nieśmiertelności tego genjuszu. Normalnym badaczom, szperaczom, dłubaczom wprost nie może zmieścić się w głowie, że taki tytan wyobraźni żył

sobie w człowieczynie, która czasem się i upijała i brewerje wyprawiała... Twórca i poeta temu fenomenowi *dziwił* się nie będzie, choć go nie będzie *podziwiał*. Nietwórcy, analitycy i krytycy muszą go dopiero poparcelować, dezyntegrować, wywłaszczać, zbakonizować. I wtedy dopiero pojmują i cenią i wielbią. To też dobrze i szczęśliwie się stało, że w Polsce pojawiły się dwie zrzędu monografje Szekspira, stojące na staromodnem stanowisku Stradfordczyków, stwierdzające mocno i bez wahania, że Szekspir to Szekspir a nie konsorcjum lordów (Greenwood) czy pan Słonina, scriba Florio lub *homo unius libri* Montaigne... Hołd polski twórcy pełnego polskich aluzyj Hamleta oddali pp. Leon hr. Piniński i prof. Roman Dybowski. Pierwszy jako uczony dyletant w najszlachetniejszem tego słowa klangorze, drugi jako głęboki, ale gorący uczuciowo specjalista, również nie w ujemnem, nie w belferskiem i pedanckiem tego słowa znaczeniu. Oba dzieła są owocami szczerej wdzięczności za najczystsze emocje i rozmarzenia oraz owocami długoletnich szeroko rozpostartych i zasięgających studjów. Oba dzieła to *confessiones fidei;* wierzą i nakazują wierzyć... w Szekspira. Godzi się za to zwłaszcza dank złożyć naszym Szekspirologom.

Zachodzi atoli obawa, czy te dowody wielkiej i poważnej pietystycznej wiedzy, tu cenione i uznane, tam na szerokim świecie nie przejdą też bez wrażenia większego.

Czyż więc wobec tego nie wypadałoby obecnie znaleźć się w kropce i trybut nowomodny składając u stóp *Santae Simplicitatis Baconianae* nie popełnić

tak komu grubego tomu, udowadniającego czarno na białem, że Szekspir był... był Polakiem?

Mistyfikacja ta nie byłaby tak trudną i mozolną, choć taksamoby ją trzeba za włosy ciągnąć jak i inne... Temat chyba czarujący a wdzięczny!.. Sto piór w stu językach rzuciłoby się szturmem na takiego śmiałka!... Tysiąc bibljotek zamawiałoby telegraficznie egzemplarze...

Rzecz nie jest tak trudna, zapewnia was ten, co długie lata podróżował po tym labiryncie. Nuże koledzy po piórze! Ruszcie się! sława tylko czeka. Każdy co o Sfinksie napisze byle *ex imo i ex centro* może być pewnym stukrotnego echa.

Bowiem Szekspir nietylko jest *Immortalis! Semper vivus* jest! Jak to bowiem pisał o nim Żeromski w listach z Zakopanego (rok 1892 28 Maja): „Mój stary Szekspir! Pięć lat temu czytałem go a raczej czytałem ludzkość przez niego. Teraz czytam po raz nie wiem który starych znajomych i ulubionego Troilusa, Hamleta, Cymbelina, Tymona...“

M E N O

(CZYLI SZTUKA LITEWSKA)

Samoistna, swoista, oryginalna sztuka litewska jest oczywiście dopiero w stadjum kiełkowania i organizowania się. Nie może być więc mowy o jakiejś specyficznie litewskiej narodowej plastyce, malarstwie, architekturze, ale można już sprezentować zespół artystów, którzy po wojnie europejskiej, aczkolwiek adoptowani już przez inne narody, do swojej ojczyzny zewsząd ściągnęli, do narodowości i obywatelstwa litewskiego się poczuwając, stali się solą tej ziemi i elitą młodego włościańskiego społeczeństwa. Jest coś przyniewalającego i wzruszającego w tym przylocie talentów litewskich na swe gniazda, na swą glebę, na swe pielesze. Wielu z nich mogłoby dziś mieć europejskie walory i laury, gdyby byli zostali w środowiskach, w stolicach i w tych społecznościach, wśród których im kształcić się i dojrzewać przyszło. Wielu z nich mogło zabłysnąć i już zabłysnęło jako gwiazdki na firmamencie sztuki polskiej (Rymsza), niemieckiej (Sklerus), rosyjskiej (Dobużyński), mogło przeżyć żywoty bądź co bądź w kulturalnych, artystycznych centrach. Nie, oni wybrali skromne i bezgłośne bytowanie w miastach i miasteczkach pięknych ale prymitywnych, ograniczając możliwości swych karjer i gloryj artystycznych do terytorjum swej ojczyzny, byle tylko

dać krasę, szlif i splendor kulturalny swemu społeczeństwu i swemu państwu. Cześć!

Można nad tem ze stanowiska polskiego żal czasami wyrazić, ale nie sposób nie odnieść się do tych wyrzeczeń i ograniczeń i do tego stwierdzenia się w swem plemiennem jestestwie inaczej, jak tylko z szacunkiem i respektem.

Wielu z malarzy i rzeźbiarzy litewskich studjowało przeważnie w Polsce, w Warszawie i Krakowie, pewien odsetek w Peterpilsie czyli w dzisiejszym Leningradzie. Uniwersytet Jagielloński, Akademja Sztuk Pięknych i Kursy Baranieckiego dla panien pełne były lat temu dwadzieścia studjujących Litwinów i Litwinek. Niemniej warszawska Szkoła Gersona i Warszawskie Konserwatorjum. Dziś się o tem niechętnie tam mówi i wspomina. W życiorysach i żywotopisach artystów przechodzi się nad temi polskiemi latami lakonicznie i oschle, czasami nawet złośliwie, zaznaczając demonstracyjnie, że talent ten a ten rozwinął się dopiero w Paryżu... ba nawet choćby w Odesie... byle tylko pomniejszyć znaczenie kulturalnej macierzy polskiej. Podobnie jak u nas wielu znakomitościom politycznym wymazuje się z biografji ich praktykę z ery trzech lat okupacji pruskiej jako wprost „niebyłe“ czy „niebywałe“, tak też i wielkim dziś w Litwie nazwiskom przebacza się ich wieloletnią przynależność do sztuki przeważnie polskiej i wymazuje te lata górne i chmurne, kiedy to studjowali w Warszawie i Krakowie.

Życie artystyczne w stolicy Litwy płynie oczywiście nawet nie tyle wąskim strumieniem, ile wprost

cieniutkim nurtem, niteczką. Ani Muzeów, ani kolekcji, ani kollekcjonistów, ani mecenasów sztuki. Jest kilku kanoników posessjonatów, którzy nie dają umrzeć z głodu malarzom, trafiają się bogaci kupcy żydowscy, którzy kupią to i owo; czasem nabywa coś rząd i miejskie Muzeum w Kaunas. Największe zbiory sztuki ludowej litewskiej posiada Niemiec p. Schen w Kłajpedzie. Całe Montmartre czy Montparnasse, litewska cyganerja artystyczna musi mieścić się w jednej skromnej filisterskiej kawiarni Petrauskasa przy „Laisve-Gatve", t. j. przy ulicy Wolności w Kownie. Trzeba chyba dużego zaparcia się siebie, wytrzymałości i ofiarności w tych warunkach, żeby skazać się na egzystencję dożywotnią w tak miniaturowem i sielskim entourage'u, jeżeli się lata „Sturm und Drang-Periode" przeżywało w Petrogradzie, w Paryżu, w Warszawie, czy w dawnym przedwojennym ateńskim Krakowie. To też na konterfektach i podobiznach muzyków i malarzy litewskich widzimy jakąś melancholijną powagę missjonarzy Piękna, pewien surowy rys smętku i jakby abnegacji...

W dzisiejszej malarskiej twórczości litewskiej krzyżują się prądy i wpływy to petrogradzkiej, to znowu krakowskiej „Sztuki" z jej najlepszego okresu. Z najwybitniejszych artystów kowieńskich Antonas Zmudzinovicius, rzeźbiarz Petras Rymsza, Antonas Żemajtis no a przedewszystkiem M. Cziurlanis, sądząc po materjale reprodukcyjnym, zostają pod wpływem krakowskiej „Sztuki", podczas kiedy Kalpokas, Skleris (rzeźbiarz także), Adonas Varnas, Pautienis raczej podlegają prądom i wpływom wielkich kolorystów rosyjskich.

Przejdziemy tu sobie choćby pobieżnie jakby po imaginatywnej jakiejś ekspozycji prac obok kilku sylwet litewskich twórców wartości nieprzemijających.

Dziś już pięćdziesięcioletni Żmudzinoviczius, urodzony pod Sejnami, przeszło ćwierćwieku chyba przepędził w Polsce. W Warszawie w realnej szkole, potem uczeń Gersona, stypendysta, po patencie krótko Paryż, znów w Warszawie jako prywatny urzędnik w jakiemś przedsiębiorstwie. W Monachjum dwa lata. Wystawiał dużo pejzażowych studjów w Zachęcie i u Krywulta. Fakturą przypomina Filipkiewicza, może Czajkowskiego Józefa, dochodząc do nastrojów religijnych Milleta. Najeździł się po świecie dużo, obracając się w środowiskach artystycznych, zawsze wyłącznie tylko polskich. Znaliśmy go jeszcze jako Żmudzinowicza...

Adonas Tarnas. Krakowska Akademja. Nagrodzony. Świetny rysownik i kreślarz dla zadań technicznych. Jakiś czas w Zakopanem. Dłużej w Wadowicach w Biurze Technicznem. Poczem los zaczyna nim rzucać w różne strony i zmuszać do różnych procederów. W Odesie w fabryce aeroplanów. W Woroneżu. Wreszcie dostaje się od 1920 r. do Kowna, gdzie obecnie jest prezesem assocjacji artystycznej. Wszechstronna rozbieżność. Portrecista znakomitych swych i zasłużonych rodaków (Basanowicza). Pejzaże. Nastroje jesienne. Krajobraz nadniemeński. Dekoratysta. Zwiedził spory szmat świata: Włochy, Ameryka, Londyn, Rzym; teraz na stałe Kowno.

Kajetan Sklarus Skleris. Pod Królewcem urodzony. Deutsche Bildung, Deutsche Kultur. Berlin, Drezno, Monachjum. Handlowiec ze studjów. Poczem twórca

utalentowany, bo i malarz i rzeźbiarz. Głównie płaskorzeźby i akwarele. Wypłynął dzięki księdzu Tumasowi. Najciekawsze: krymskie akwarele i finlandzkie nadmorskie krajobrazy. Wystawiał w Wilnie, w Libawie a także w Warszawie, w dawnych latach. Znana kompozycja: „Sen Gedymina".

Kalpokas. Studjował w Mitawie, Rydze, Odesie, Monachjum, tamże i wystawiał. Twórca monumentalnie dekoratywnych bohaterów narodowych: Witolda, Gedymina, Kiejstuta. Bohaterzy przedstawieni jako gigantyczni witezie o olbrzymich łydach i bicepsach, uzbrojeni od stóp do głów, ale z olbrzymim rozmachem. I tu znać wpływ rosyjskich illustratorów „Złotego Runa" i „Apołłona". Witautas (Witołd) zgoła przypomina Piotra Wielkiego, Kiejstut jakiegoś normandzkiego witezia. Kunigaiksztise są jak wielcy książęta, ale zwaregowani.

Z innych malarzy zasługują jeszcze na wyróżnienie i zapowiadają się jako narodowe sławy: K. Simonis, Jomantas, Brakas, Galdikas, Vienożynskis, Biczinis, A. Vemajtis, pani Janulaitiene, wreszcie malarz i sculptor Pautienis.

Z rzeźby obok Zikarasa i Pautienisa na pierwsze miejsce wybija się przedewszystkiem Petras Rymsza. Jest to już indywidualność na znacznie większą, można śmiało powiedzieć, na europejską skalę. Aczkolwiek w ostatnich latach stał się chorążym szowinistycznego maxymalizmu odwetowego, aczkolwiek świeżo dał medal pamiątkowy Wilna dla członków Bractwa, które za cel sobie postanowiło „odebranie" Wilna, to jednakże wspaniałomyślnie wybaczyć mu należy jego mie-

szanie się w politykę i uznać w nim dojrzały artyzm i mistrzowską technikę. Urodzony pod Wołkowyszkami, studjował w Warszawie przez kilkanaście lat, stypendjum na Paryż, gdzie do szkoły prof. Merciera zaprotegował go ś. p. Wiwulski. Z Paryża do Krakowa, gdzie był uczniem prof. Laszczki. Jeżeli w malarstwie żaden z artystów litewskich nie wyszedł poza czasem wysoce majsterską konwencjonalność, jeżeli w obrazach litewskich (sądząc z reprodukcyj) niema jeszcze poza kolorytem lokalnym i poza pewną nutą melancholji nic, coby bardziej frapowało jako oryginalne, plemienno-odrębne przebicie się poza normalny poprawny szablon, to w jednym tylko Piotrze Rymszy jest ten indywidualny, całkiem z głębi duszy wybłysły rys, który tego artystę gente Polonusa natione Litwina odrazu stawia nad wszystkimi i wyróżnia jako „homo singulare". Rymsza jest i grafikiem i ceramikiem i rysownikiem, ale dopiero w rzeźbie rozwinął skrzydła swej umiejętności, swej dynamiki i swej fantazji.

Jest nam niewymownie przykro, że ten uczeń Laszczki a przyjaciel Wiwulskiego, wspaniały swój talent wprzągł w służbę politycznej doktryny, zwróconej przeciwko nam, ale bynajmniej to nam nie przeszkadza w oddaniu artyście słów uznania i hołdu. W ojczyźnie p. Rymszy największą popularnością cieszy się jego „Artojas", t. j. oracz za sochą z koniem, oracz z wołami. Kompozycja to piękna, poważna, rzetelna w idei i obrobieniu; właściwie atoli to jest transpozycja w bryle znanego i sławnego obrazu Ruszczyca. Nadto woły, ciągnące pług, są tak apokaliptycznych dymenzji, że

przypominają żywo swą kolosalnością bucefała z pomnika Grunwaldzkiego Antoniego Wiwulskiego. Bardzo przekonywujące w swym patetycznym efekcie są płaskorzeźby Rymszy, szczególnie „Golgatha". Imponujące atoli dopiero figuralne kompozycje: „Ból", Medytacja", no a przedewszystkiem „Kova", t. j. Walka. Żadnego realizmu ani naturalizmu, ale cofnięcie się do stylizowania modelu ludowego, prymitywnego, ale finezyjnie prymitywnego. Tak postać personifikująca „Skausmas" (Ból) i „Mintis" (Myśl, Idea, Medytacja) są pojęte hieratycznie w wielkich syntetycznych linjach falistych, spływających. Można się tu dopatrzeć nawet wpływów kubizmu, ale w dozie dyskretnie umiarkowanej. Natomiast pokrycie całego nagiego korpusu postaci („Myśl") i fałdzistej togi „Bólu" gęstym deseniem ornamentacyj ludowych znów zbliża styl p. Rymszy może bez wiedzy jego i świadomości, może nawet ku jego utrapieniu, do tego stylu podhalańskiego, jaki szczęśliwie i słusznie narzucił teraz rzeźbiarskiej szkole w Zakopanem zespół tamtejszych magistrów-snycerzy ze Stryjeńskim na czele. On revient toujours à ses premiers amours, mości Rymsza.

Kompozycja p. t. „Kova" przedstawia „Pogoń litewską", syntetycznie modelowaną, walącą, a raczej rozmachującą się mieczyskiem na orła polskiego. Jako dzieło sztuki bardzo udane, jako idea — fałsz, psychoza i maniactwo. Dziwna rzecz pomyśleć, że na to p. Rymszę Polacy hołubili a Wiwulski przyjaźnią i opieką otoczył, Ruszczyc natchnął, a Laszczka wykształcił, żeby potem artysta, uginający się dla popularności przed apetytami ulicy i dnia przemijającego, stworzył dzieło,

gdzie Pogoń (uratowana tylekrotnie przez Polskę) zwycięża ale w glinie Orła, srebrnopiórego orła...

Jak Petras Rymsza tak i zmarły wielki poeta tonów i barw M. K. Cziurlanis, całą swą kulturę artystyczną zawdzięcza macierzy polskiej. Żył krótko, umierając młodo jako ulubieniec bogów. 1875—1916. Zapowiadał się na genjalnego muzyka i genjalnego malarza. Te dwie sztuki splątały się w jego dziełach stale i bezprzerwnie; jego obrazy były symfonjami, jego sonaty były wizjami kolorystycznemi. Uczeń Akademji Krakowskiej żył i rósł w promieniach i twórczości Wyspiańskiego i Micińskiego, z nich i z całej ówczesnej elity krakowskiej czerpiąc soki żywotne dla swoich kartonów i preludyj, koszmarowych fantasmagoryj i przedziwnych feryj i fug kolorystycznych. Wizjoner fantasta Cziurlanis porówno należy do regjonów sztuki polskiej, jak też jest największym atutem i asem artystycznym jaki posiada Litwa. Jego mistycyzm czy somnambulizm korzeniami swymi tkwi bezsprzecznie gdzieś w glebie Świętej Żmudzi, ale rozłożyste konary jego talentu rosły w blasku i w atmosferze tego słonecznego ciepła, jakie na krótko przed wojną zapanowało pod Wawelem.

Zmarły przedwcześnie z olbrzymią szkodą dla Litwy i sztuki, autor „Sonate Solaire“, stoi tedy jak na pograniczu Polski i Litwy tak i między malarstwem a muzyką.

Oto byłby krótki migawkowo-kronikarski przegląd tych możliwości rozwojowych i tych indywidualności, jakie w obecnem stadjum w artystycznej produkcji uzupełniają i podnoszą w wyższe regjony całokształt

odrodzenia narodowego w kraju Litwinów. Nie jest to jeszcze ani „multum“, ani „multa“, ni w qualité, ni w quantité. Faza mgławicowa i pierwotna, dla domowej konsumpcji. Piękna już ważna ale dla międzynarodowego, dla europejskiego zainteresowania jeszcze nie istniejąca.

Miejmy nadzieję, że kiedy Litwini, ocknąwszy się z maligny szowinistycznej, porozwalają parkany i porozcinają druty kolczaste, jakiemi się od Polski odgrodzili, wreszcie znów w kontakt kulturalny i duchowy z Europą wejdą, Sztuka ich, Meno, znów się pogłębi, spotężnieje i uskrzydli. Na razie żyje i rośnie ich twórczość artystyczna jeszcze studjami, reminiscencjami i tradycjami przeważnie polskiemi. Dopiero pogodzenie się z Polską przyczynić się może do tego, że to, co forsownie tylko rodzime, samorodne, swojskie, „tutejsze“ czy ludowe, a w rezultacie parafjalne, podniesie się na wyżynę zdecydowanie odrębnej i specyficznie litewsko-narodowej Sztuki; wtedy dopiero wejdzie jako nowy ton, nowy motyw, nowy akord w symfonję Sztuki światowej.

Inna rzecz znowu, że właśnie od nich, od tych artystów, którzy tyle artystycznej kulturze polskiej zawdzięczają i którzy powinni stać poza i ponad zaściankową polityką dnia codziennego, mogłoby wyjść i powinno hasło pogodzenia się z sąsiednią Polską. Ci malarze i rzeźbiarze jako też muzycy, są niejako predestynowani swymi talentami do misji i do posłannictwa medjacji i porozumienia się i ugody z najbliższym sąsiadem. Przy całem i pełnem zachowaniu swej narodowej odrębności mogliby przy boku wielkopań-

stwowej mocarstwowej Polski zyskać to wszystko, co irlandzka sztuka zyskała przez oparcie się o angielską potęgę.

Poznawszy wielkie artystyczne uzdolnienie ludu litewskiego i widząc jak tęgie talenty więdną tam nieco i karleją w nikłym blasku bladego słońca sławy, namawiamy ich do tej akcji pogodzenia się i pobracenia najgoręcej.

Niech politycy zawodowi nadal zapędzają się w swej nieprzejednanej taktyce wobec Polski, niech dalej przeciąga się aż do absurdu ten stan „ni mir ni wojna", jednakże między kulturalnymi sferami obu narodów zapanować winien bezwzględnie mir. *Ars longa vita brevis.* Więc życie jest krótkie. Niech Sztuka poda rękę Sztuce. A rzesze pójdą za nami.

PIÓREM ZDOBYTE PAŃSTWO

„O Litwie, dalibóg, że mniej wiem niż
o Chinach"
(Kamerjunkier w „Dziadach" Mickiewicza).

W narodowem rozbudzeniu i odrodzeniu litewskiem, podobnie zresztą jak w czeskiem i irlandzkiem, wielką a raczej największą rolę odgrywa piśmiennictwo. W pierwszej fazie procesu konsolidowania się narodowości piśmiennictwo nie leży na peryferji warstwy ludowej, nie jest poza nią czy nad nią, jak w narodach państwowo zorganizowanych, ale jest z samego ludu i twi w samym ludzie, nie jest nadbudową czy gmachem nadwartości idealnych, ale tworzy sam fundament, kamienie węgielne samookreślenia i wyodrębnienia, na których dopiero może wznosić się wielka więź gromadzka społeczności już wyodrębnionej, na czem dopiero funduje się nawa państwowości i fasada państwowa. Twórczość samorodna ludu, jego ogółowy genjusz improwizacyjny, imaginacyjny, wyobraźniowy, — to warunek sine qua non, pieśń gminna, arka przymierza między starymi, zamierzchłymi a nowymi laty, nowoczesnością. Lud, który obdarzony jest wyobraźnią stwarzającą własną mitologję, własne epos, własną pieśń, musi mieć też swoje państwo własne; może je stracić, ale winien je odzyskać. Albowiem jest twórczy, odrębny, inny. I daje nowy ton w symfonji ludzkości.

To też tak w odrodzeniu narodowem czeskiem, irlandzkiem, jak i w ostatniem litewskiem ci, którzy odgrzebują z niepamięci „powieści gminu", pionierowie twórczości pierwszej, nieświadomej, impulsywnej, prymitywnej, wykonywają pracę prymordjalną, podstawową, zasadniczą, wytwarzają główną więź, główne spoidło organicznej solidarności, dają ten zespół komórek jędrnych i zdrowych, z których zrastania wyłania się potem jedność wyższego rzędu t. j. spólnota językowa, a wreszcie korona całości — naród skrzepiony i stwardniały w państwo.

Jak tedy w odrodzeniu narodowości a potem państwowości czeskiej i irlandzkiej tak i w równie pięknym i wzruszającym renesansie dzisiejszej upaństwowionej Litwy ludzie pióra, skromne pszczoły napracowały i namozoliły się ciężko, spełniając przedewszystkiem zadanie znoszenia miodu „powieści gminnej" do barci, zadanie wyszukiwania, odnajdywania i magazynowania tego wszystkiego co kiedyś w zaraniach wytworzył, wyśpiewał gmin, lud, włościaństwo.

Niewielka to rasa ci Litwini i nie duży to kraj ta Litwa, ale jeżeli mowa o predyspozycjach charakteru i intelektu gromadzkiego, jeżeli mowa o możliwościach rozwoju i rozrostu kulturalnego, o okolicznościach sprzyjających intelektualnym od nich niespodziankom, jeżeli mowa o złotej grudzie artyzmu, tkwiącej w pokładach tej rasy, — to szczupłość tego terytorjum i znikoma cyfra ludności jak nigdzie indziej tak i tutaj nie wpływa ujemnie na zadatki wielkiej i wspaniałej przyszłości... Ta małość bowiem bywa zwykle koeficjentem właśnie kulturalnej i artystycznej

wielkości, bogatej sztuki i zdobywczej literatury.. Nie trzeba zaraz wywlekać koniecznie przykładu starej Hellady, aby sobie przypomnieć już z naszych dziejów, jak właśnie ta kresowa „Graecia capta" duchowo, moralnie i intelektualnie właściwie rząd dusz w Polsce przez trzy wieki sprawowała. Florencja Medyceuszów była mniejsza. A Belgja? Holandja? Szwajcarja? Norwegja naród także czysto chłopski, w cyfrze jeszcze mniejszy, a iluż to oprócz Ibsena, Björnsona, Hamsuna, Amundsena wydał pomniejszych ale światowych znakomitości? Belgja w jednej generacji i regentów i ministrów doskonałych i Verhaerena, Rodenbacha, Demoldera, Lemonniera, Girauda, Gilkina, van Leberghego, Crommelyncka, Meuniera! Merciera! W minimalnej Danji niema analfabety na lekarstwo, jest 400 księgarń, 50 pisarzy subwencjonowanych przez państwo, a jeden laureat Nobla przypada na 55.000 mieszkańców...

Jakżeby tedy nam godziło się patrzeć przez lunetę lub mikroskop na to państwo z tej racji że małe, skoro właśnie nam samym jeszcze piętnaście lat temu jako „małemu" narodowi cały glob ziemski odmawiał prawa samorządzenia się na własnem terytorjum?

Jakże nikczemna i zła jest tedy natura ludzka, chyba ogólno-ludzka, chyba całej species humana, skoro wczorajszy niewolnik, bity i poniewierany, często łańcuchy rwący ale często tchórzliwie skomlący, śmiałby ledwie że wyzwolony i jeszcze niewolnictwo w duszy noszący — czelnie odmawiać prawa państwowego samookreślenia i bytu samoistnego rasie, z której zresztą tyle pożywnych i ożywczych soków wyssał?

O Litwy możliwościach kulturalnego rozwoju i rozmachu jeżeli mowa, o promieniowanie jej duchowości w przyszłości jeżeli kwestja, to tutaj małość terytorjum państwowego nie wchodzi w grę zupełnie. I czy jakiś kraj jest rozleglejszy o kilkadziesiąt setek mil kwadratowych czy nie, czy odebrał już fikcyjnie czy nie fikcyjnie przynależną mu Alzację czy Ulster — to nietylko na rozwój jego kulturalnych, t. j. nie przemijających, wartości ale nawet na prestige państwowy i wagę w opinji narodów wcale nie wpływa. I bez Strasburga Francja grała na pierwszych skrzypcach w koncercie europejskim. Z Goljatem o sto kilo cięższym może rywalizować Dawid nietylko na zapaśniczej arenie. Mała zaś Szwajcarja przetrwała i wielkiego Napoleona i trzy wielkie cesarstwa. Bywają zasię zaokrąglenia terytorjalne, które wprawdzie łechcą rewindykacyjne ambicje, ale równocześnie stają się kością w gardle i wszczynają ropienie organizmu... ot, choćby Ulster...

Porównanie to nastręcza się tem łatwiej jeżeli się zważy, że odrodzenie narodowe Litwinów w swej genezie i w swym przebiegu i w swym niepospolitym uroku dla każdego szlachetniej problematy narodowościowe przemyślającego, bliźniaczo podobne jest do odrodzenia gaelickiego, irlandzkiego. Już psychika tych dwóch narodów włościańskich, katolickich, romantycznych i do mistycyzmu inklinujących, jest omal że identyczna, fenomenalnie zbliżona. To są jakieś jakby sobowtóry etniczne. Już w pięknie pejzażu jakby tasama melancholja, tensam smętek... W charakterze i obyczajowości co chwila, co moment analogje i analogje. Ten-

sam panteizm i w mitologji; w klechdach — tosamo antropomorfizowanie sił i potęg przyrody, tesame gusła i zabobony, czarownictwa, strachy i obrzędy starodawne. W obyczajowości i w obrzędowości tesame formy i celebry. W charakterach ludów obojga tasama szczerość, impulsywność, popędliwość, zapalczywość, kłótliwość, zaciętość, upór i przekora. I tensam alkoholizm. I tosamo pieniactwo. I tesame przymioty i wady rozpętanej wyobraźni. I tesame rytmy i zawodzenia w „dajnach", rycerskich pieśniach i opowieściach, i w „raudach" pogrzebowych. I tosamo współżycie ze zmarłymi, z duchami, z „the others". No i wreszcie tensam wywalczony „home-rule", zmieniony na „Rome-rule" w obu „pony-states" t. j. supremacja nietylko duchowa ale faktyczna ucywilnionego niejako kleru jako „rządu dusz". Są oczywiście i różnice historyczno-polityczne. Tam Eryn wynarodowiony ogniem i mieczem purytanizmu i protestantyzmu, wyzwolił się tylko połowicznie po dziesięciu stuleciach potwornego, sadystycznego ucisku landlordów, diehardów i „zjadaczy żelaza", ironeatorów, — a wyzwolony stanął w słońcu blady, bezkrwisty, bezsilny, znękany i do żadnej politycznej roli się nie kwalifikujący. Tutaj zaś wielowiekowe, zgodne, harmonijne pożycie, całkowi tasamodzielność, ledwie „subkingdom" Litwy, z jej własnym skarbem, wojskiem, hetmanem, kanclerzem, ustawodawstwem i z jakąś stałą, przedziwną, nigdzie niebywałą wzajemną osmozą, gdzie całe rody, całe klany białoruskie i litewskie się polonizowały, a potem całe rodziny najrdzenniej polskie znów litwinizowały, gdzie Litwa dostarczała Polsce najgorętszych i najbardziej

heroicznych bohaterów całości i nietykalności wspólnego imperjum, a Polska Litwie najzaciętszych i najmaksymalniejszych rzeczników separatyzmu i pełnej suwerenności. I oto znów różnica, że po wieku ciężkiego ale *wspólnego* ucisku zbiegiem okoliczności szczęśliwych i ta „Irlandja Polski" otrzymuje niepodległość kompletną, niestety na to tylko, by w pierszych dziesięciu latach zwrócić się frontem bojowym przeciw swemu wielowiekowemu współlokatorowi, patronowi, dobroczyńcy i obrońcy.

Jest dalej różnica ustosunkowań między Anglją i Irlandją a Polską i Litwą, zasadzająca się na odmiennem wyznaniu religijnem Anglji i Irlandji i wypływających stąd nieprzejednanych animozjach i konfliktach. Polityczne zaś analogje nastręczają się znów przedewszystkiem między angielską enclavą w Irlandji, t. j. Ulsterem, a polską enclavą na Białorusi, t. j. Wilnem, i tu i tam kośćmi niezgody między rozseperowanymi uczuciowo narodami.

Bardzo ciekawa i ważna analogja w obu wyzwolinach państwowych polega na tem, że tak w Erynie jak i w Lietuvie budzicielami, bojownikami i chorążymi samowiedzy narodowej, a przedewszystkiem emancypacji językowej byli uczeni z narodowości suwerennej. W obu odrodzeńczych procesach pierwszymi pionierami, odgrzebywującymi na wierzch skarby językowe, klejnoty folkloru, bogactwa kronik, rapsodów, klechd, podań, mitów i legend, są dla Erynu Anglicy, dla Litwy Polacy. To czego dla Czechów dokonał Jungmann, tego odkopywania i galwanizowania gaelicko-irlandzko-celtyckich skarbów zatajonych, podjęli się

stuprocentowi Anglosasi: Stokes, Nuts, Douglas Hyde, Max Müller i inni. W dziele zaś odwalenia płyty grobowej nad zakopaną świątynią Kryvé-Kryvejte, w dziele wyciągnięcia ze świronków, lamusów, zakrystyj, strychów i bibljotek klasztornych zapomnianych foljałów, w dziele odpylania i organizowania języka litewskiego, Olimpu, mitologji, legend, dziejów bajecznych i istotnych, w dziele wyciągnięcia z głębiny Świtezi zatopionego dzwonu... „Warpasa"... dopomogli walnie (obok nielicznych Niemców pruskich) dzisiaj tak w Litwie znienawidzeni... „Lenkas".

Pozwólmy tu sobie raz ich przynajmniej pobieżnie zestawić i przypomnieć od prapoczątków. W w. XVI: Kojałowicz „Historia Lithuaniae", „Herbarz rycerstwa W. Ks. Litewskiego". W. XVII: Czacki: „O Litewskich i polskich prawach", Lelewel: „Rzut oka na dawność narodów litewskich", Jaroszewicz: „Obrazy Litwy", Narbutt: „Dzieje narodu Litewskiego", Jucewicz: „Wspomnienia Żmudzi", „Pieśni litewskie", „Litwa pod względem historycznym starożytnych zabytków i obyczajów", Kraszewski: „Wilno od jego początku do r. 1750", „Anafielas", Kondratowicz: „Margier", „Trzy córki Litwina", „Córa Piastów", Brzozowski: „Pieśń ludu z okolic Aleksoty", Kolberg: „Pieśni ludu litewskiego", Mierzyński: „Źródła do mitologji litewskiej od Tacyta do końca w. XIII", Latkowski: „Mendog, król litewski", Rozwadowski: „Obszar języka litewskiego", Krzywicki: „Żmudź starożytna" i t. d.

Oto i pobieżny wykaz prac magistralnych, na których się opiera renesans Litwy. Dodajmy do tego jeszcze „Zbiory podań, klechd i pieśni" Czeczota, pierwsze

kalendarze ludowe Iwińskiego, pierwszy słownik litewski Szyrwida (1629). Dodajmy dalej „Zbiór melodyj ludu litewskiego“, wydany przez krakowską Akademję Umiejętności! A potem dodajmy jeszcze ten szereg dzieł i arcydzieł polskich, apoteozujących dzieje, legendy, mity litewskie, krajobrazy litewskie, życie chłopów, zaścianków, puszcz, ten cały świat litewski, odkryty nam przez trójcę romantyczną, przez Chodźkę, Syrokomlę, Rzewuskiego, Odyńca, Bernatowicza, przez Orzeszkową, Rodziewiczównę, Weyssenhoffa i tylu tylu innych!

Toż przecież my dawniej właściwie lepiej znaliśmy i dokładniej znali Litwę i jej dzieje i jej obyczaje i jej mieszkańców niż rodzinną, rdzenną Polskę! Toż przecież my od czasów kresowych romantyków naszych uczuciowo, myślowo i marzeniowo więcej byliśmy związani z Litwą jak z własną centralną Polską! Przynajmniej przez te sto lat niewoli! I dopiero teraz w ostatnich czasach znów wróciliśmy do tego stanu zobojętnienia i oziębienia, który Mickiewicz charakteryzuje słowami kamerjunkera w salonach warszawskich koło r. 1828 („Dziady“): „O Litwie, dalibóg, że mniej wiem niż o Chinach“...

Polacy tedy dobrze się zasłużyli ojczyźnie litewskiej. Oni to w lwiej części, ci uczeni badacze-szperacze, odkrywacze, oni to, ci gente Poloni natione Lithuani, oni to, często bene nati posessionati, Litwomani i Litwomanjacy, rozbudowali z gruzów ten stary kastel dawnej legendarnej Litwy starożytnej, pobiałę białoruską przedtem zeń usunąwszy, a do omal gotowych już komnat królewskich tego kastelu, do apar-

tamentów Mindowego, Kiejstuta, Witolda zaczęli najpierw z nieufnością a potem śmielej dopiero wchodzić litewskie... Rymko Ragisy...

Im to też, tym zapalonym Litwomanom, tym Donat-Malinowskim, tym Dowoyna-Sylwestrowiczom, tym „tutejszym" i tym „krajowym", tym biskupom (viskupasom) Baranowskim, też trzeba przypisać ten, że go tak nazwiemy, bovaryzm litewski dzisiejszy, t. j. tę ogólną manję wszechnarodową uchodzenia za coś większego, niż się jest, za wielkie państwo odrazu, które z miejsca chce mieć wszystko co litewskie u siebie, nie znosi ani jednej piędzi ziemi (choćby białoruskiej) pod obcym regimem i które wciąż chce powoływać się na to, że kiedyś, w zamierzchłych czasach, było mocarstwem... miało Vytautasów i Skirgaiłłów... i „zwyciężało" pod Grunwaldem...

Za ten przerost historycyzmu, za to przekarmianie się Litwinów wielkiemi królewskiemi tradycjami odpowiedzialni są w pewnej mierze ci nasi pisarze, którzy jak pater patriae Lithuaniae... Kraszewski, jak Antanas Baronas... i wielu wielu innych, nazbyt swymi „Anafielasami", lub jak Baranowski swemi trenami i elegjami, dawną wielkość państwa litewsko-żmudzkiego opłakującemi, rozbujali megalomanje tego dziwnie żywą imaginacją obdarzonego, pozornie tylko ociężałego narodu.

Historycyzm, przesadny *histeryczny historycyzm* i kult wielkich tradycyj i wielkich *kunigaikształów*, rozbudzony przez pisarzy polskiego pochodzenia, wywołał ten bovaryzm litewski, to nieliczenie się z rzeczywistością ekonomiczną i gospodarczą, ba nawet po-

gardę dla niej, o ile staje w kolizji z wypełnieniem któregoś ze snów o potędze, z oddaniem jakiejś połaci ziemi, w której są pewne pamiątki historyczne, pewne ruiny, pewne... runy... pewne *regalia naufragio erupta...*

To też obserwując ten bovaryzm litewski nawet z dość bliska, ex autopsia, zdumiewać się przyjdzie, skąd równocześnie w tym narodzie, który właściwie nieco cierpi na napęcznienie ambicyj suwereńskich i prestige'owych, w narodzie tak pewnym już swego ustabilizowania na mapie, ba, tak nawet zaczajonym już na ekspansję... równocześnie we wszystkich środowiskach i koterjach miarodajnej inteligencji panuje jakiś przedziwny lęk, przedziwna obawa przed ponownem wchłonięciem Litwinów przez kulturę polską, nietyle nawet przez państwowość, ile właśnie przez kulturę. Mamy tu zatem do czynienia z typowym objawem t. zw. „megalomanji prześladowczej", częstej i u indywiduów i w collectivach, w tym razie zupełnie zbytecznej, bo bezpodstawnej. Mamy bowiem tysiące dowodów na to, że jak do połowy w. XIX Litwini się polonizowali, tak od połowy a już bezwzględnie przy końcu w. XIX zaczął się proces odwrotny litwinizowania Polaków lub powrotu polonizowanych Litwinów na łono właściwej macierzy. To niebezpieczeństwo jest zatem w swej przesadzie stanowczo urojone i nierealne. W gorączkowym oporze przeciw grożącej „pénétration pacifique", przeciw przenikaniu kulturalnemu polskiemu zapominają Litwini o tem, że kiedy na rzecz Polski i na benefis jej prestige'u i chwały stracili istotnie Kościuszków (ongiś

prawosławnych Białorusinów), Reytanów, Trauguttów (Traugott — rodzina niemiecka), dalej Mickiewicza, Sienkiewicza, Norwida, Orzeszkową, Domejkę, Chodźkę, Odyńca, Karłowicza, Moniuszkę i t. p., to bądź co bądź na rzecz Niemiec straciła Litwa... Kanta, a na rzecz Rosji... Dostojewskiego, obu z litewskich rodzin się wywodzących. Litewska „megalomanja prześladowcza“, zresztą miejscami nawet humorystyczna, no i zresztą psychologicznie zrozumiała, bo pospólna wszystkim narodom bezpaństwowym „na dorobku“, stanowczo tedy wyolbrzymia i egzageruje niebezpieczeństwo „Lenkasów“, bagatelizując równocześnie „Drang nach Osten“... „Voketisów“. Wobec nadchodzącego „accord politique“ raczej to nam, opierającym się na doświadczeniach teraźniejszych, obawiać się należy, abyśmy w procesie wzajemnej osmozy nie dostarczali właśnie Litwie za dużo tego gatunku intelektualnego, lâchons le mot, nawozu („Kulturdünger“), który przy znanej polskiej ośrodkowości i przeroście indywidualizmu ostrzem swego poczucia i swej przekory narodowej właśnie nie zwróciłby się przeciw macierzy, jak to już tyle tyle przykładów na Litwie mieliśmy w dawnych wiekach (Janusz, Magdalena, Konstanty...), w dzisiejszych wileńskich „krajowcach“, no i w dzisiejszym kowieńskim sztabie generalnym, w ministerstwach, w rządzie, w dyplomacji i w literaturze.

Przedewszystkiem w literaturze... w piśmiennictwie.

Piśmiennictwo to bowiem, dobrze wzmocnione żywiołem ex-polskim, „gente Poloni natione Lithuani“, jest, istnieje, rozwija się bujnie, rosochato, w coraz to cieńsze i wytworniejsze gałązki. I jest to piśmien-

nictwo pancerzem, który chroni i uchroni naród przed wszelkiemi zakusami z zewnątrz, przed zachłannościami i łapczywościami wszelkich sąsiednich imperjalizmów, starych i nowych. Oparte i ufundowane na prastarych zabytkach folkloru, na „dajnach“ i „raudach“ („sokach z gleby“), któremi już tak zachwycali się Goethe i Herder, potem żyjące skromnie z tłumaczeń psalmów, Ewangelij, katechizmów, postylli, Biblji, książeczek dewocjalnych, kalendarzy, „melitelów“, w wieku XVIII ma już pisarzy „rastininków“, którzy tłumaczą na literacki Wirgiljusza i Owidjusza (Bohusz), a z polskiego Karpińskiego, Krasickiego, Kniaźnina (Klementas). I ten sam w. XVIII daje im już pierwszego poetę narodowego: Duonelatisa, krew z krwi, kość z kości litewskich, który język ludowy, surowy, gminny, jeszcze niepewny siebie, „lingua vulgaris“, podnosi na wyżynę już zbliżoną do poziomu literackiego, ba — już mu daje rytm heksametru. Po omal wieku piekielnego dławienia przez niemiecką biurokrację i administrację despotycznego caratu „Moskali“ pod koniec w. XIX era raptownego zatlenia i rozpłomienienia małych ognisk i zniczów odrodzenia. Powstają grupy i skupiny zrzeszeniowe budzicieli i chorążych. Najtęższa w Tylży: „Auszra“ („Jutrzenka“) — Baranowicz, Szliupas, Malinowski, Sylwestrowicz, Sauerveinas, zespół raczej konserwatywny. Radykali gromadzą się koło „Dzwonu“ („Warpasa“), gdzie przewodzą studenci warszawscy i moskiewscy (Kudirka, Pietkiewicze). Innych skupia koło siebie „Apszwalga“, a dołączają się jeszcze skupiny publicystyczno-polityczne z emigracji amerykańskiej i różne perjodyki: „Aidasy“

(„Echa“), „Kaleiwisy“ („Pielgrzymy“), „Darbo-Balsasy“ („Głosy Pracy“). Z prasy ludowej, dydaktycznej, samoukowej, tygodnikowej wyłania się i prasa miejska, codzienna i pierwszy dziennik na terytorjum tylko historycznie nie etnicznie własnem, t. j. „Vilniaus Žinias“.

A jaką ma magnetyczną siłę przyciągania do siebie ten mały noworodek jeszcze na długo przed chrztem państwowości własnej — to dość powiedzieć, że już wtedy z całkiem heterogenicznych nalotowych żywiołów zyskuje to piśmiennictwo tęgiego uczonego, etnografa-lingwistę, mitologa, docenta uniwersytetu petersburskiego Edwarda Voltera, również tęgiego dramatystę Landsberga (Žemkalnis), autora „Blindy“ (litewski zbójnik, Kostka Napierski?... Janosik?) i wreszcie że autorem jednego z głównych hymnów patrjotycznych jest Jurgis... Sauerveinas... ponoć Hanowerczyk z pochodzenia.

Duży już teraz bór literacki wyrósł z tego małego przed ćwierćwieczem zagajnika; ma już nawet swe mateczniki koteryjne i ma polemiki między matecznikami, tylko oczywiście na małą, na bardzo maleńką skalę. Dzisiejsi Wajdeloci, derwidzi, burtininki (trubadurzy), rapsodyści i pieśniarze nowych „dajno“ i „dajnele“, rekrutują się z ludzi cywilnych, zarabiających na życie po kancelarjach, biednych, bardzo biednych, często proletów dosłownych albo znów dygnitarzy państwowych (czytaj powiatowych). Stąd też ta moc pseudonimów i noms de guerre, boć księżom nie wypada np. oficjalnie wydawać liryk... erotycznych. Jak w Irlandji izra-elity ni na lekarstwo. I jak

w Irlandji tematy wiejskie, chłopskie przeważają, boć miast niema, a stolica mniejsza od... Kalisza. A w tej beletrystyce wioskowej już się znalazło miejsce i na dialekty, na gwary... suwalską... pruską... żemajdżką. Już sobie i na to może pozwolić język Lietuvasów. A język to piękny, naprawdę bardzo piękny. Gdzie to te czasy, kiedy nasz Syrokomla-Kondratowicz skarżył się, że on Polak nie ma z kim gwarzyć po litewsku! Gdzie to te czasy, kiedy Kraszewski własnym kosztem musiał wydawać na litewski język przez Polkę Proniewską i Vilejszisa przetłumaczony „Anafielas", który tem stał się dla Litwinów, czem „Kalewipoeg" dla Estonów, „Fianna" dla Irlandczyków, a „Rękopis królodworski" dla Czechów...

Dziś tam wszyscy w Litwie albo już mówią po litewsku albo dniami i nocami uczą się odgrzebanego języka. Ponieważ przy tworzeniu państwa, wiele, wiele słów brakowało, więc istniały specjalne komisje językoznawcze, które dorabiały, dopożyczały, z przeraźliwą pedanterją wystrzegając się tylko języka polskiego: słowo litewskie „tamczesiś" tymczasem skorygowano np. na „tamłykis"... I stąd ta pobiała rosyjska ciążąca na duchu całej literatury...

Ale język to piękny, bardzo piękny, śpiewny, melodyjny, czasem przypominający w deklamacji czy ze sceny grekę, czasem hiszpański, czasem esperanto... czasem sanskryt...

Żywi nie traćmy nadziei, że wśród pisarzy polskich wzbudzi się w stosunku do Litwy i litewskiej Literatury taki prąd gorącego zainteresowania i sympatji, jaki np. w angielskiem piśmiennictwie i wśród

poetów angielskich już począwszy od Swifta powstał dla irlandzkiej Gehenny...

I żywi nie traćmy nadziei, że w prześlicznym wierszu Mickiewicza, brzmiącym tak:

Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu,
Śmiałe jak dawniej wyciąga ramiona
I rzekę krasnym przeskakując wiankiem
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.

nadchodzące lata, usunąwszy przedtem filo-pruską tymczasową („tamłykis" po litewsku!) tamtejszą psychozę, poprawią też i w tym wierszu słowo „pruskie" na „polskie".

I będzie się wtedy czytało:

Tylko gałązka litewskiego chmielu
Wdziękami *polskiej* topoli nęcona...
. . . . . . , . . .

OBY!

WYSPIANDER

(MOJE WSPOMNIENIA)

Wielokrotnie nagabywany o napisanie swoich wspomnień z dziś już dyluwjalnej ery powstawania i rozwoju t. zw. „Młodej Polski“ literackiej, jeszcze wielokrotniej proszony o moje reminiscencje o największym z naszego pokolenia, spadkobiercy testamentu naszych trzech wieszczów romantycznych a naszej nadchodzącej państwowości polskiej zwiastunie, — tym razem ulegam propozycji z dwóch głównie powodów. Po pierwsze: aby na tym terenie właśnie, gdzie tyle miejsca poświęca się duchowym ustosunkowaniom międzynarodowym i skąd tyle czerpie się wiedzy o wszelkiej twórczości różnonarodowej, stwierdzić raz jeszcze na największym naszym przykładzie, że dosłownie nieśmiertelnem zjawiskiem literackiem może być tylko poeta z ducha i z posłannictwa skroś narodowy. A po drugie: aby rozśpiewanej aktualnie ptaszkarni i tym tak szybko opalającym sobie skrzydła stubarwnym motylom i tym nieprzeliczonym „jętkom jedniodniówkom“ i komarom genjalnie kąśliwym i fruwającym frywolnie drobnoustrojowym kreaturom dnia hałaśliwego przypomnieć raz jeszcze usuwającą się już w mgły na horyzoncie erę i loty podniebne orłowych ptaków. Niechże właśnie im się uwidoczni przepaść różnic niezgłębionych między sąsiadującymi genera-

cjami, niechże się uwidoczni, na jak innej planecie żyło się wczoraj, ile elementów burzy i walki była w potocznym dniu powszednim, a ile pięknej prostoty w Wielkości. Dla powstydzenia „médiocrité macrocéphale" trzeba czasem pogrzebać i w przeszłości. Za lat dwadzieściapięć dzisiejsi będą tak znowu mogli kłuć w oczy owoczesnym.

Opowiedzieć chciałbym multum et multa, z lamusa wspomnień wydobyć najdziwniejsze zabawki, cudactwa, rupiecie, ewokować mityczne czasy, do których rzadko kto może i chce jeszcze wracać myślami a które jednak w naszem pojęciu miały coś z wielkich przedświtów i przedwiośni, miały dynamit światoburczy rewolucyjnych dążeń i wierzeń. Że zaś On był istotnie Jedynym z moich współczesnych, do którego z latami już za życia rósł dystans współżyjących. Jedynym, w którym już za życia odczuwało się patos pomazańca, natchnionego wśród genjalnych lub utalentowanych, Jedynym, któremu cierpienie fizyczne i katorga niedoli ukuły z krótkiego życia przepiękny rapsod bohaterski, — przeto wszystko co jemu współczesne można już potraktować jako spłowiały szeroki gobelin, na którego tle stoi biała herma Nieśmiertelnego.

Uprzedzić muszę, że będzie to bezpretensjonalne wydobywanie ze starej szkatułki i oglądanie pod światłem starych fotografij, przebrzmiałych afer, miłych pamiąteczek, różnych zatracających się już drobnostek, małostek, miłostek, śmiesznostek, przez to tylko jakimś walorem kruszcowo brzęczących, że związanych z nazwiskami, które niby przeszły do encyklopedji, niby

coś znaczą w dziełach sztuki i piśmiennictwa, a w gruncie rzeczy są już tylko przydrożnym pyłem i znikomością. I będzie w tych wspominkach, już coraz smętniejszych, mętniejszych i bledszych, jeszcze jako tako żywa prawda z gatunku tych prawd pamiętnikarskich, jakiej tak dużo jest w pamiętnikach ...braci Goncourtów a tak mało w ...Przybyszewskiego „Moich współczesnych“.

SIELSKIE, ANIELSKIE...

Od jak dawnych czasów przypominam sobie Wyspiańskiego?

Od gimnazjalnych, od św. Anny w Krakowie. Tymi samymi szlakami, tymi samymi ulicami, Kanoniczną, Sądową i Plantami, chadzało się do sztuby, Wyspiański o osiem lat starszy ale tylko o cztery klasy wyżej. Po drodze stale wedle zwyczaju wstępowało się do kapliczki św. Jana Kantego, aby tu klęcząc wybłagiwać protekcję przed tyranją belfrów, zwłaszcza, że się nie należało do „kujonów“ i bębnieniu lekcyj nie za wiele poświęcało czasu. Jeszcze istniał wtedy ukochany Amfiteatr Nowodworski, tu gdzie teraz sala czytelniana Bibljoteki Jagiellońskiej, jeszcze tercjanem był stary Jan o twarzy mohortowskiej, który pamiętał pono sypanie kopca Kościuszki. Z tych lat, jak przez kilka opon mgławych, pamiętam wspaniały obchód 300-lecia gimnazjum, do którego ósmaki z pomocą brzdąców dekorowali Amfiteatr, i — o ile mi się zdaje — Wyspiander już odgrywał przytem jakąś rolę większą, podczas gdy ja prowadzi-

łem soprany w chórze, który odśpiewał uroczystą kantatę Żeleńskiego do słów „Pozdrowiona bądź ty starodawna kolebko muz"... Wiem dalej z tradycyj gimnazjalnych, że Wyspiański uczył się fatalnie, i jeżeli przechowały się z tych lat „katalogi", to „noty" musiały być bardzo liche. W tych latach spotykaliśmy się jeszcze tylko w Bibljotece Jagiellońskiej. Bywało bowiem tak, że w miesiącach wakacyjnych, t. j. w lipcu, sztubakom wolno było w pewnych godzinach „uczęszczać" do Bibljoteki, zanim zaczynały się ferje i zamykano. Ja wtedy odwalałem całego Szekspira, przepisując sobie niewiadomo poco co piękniejsze sceny; Wyspiandra jak dziś pamiętam odrysowującego inkunabuły z kodeksu Behama. Już był po maturze a przed wojskiem i już coś tam pomagał Matejce przy Pannie Marji. Państwo Stankiewiczowie, u których się chował, mieszkali wtedy na Zaciszu, tuż obok rodziców Ordyńskiego. Wuja Wyspiańskiego przypominam sobie jako jakiegoś olbrzyma z sumiastymi wąsami, urzędnika w Kasie Oszczędności przy Klęsku, gdzie zresztą i ja potem jakiś czas, będąc na uniwersytecie, pracowałem jako „saldokontysta", co skończyło się szybko, gdyż narobiłem myłek w obliczeniach na kilkaset złotych, oczywiście na benefis osób z publiki, i dostałem „consilium abeundi".

GROŹNA CHMURA...

Kiedy w r. 1894 zdałem maturę u św. Jacka i wstąpiłem na prawo, Wyspiański przebywał w Paryżu, i to już — zdaje się — za drugim nawrotem.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim zapanował wtedy wśród młodzieży żywy ruch organizacyjny, silniejszy nawet po stronie prawicowej, jako przeciwstawienie się radykalnej Czytelni Akademickiej. Powstała silna korporacja „Jagiellonja“, głównie z paniczyków i młodzi agronomję studjującej, dalej Kółko Prawników, prowadzone w stylu korporacyj niemieckich, no a wreszcie rozbudowała się mocno Sodalicja Marjańska. Jako syn radcy apelacyjnego, latorośl rodziny konserwatywnie myślącej i abonującej „Czas“ w drugiem pokoleniu od jego zacządków (r. 1848), miałem wskazane zapisanie się do tych związków, przyczem w organizacji Kółka Prawników brałem żywy udział. Tam też debjutowałem podczas pewnego „Bierabendu“ odczytaniem drastycznej noweli, która wywołała żywe oburzenie asystujących profesorów iuris przy gorącej aklamacji komilitonów. Z Sodalicji Marjańskiej usunięto mnie wraz z dziewięcioma członkami z powodu nieprzystojnego zachowania się podczas jednego zebrania i nieco gorszącego żywota wogóle. I wtedy to powstała idea założenia Kółka Literackiego, które stało się właściwie zalążkiem i jaczejką Młodej Polski.

„KÓŁKO“

Kółko miało raz w tygodniu zebrania wieczorne w małej knajpinie na Rynku u Lesisza; należeli tu, o ile pamiętam, jeszcze nigdzie wówczas nie drukowani ale już przepełnieni żądzą twórczą Wł. Orkan, R. Ordyński, M. Szukiewicz, A. Stopka, M. Krajewski, T. Zakrzewski, K. Mayzel, A. Łada-Cybulski (póź-

niejszy tłumacz Wyspiańskiego na francuski), muzyk Krzyształowicz, młody Mozart, autor jeszcze dotychczas nienapisanej opery „Yrsa“. Podczas zebrań tygodniowych wygłaszało się referaty i czytało poematy, nowele, ba, nawet całowieczorowe dramy. Ster był w rękach najstarszego, ostatniego romantyka, Maćka nad Maćkami Szukiewicza. Kraków ówczesny był jeszcze w całem tego słowa znaczeniu Alt-Heidelberg, a conieco St.-Denis, nieco Weimar a nieco Bruges la Morte, maleńki, cichy, dystyngowany, senny, urzędniczo-profesorski, ale już pełen kiełkujących indywidualności. W kancelarji mojego ś. p. ojca pracowało pod oknem dwóch „auskultantów“, w których nigdy nie byłbym przeczuwał późniejszego szefa sekcji w Wiedniu a potem redaktora w Warszawie, ś. p. Ignacego Rosnera, i obecnego redaktora „Czasu“, dr. Antoniego Beaupré. Jacy to oni bywali dla mnie wtedy grzeczni! trzydzieści lat temu, — a jaki ja później musiałem bywać dla nich niegrzeczny i nieprzyjemny!... W tym to idyllicznym, patrjarchalnym Krakowie na wierzchu właściwie niby nic się nie działo, ale jednak już się dużo przygotowywało. Przedewszystkiem dopolszczały się stare urzędnicze, uniwersyteckie i kupieckie rodziny niemieckie. Przecież jeszcze ojciec Anczyca, autora „Kościuszki pod Racławicami“, pisał się Anschütz, tak jak dziadek rodziny Estreicherów — Oesterreicher, a ojciec L. Rydla, profesor okulistyki, — Riedel, a poprzedzający St. Tarnowskiego prezes Akademji Umiejętności, mały ekscelencja Meyer, mawiał dość błędnie po polsku i chadzał za mojej dziecinnej pamięci w „halsztuku“. Kiedy myśmy zakładali nasze Kółko

Literackie, w Krakowie rezydowały jeszcze spore tuzy piśmiennictwa. Na Łobzowskiej brodaty posępny bard postępu i demokracji Asnyk; w efemerycznej gazetce Rogoszowej pracował przy biurku nieco melancholijny, bo stale walczący z nędzą, Bliziński, autor cudownej i na złość stańczykom napisanej jednoaktowej „Dzikiej różyczki“, która jest jakby ideową zapowiedzią... „Warszawianki“ Wyspiańskiego. Na Zwierzyńcu mieszkał we dworku z przyjaciółką epuzer z epoki i z dworu Napoleona III, dawny magnat a utracjusz, zawsze zasapany Sarnecki redagował literacko-artystyczny „Świat“ wcale wytwornie. Przy ul. Batorego rozbił swe namioty jeden z ziemiańskich „rozbitków“ (Blizińskiego), Sewer-Maciejowski, jowjalny, szlagoński rasowiec ze szczerą predylekcją do wszystkiego co młode i nowe. Sympatyzując z tymi trzema, my Kółko Literackie, jako antypodę i usymbolizowanie tego, co mamy zwalczać mianowaliśmy czwartego z tych starców, t. j. Michała Bałuckiego, ulubieńca krakowskiej społeczności, mieszczucha, „mydlarza“ i filistra, aczkolwiek z filistrami się przekomarzającego. Jako zaś naszych prekursorów uznaliśmy Rydla i Tetmajera, ceniąc w nich głównie nie liryków ale autorów dramatycznych, debjutujących w stylu Maeterlinckowskim, gdyż Maeterlinck był dla nas wówczas alfą i omegą wszystkiego co nowe, zamorskie, przedziwne, delikatne, egzotyczne, nienaskie. Poza Maeterlinckiem entuzjazmowaliśmy się wówczas włoską Adą Negri, z „Moskali“ Gorkim, no ale głównie, fanatycznie — co to zatajać — Niemcami, młodymi Niemcami, jedni Schnitzlerem, Hofmannsthalem, Bahrem, Altenbergiem, to znów

Hauptmannem, Sudermannem, Halbem, Hartlebenem, no a generalnie oczywiście norweskim Germanem Ibsenem, którego każdy z nas coś tam tłumaczył lub studjował.

O tem, że wyszła już gdzieś z druku jakaś „Legenda“, nikt z nas nie wiedział. I wogóle nawet się nie przeczuwało tego, że Wyspiander literacko się bałamuci i że może kiedyś zacząć rywalizację z takimi nowymi zdobywcami sceny, jak Zapolska, Rydel lub wreszcie autor fenomenalnego „Erosa i Psyche“. Uważało się go wyłącznie za malarza, i to jakiegoś nieco się „bakierującego“, schodzącego przedwcześnie na jakieś manowce i dziwactwa, za artystę, owszem, ale takiego, który w Paryżu poddał się z miejsca wpływom jakichś głównie plakaciarzy, afiszerów, no i witrażystów. Z prac jego dotychczasowych znało się bardzo mało. Trochę „portraits“ znajomych panien w rodzinach Ciechanowskich, Koczów, Unierzyskich, Gorzkowskich (panna Hanna), z powodu „zbrzydzenia“ modeli zczasem podobno podartych i niszczonych, dalej te kartony, długie, witrażowe, swego czasu na wystawie sztuk pięknych popowieszane pogardliwie w klatce schodowej, — i nic więcej. Kółko Literackie nie miało tedy racji nim się zajmować. Kółko miało swoją wielką lożę w Teatrze Nowym na drugiem piętrze przy scenie i w pierwszych latach dyrekcji Pawlikowskiego decydowało swą protekcją o sukcesie lub klapie każdej premjery. Ponieważ zespół artystów był świetny, a na repertuar składały się ostatnie nowalje i wykwintności literackie wszystkich narodów, świetnie tłumaczone i doskonale inscenizowane, przeto

Medyceusz Pawlikowski miał w nas najinteligentniejszą klakę jaką można sobie wyimaginować. Dopiero po jakimś czasie przygodnie po raz pierwszy dowiedziałem się, że i Wyspiander coś tam sobie pisze. Wyjawił mi to najwierniejszy, najcichszy i najwcześniej zgasły przyjaciel wielkiego poety, Zenon Parvi. Był to sobie skromny człowieczek, współpracownik „Nowej Reformy", którego Wyspiański bardzo kochał, właściwie dla jego dziwacznego wyglądu conieco „Quasimoda", o anielskiej dobroci i cierpliwości a o niesamowitych rączkach dziecka siedmioletniego. I on to mnie namówił, żebym do „Stasia" zaszedł i ewentualnie go poprosił do współpracy w nowem piśmie literackiem, o którem się wśród nas ciągle mówiło, a które stale nie przychodziło do skutku z powodu braku „tych pierwszych stu ryńskich".

ULICA CONRADA I STANISŁAWA

Wyspiański mieszkał wtedy z przezacną ciotką swoją, już wdową, przy ul. Poselskiej w kamienicy „hrabiów" Hussarzewskich, na drugiem piętrze; szło się do jego pokoju przez jakąś oszkloną werandę pełną kwiatów i gospodarskich rekwizytów; okna wychodziły na ogród. I rzecz dziwna, że tuż w kamienicy obok, gdzie dzisiaj biura magistrackie, mieszkał aż do 19-go roku życia inny Polak i wielki pisarz, choć nie polski autor, t. j. Conrad- Korzeniowski, od Wyspiańskiego o dwanaście lat starszy. Kiedy młody Korzeniowski wyjeżdżał do Poli, do portu austrjackiego, Wyspiański miał lat sześć. Jakiś czas dręczył mnie

w Krakowie zabawny problemat, czy też dziewiętnastoletni Conrad, chadzający po Poselskiej, spotykał tam czasem kędzierzawego chłopca, idącego z torbą na plecach i bułkami w papierze do szkoły Larischa, przy tejże Poselskiej wówczas się znajdującej, no i czy jest możliwe, żeby ojcowie tych dwóch pisarzy się nie znali? Mieszkali tak blisko siebie. Stary Wyspiański jakiś czas nosił się po polsku, „w czamarze", jak i stary, znękany, posępny, zgryźliwy pono (wedle relacji Buszczyńskiego) Sybirak, „insurgent", lubownik Viktora Hugo i tłumacz Szekspira, Apollo Korzeniowski. Że takich z polska się noszących w owym czasie w Krakowie bywało nie tak wiele, więc chyba w mieście, stańczykowskiemi toksynami antypowstańczymi skroś zakażonem, musieli lgnąć do siebie, trzymać się solidarnie i gawędzić ze sobą gdzieś tam na ławkach starych „Plantów" Straszewskiego, pod pomnikiem Grażyny może?

Od tego roku, t. j. od 1896 czy też 1897, właściwieśmy się zbliżyli. Mieszkał wówczas, jak się rzekło, z ciocią Stankiewiczową przy ul. Poselskiej. Duży, miły pokój, „studio", zawalony był tekami w kozłach, białemi stołami, półkami bibljotecznemi, stalugami, wiszącemi kartonami witrażów, stosami książek i zielników, tak że poprostu ruszać się tam nie było można; jakiś czas stała też i fisharmonja. Książek i wydawnictw francuskich ilustrowanych sporo. Już był wtedy nieco i do ziomków i do „kraju rodzinnego" zrażony, a Kraków uważał za miejsce pobytowe, za „posielenje", za zesłanie in partibus infidelium. Już miał za sobą całe pasmo zgryzot; od Lwowa konflikt ze „Ślu-

bami Jana Kazimierza" i afronty, związane z Wystawą Krajową, od Warszawy rekurs z Zachęty i od Krakowa wskutek zatargu z OO. Franciszkanami i skandalicznej sprawy z malerunkami Kościoła św. Krzyża, już mu robili niecne kawały. On dawał omal bezinteresownie z ofiarnością i egzaltacją swoją pracę, swoją wiedzę, swoje talenty, a oni mu to odrzucali, tamto eskamotowali, to znowu przeinaczali. Więc ział i miotał się i z lubowaniem przysłuchiwał moim monologom Zoila czy Epimenidesa Kretyńczyka, rozpowiadającego o żywocie i obyczajach Kretyńczyków i tępiącego „philisterę omnipotens". Na tem tle zawiązała się między nami w onych czasach miła zażyłość. Ponieważ Matejko też w ostatnich latach popadł w ostry przewlekły zatarg z Krakowem o to, że mimo jego protestu zwalono stare z XVI w. zabudowania szpitala św. Ducha, nato, żeby na tem miejscu postawić nowy teatr Zawiejskiego, więc Wyspiander z lubością i zamiłowaniem cytował często to co na Kraków wygadywał w okresie zwady mały wzrostem mistrz, tytan pracy a jego opiekun-protektor, mecenas. Szczególnym zachwytem przejęło go odesłanie przez Matejkę radzie miejskiej jakiejś buławy i dyplomu, który mu swego czasu ofiarowano. Zdaje się, że wogóle uczeń całą swą psychikę, dumną, rogatą, nieugiętą, świadomie wzorował na mistrzu Matejce, mnie przeznaczając w Krakowie taką rolę, jaką odgrywał Till Eulenspiegel, „Sowizdrzał", w słynnej powieści de Costera. Pamiętam dobrze, jak się zaśmiewał i cieszył moim poematem satyrycznym w stylu Heinego „Deutschland" p. t. „Kraków, opowieść zimowa", który zaczął

się drukować w krakowskim „Naprzodzie“, ale którego druk redakcja musiała przerwać z powodu strof zbyt drastycznych, niecenzuralnych i zbyt epatujących burżuazję w „małej parafji“.

„CAFÉ SCHMIDT“

W owych to czasach mała falanga młodzieży literackiej i artystycznej, gotującej się do najścia, do wypadu z Krakowa na... arenę, żyła, trzeba to wyznać, życiem dość rozwiązłem, sprośnawem i wagabundziarskiem. Czytało się i studjowało, owszem, nieproporcjonalnie dużo i wszystko co popadło w ręce, całe zwały n. p. poważnej filozofji; ni stąd ni zowąd powstawały kulty Schopenhauera, Stirnera, no i oczywiście Nietzschego. Ci znowu łykali masowo Dostojewszczyznę i zatruwali w sobie élan vital i energję. Byli tacy co się rzucali w literaturę ...hiszpańską, a inni znowu liznęli coś z sanskrytu... cytowali „Upaniszady“, pysznili się „Visvamitrą“, obkładali „Vedantami“, kochali w... „Sakuntali“. Ten odkrywał kopalnię cudów w „Rouge et noir“ Stendhala, tamten godzinami rozpowiadał o Multatulim i Couperusie. Byli tacy, co rozmawiali niepokojącym stylem maeterlinckowskich Palomidesów, Aglavain, Selysett... Zaczynało się apostołowanie prerafaelityzmu. Przy tem wszystkiem atoli pozostawało jeszcze dużo czasu na lunatyczne marnowania nocy po obskurnych knajpiskach i bumsach, no i na stałe wysiadywanie cyganerji w jej pierwszem chronologicznie lokalu kawiarnianym,

w protoplaście warszawskiej Ziemiańskiej, tj. u Schmidta. Była to nadrudawska „Café Tortoni“ czy „Taverne du Panthéon“, na zbiegu Plant i ul. Szewskiej, z małą oszkloną werandą. Kto tam nie bywał swego czasu! Pamiętam stół socjalistyczny z kudłatym Radkiem-Sobelsohnem i Kahanem, który dziś w życiu teatralnem Paryża odgrywa wielką rolę. Pamiętam jednego marszałka grającego godzinami w szachy, a drugiego marszałka konkurującego dopiero o swą żonę, wówczas artystkę teatru krakowskiego, czarująco piękną Junonę ukraińską. Siadywał tu i Lutos ze swojemi Elsami. Bywał znacznie potem Uljanow-Lenin i bywali przebrani po cywilnemu pułkownicy żandarmerji rosyjskiej i straży pogranicznej, rozmiłowani w teatrze krakowskim za „régime'u“ Pawlikowskiego, a już przepadający za „Kościuszką“, za „Tamtenem“, za „Carewiczem“. Pamiętam kilka wieczorów spędzonych razem z wędrującym piechotą ze Lwowa do Miłosławia (na odsłonięcie pomnika Słowackiego u Kościelskich) przyjacielem Mickiewicza, proroczo brodatym Wernyhorą, Karolem Brzozowskim (ojcem Stanisława i Wincentego de Korab), a wonczas w naszem gronie, też już brodatych żółtodziobów, rozpowiadającego o Anatolji, Syrji, Beludżistanie. Pamiętam wspaniale prymitywnego, olbrzymiego Chełmońskiego z trzema córkami dorastającymi, pochłaniającego w naszem kolisku potworne salatery kwaśnego mleka, przetykanego sporymi kielichami „wiśniówy“. Pamiętam spór jeden, dyskusję czysto literacką, „światopoglądową“, która się skończyła właściwie walną bitwą z dużym uszczerbkiem szkła i porcelany. Pamiętam mój pogrom Sobelsohna

o błahostkę, bo o poderwanie mi niemieckich gazet schowanych. I dwóch braci kelnerów; don Lorenza Il Magnifico i don Philippa Lippi, nieskończenie cierpliwych w kredytowaniu Hiobów...

KLASZTOREK

Do Wyspiandra na Poselską zachodziło się wtedy, gdy się powzięło stanowczą i nieodwołalną decyzję „zerwania z tem życiem bezmyślnem“, z rują, porubstwem, opilstwem, przy stosunkowo minimalnem obżarstwie (bywało całemi okresami; jajka na twardo i kwaśnomlecz z czarnochlebem). Tam około niego unosiła się całkiem inna atmosfera, jakby klasztorku, cela Fra Angelica czy Poverella z Asyżu, kwiatki, ptaszki, praca, upojenia ale czysto duchowe, — egzaltacje artystyczne. Trzeba się było wkupiać znów w łaski sporem „naręczem“ kwiatów. Gdy się bowiem wchodziło n. p. z malwami, nagietkami, z „pantofelkami Matki Boskiej“, z kiściami serduszek różowych, — twarz surowa za pukanie intruza rozpromieniała się cudownie. Nie trzeba zatajać, gdy się raz szczerze pisze, że te kwiaty niekiedy buchało się z ogrodu na Łobzowie w nocnych wyprawach z komilitonami z cénacle'ów Szmidtowych. I wtedy nastawał okres czystości obyczajowej i czystej sztuce poświęcony. Rozkochany w Grassecie, Wyspiander rysował kwiaty godzinami z pedanterją japońską. W kwiaty mógł wpatrywać się godzinami. Oglądało się albumy i wydawnictwa. Przepojony czcią i miłością dla sztuki francuskiej, godzinami objaśniał, jak nazywają się rozmaite

architektoniczne szczególiki w katedrach francuskich. Puvis de Chavannes'a wielbił wtedy jak Matejkę, któremu pozostał wierny. Chodziło się w one roki we trójkę z Parvim na długie, czasem dziko męczące, spacery: Tyniec, Przegorzały, Skała Kmity, bliżej na Krzemionki (gdzie dziś park przepiękny a ongiś pustkowie z wspaniałym aspektem na Kraków). Godzinami na Skałce. Lektury rozmaitych dzieł przechodził najpierw ekstatycznie, by po jakimś czasie wpadać w dość bezwzględny krytycyzm i odsądzanie od wartości. Tak bywało z Matlakowskim, z Witkiewiczem i z Askenazym, w którym jakiś czas zaczytywał się wprost z furją. Mam wrażenie, że w tych latach nosił się z myślą, aby w Polsce odegrać taką rolę, jak William Morris w Anglji, aczkolwiek od czasu do czasu znowu marzył głośno o roli „polskiego Wagnera". A tu trzeba wiedzieć, że niżej podpisany w owe czasy był zapalony wagnerzysta, t. zn. grywał, względnie nękał, fortepian całymi „Meistersingerami", „Złotem Renu", „Walkirjami", „Tristanem" i t. p. Wyspiański już miał za sobą nawet tydzień Bayreuthu, ale nie grał i właściwie nie orjentował się w muzyce. Ja zaś do Bayreuthu pielgrzymować miałem dopiero w sześć lat potem, ale miałem tę wyższość zato, że z pamięci, ze słuchu, godzinami mogłem ku rozkoszy profanów a ku udręce „wtajemniczonych" grywać całe „potpourri" z „Parsifala"... I to było też podkładem sympatji, jaką mnie jakiś czas darzył ten najczystszy i najbardziej strzelisty duch naszej generacji. Ja sobie, żłopiąc czarną, grywałem i persyflowałem Wagnera, a on przytem chodził tam i z powrotem zamyślony, wciągnięty

w siebie, jakby nieobecny, — to znów stawał, to rysował, to przerysowywał, to kalkował. Ale czasami Wagnera już miewałem dość i wówczas przechodziłem do Griega, wchodzącego w Pipidówce w modę („symfoniczne“ koncerty orkiestry Hocka! Boże przebacz!), a czasami przechodziło się niepostrzeżenie i do operetek. I tu muszę wyznać szczerze, że później przy mojem wybrzdąkiwaniu „Mamselle Nitouche“ i „Czarodzieja z nad Nilu“ na dole u Turla rankami, gdy gości nie było, ołówkiem spisywane były fragmenty i sceny z jednej bardzo pięknej, wstrząsającej i jeszcze przyszłość przed sobą mającej (kiedy Sztuka na scenę wróci) tragedji.

OKRES ŚWIATOWOŚCI

I tu trzeba przypomnieć jeszcze jeden sezon, jedną zimę, w której, jak sobie przypominam, ten wielki wizjoner i Johanaan nadchodzącej niepodległości zdecydował na jakiś czas „udzielać się towarzysko“. Było to jeszcze na kilka lat przed okresem t. zw. „Pareńszczyzny“, kiedy to znalazł się w Krakowie dom gościnny, który zaryzykował przyjmowanie u siebie artystów, z „wielkim“ już wówczas Wyspiańskim na czele. To było znacznie wcześniej, w roku, zdaje się, 1896 czy 1897, kiedy Wyspiander składał normalnie wizyty, chadzał na jour-fixe'y, był zapraszany na „wieczory“, asystował paniom przy loterjach fantowych, ba, nawet tańczył, normalnie tańczył walca... polkę... Pamiętam go ze dwa razy na balach w Saskiej Sali, pamiętam jako moje vis-á-vis w kadrylu Wyspiandra

we fraku z panną Adelą Wawel-Louis. I pamiętam z tej krótkiej ery jako światowca karnawałującego w krakowskim „wielkim seasonie“ (Boże odpuść!). I pamiętam go znowu, jak normalnie dość sztywny, posępny i poważny w tym wirze karnawałowym (tak musiał wyglądać Ibsen) a nazywany przez panny „klerykiem“, potrafił być czarująco rozmowny, ożywiony i poprostu nadskakujący, kiedy do Krakowa przyjechała z Paryża princesse Adamowa Wiszniewska, wdowa po słynnym emigrancie (przyjacielu Victora Hugo) z dwiema olśniewająco wytwornemi córkami (wyszły później zamąż, jedna za mecenasa Doboszyńskiego, wydawcę „Reformy“, które odbijały się od ówczesnych „swojskiego chowu“ panien krakowskich wielką wiedzą artystyczną, gustem, smakiem i znawstwem tego wszystkiego co piękne, co paryskie, co nowe, i z któremi mógł rozmawiać najswobodniej o tem wszystkiem, co tam! w utraconym raju, w Paradisu, w Paryżu, ukochał. I pamiętam go asystującego przez czas jakiś przy jeszcze jednym „światowym“ towarzyskim obrzędzie krakowskim. Były to t. zw. „dwunastówki“, t. j. ciche msze po sumie o godzinie 12-ej w każdą niedzielę i święta w Kościele Panny Marji. To było bardzo specyficznie krakowskie, ale w tem był duży urok i aromat tego dawnego, zapadłego już w przeszłość, wówczas zamkniętego w sobie, ekskluzywnego, skromnie dystyngowanego, ale miłego Krakowa. Pod wejściem od strony Kościoła św. Barbary podjeżdżały z pompą bardzo stare karety, powozy, fiakry. Wysiadały z nich piękne matrony i siwi panowie, a to staruszkowie Potoccy z Olszy, a to książę

Heljodor Czetwertyński, a to pięć czy dziesięć panien Szembek, dalej „młody“ pan Paweł Popiel, marszałeczek Paszkowski, wytwornisie starego stylu: ze Szembergu Szemberski, Traczewski. Wielka nawa przy Wicie Stwoszu zapełniała się „towarzystwem“, dalej rodzinami profesorów uniwersytetu, wyższych urzędników, „delegatury“, sądu, prokuratorji, poczem młodzież z „Jagiellonji“ i blondasy z „rolnictwa“ i „panie z miasta“. I czekało się w ciszy zbożnej, modląc się, ocierając o arystokrację i przyglądając sobie przez facementy. Zapach kadzidła łączył się harmonijnie z perfumami (od Lohsego z Wiednia). Poczem przyjeżdżał dwór; w przedżiwnej kolasie księżna Marcelina Czartoryska z Woli Justowskiej (uczenica Chopina!), poczem ekscelencja Stanisław Tarnowski z panią Ymcią ze Szlaku. Wreszcie dopiero, oparty na starym lokaju, już nieco niewidomy, sędziwy Juljan Klaczko. Przy drzwiach odbywał się krótki cercle i przywitania, poczem robił się szpaler do ołtarza, kościelni dawali znać do zakrystji, i dopiero wtedy wychodził ksiądz sufragan. Nie wiem jak inni, ale ja tę celebrę ówczesną, zgoła pontyfikalnie odprawianą, to hommagium ludzi dobrej klasy i starej rasy, oddawane bądź co bądź staruszce, łączącej czasy nowoczesne z erą wielkich romantyków, i starcowi, który pochodził z wileńskich Żydów, ale miał wspaniały mózg i jako weredyk gadał i stańczykom często ciężkie pater noster, — bardzo a bardzo lubiałem. Z literatów asystowali przy tem (nazywałem to „Einzug der Götter in die Walhalla“) Kociogórski, Sarnecki, Sewer, Tetmajer, Rydel, a jakiś czas uczestniczył w tem Wyspiański, zawsze wpatrzony

w górę, w ściany, w labirynty kwiatów i aniołów, w których malowaniu pomagał, a nieraz oświetlony przedziwnie z góry snopem promieni słonecznych, przedostających się przez cudne, różnobarwne, niebieskawe długie, marjackie witraże.

NASTAJE „ŻYCIE"

Kiedy młody poeta i dziennikarz wiedeński, Szczepański, otrzymawszy niedużą schedę, zamiast ją puścić z galicyjska po szlachecku u Ronachera, Puchera, Sachera, z Wiednia przeniósł się do Krakowa i tu ufundował i zmontował „Życie", wśród proponowanych i wezwanych od początku do współpracy literackiej Wyspiański, zdaje się, nawet nie figurował. Poetami „tarczowymi", czołowymi, o już zdecydowanej renomie byli poza Rydlem, Żuławskim, Tetmajerem, Micińskim, rozmaici inni lutniści, bardzo małego oddechu. Wyspiander uchodził raczej za artystę nowej sztuki „stosowanej", od witraży, fresków, mebli, okładek, ostatecznie za portrecistę, „bohomażącego" swych modeli (do czego burżujstwo odnosiło się mniej więcej tak jak dzisiaj do portretów St. Ig. Witkiewicza), za indywidualność wogóle jeszcze nieskrystalizowaną, niezdecydowaną, majakowatą. O „Danielu" nikt literalnie nie wiedział, „Legenda" wyszła i przeszła. Były „Legendy", o których się wówczas dużo mówiło, t. j. „Legendy", biblijne Niemojewskiego, drukowane w „Naprzodzie", ścigane przez cenzurę jako bluźniercze. Ze swymi ambicjami literackiemi rzadko się zwierzał i przygodnie. Od czasu do czasu, kiedy wpadał w ła-

skawy humor, czytywał jakieś fragmenty jakichś historycznych scen, zawsze z królami, biskupami i kanclerzami, których to prób nie brało się jakoś serjo. Historyzm na scenie był całkowicie démodé, zdyskwalifikowany. W repertuarze panował despotycznie Ibsen i ten cały olbrzymi świat nowych, rozsadzających pojęć, które wnosił; nadto nowi Francuzi, nowi Niemcy, nowi Wiedeńczycy. O nowych Polakach renowator i reformator Pawlikowski w pierwszych latach nawet słyszeć nie chciał, może i słusznie, wychodząc z założenia, że nowych dopiero trzeba kształcić i urabiać na zagranicznych wzorach. Do Wyspiandra zresztą zachował stale i później zimną rezerwę i właściwie niechęć, podejrzewając w nim „romantyka" z parafji polskiej i zbyt się niewolą polską kłopoczącego i gryzącego. Trzeba było formalnej presji i nagonki prasy później, aby dopiero, otrzymując adresy, podpisane setkami podpisów, raczył późniejsze utwory wystawiać. Nadto ex-magnat z Medyki lubił mieć dwór i nadwornych autorów, kadzących mu medycejstwem. Do tej roli był Wyspiander za dumny, nieugięty, twardokarki i suweren większego mocarstwa. To też z polskich autorów weszli na scenę triumfalnie: Zapolska, Żuławski, Szukiewicz, Rydel, podczas gdy malarz-dekorator mógł tylko robić cudowny afisz do Maeterlinckowskiego „Wnętrza", zanim z trudem przyszło do scenicznej realizacji „Warszawianki".

Zabawne z tych czasów było ustosunkowanie Wyspiandra, który zaczął wówczas częściej bywać w redakcji „Życia“ (na Łobzowskiej), do Zapolskiej, jedynej autorki polskiej, cieszącej się właśnie w erze ibsenizmu dzikiem powodzeniem swych żydowskich, obyczajowych melodramowodewilów, pochłanianych przez „Tschandalę“ (publiczność nowoateńska), jako swojskie antidotum przeciw nawale nowych idei Ibsena, Hauptmanna, ba — nawet Strindberga. U Zapolskiej, jeszcze wówczas wcale młodej i uroczej „prababki rewolucji literackiej“, odbywały się symposiony, na których bywał i Wyspiander, uwodzony intelektualnie przez okrutnie egzotyczną na tle krakowskiej dziury ówczesnej „przyjaciółkę Maeterlincka“ i „anarchistów paryskich“ (Paul Forta). Bronił się jak mógł i wcale jadowicie, kłując czasem ostrymi konceptami barwne baloniki snobizmu, puszczane przez naszą George Sand między gości; sekundował mu drugi „święty“, siedzący na skraju taburetu, zawsze czarno ubrany, głęboko w siebie wmyślony, wytworny, subtelny a już wonczas przeciw kosmopolityczno-germańskiemu naporowi idei stawiający mocne, twarde tamy nowej polskiej narodowej myśli, pater Artur Górski.

Chronologicznie pierwszą właściwie burzą literacką, poprzedzającą wielkie późniejsze batalje, była premjera... „Tamtego“ Zapolskiej, wielkiej, sprytnej, antyrosyjskiej, antyżandarmskiej hecy pięcioaktowej, przy której „młodzi“ ławą stanęli po stronie nawróconej ku rodakom i ku polskości „naszej pani Rachilde“, rozdrażnieni

już przeciw Rosji drukującemi się w „Reformie“ „Syzyfowemi pracami“ nieznanego nikomu pod Wawelem autora;... rolę zaś reprezentowania „starych“ wziął na siebie ówczesny chorąży „Głosu Narodu“, autor powieści „Świat feljetonowy“ a były teatralny recenzent „Czasu“ Grzmotnął sobie kolejno trzy wstępne artykuły przeciw „bandzie nihilistów i modernistów“ z „Życia“, odsądzając od czci i wiary przedewszystkiem „naszą Deotymę“ (à rebours), a potem kolejno innych; odpłaciła mu pięknem za nadobne natychmiastową powieścią w „Życiu“ p. t. „Antysemitnik“. Mnie zaś wtedy przypadło w udziale stałe, tak wrogowi temu jak zresztą wszystkim innym „mydlarzom“, „reakom“, miernotom, grafom i grafomanom, „obrzydzanie życia“ aż do skutku; gilotynę ustawiono mi na ostatniej stronie „Życia“ i w specjalnem piśmie p. t. „Urwisz“, który atoli z powodu drastyczności tonu i zbytniej „dynamiki“ satyrycznej szybko musiał być zlikwidowany.

JASKÓŁKA DUŃSKA

Nadchodziły już czasy Przybysza i wikingów ze Skandynawji, wtóry „najazd Szwedów“. Zwiastunem ich była właściwie urocza, śliczna blondyneczka, literatka duńska, Agnes Hennigsen, która do „moderny“ krakowskiej zjechała za gorącym impulsem i namowami obecnej ekscelencji, p. wiceministra spraw zagranicznych, dr. Alfreda Wysockiego, w one czasy solidaryzującego się z każdem młodem i „nowem pięknem“ a specjalnie rozkochanego we wszystkiem co

z Północy. Ona to, Agnes Hennigsen, „nasza Solveiga“, wieściła nam „dobrą nowinę“ z... „Roszkjilde“, pouczała o życiu, czynach i wyczynach... pijackich cyganerji i lamparterji kopenhaskiej, bliźniaczo do nas podobnej; poczem, po latach cokolwiek nas i „opisała“ w powieści „Polens Togter“. I wonczas to postanowiłem sobie, po przeczytaniu dwóch czy trzech rapsodyj stylistycznych Przybysza, wezwać go jako najbardziej zeskandynawionego Polaka, przyjaciela i współbirbanta tych wszystkich wielkoludów z fiordów, do odwiedzenia „starego kraju“. I wypisałem doń olbrzymi list, adresując do Berlina do... „Café des Westens“. Odpowiedź przyszła w tydzień pierwsza, poczem druga, trzecia. Przybysz przyjeżdża! Autentyki, autografy, obnoszone i odczytywane triumfalnie wielokrotnie przy Tafelrundzie u Schmidta, u „Deptucha“, u Sauera, sprzedane były w kilka miesięcy potem amatorom po guldenie i coś centów, umożliwiając w ciężkim momencie nocnego kryzysu finansowego nową kolejkę „prasłowiańskiej“ jarzębinki. Zastrzegam tu najstanowczej dla siebie inicjatywę staszczenia proroka in partes infidelium, ponieważ w dziesięć lat później, zachęcony sukcesem tego przywrócenia polskiej literaturze zberlinionego Wielkopolanina, pierwszy też napisałem długą epistołę do Conrada-Korzeniowskiego, od którego również dostałem kolejno kilka listów pod rząd z fotografjami żony, synków, pracowni, z pierwszem chronologicznie uznaniem się w swem polskiem jestestwie.

Nie będę tu opisywał przyjazdu arcypasterza Antychrysta do „małego Rzymu", gdyż Przybysz już o tem naopowiadał, coprawda gęsto mijając się z szarą i płaską rzeczywistością. Rozpoczął się ten „saison en enfer" girlandą demonicznych orgij i bachanalji, — z dzisiejszej perspektywy patrząc poprostu symplistycznie śmiesznych, sztubacko satanicznych, naiwnie a pastersko wyuzdanych, karykaturalnie tylko groźnych, a mogących epatować jedynie taki Krähwinkel pacanowicki, takie „bidne", urzędnicze, zabite deskami od Europy, monotonne dziursko, taki, mówiąc słowami Żeremjasza, „naparstek", jakim był ówczesny Kraków. Tyle, że jeszcze mniej się spało i jeszcze mniej jadło, a nieco więcej koniaczku z Sodawasserem piło, no i... kąpało w prądach skandynawskich, w „przepotężnym" Maelströmie satanicznej dialektyki i frazeologji. Naturalizm i realizm, weryzm, proletaryzm niemiecki były już poza nami, „przezwyciężone", a na ich miejsce ustawiono kotły pełne bigosu z takich ingredjencyj jak absolut, sztuka dla sztuki, naga dusza, nadczłowiek, synagoga szatana, metasłowo, priapizm, metamuzyka, sabat czarownic, phallizm, sukkuby, chuć, „occulta scienza", „arcana coelestia"; androgyne, Agay, Apokalipsa... z czego wszystkiego nasz wielki mag i magik tworzył wspaniałe, ekstatyczne sarabandy słowne. Na miejsce dawnych bożyszcz, strąconych w pył w przeciągu kilku „lunatycznych" nocy, przychodziła nowa mitologja, z którą trzeba się było jako tako zapoznawać. Nie wolno już nawet półgłosem

wymieniać takich słów, jak: Wagner, Böcklin, Klinger, Hauptmann, Schnitzler, d'Annunzio... chyba z twardym, bezlitosnym epitetem, a w to miejsce przychodziły tajemnicze, chrypliwie wymawiane planety i meteory z grupy „P-A-N-A": Vigeland, Munch, Rops, Mombert, Anna Costenoble, Hamsun, Arne Garborg, Meier-Graefe, Ola Hansson, Dauthendey, Dehmel, Schlaf i „przepotężny" Ewers (sic). Wszystkie te egzaltacje brało się początkowo bardzo na serjo i dosłownie, gardząc bezgranicznie społecznością zdrowych bydlaków, ufnych w swój marny „rozumek" i empiryczną „wiedzę" a lekceważących pierwsze manifestacje i manifesty „nagiej duszy". Jeszcze bardziej serjo brali to przerażeni tym karnawałem Belzebuba ojcowie literatury, Bogu ducha winne pozytywisty czy konserwatysty, Tarnowski, Zdziechowski, ks. Badeni, Chmielowski, Matuszewski i t. p. Poczciwy Przybysz, uzyskawszy niespodziewanie tak dużą gminę akolitów, znalazłszy się po tylu latach obcowania z zimnokrwistymi, w gromadzie... kąpanych w gorącej wodzie „synów ziemi", poprostu pławił się i tarzał w głównej roli Sokratesa, uwodzącego młodzianków. Pluło się tedy na naród, tem bardziej, że naród galicyjski, goły jak święty turecki (czytać „Nędzę Galicji" w cyfrach Szczepanowskiego) a skąpy jak Harpagon, nic nie chciał słyszeć o jakiemś hojniejszem subsydjowaniu takiej plejady rodzonych „dzieci szatana", genjalnych od czuba do pięty, takich mansardanapalów... takich domowego wyrobu i pomniejszonego fasonu lechickich, sarmackich Raskolnikowych, Smierdiakowych, Swidrygajłowych, Wierchowienskich. I Przybysz, dotknąwszy jak

Anteusz polskiego gruntu, istotnie pisał coraz to efektowniej i rapsodyczniej, olśniewając nas kościelnymi tytułami: „De profundis“, „Confiteor“, „Pro domo mea“, „Requiem“, „Vigilie“, olśniewając przytem maluczkich arkanami tajemnej wiedzy, dość płyciuchno pogłębionej ale z bajecznie bengalską pirotechniką podawanej. Największym urokiem atoli i aureolą tego uwodziciela była właściwie jego żona, trzecia żona, odebrana Strindbergowi córka starego, rycerskiego rodu Yalów, Dagny, zabłąkana między dość bezceremonjalnych „biesów“, dystyngowana, biedna ofiara, jedna z wielu. Popularny wtedy ale dość drugorzędny manewr Przybysza ewokowania nastrojów i druzgotania dusz sceptyków, nie dających się odrazu brać na synagogę, stanowiła muzyka, praktykowana już w momentach zaćmienia alkoholem krytycyzmu u zebranych, ten „Danse macabre“ Saint-Saënsa oraz Schumann i Schubert, grani z szewską passją i Chopin, tłuczony niemiłosiernie, melodramatycznie, tak jak go odwalają t. zw. „Chopinhauery“.

TOWIAŃSKI KUSI...

Stosunek Wyspiańskiego do Przybyszewskiego był bardzo specyficzny i skomplikowany. Na trzeźwo, głęboko w intuicjach swych trafny i mądry, Przybysz zaraz po poznaniu „Warszawianki“ odczuł w nim purpurata i karmazyna i odrazu nabrał respektu dla jego moralnej wysokości i niewidzianego na czole stygmatu dosłownie wielkiego poety i „voyanta“; mając zaś na sumieniu niebardzo czyste sprawki z przeszłości, odrazu

po swojemu „ukorzył się“ i zmiatał proch przed stopami człowieka, co miał w sobie coś z pańskich świętych czy męczenników. A kiedy, bywało, próbował go podejść psychologicznie i ogarnąć tem, co, — kombinował — oddźwięczyć musi w Wyspiańskim, t. j. np. nabożną czcią i uwielbieniem dla katedr hiszpańskich, które znał z podróży, czy kultem Goyi, Goyi i jeszcze raz Goyi (tuż przy Ropsie) Wyspiander słuchał, słuchał łaskawie z tym dziwnym, niebezpiecznym uśmieszkiem swym, a czasem, bywało, gdy wyłapał zbyt wygalopowaną fumisterję, capnął go lwią łapą po „erudycji“, tak że Przybysz aż się zwijał, skręcał, kurczył w kłębek i dosiadał szybko fortepianu, by zagłuszyć zgaszenie. Ale go Wyspiander jako skroś artystę lubił, cenił, choć nie przeceniał, a tylko jego posłannictwo jako rewelatora, jako apostoła, jako mistyka i maga, stanowczo odrzucał, widząc w tem imposturę i uzurpację, dysonans, blichtr i szych. Ze dwa, ze trzy razy doszło nawet u Turla do dość ostrych scen i scysyj, po których Przybysz cofał się z przesadną pokorą i dowcipem, że „Stach Stachowi oka nie wykole“ i t. p. A kiedy wreszcie, mimo podjazdów i czołembitni, nie udało się Przybyszowi tego już rogatego ale „mało ważnego“ jeszcze „dessinateura“ zagarnąć i wcielić do dworu jako gwiazdę w ogonie komety, wtedy Przybysz, odczuwając że sztywna postawa Wyspiandra powodowana jest jego wyznawaniem i głoszeniem wiary nadspołecznej, nadnarodowej, międzynarodowej, pozapolskiej, korzeniami genezy gdzieś w... „Café des Westens“ tkwiącej, postanowił „ukorzyć się“, ekspiować narodowo i sięgnął do „gleby kujawskiej“, do Gopła,

do „prałona świętej matki ziemi", równocześnie atoli rewanżując się mstliwie, wpadł w egzaltację dla... *Kaspra, dla... „Święty Boże, Święty Mocny" waląc się w kulcie odrazu po chłopsku w proch przydrożny, bijąc czołem i tłukąc się w piersi.

Mnie osobiście Przybysz lubiał, „kochał", ale się nieco bał i nie ufał na całego. Wyraźnie nie znosił frywolnego przekręcania patetycznych tytułów, i niebardzo lubiał, gdym z godzinę perorował stylem „Falka" lub prozą à la „Regno doloroso" furioso. Irytowało go też gdym sektę i pojęcia „Rosenkreuzerów" wywodził i identyfikował z... Rosenstockiem, t. j. ostatnią stacją w ponocnych pielgrzymstwach, w której cała kompanja kończyła zwykle dzienną o zwycięstwo „sztuki dla sztuki"... kampanję.

VIVE LA BOHEME!

U tego Rosenstocka na rogu przy Planciech pod koleją zaszedł też fakt, który mnie z tego koliska wysadził jakby w ładunku rakietowym i w kilka dni aż do Monachjum wystrzelił. Było to po jakiejś premjerze, podczas której przyszła do teatru wiadomość z redakcji „Czasu" o zamordowaniu cesarzowej Elżbiety przez anarchistę Luccheniego w Genewie. Dla cesarzowej żywiliśmy raczej kult i sympatję, gdyż kochała się w Heinem, zdradzała „na funty" Franza Josepha i wogóle duchowo jako Wittelsbachantka należała raczej do... cyganerji. W każdym razie był pretekst do cięższej kanonady pijackiej tej nocy. To też gdy nad ranem kwiat literatury młodszej i starszej (był i Sar-

necki) obok kwiatu sztyki znalazł się na swoich stanowiskach czołowych u Rosenkreuzera i szły liczne kolejki dubeltowe i mieszane (wśród „stawiaczy“ był bogacz z Podgórza Świątek oraz... brat namiestnika, Stanisław Badeni), po wyczerpaniu wszystkich możliwych i potwornie niemożliwych toastów, wpadł mi do łba dziki pomysł wrzaśnięcia: „Vive l'anarchie!“ I zrobiło się piekło! denuncjacja! krawall! Lokal otoczony policją, kto mógł uciekał tyłem przez podwórze. Przy mnie czuwali dwaj oficerowie austrjaccy. Kompanja cała na Mikołajską do policji. Przetrzymamy. Śledztwo. Czytywał Krapotkina? Stirnera? Czytywał. W „Naprzodzie“ drukował poemat, ergo impresjonista i nihilista. I skandal w Krähwinklu wybuchł taki, że na trzeci dzień musieli wyprzeć się w pismach: doktór Żuławski, że nic nie ma wspólnego ze swym bratankiem Jerzym, i mój ś. p. ojciec, radca sądu apelacyjnego, że mało wspólnego ma ze swym synem, który wcale źle się prowadzi. Przez najwyższe protekcje, poruszone liczne wiedeńskie sprężyny, pozwolono awanturnikowi niewidocznie strzępnąć pył ojczystego miasta ze sandałów i uciekać z Aten nad Rudawą do Aten nad Izarą. Odprowadzenie na kolej miało charakter spontanicznej owacji i pożegnania Child Harolda... Był komplet. Kiedy wyjeżdżałem, miałem wiosen 22 i już dość górną i chmurną przeszłość za sobą.

Wracałem do rodzinnego grodu za pierwszym zawodem, obarczony ciężką chorobą płucną, „suchotami“ „galopującymi“, skazany na śmierć nieodwołalnie przez szereg powag krajowych. Zacny, miły, ale egzaltujący zawsze Dłuski w r. 1900 zaopinjował w Zakopanem:

„Będzie żył trzy tygodnie, nie trzeba go męczyć“... Wyspiander poczciwie odwiedzał umrzyka w mieszkaniu rodziców w Puszetówce przy Starowiślanej, gdzie też jeden pokój odnajmował późniejszy szef departamentu sztuki, wonczas malarz świetnie się zapowiadający, p. Skotnicki. Na odczyt Kisielewskiego, świeżo z Paryża powróconego, sławnego już autora „Karykatur“ i „W Sieci“, wnieśli mnie omal na rękach. Pamiętam, miał gardenję w klapie, a potem była kolacja z toastami, a potem czytał fragmenty „Sonaty“. Wyspiander był, po „Sędziach“, „Klątwie“, „Legjonie“ napisanych, już estymą i mirem wielkiego poety otoczony, a jak zawsze skromny, kobieco delikatny, dobry, ciepły i serdeczny dla wszystkiego co wątłe, chore, nieszczęśliwe, a nieufny i opancerzony wobec wszystkich co zbyt zdrowi, mocni, muskularni. W Krakowie zaszły przez ten czas różne zmiany. Przybysz ze swoją „Wille zur Macht“ nad rzędami dusz, czując, że zatraca grunt pod nogami a wierni zaczynają albo coś bluźnić lub się wymykać, przeniósł swe laury i penaty, Munchy i Vigelandy, na tereny dziewicze, do Warszawy. Z Warszawy natomiast powrócił Lucek Rydel już jako poeta coronatus i laureatus, bez żony, o którą się tam starał, ale zato z „Zaczarowanem kołem“ pod pachą. Demony z synagogi szatana rozleciały się po świecie lub zgoła na drugi świat, i to własnowolnie, niestety. Samobójstwem z melancholji skończył, waląc do siebie w skroń z rewolweru, daleko na ławce naprzeciw Parku Jordana i... Bałucki, „co pisał wesołe stucki“, omal już siedemdziesięcioletni starzec. Zapolska przeniosła się do Lwowa, gdzie

leżąc lata całe w swej heinowskiej „Matratzengruft“, pisała swe „Carewicze“ i „Skizy“. Tam też przeniósł się Fred, pierwszy przed Przybyszem „Skandynawczyk“, „Życie“ już nie wychodziło, ale powstała świetna Assocjacja artystyczna „Sztuka“ i na jej tle Wyspiański znalazł się w swym żywiole w atmosferze wielkich talentów, rozkwitłych w paryskich cieplarniach i zapachy Paryża ze sobą przynoszących. Na pierwszej, inauguracyjnej wystawie „Sztuki“ miał Wyspiański swój baśniowy, roślinny, leśny, zielono-szmaragdowy „Sezam“, z którego, o ile pamiętam, malarze sobie podkpiwali a literaci byli zachwyceni.

PAN Z PANÓW

W tym okresie Wyspiański psychicznie czuł się lepiej i już wpadał w formalny szał pracy i twórczości. Mieszkał naprzeciw Panny Marji, przy domu jezuitów, a gołębie siadywały mu chmarą na framugach okien, tak jak u Poverella z Asyżu. Materjalnie było nadal fatalnie. Aczkolwiek przygodnie zjawiali się już mecenasi, jednakże dużo wynosili za „tani piniondz“ kunsthändlerzy. Można było cokolwiek więcej zarabiać, robiąc „portraits“ ale bywał wybredny w modelach, i zdarzało się, że kiedy jacyś Kołtuńscy czy Łykowie przychodzili z propozycjami, Wyspiander prosił siedzieć madamę, wpatrywał się w nią pięć minut i na propozycję zrobienia „landszaftu do kolan“, „z herbem w rogu“ odpowiadał: Dziękuję, ale nie widzę już potrzeby robienia pani portretu“... albo: „Proszę przyjść od dzisiaj za rok“... Równie twardy też bywał dla

debjutantów lirycznych i soneciarzy, którzy nagabywali go z odczytywaniem „pierwocin". Podczas gdy Przybysz na takie popisy gościa reagował stale entuzjastycznie, wmawiając w każdego, że ma „przepotężny, prasłowiański, takici robaczku, szczerozłoty, najgłębszy talent", „jaki tylko Polakom przewspaniały Pan Bóg"... i t. d. i t. d., Wyspiański umiał wysłuchać długo, cierpliwie a potem: „Dziękuję. Dość. W tym domu, gdzie pan mieszka, żyje najwyżej pięć osób, któreby takich wierszy nie potrafiły napisać"...

Moje debiuty pierwsze traktował naogół dobrotliwie, ale czasami bardzo boleśnie i surowo. Zaśmiewał się nad satyrami i humoreskami „Małpiego zwierciadła" i protegował krótkie ataki, kampanje, inwektywy; irytowało go branie zbyt bliskie wzorów z żywych ludzi, irytowały szkice literackie pisane nie po przeczytaniu *całego* kompletu dzieł omawianej indywidualności, drażniły rozmaite germańskie, monachijskie kulty, np. Hebbel lub Grabbe, którymi się upajałem a których on, wówczas wielbiciel i żarliwy czytacz Victora Hugo i Calderona wprost nie znosił.

PREMJERA „HERNANIEGO"

Akcje Wyspiańskiego galopująco poszły w górę dopiero pewnej ciepłej marcowej nocy tego sezonu, tej zimy tego roku, w którym też poszły na całą Polskę i... iskry z „Popiołów", wygrzebywanych przez innego wstrząsacza zaspanych i budziciela zamierających. Przed „Weselem" traktowało się dramaturgję Wyspiandra z respektem ale z zastrzeżeniami a nie

bez sarkazmu, i to ogólnie, niech nikt dziś nie łże, że „już wtedy". Nieprawda. Stawiało się go za Tetmajerem, Rydlem, Żuławskim, gdzieś obok Rittnera, przy Micińskim. Wyszydzali go bez pardonu recenzenci Prokesz i Beaupré, nie chcieli o nim nawet słyszeć Tarnowski i ks. Badeni, wyklinał go świątobliwy, staropanieński Zdziechowski, a tylko spryciarze z „Czasu" (z tego samego „Czasu", który odrzucał mu dziesięć lat wstecz nadsyłane rapsody) odrazu wcześniej wyczuli, wyniuchali w nim kogoś kogo trzeba sobie zaskarbić, kogo nie należy „mieć przeciwko". Rzecz ściśle biorąc, dystans właściwy wzięli do tego fenomenu dwaj ludzie o istotnym smaku literackim, t. j. nieodżałowanej pamięci R. Starzewski i Ig. Rosner. Tuż przed „Weselem" kpiono, podczas prób lekki gdzieniegdzie sabotaż, i gdyby nie upór, dobra wola, energja Kotarbińskich... kto wie, czyby i jakby do „Wesela" przyszło. Takiej premiery jak ta polskiego „Hernaniego" drugiej już się nie przeżyło, ani później, ani nigdy. To był wstrząs psychiczny, gromadzkie omamienie i olśnienie, chwyt za gardło i pierwsze dudnienie podziemne przed nadchodzącym kataklizmem wojennym z r. 1914. Seismograf niewoli drgnął. Przesiedzieliśmy przed teatrem, na Plantach, w kilku omal do rana. Ja napisałem do „Słowa Polskiego" długi feljeton, cokolwiek obłąkańczy, ekstatyczny, po którym miało jeszcze przyjść kilka, — ale nie poszły, bom na kilka dni poprostu stumaniał, zgłupiał, dostał jakiegoś porażenia mózgowego, paraliżu woli i myśli. Numery tego „Słowa Polskiego", przypominam sobie dziś z dumą, były „rozchwytane". Wyspiander, do którego poczła-

pałem dopiero w kilka dni, — wdzięczny i serdeczny, ale ja już onieśmielony, niepewny siebie, obciążony poczuciem grzesznego żywota cygańskiego, przyziemnością, robaczywością, „żemanfiszyzmem", sowizdrzalstwem, — przepychaniem taczki nie w górę po syzyfowemu a prosto przez się, i to w zygzakach. Do dawnej zażyłości z podkpiwankami al pari i sans façon, do odnoszenia się jak „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie", nie czułem się już uprawniony od momentu, kiedy wśród niewielu pierwszy spostrzegłem, że to nie... jeden z wielu, jeden z kilku, ale *jeden Jedyny*.

Od premjery „Wesela" już ciągłość reminiscencyj się rwie. Po dwóch zimach przepędzonych w Meranie, wyrwany ze szponów Monny Phtysis, do reszty wyzdrowiały w „Bratniej Pomocy" zakopiańskiej (dzięki zacności późniejszego wojewody Downarowicza i doktora Żychonia), ocalały cudem i przywrócony na ojczyzny łono dla uprzyjemniania życia rodakom w następnych ćwierćwieczach, osiadłem na stalsze w Syreniogrodzie. Do Krakowa atoli na premjery i do rodziny i dla Wawelu zajeżdżałem często. I bywało specjalnie na „sztuki" Wyspiańskiego, do którego też zachodziło się zawsze na Krowoderską... Żony (Spytkównej) nie lubiałem, a ona mnie też znosić nie mogła. O ile olbrzymi urok miały Włodzimierzowa Tetmajerowa, Rydlowa, o tyle w Stanisławowej Wyspiańskiej tego uroku wyjątkowego i tej istotnie nigdzieindziej u dziewcząt wiejskich niespotykanej rasowej dystynkcji, jaką mają podkrakowianki, nie mogłem się dopatrzeć. Po latach przekonałem się, że moja nie-

ufność miała swoją rację... Natomiast dzieciska były śliczne, a radość i szczęście w oczach ojca, gdy się niemi otoczył, mogłyby z głazu łzy wycisnąć. Za każdym razem trzeba mu było opowiadać o Warszawie, per longum et latum de omnibus rebus et quibusdam aliis... Obchodziło go wszystko. Głównie teatr, anegdoty o gradonaczalnikach i generałach żandarmerji, mapipulacje z cenzurą, skandale arystokracji, romanzero Sienkiewicza, kuźnica „Głosu", Karłowicz kompozytor (któremu zazdrościł, że jest muzykiem), Brzozowski Stanisław jako pisarz (i jako podobno syn nielegalny niesamowitego hrabiego Poletyłły).

Przypominam sobie jeden zabawny szczegół, t. j. entuzjazm Wyspiandra dla pierwszych Weyssenhoffów, nietylko dla „Podfilipskiego", ale dla „Dołęgi", dla „Syna marnotrawnego"; nie należy z tego wysnuwać żadnych trywjalnych wniosków. Wielcy panowie literatury nie są obowiązani do obligującej wzajemnej adoracji. I jest całkiem w porządku, że Brzozowski nie uznawał Weyssenhoffa, Wyspiański Sienkiewicza, Sienkiewicz Żeromskiego, Żeremjasz Przybysza, Weyssenhoff Wyspiańskiego i t. d., co atoli tak zdumiewa zwykle i epatuje historyków literatury i profesjonalnych krytykastratów, domagających się, aby w myśl przykazania: „Dziateczki, miłujcie się!" wirchy i turnie łamały się we wzajemnych ukłonach. To też Wyspiański, szanując twórców i z najodleglejszych i z „nizinnych" parafij, miał może tylko jedną słabostkę, jedną abominację, t. j. właśnie do profesjonalnych krytyków, nie wyłączając wśród nich porówno i swoich entuzjastów. Pamiętam ciężkie słowa dla pisaniny Matuszewskiego,

podczas gdy dużą satysfakcję sprawiały mu przygodne impromptus, improwizacje i impresje, Starzewskiego czy Rosnera, no a przedewszystkiem biednego, dziwnego, spekulatywnego talmudysty Lacka, którego labirynty myślowe i scholastyczne dociekania Wyspiański wysoko cenił, zabawnie z nim zresztą spierając się i przekomarzając. Pamiętam też, z jakim humorem i bonhomją traktował znowuż bajecznie stylowe aktorskie demonstracje, przeciw sobie skierowane, ekscelencji Tarnowskiego.

Zresztą wtedy i krytyka, ta sama zresztą, która go przedtem szpilkowała lub, np. An. Potocki, stawiała niżej Przybyszewskiego, teraz leżała przed nim plackiem i po tartuffe'owsku obkadzała kadzidłami. Każdy zaś kto ośmielił się kryterjów swych nie poddawać parafjalnym dyrektywom, uznawany był przez serwilistów każdego zresztą sukcesu za herezjarchę, bluźniercę, „Warszawiaka". Już bowiem i Kraków, który całe lata pozwolił na głodowanie Wyspiańskiemu i tak go skrzywdził u Franciszkanów i u św. Krzyża, teraz obdarzał dostojeństwem „radcy miejskiego", nietyle odczuwając, ile przewąchując w nim wielkość na eksport, okrywającą nimbem i splendorem „egipskie Teby", jak gród ten określił Wł. Mickiewicz, „gdzie są mumje królewskie ale gdzie i żywych zamienia się w mumje". Nadto za wielki już wytworzył się wonczas dystans duchowy między debjutującym dopiero dramatopisarzem, essayistą, satyrykiem, facecjonistą, „skotopastuchem", sowizdrzałem, już kłócącym się z całym Bożym światem, tak ślicznie stworzonym przez Opatrzność a tak opacznie fałszowanym przez ·

rodaków, t. j. między mną a natchnionym, za cały naród cierpiącym, myślącym, przewidującym a jasnowidzącym przyszłość pomazańcem wieszczej poezji. Tu trzeba jednak przyznać, że był czas, kiedy stało się al pari, kiedy to w zaraniu twórczości wspólnie planowało się np. wieczór ku uczczeniu pamięci Matejki, składający się z trzech ożywionych udramatyzowanych obrazów, a Wyspiander, rozdzielając tematy, Rydlowi dawał „Unję lubelską“ (spełnione po dziesięciu latach), sobie rezerwował „Batorego pod Pskowem“, a mnie, wówczas jeszcze par inter pares, powierzał zakończenie wieczoru „Rzeczpospolitą babińską“ (spełnione po dziesięciu latach). Wtedy to, przez długi okres swej najbujniejszej i najzdrowszej ideowo i formalnie twórczości, skromny, „cichy i pokornego serca“, z czasem stał się opancerzony w swej starobiblijnej „prophetic isolation“, niedostępny, apodyktyczny i, bardzo podobnie zresztą jak i Żeremjasz, przy każdym zakusie „obcego“ czy „przechodnia“ wejścia w swe tereny uczuciowe i myślowe, wprost nawet dla najbliższych oschle despotyczny, w złośliwych ripostach drapieżny, sępi. Pod tym względem ci autentycznie wielcy urodzeni bene nati bardzo są podobni do despotów; znoszą tylko dworaków, hagjografów i hommagia. Z tej przyczyny jako „równy wojewodzie“ z jednym i z drugim niekiedy miewałem „krótkie spięcia“ przy długich zażyłościach i pełnem wdzięczności dla nich nabożeństwie.

Cóż tedy jeszcze na ostatku wygrzebać, coby winno być uratowane przed uronieniem w mroku zapomnienia? Są, jeszcze są, i to może nietylko imponderabilia. Bo np. co bardzo ważne — to Wyspiańskiego podniosłe pojęcie o dostojeństwie, o misji każdego artysty i pisarza, ten kategoryczny imperatyw duchowego kapłaństwa, wyższości cechu pisarskiego nad wszystkiemi profesjami i ten mus wierności samemu sobie, stale podnoszony, nie mimikryzowania się ni z otoczeniem, ni z epoką, nie akomodowania do rzeczywistości, nie poddawania ni komu ni czemu. Ileż na to dałoby się przytoczyć przykładów, dowodów, anegdot, powiedzeń, wskazań, scen, awantur, listów! A dalej ta sumienność, ta powaga w wszechstronnem przemyślaniu każdej kwestji, każdego problematu, dylematu, zagadnienia moralnego czy artystycznego, dochodząca do tego, że kiedy np. wyszło po dwunastu latach pracy studjum prof. Wojciechowskiego o św. Stanisławie (które czytywaliśmy i analizowali całymi nocami i dniami, gryząc się i martwiąc „zdradą“, tak jakby to było czemś najosobiściej nas tyczącem się), Wyspiander był w stanie po kilkogodzinnej gadaninie nocnej rano o 9-tej posyłać przez „expresa“ list ołówkiem pisany, że w tym a tamtym szczególe zmienił swój pogląd z... przed kilku godzin...

Pracowitość? Nie, to już nie była pracowitość Leonarda da Vinci, to była gorączkowa, obsesjonalna furja pracy, żeby przypadkiem nie odejść ze świata nie odrysowawszy tego a tego, nie skomponowawszy

tamtego, nie skorygowawszy u współczesnych pojęcia czy poglądu na to czy na tamto.

Antypatje? Tak. Miewał pewne zupełnie kapryśne, aprioryczne, przypadkowe idjosynkrazje do tego a tego koloru, do pewnych uznanych bohaterów polskich (Sobieski, Pepi, Henryk Walezy), do pewnych typów i ludzi żyjących (Żorż Mycielski, prof. M. Sokołowski, Kossak, Żmurko, Siennicka, Mrozowska); niektóre słowa, jak np. „Stimmung", secesja, „Weltschmerz", „Uebermensch", dekadent, „meble stylowe", cała... zakopańszczyzna, były w stanie doprowadzić do przemiłej pasji i sypania jadowitościami...

Kobiety? W tej dziedzinie nie można pisać tak jak się pisze o kobietach Moljera, Balzaka, Maupassanta ani nawet tak, jak się mówi o kobietach Mickiewicza, Sienkiewicza, Krasińskiego; nawet nasi półświęci romantyczni Słowacki i Norwid byli więcej obciążeni doczesnością i przyziemnością w zestawieniu z serafitą Wyspiańskim, którego żywot cały w czystości swej, w odkażeniu od wszystkiego co jest seksualizmem, przypomina biograficznie angielskiego Keatsa. Listów miłosnych Wyspiandra napewnoby żaden Hoesick w żadnej szkatułce czy „écritoirku" nie wyszperał. Były dwie panny w Krakowie, siostry kolegów szkolnych, przy których nieco dłużej się zatrzymał, ale nawet zwiewnych epizodów z tych zapatrzeń raczej kontemplacyjnych wyrzeźbić się nie da. Była w Paryżu ta Maoryska, legendarna puścizna po Gauguinie (wraz z pracownią), ale w tem on był raczej zdobyczą upolowaną, a jej pamięć raczejby przekląć należało. A potem długie lata nic — aż do czasu, kiedy „wziął pan

sobie żonę sprosta". W krótkim żywocie nie miał czasu na romanzera. Zanadto rozkochany był i oczekujący tej Nadchodzącej, za dużo malował świętych i męczenników pańskich; szatan pokusy bał się podchodzić do młodzianka prerafaelickiego, wciąż zapatrzonego w zaświaty przeszłości polskiej...

Towarzyskość. To też trzeba wydobyć pod światło, aby go człowieczo nieco do ziemskich bliźnich zbliżyć. Wielki wizjoner, nie należał do tych problematycznych znakomitości, które w kasztelu ze słoniowej kości, izolowane drutem kolczastej wyniosłości, odgradzają się... od profanacji. Ani też, mimo straszliwego balastu choroby, nie było w nim nic z „Tymona Ateńczyka", gryzącego końce palców w wzgardliwem osamotnieniu i nienawiści do „profanum vulgus" czy „pecus", do biednych ludzkich duplikatów, destruktów i... tuzinkowatych. Dla niego, jak Sztuka nie była tylko chimerą, tak i współczesność nie była tylko „próchnem", z którego iskry wykrzesuje jeno genjusz. Nie chodził na koturnach i nie opierał się na urnach i mało miał w sobie z udrapowanej pozy naszych dawnych derwidów i druidów. Prostota grandseigneura a joie de vivre artysty garnącego do siebie czasem gromadę rozbisurmanionych, zasmarkanych dziecek stróżowskich a gardzącego tylko tymi, co zbyt grzęznęli w życia „wieprzowatości"...

Kaprysy? Owszem, miewał, w tym procencie, w jakim wszyscy szczytowi, cyplowi, wirchowi. Obok szeregu drobnych, małych dziwactw, osobliwości i przekór toaletowych, jedzeniowych, obrzędowych, niezwykłe zabawne plany i paradoksalne projekty, związane np.

z Krakowem. Pomijam znany pomysł usunięcia Giewontu (dla przerwania powodzi sonetów o nim) i wogóle poprzestawiania i unieprzystępnienia Tatr, pomijam drugi plan przebudowania Wawelu-Akropolu, ale przypominam sobie inny, pozornie groteskowy i irracjonalny, plan poprzenoszenia najstarszych zabytków na Rynku, przywrócenia starej Wisły na Stradomiu, skasowania Plant i odbudowy z powrotem wszystkich dawnych murów i baszt, co mówione było całkiem serjo, tylko z tym niezapomnianie sardonicznym, subtelnym, uśmieszkowym grymasem...

Polityka. Tak, tej nie cierpiał, nie znosił z najgłębszego serca, imo ex pectore. Nietylko gardził nią pasywnie, ale aktywnie jej nienawidził, brzydził się nią jako czemś brudzącem i plugawiącem sumienie i ręce, paczącem i dewastującem dusze. Z dwóch typów „cywilnych“ gości, którzy bywali „pod Paonem“ u Turlińskiego z większą tolerancją odnosił się nawet do gatunku szulerów, szmendziarzy“ („chemin de fer“), wyblakłych całonocnych prowincjonalnych graczy, jak do pucołowatych szulerów-polityków, którzy „bibami“ święcili tam swoje triumfy lub klapy, wygrane lub przegrane. Irytowało go już nawet gdy cyganerja trawiła czas na czytanie artykułów wstępnych w gazeciskach i zatruwała się tym fuzlem. Jak wielkich romantyków „tęsknota za ojczyzną wypędziła z kraju“, tak jego awersja do nowoczesności polskiej, a raczej rzeczywistości galicyjskiej, odwróciła ku średniowieczu i kazała zakopywać się wprost w kryptach królewskiej przeszłości. Cynizm i nihilizm rządzących Galicją partyj unieśmiertnił w melancholijnym Dzienni-

karzu z „Wesela“ i w karmazynach z „Wyzwolenia„..., a choć Stańczycy, głoszący ewangelję trójzaborowej ugody, roztoczyli nad nim miłosny opiekuńczy patronat, Austrja nie przestała dlań być wrogiem pierwszym, pierworodnym, bezpośrednim, dziedzicznym. Ponieważ sam najwcześniej wyzwolił się z gimnazjalnych powijaków „deutscher Bildung“, pierwszy skąpał w krynicznej kulturze romańskiej i zanurzył w studjach francuskich katedr i francuskich klasyków, przeto, oczyszczony i bierzmowany, w otoczeniu tępił bezlitośnie ciągoty germańskie, skandynawskie, berlińskie, wiedeńskie. Konieczność obywatelsko-poddańczą nawdziana na siebie na krótko austrjackiego munduru „einjährigfreiwilliga“ wspominał z bezbrzeżnem obrzydzeniem. A kiedyto opisał w mało znanym „wierszu do rekrutów austrjackich“, ze względów cenzuralnych trzeba było usunąć właściwe słowa, tak że zostało...

Wy co trawicie w nędzy młode siły,
W koszary *carów* zgnani do komórek,

Niech strzępy Russa i skalpy Cezarów
Dopełnią ustroju *ostatnich* janczarów.

— podczas gdy na miejscu „carów“ było w oryginale „łotrów“, a słowo „ostatnich“ przyszło na miejsce „rakuskich“. Kiedy w nominacji na docenta Akademji Sztuk Pięknych było napisane, że „Jego Cesarsko Apostolska Mość Cesarz“... i t. d. „raczył mianować Pana“ i t. d., Wyspiański na drugi dzień odesłał z powrotem arkusz z nominacją, aż wreszcie musiano mu przysłać drugi... bez „Apostolskiego“... Nic co ludzkiego, co człowieczego, bez względu na narodową i ra-

sową przynależność, nie było mu obce i obojętne, ale wszystko co austrackie z ducha i z treści było mu wstrętne.

Trzeba to przypomnieć teraz, przy samym finale tego reminiscencyjnego epitaphium, skoro w ostatnich czasach kosmata łapa politycznościowa sięgnęła i w strony Dioskurów naszego pokolenia, sumienie i serce popowstaniowej Polski w sobie symbolizujących: Wyspiańskiego i Żeromskiego. Jak nie można Goethego i Schillera, jak nie można Dostojewskiego i Tołstoja, tak też nie godziło się i żadnego z tych dwóch (jak zresztą i Kasprowicza i Reymonta) wizerunków przyszywać do galicyjskich sztandarów. Tak pieśniarz „Popiołów" jak i „Warszawianki" szczytami swej twórczości i swego cierpienia za miljony wyrośli już ponad partyjne i orjentacyjne chińskie mury z... tektury. Zostawmyż ich tedy w spokoju, sami grzęznąc po kostki w zapadającej się rzeczywistości. Nie pieczmy kasztanów przy Zniczach, uszanujmy pochodnie z czasów mroków.

Piękny był człowiek i pełny człowiek Wyspiański. Jako „ulubieniec bogów" musiał umrzeć młodo. Czy mu zazdrościć czy nie, że nie dożył, — to jeszcze pytanie. Należał do tych nie tak znów nielicznych, których przypominanie sobie kojąco godzi z dzisiejszością, o ile ta przybiera kształty i pozory koszmarne i szatańskie, policzkujące mit o Polsce jako „narodów Mesjaszu".

„BADINGUET“ CZYLI NAPOLEON III

Motto (z mowy V. Hugo wygłoszonej w r. 1892)

„Od jutra Francja będzie miała jedną tylko myśl — podsycania swego gniewu, utworzenia armji, którą stanie się cały lud, by stać się znowu wielką Francją, Francją, z r. 1792, Francją ideału i Francją miecza. I dnia pewnego wstanie nie dającą się zwyciężyć: odbierze Lotaryngję, Alzację, Ren, Moguncję i Kolonje. Zawoła: Niemcy, ja tu jestem! Czy jesteśmy wrogami? Nie! jestem Twą siostrą. — Bądźmy stanami zjednoczonymi Europy. uniwersalną Wolnością, uniwersalnym pokojem. Nigdy nie zapomnę ci tego, żeś mnie oswobodziła od mojego cesarza, j a c i ę o s w o b o d z ę o d T w o j e g o“.

W zapiskach swoich o Badinguecie z r. jeszcze 1849 jest V. Hugo pełen życzliwości, wyrozumiałości, dobrej woli. Ale już w niektórych ustępach tych pamiętników przebija się w charakterystyce przenikliwej choć impresjonistycznej, z trudem skrywana jakaś nieufność i sceptycyzm.

„Nie można odmówić Ludwikowi Napoleonowi najlepszych chęci i pewnej bardzo widocznej dozy inteligencji i zdolności...“ To *plus*, a teraz *minus:* „Milczy, ale wydaje się raczej zakłopotanym, niż milczącym...“ „Minę miał bojaźliwą. Chodził od grupy polityków do grupy innej, raczej jak obcy i ciągle jakiś zażenowany tem swojem nagłem wyniesieniem“. „Wszystko, co się w tej chwili u nas dzieje, wygląda na bigos hultajski i odbija się jak w swym symbolu, w tej osobie do wszystkiego, w Ludwiku Napoleonie“.

Poczem opisuje też V. Hugo tę metodę „sztucznej

prostoty", z jaką zabierał się świeżo obrany prezydent republiki do przyniewolenia i skokietowania dla siebie V. Hugo, to jest bądź co bądź już wówczas znakomitego poety i deputowanego, oraz wyszczególnia te wszystkie rady, jakich mu lojalnie udzielił V. Hugo na skromne zapytania: jak ma właściwie rządzić Francją? Napoleon Mały słuchał poetę zapatrzony, zasłuchany, potulny, przymilający się...

Nie upłynęło i 10 lat jak ten arcytyp arrivisty, zgarnąwszy już całą władzę w swoje ręce, skazywał wielkiego poetę na wygnanie wieloletnie, a rozsierdzony tytan słowa zaczął z oddalonej skalistej wyspy zrzucać głazy wściekłego gniewu na karawanseraj Tuilleryjski i bladego hypnotyzera w cesarskiej koronie. Sedańskie dni dopiero wykazały po omal dwudziestu latach zmiennych kolei, kto miał rację finalną, imperator czy litterator, wielki komedjant czy wielki twórca, mózg jowiszowy, jak V. Hugo nazwał Lamartine, czy „drewniana głowa", jak Napoleona III nazwał Thiers.

Badinguet wypłynął z piany krwawej rewolucji; nie Hieronim a chaos był jego ojcem i nie królowa Hortensja a wzburzona, rewoltująca, zabarykadowana ulica paryska była jego matką. Jako dobry syn tego stadła uważał on siebie do końca, nawet w latach cesarskich, zawsze za „wykonawcę testamentu rewolucji", za pomazańca i wybrańca ludu, za niepoprawnego rewolucjonistę w dziedzinach idei, za orędownika i obrońcę najczystszego ludowładztwa. Przez długie, długie lata liczne rzesze czy trzody demokracji wierzyły w ten frazes i w tę pozę zaczajonego despoty.

Wysunął się z szarych szeregów i wskoczył na pierwszy szczebel wielkiej karjery w momencie, kiedy na ratuszu paryskim zawisł czerwony sztandar komunistów (dzięki Lamartinea wymowie dopiero potem zdarty), kiedy w pałacu Luksemburskim rozsiadła się „komisja pracy“, kiedy Blanqui otwierał swoje warsztaty narodowe, strajkujący robotnicy dostawali 2 franki dziennie darmowej pensji i w kilka miesięcy 7 miljonów w ten sposób rzucono na propagandę próżniactwa w imię doktryny. W kanon ustawodawstwa włączono wtedy przedewszystkiem dogmat: *La Republique s'engage à garantir l'éxistence de l'ouvrier pour le travail et le droit du travail.* Partja reformy w Zgromadzeniu Narodowem parła do republiki komunistycznej drogą wywłaszczeń przy zastosowaniu terroru. Burżuazję paryską opadł wówczas śmiertelny strach, chłop francuski zatrząsł się oburzeniem i wstrętem. Ulicami przeciągały to rzesze rozgorączkowane z czerwonemi płachtami na drzewcach, to piękna, karna z powrotem i oprzytomniała po febrze rewolucyjnej gwardja narodowa z okrzykami: *à bas les communistes!...*

I wtedy trzeba było wyciągnąć na arenę jakieś nazwisko, któreby było czerwone a ratowało białych. Nie twardego Cavaignaca oczywiście i nie delikatnego Lamartina jako piorunochrony, a kogoś co nietylko nie odstraszał lecz pociągał, wabił, omamiał. W strachu i grozie przed komunistami trzeba było wysunąć i podnieść na tarczę jakiegoś, już oswojonego carbonara... Ludwik Napoleon Bonaparte okazał się wymarzonym czerwonym kandydatem na poskromienie czerwonego smoka. Szatana wypędza się Belzebubem. Au-

reolę miał. Trzydzieści lat tylko spiskował i konspirował. Z braciszkiem brał jakiś pono żywy choć dość mityczny udział w walkach o wolność Italji... Dwa razy aranżował komplot na większą skalę. Raz w Strassburgu w załodze tamtejszej, poczem go ujęto i puszczono, aby mógł uciec spokojnie do Ameryki. Drugi raz z 60 towarzyszami wylądował z romantycznymi akcesorjami w Vimereux pod Boulogne, gdzie go znów ujęto i zamknięto w twierdzy Ham. Miał więc już w oczach tłumów aureolę wygnańca cierpiętnika, prześladowanej ofiary, bojownika za wolność ludu. W ustach paryskiej ludności był odtąd „robotnikiem Badinguetem“, gdyż w tej charakteryzacji wykradał się i został ujęty. W momentach uroczystych zwano go też „więźniem z Ham“. Nadto napisał piękne „Idee Napoleońskie“ (1836), stwierdzające, że Bonapartyzm a demokracja nawet nieco socjalna to jedno. Atutów w ręku miał więc dużo. Zwalczał Burbonów, nie lubiał mieszczaństwa, nienawidził go król mieszczanin, był carbonarem, rewolucjonistą, dożywotnim skazańcem, kryminalistą, był agitatorem zasłużonym w zdeformowaniu poprzedniego porządku i ustroju i otoczony był jakąś dziwną, intrygującą, romantyczną legendą. To wszystko bardzo go polecało względom szerokich mas, przekonanych, że tropiony i więziony bohater-kryminalista i banita, doszedłszy do władzy, prędko się rozprawi z bogatą burżuazją, z klerem i partją „Nationalu“. Równocześnie zaś znowuż chłopstwo miało jeszcze w sobie pietyzm Bonapartystoski a burżuazja wyczuła w nim czy wywąchała zaczajonego despotę pełnego dynastycznych ambicji, gardzącego w głębi duszy

rozbuchanym motłochem i znającego się na smaczkach, zaletach i przymiotach pięknego, normalnego żywota burżujskiego. Z egoistycznych więc klasowych wyrachowań dwóch zwalczających się już wówczas zażarcie światów, z chciwości jednego i ze strachu drugiego wyskoczyła zwycięsko i niespodziewanie prezydentura tego konspiratora „nieśmiałego“, „zakłopotanego“, to milczącego znacząco, to uwodzącego po kolei obchodzone grupy „polityków“. *Point de revolutions, point de conquêtes!* z tym hasłem, demaskując się, wystąpił na scenę historji Badinguet wtedy, kiedy już czuł się mocno w fotelu prezydenckim. Szybko oduczył się cytowania mądrości z Blanquiego, Barbesa, Babouefa... A ponieważ z zagorzałych konspiratorów bywają często zapamiętali żandarmi, konspiracji tropiciele i niszczyciele, przeto obywatelowi-prezydentowi Bonapartemu dość szybko udało się zapędzić też do klatek z powrotem szakala i hjenę rewolucji komunistycznej i stosunkowo bez wstrząśnień, zaprowadzić, jeżeli już nie ład i porządek, to przynajmniej względny porządeczek.

Ani się spostrzegli menerzy i koryfeje Lutowych i Marcowych przewrotów jak z powrotem musieli cofać się w podziemną robotę. Naprzód uspokojenie a potem reformy. Naprzód armja a potem warsztaty narodowe i *„la republique s'engage à garantir le droit du travail!...* Naprzód trzeba się wzbogacać *(enrichissez-vous)*, a potem pogadamy o reformach społecznych i socjalizowaniu... *La liberté n'a jamais aidè a fonder l'édifice politique durable...“*

I na te lata pierwsze przemienił się Ludwik Na-

poleon przedewszystkiem w fachowca militaryzmu. Wojsko stało się jego oczkiem w głowie, w „drewnianej“ — dodawał Thiers. Dostojny autor kompilacyjnego „Życia Cezara“ zagłębiał się w żywoty strategów, zapracowywał nad organizacją armji, brał udział we wszelkich manewrach, asystował przy ustawicznych rewjach, wznowił wszystkie ordery wojskowe wszystkich czasów, zwiedzał kasarnie, zaczepiał konfidencjonalnie i bratał się z żołnierzami, jednym słowem całą politykę wewnętrzną ograniczył do stwarzania sobie kadrów pretorjańskich, przydatnych w przyszłym powoli w cichości przygotowywanym zamachu stanu. Armja stała się jego pepinierą i domeną najulubieńszą. Choć w swoim poprzednim awanturniczo-konspiracyjno-romantycznym żywocie nigdy się wojskowością nie zajmował i właściwie w tym trudnym i na specjalnej żmudnej wiedzy opartym fachu zgoła się nie orjentował, pozostając przez całe życie tylko amatorem, to jednakże ostentacyjnem forytowaniem wojskowości, wtrącaniem się w organizację armji mówkami na rewjach i jubileuszach, cytatami z Cezara i Napoleona, z Turenjusza i Maurycego Saskiego, zdołał wreszcie dzięki usłużnej i przekupnej prasie zyskać sobie opinję prawdziwego następcy Napoleona Wielkiego, materjału na wielkiego wodza i specjalisty w sprawach strategji, ballistyki, marynarki wojennej i t. p. Można sobie wyobrazić jak, słysząc dyletanckie wyskoki i gaffy passjonującego się do armji cywilusa z krwi i kości, zaśmiewali się na boku w kułak starzy jenerałowie rutyniści ze szkoły Napoleońskiej, można sobie wyobrazić, jak zacierali ręce w Berlinie Wimpffen, Moltke

i Roon, mając od szpiegów relacje, w czyich tô rękach znalazła się organizacja wojska francuskiego.

Dodać tu trzeba jeszcze, że stary spiskowiec wszystkie najważniejsze stanowiska obsadzał w sztabie i w ministerjum swoimi zaufańcami ślepo sobie oddanymi między nimi oczywiście i towarzyszami eskapady i komplotów z Vimercu'a i ze Strassburga i przyjaciółmi z Szwajcarji, często bardzo podejrzanej konduity i fundamentalnej ignorancji w swem rzemiośle. Fachowców starszych lub wyszkolonych Badinguet nie znosił, nie chcąc się narażać na ironiczne spojrzenia lub krytyczne uwagi dla swoich strategicznych koncepcji i raczej konceptów. Nieznośny był ten nepotyzm niewydarzonego Bramarbasa czasów pokoju, jeszcze nieszkodliwy w późniejszych awanturniczych eskapadach wojennych do Syrji, Chin, Meksyku... na linjach najmniejszego oporu z wrogiem prymitywnym. Ale gdy przyszło się zmierzyć z wojskiem zorganizowanem serjo bez protekcyjnego systemu, bez wynagradzania za spiski szlifami sztabowymi, wtedy dopiero po wielu, wielu latach rozdymanych sukcesów i wiktorji łatwych ten system Badingueta okazał się fatalnym. Co prawda jednak bez tak skonstruowanej armji nie byłby się tak powiódł gładko zamach stanu z 2 grudnia 1851 r. Ludwik Napoleon nie byłby mógł swoją głowę „drewnianą" (jak mówił Thiers) ozdobić *djademem cesarskim*...

Że do tego zamachu stanu automatycznie przyjść musiało, to przezorniejsze umysły przewidywały już dawniej. W kunszcie zyskiwania sobie taniej i płytkiej popularności więzień z Ham był majstrem nad

majstry. Nie pogardzał romantyk żadnymi realnymi środkami godziwymi i niegodziwymi. Niewygodnych sobie lub zbyt rogatych umiał konsekwentnie wyciskać z kraju, usuwać w cień, obezwładniać, obsadzać na niewłaściwych miejscach, by się szybko kompromitowali, deportować na ambasady i na prowincję, do kolonji, wreszcie z pomocą gadzinowej opłacanej prasy zaszczuwać lub ośmieszać doszczętnie. Rodziny historyczne wycofały się z areny politycznej zupełnie. Rodziny bonapartystoskie, widząc jak konsekwentnie zmierza do celu szlakiem Cezara, zaczęły gromadzić się koło niego i podpierać jego fotel prezydencki.

Obóz reformy socjalnej powoli przecierał oczy i przekonywał się, na jakich to dudków wystrychnął ich ten myśliciel-reformator, który w swoich „Ideach Napoleońskich“ (Londyn 1838) ucharakteryzowany był myślowo omal na Blanquistę. Republikanie prawdziwi, republikanie konsekwentni, w rzymskim stylu, zgrupowani w Zgromadzeniu Narodowem i broniący zażarcie *souverainité* tegoż Zgromadzenia Narodowego, wiedząc, co się święci, przestali wierzyć w jego czyste intencje i szacunek dla ustroju republikańskiego i stosowali względem wszystkich Badingueta cezarycznych zakusów opozycję twardą i nieubłaganą. To też oddana „Sfinksowi Tuilleryjskiemu“ prasa urągała na Izbę, co się wlezie, jako na ognisko spisków, hydrę siedmiusetgłową, piąte koło u triumfalnego rydwanu Bonapartych, aeropag miernot i nieudolności.

Dzieje piśmiennictwa francuskiego nie notują nazwisk wynajętych zbirów i bravów pióra, którzy w „Monitorze“, „Aurorze“ i t. p. urzędówkach przy-

gotowywali i maścili drogę do tronu szwajcarskiemu aventurierowi, plugawiąc i dyffamując Ledru Rollina, Lamartina, Thiersa, Hugo i Zgromadzenie Narodowe, i wszystkich antagonistów Badingueta. Ale dzieje piśmiennictwa grubymi czcionkami wyróżniają nazwisko zaciętego pamflecisty zbiedniałego, vicehrabiego Rochefort de Lucay, który początkowo w „Marseilleusie“ a potem w całym szeregu pism przez kilkanaście lat dzień w dzień, dzień w dzień kłół szpilkami „drewniany“ łebek tej karykatury Napoleona, tego Juljusza Cezara w wydaniu dla starych panien, dorastającej młodzieży i analfabetów, tego *valereux poltrona*, jak genialnie go określił któryś z braci Goncourtów.

Lata rządów Napoleona Małego czy to jako Naczelnika Państwa (Chef d'Etat) wedle słów Konstytucji z r. 1851, czy później po zamachu jako cesarza z woli ludu błyszczą szychem sukcesów i triumfów.

Prestige mocarstwowy Francji pozornie jest olbrzymi i promienieje na cały glob ziemski. Napoleon w dążeniu do odwrócenia uwagi społeczeństwa od spraw wewnętrznych, nie mając poważnych ambicji regenta, któremu zależy na solidnem konsolidowaniu się państwa, a trawiony tajemnie niepohamowaną żądzą nie tyle wielkiej sławy ile ciągłego rozgłosu, ciągłego stania na piedestale i odgrywania roli arbitra i rozjemcy we wszystkich sporach i konfliktach europejskich oraz protektora narodów oprymowanych i niewyzwolonych, kładzie cały nacisk na politykę zewnętrzną i występuje z inicjatywą swoją w całym szeregu spraw, które bezpośrednio Francji wcale nie tyczyły.

Nie posiadając żadnego ścisłego wykształcenia w prawodawstwie, żadnego pojęcia o skarbowości, żadnych idei z ekonomji politycznej, mało się orjentując w ustroju administracyjnym i nie pogłębiwszy w sobie wiedzy socjalnej, z namiętnością i pasją szczęśliwego dyletanta, rzucił się natomiast w ryzyka i hazardy ciągłych interwencji na zewnątrz, nawet na najodleglejszych terenach. Dla swojego czysto karciarskiego nałogu grania ze wszystkimi partnerami, dorobił sobie nawet ideologję wcale efektowną, t. j. tak zwaną: „zasadę narodowości". Frazes ten, będący ówczesną parafrazą dzisiejszej idei; samostanowienia narodów nadawał jego hazardowym poczynaniom pozór ciągłości, jakiegoś na wielką skalę programu politycznego, pozornie konsekwentnie przeprowadzanego. W rzeczywistości, w jego ustach t. j. w ustach niespokojnego o swój fotel czy tron arrivisty, uciekającego przed trudnościami i zawiłościami problemów wewnętrznych w efektowne angażowania się na zewnątrz, był tylko idealistycznym listkiem figowym przemyślnego przeniewiercy radykalnej demokracji z r. 1848, renegata idei republikańskiej i zamachowca cezarycznego. W miejsce wyzwalania warstw dolnych, którego się spodziewano po rozgłośnym carbonarze, przyszło wyzwalanie narodów uciemiężonych, patronowanie walkom niepodległościowym we Włoszech, w Polsce, wszędzie. Jak „poważnie" i „głęboko" brał te tragedje narodów Badinguet, to demaskują kolejne fazy stosunku do Polski i Rosji, to kurczowe, gorączkowe i bezambitne ubieganie się o aljans z Rosją w latach 1853 (Kisielew), poczem 1857 (Konstanty Mikołajewicz) i znów w 1867 w międzyczasie zaś

kokietowanie Polaków, legjon polski w Turcji, połowiczne i kabotyńskie popieranie powstania z r. 1863 ze słynnem: Durez! Durez!... i znów paradowanie z Aleksandrem II podczas wystawy z r. 1867 i dusery dla dynastji Holstejn-Gottorp. To samo w stosunku do Włoch, w których jedności obronie popłynęły strumienie krwi francuskiej na to tylko, by po podnieceniu i rozbudzeniu nadziei w decydującym momencie opuścić ich sprawę, rozdraźnić i rozżalić do Francuzów, wzbudzając istną gallofobię w narodzie, który tyle zawdzięczał francuskiemu żołnierzowi. Ta sama niestałość i zygzakowate niekonsekwencje w stosunku do Austrji, drażnienia i zaczepiania zamiast korzystnej dla Francji przyjaźni, opuszczanie sojusznika w decydującej chwili, Sadowa, przyczynienie się do wzrostu Prus, wreszcie ukoronowanie tych wszystkich błędów, zmian kursów i przewracań aljansów nieszczęsną wyprawą meksykańską.

Regent romantyk rozmiłowany we wszystkiem co politycznie ekscentryczne, dziwaczne, bizarre postanawia w Ameryce stworzyć państwo potężne, szachujące Stany Zjednoczone pod bokiem Stanów Zjednoczonych. Przeniewierca republikanizmu rozpala się do cesarstwa meksykańskiego. Wróg Austrji, ażeby skokietować dynastję Habsburską obiera sobie arcyksięcia Maksymiljana za objekt swych romantycznych eksperymentów. W decydującym momencie opuszcza go, zostawia na pastwę egzotycznych Meksykanów i w rezultacie zyskuje Francja śmiertelne rozżalenie Austrjaków i ich dynastji. Na zewnątrz spółcześnie wygląda to wszystko nawet efektownie. Wojska francuskie biją

się wszędzie i wszędzie zwycięsko. Flota francuska pod Wenecją i na Oceanie Spokojnym, na Morzu Czarnem. Syrja, Algier, Kochinchina, Chiny. Jeden wódz pali pół Pekinu, drugi wprowadza na tron Montezumy arcyksięcia, przyszłego wasala. Montebello, Magenta, Solferino. Napoleon jest na ustach wszystkich, ciągle, stale, bez przerwy, czoło jego zdobi złoty laur zwycięzcy i triumfatora, kochają się w nim na zabój wszystkie damy i pensjonarki, drugo i trzeciorzędni literaci opiewają jego zwycięstwa, jego Fortunę, jego skromność ujmującą i prostotę postawy.

Pod piórem subwencjonowanych pismaków szczęśliwy hazardeur i spiskowy wyga wzrasta do wymiarów Turenjusza i Maurycego Saskiego. Sprytny hypnotyzer melancholją swego spojrzenia i powagą myślącego czoła zniewala wszystkich i najoporniejszych. Thiers i Cavaignac na jakiś czas idą za kraty. Nieprzebłagańcy uciekają zagranicę, lub są deportowani do Gujany lub na... ambasadorów. Jakiejkolwiek opozycji nie porwanej i nie entuzjamującej się tymi pyrotechnicznymi widowiskami politycznego mistyfikatora zamyka się i knebluje usta argumentami w tym guście, że Badinguet uratował przed komunistami, że gdy Badingueta nie stanie hydra rewolucyjna znów podniesie łeb stugłowy i Francja popadnie w chaos, że w porewolucyjnej, rozburzonej i rozkołysanej socjalnie Francji osobistość, symbolizująca Francję, winna stać poza dyskusjami, poza obrębem krytyki, winna być „tabu“, choćby nawet w jej biografji były brudnawe plamy i ciemne lub wydarte karty. Na nic się zdały kontrargumenty impregnowanych na uroki ko-

ronowanego prestidigitatora i przewidujących do czego po latach tłustych i błyszczących doprowadzi to ciskanie Francją na wszystkie fronty i we wszystkie afery, to stwarzanie sobie wieloletnich wrogów z jednodniowych przyjaciół, ta blaga z wyzwalaniem narodów uciśnionych i to balansowanie wewnętrzne od reakcjonizmu do radykalizmu, od liberalizmu do dewocji, od Walewskiego do Olliviera, od Plon-Plona do Ojców Jezuitów. W miarę jak dzielny żołnierz francuski zwyciężał to tu to tam, w miarę jak inżynier francuski to przekopywał Kanał Sueski, to stawiał sztuczne miasto wystawowe z produktami zaciętej pracowitości francuskiego chłopa i rzemieślnika, wszystko co dobre, twórcze i pozytywne szło też na *benefis* i *maiorem gloriam* tuilleryjskiego komedjanta, rósł kult dla Bonapartyzmu u kobiet i artystów, wzmagała się popularność wśród chłopstwa. Darto w strzępy na ulicach Pillotela w „Lucyferze" karykatury przyszłego Sedańczyka, palono numery „Lanterne", „Figara", „Rappelu" i „La Rue" Vallesa, gdzie bez ceremonji obchodzono się z tym „Bożym pomazańcem", „dzieckiem rewolucji", z tą „niezapoznaną miernotą" z „arbitrem Europy" z „wyzwalaczem narodów", przygotowującym tak mozolnie przyszłą straszliwą izolację Francji w r. 1870. Ale Badinguet już kpił sobie wogóle ze wszelkiej opozycji. Viktor Hugo grzmiał z oddali, młode adwokaty zdzierały gardła po klubach i klubikach, we wszystkich stolicach europejskich legitymistyczna dyplomacja kręciła nosem nad tupetem, apodyktycznością i niespodziewanymi, nieobliczalnymi „ideami" tuilleryjskiego uzurpatora, który w tej stro-

nie Europy tak mocno rozbudził ducha militarystycznego wpędziwszy w podziemia ducha rewolucyjnego; anarchiści znowuż i garibaldjanie już szykowali bombastyczne zamachy.

Tymczasem jednak Napoleon I siedział jeszcze mocno na swoim teatralnym tronie, wsparł go bowiem przezornie na dwóch potężnych karjatydach pozornie wrogich sobie a jednak przezeń też skaptowanych i w rydwan wielkiego histrjona zgodnie wprzągniętych, t. j. na żydowstwie i na klerykaliźmie. Choć bowiem *libre-penseur* i libertyn z krwi i kości, choć masońską atmosferą skroś przesiąkły i w gronie swoich karbonarów z religji dworujący, umiał się kameleon przełamać i przezwyciężyć swe pogaństwo „dla miłego berła“ i w narodzie ultrakatolickim na kilka już nawdzianych masek przybrał jeszcze maskę wierzącego katolika.

Ukoronowawszy już raz swą głowę wypomadowaną, brał odtąd udział we wszystkich ceremonjach kościelnych z twarzą zbożną i skupioną, modlił się pod figurą, klękał, żegnał święconą wodą, całował krucyfiks pokornie, byle to tylko tłumy widziały, byle mu zapomniano lata włoskie, szwajcarskie, amerykańskie i jego socjetę z lat górnych i chmurnych. Choć „djabła miał za skórą“, umiał być nawet więcej papieski niż sam papież sprytny Badinguet. Równocześnie ponieważ hypokryzja i dwulicowość bywa wszędzie i zawsze drugą naturą tego typu awanturników na tronach czy fotelach prezydenckich, więc temu samemu papiestwu zadał swoją polityką pokątną najcięższe ciosy, któremu oficjalnie palił wszystkie kadzidła, przed któ-

rem klękał bogobojnie a ostentacyjnie. Z inspiracji Kurji apostolskiej celem niesienia cywilizacji łacińskiej w Ameryce rozpoczął nieszczęsną awanturę meksykańską ale znowuż za podszeptem szatańskiej wolnej myśli opuścił potem i zdradził swego faworyta arcyksiążęcego, wystawiając go na egzekucję rozstrzelania...

Drugim filarem tego tronu cesarskiego w stylu Offenbacha i Winterhaltera było bogate żydowstwo paryskie. Czasy władztwa tego arcykatolickiego ex-rewolucjonisty, to era pierwszego rozrostu i rozpanoszenia się kapitalistycznego Semitów w Paryżu. Każda wojenka, każda eskapada, każda militarystyczna fantazja Badingueta to woda ze złotym piaskiem na giełdziarskie młyny spekulantów semickich. Sztuczna ekspanzja i terytorjalne nabytki kolonjalne szły w parze z nagłym niezdrowym nie ewolucyjnym rozrostem przemysłu i handlu a głównie spekulacji giełdowej. Powstaje Credit Fonçier, Credit Mobilier i tysiące tysięcy towarzystw akcyjnych, spółek, zrzeszeń; fortuny wyrastają na drożdżach a *febris aurea* i gorączka akcyjna porywa wszystkich i dwór i ministrów i deputowanych i jeneralicję. Za panowania tego „platonicznego socjalisty“ kładą się fundamenta pod rządy dynastji bankierskich: Fouldów, Rotschildów, Pereirów, Cremieux, Alcanów. Simonów, Millandów, Naguetów, Halevych, Dreyfussów, Waldek-Roussów i Rejnachów. Nakładcy pism rządowych, podtrzymujący prestige arcykatolickiej pary Napoleona i Eugenji noszą nazwiska: Schiller, Cerff, Doltinger, Deutsch, Lewinsohn. Modnym filozofem sfer dworskich i bonapartystycznych jest żyd

Seé. Historjografem Francji Badingueta jest żyd Adrien Marx: W operze: Meyerbeer, Halevy, Weiss „Żydówka“ „Żyd polski“, w malarstwie żyd Rochegrosse, Izrael i t. p., w teatrze Rachel, Judic, Sara, w literaturze charakteryzowani na monarchistów. W najbliższem otoczeniu wielką rolę odgrywająca żydówka rosyjska, Lachmanówna z Berdyczowa, późniejsza madame La Païva, Egerja tego Cezara w damskim formacie.

Koroną zaś a zarazem symboliczną figurą tego cesarstwa, tego dworu, tego majestatu to spowiednik cesarzowej i wielki jałmużnik Jezuita... pater Bauer... wychrzta... Trzeba przypomnieć sobie literaturę belletrystyczną owych czasów Ponson du Teraila, Paul de Koka, Suego, Montepina, Gaborieugo, Dumasa-syna, Augiera, trzeba przypomnieć sobie „Madame Bovary“ Flauberta, pamiętniki Goncourtów, Rougon Macquartow Zoli, La France Juive Drumonta, „Safo“ Daudeta, pamiętniki Olliviera aby uprzytomnić i stworzyć sobie obraz obyczajowy społeczeństwa francuskiego z czasów kiedy naczelnikiem państwa była wyłoniona z mętów rewolucyjnych postać tak problematyczna, niejasna i dwuznaczna jak synowiec „Robespierra na koniu“ *man of destiny*, który po przez liczne bramy triumfalne wiódł Francję z kapitolów Napoleona I na tarpejską skałę Sedanu.

Upokorzenie Rosji, która upokorzyła w. r. 1812 i 1815 Bonapartych, korsykańska vendetta na Rosji, zwalającej nową dynastję nie tylko z jednego, ale z kilku tronów, to była ta pierwsza chora ze stanowiska francuskiej racji stanu idea, jaka rozrosła się w formalnego gieza w niespokojnej „drewnianej gło-

wie“ (Thiers) małego synowca Wielkiego stryja. Powiodło mu się, miał szczęście. Kongres berliński był istotnie upokorzeniem Rosji, ale Kongres berliński połączył też na pół wieku przeszło Prusy z Rosją i po piętnastu już latach zrodził swój owoc, to jest sztywną deklarację rządu petersburgskiego, godzącą się na warunki, postawione Sedańczykowi Napoleonowi przez Bismarcka.

W mstliwych zamiarach wobec Rosji Napoleon III nigdy nie kierował się zamysłem o niepodległości polskiej. Tylko Plon-Plon i jego grupa żywiła wobec nas uczucia szczerej przyjaźni. Dla Badingueta był to fant, kłębek dla drażnienia kocura.

W r. 1853 trzy razy pokątni dyplomaci Badingueta proponowali Rosji oddanie Galicji; w 63 roku Grammont, naiwne książątko, zakochane ślepo w genjalności ukoronowanego carbonara, wykrawując części z Austrji Południowej, znowu równocześnie proponował oddanie Galicji Królestwu i spreparowanie z tego buforu, ale bez państwowości własnej. Jak w tym, tak i we wszystkich innych pomysłach i rzutach Badingueta brakowało zawsze powagi realnie przemyślanego i przeprowadzonego programu, a były tylko fantastyczne kaprysy dyletanta, planującego coś zawsze na złość Rosji, na przekór Austrji, dla drażnienia Anglji, dla zirytowania Waszyngtonu. Ciągła przemiana aljansów, opuszczanie wczorajszych sojuszników, rzucanie się w objęcia zdumionych antagonistów, niespodziewane kokietowanie dotychczasowych wrogów, konszachty z prowokowanymi i podjudzanie jednych na drugich, taka „polityka“ Napolona doprowadziła w kon-

sekwencji do tego, że „Sfinksa z Tuillerji“ w finalnym rezultacie wszyscy z zewnątrz, jak i wszystkie stronnictwa w kraju, zaczęły uważać za notorycznego, chronicznego wiarołomcę.

Lata całe upływały w splendorze i chwale, w aureoli bengalskiego światła sukcesów więc i podchlebstw. We Francji zdradził liberałów, omamił robotników, podszedł konserwatystów, wyprowadził w pole republikanów, ale trzymał się na powierzchni przeszło lat 20, właśnie tym wygrywaniem jednych przeciw drugim, judzeniem lewicy na prawicę i odwrotnie straszeniem prawicy lewicą. Do roku 51 popierały go żywioły liberalno-radykalne, jeszcze mu ufając, wierząc ślepo w jego kabotyński demokratyzm, wpatrzone w wybladłą maskę tego „dziecka rewolucji“, wsłuchane w jego frazesy oratorskie, gdzie roiło się od słów: lud, ludowi, z ludem, dla ludu. Przemęczony rewolucjami i spragniony spokoju motłoch ani czuł, jak rząd uzurpatora odbiera mu chyłkiem jedną po drugiej zdobycz z r. 1848 i sfatygowanej hydrze rewolucji wyciąga z paszczy wszystkie zęby i kły.

W Zgromadzeniu Narodowem istniały trzy grupy niezdolne do utworzenia większości, dumne ze swojej *souverainité*, ale żrące się ze sobą zaciekle, niezdolne do utworzenia większości, bo zręcznie i chytrze podszczuwane na siebie przez tęskniących do jedynowładztwa adoratorów Badingueta, porozmieszczanych umiejętnie po wszystkich obozach, partjach i pismach. Utajeni bonapartyści, massoni i zakonspirowani ex-karbonarjusze, odkomenderowani do wszystkich grup od skrajnej prawicy, do skrajnej lewicy włącznie, podsycając

waśń stronnictw i doprowadzając partyjne zacietrzewienie do absurdu, wytwarzali atmosferę wymarzoną dla zamachu stanu. I „pan Homais" i „pan de Camors" i „pani Bovary" i bracia „Rougon-Macquart", czytając dzień w dzień sprawozdania z burzliwych debat parlamentarnych w *Presse*, w *Constitutionelu*, w *Siécle*, czy w *Monitorze* rządowym, a zestawiając je z biuletynami z rozmaitych pól bitw zwycięskich armji Napoleona III zaczynali istotnie tęsknić za tem, co położyłoby kres kłótniom 700 suwerenów w „Folies Bourbon", a co upodobniłoby jeszcze więcej wspaniałą erę Bonapartego jako naczelnika państwa do jeszcze wspanialszych lat potęgi i chwały wielkiego Bonapartego. Na niemożliwości utworzenia większości w Zgromadzeniu Narodowem fundował się wzrastający wciąż nymbus Tuilleryjskiego intryganta. Im mocniej podsycali zacietrzewienie partyjne bonapartyści, im głębiej podrywali autorytet Zgromadzenia Narodowego, im grubiej wszystko co dobre zapisywano na karb inicjatywy i energji i „genialności więźnia z Ham" a wszystko co nieudałe i ujemne na conto Zgromadzenia Narodowego, im bezceremonialnej dyskredytowano ciało prawodawcze a przejaskrawiono naczelnika państwa zasługi w organizacji armji, w polityce zagranicznej, w podsycaniu przedsiębiorczości handlowej i bankowej im sceptyczniej i bardziej szyderczo wyrażano się o konstytucji z 48 roku, tem szybciej przyspieszano termin zamachu na tę konstytucję. Wszystkich co ostrzegali przed tem skorumpowaniem wewnętrznem i tych co demaskowali metody mafji Bonapartystów, wszystkich co alarmowali opinję przed sztuczną pozłotą rządów

ucztującego Baltazara, mafja stojąca przy żłobach i synekurach *viribus unitis* albo wygryzała szczując w swej prasie albo wpędzała w błoto śmieszności. Badinguet niby o tem nie wiedział. Badinguet jak Piłat Pontski gotów był każdej chwili umywać ręce i jeszcze z miną cierpiętnika i męczennika, bladego niewiniątka i bohatera bez zmazy i skazy „ze zdumieniem i oburzeniem“ dopiero dowiadywał się jak to głoduje V. Hugo i co to „ośmielają się wypisywać o panu Thiersie“... jego emisarjusze i przez jego tajny fundusz gadzinowy opłacane skryby.

Przed rokiem 1852 miał stary Kameleon za sobą już omal wszystkich, wysoki kler, żydostwo, banki, chłopstwo, a przedewszystkiem armję, w którą jako chronicielkę przed rewolucją pchano 80% z budżetu bez kontroli, bez opamiętania i w której na wszystkich stanowiskach naczelnych i ważnych porozmieszczano zaufańców i zaprzedańców. Socjalizm wpędzono z powrotem w katakumby i w podziemia, antagonistów przepędzono na cztery wiatry, rywali oszkalowano i ośmieszono, opozycję albo zakneblowano albo przekupiono. Ten pyskacz został merem, tamten dostał dostawy dla garnizonu, trzeciego brat obwieszon orderem, czwartego syn malował portret mamy Eugenji de Montijo, i tym wypróbowanym odwiecznym sposobem, czapką, papką i solą niewolił sobie szczwany szczurowab wszystkich opornych a miękkich.

Francja z r. 1851 stała przed Ludwikiem Napoleonem jak Trilby przed szarlatanem Svengalim. Jeszcze jeden silniejszy gest a zahypnotyzowaną była kompletnie i można było z nią już robić co się żywnie

zapragnęło. Konstytucja stała na zawadzie przedłużeniu prezydentury, trzeba było konstytucję przekreślić, trzeba było zdobyć się na akt istotnie cezaryczny. I szczęśliwy szuler polityczny zdobył się na ten akt woli i gwałtu. Zgromadzenie Narodowe sprzeciwiło się przedłużeniu na lat dziesięć, więc zostało rozwiązane, a skłóceni ze sobą suwerenowie porozsyłani „siupasem“ do domów i do magnifik. Nie upłynął i rok rządów tym razem już twardej ręki i masowych deportacji a „więzień z Ham“ mając już wszystko przygotowane, wymiecione i poustawiane, zdecydował się na jeszcze jeden gest woli. „Drewnianą głowę“ Badingueta ozdobił wreszcie djadem cesarski. „Więzień z Ham“ triumfował ale i żelazny junker z Berlina zacierał ręce, bacząc jakiego to typu awanturniczego romantyk powaliwszy konstytucję, cugle francuskiego rydwanu bierze w swoje wyłączne ręce.

Hasłem plebiscytowem wielkiego blaguera było słynne: *L'empire c'est la paix.* To hasło uspakajało wątpliwości burżuazji, chłopstwa, banków i żydostwa. To hasło, bezustannie powtarzali w mowach ministrowie Badingueta i mafja arrivistów Tuilleryjskich, wśród której znajdowały się obok miernot jak Maupas St. Arnaud, Maguan, także i rozmaite bardzo ciemne osobistości z Włoch i Szwajcarji z epoki amerykańskiej, wywłoki, karciarze i niewyraźne skrachowane egzystencje o zmienionych kilkakrotnie nazwiskach. Dość powiedzieć, że jednym z konfidentów cesarza był urodzony wodzirej kotyljonów i kadrylów pułkownik Stoffel, ożeniony z jakąś rosyjską żydówką, która jak w 50 lat potem w pamiętnikach swoich stwierdza E. Ollivier wy-

wlekała wszystkie tajemnice dworskie dla... banku Bleichroederów w Berlinie. Prefektura policji paryskiej w rękach Włochów zostająca węszyła jeno wszędzie za wrogami Badingueta, ale wrogom Francji pozwalała zagnieżdżać się masowo w Paryżu i na rojowiska szpiegów pruskich nie zwracała najmniejszej uwagi. To też wszystkie rządy miały o karawanseraju paryskim i nieładzie administracyjnym francuskim najdokładniejsze informacje.

L'empire c'est la paix było kłamstwem i czytało się w *Empire c'est l'epais...* (epolety). Właśnie bowiem rozdokazywany militaryzm cesarstwa zaczepiał po kolei wszystkich i rzucał się na wszystkie strony. Francja terytorjalnie zyskiwała (Sardynję, Niceę, Kochinchinę, Algier), rozlewała się i rozcieńczała w kolonjach, ale politycznie zyskiwała sobie zawistnych wrogów wszędzie. zarabiała na przyszłe aljanse, trójprzymierza i ligi, siała dla siebie przyszłe burze, kojarzyła największe mocarstwo słowiańskie z germańszczyzną, przygotowywała grunt pod przyszłe wejście Włoch do trójprzymierza, a co najważniejsze dawała swymi błędami w polityce włoskiej, austrjackiej, rosyjskiej podstawy pod dzisiejszą wszechświatową hegemonję anglosaską. Jeżeli nie Francja a Anglja odgrywa dziś pierwszą rolę w Małej Azji, Turcji, Syrji, jeżeli nie wpływy francuskie a amerykańskie rozstrzygają dziś w Południowej Ameryce i w Pekinie, jeżeli w czasie wojny europejskiej z takim trudem (mimo długoletniego już aljansu i dopiero przy współpracy Anglji) pracowała w Rosji dyplomacja francuska, to wszystkie te defekty i minusy korzeniami swymi tkwią w grząskim terenie fanta-

stycznej polityki fałszowanego Cezara z Tuillerji, w tępym uporze, dziwactwie, ograniczoności, zaciętości w błędach i chorobliwej, zręcznie maskowanej megalomanji, tej „niezapoznanej miernoty“, megalomanji posępnej podsycanej i podbijanej przez roje karjerowiczów, jego protekcją z nicości i z mętów na szczyty społeczeństwa wyniesionych. Takie horendalne błędy i w takiej obfitości, jakie popełniała klika Badingueta zgniótłszy wszelką opozycję mszczą się zawsze i choć konsekwencje ich dojrzewają powoli po dziesiątkach lat, to jednakże do czego doprowadza u regenta przerost zmysłu nierzeczywistości, chimeryczny romantyzm i imperjalistyczna donkiszoterja w polityce przewidzieć można zawsze. Przewidywali: Thiers, V. Hugo, Rochefort, więc realista, wizjoner i satyryk; nie przewidywali dworacy podchlebcy, zausznicy, utrzymanki pławiące się w łaskach, obwieszone orderami, tyjące, puszące się, dumne w latach Magenty i Solferino, że to oni „pierwsi poznali się na genjuszu więźnia z Ham“, sposępniałe już podczas Sadowy austrjackiej a w dniach Sedanu w *l'année terrible* uciekające na wszystkie Europy strony jak szczury z tonącego okrętu. Pasożytniczy i trujący grzyb spróżnionego i zdegenerowanego Bonapartyzmu rozrósł się szeroko na podłożu tchórzostwa, oportunizmu, apatji burżuazji paryskiej dzięki temu głównie, że łechtał terytorjalne imperjalistyczne ambicje, że działał na imaginacje i fantazje powierzchownymi efektami sukcesów krótkotrwałych, że szeroki vulgus miał poddostatkiem circenses w rewjach wojsk, w przeglądach kawalerji, w marszach paradnych pod Arc de Triomphe i pod kolumną Ven-

dome, w mszach polowych i w przyjazdach raz po raz rozmaitych głów koronowanych, to na wystawy, to na nieustający karnawał parweniuszowskiego dworu. Szeroka publiczność z prasy przekupnej i skorumpowanej umiała wysysać tylko miód optymistyczny sukcesów militarnych i giełdziarskich. Nad moralnością nieszczęsnej wyprawy meksykańskiej się nie zastanawiała, skoro otwarte miała wszystkie fúrtki do spekulacji giełdziarskiej choćby nawet właśnie meksykańskimi papierami.

Byle w „Notre Dame de Paris" odśpiewywano co rok czy co pół roku pontyfikalne „Te Deum". Już w czasach kiedy sztab pruski opracowywał plany oblężenia Metzu i Toul, prasa rządowa przygotowywała opinję projektami „wyzwolenia" Luxenburga i narzucenia federacyj „wyzwolonej" Belgji. Kiedy po Sadowie i kilku afrontach politycznych już pierwszy cień padł na jaśniejącą gwiazdę „Sfinksa z Tuillerji", kiedy po klubach zaczynała podnosić głowę opozycja Fauvra, Floqueta, Gambetty, Picarda i innych, w porę nadarzony jakby obstalowany zamach bombastyczny Orsiniego znów pomógł w siodle utrzymać się zachwianemu uzurpatorowi. Ale nie na długo. Wulkan socjalnego przewrotu już dymił a urok i hypnoza, jaką roztaczał zagadkowy władzca słabł z przerażającą szybkością. Europa polityczna dość już miała tego pyrotechnika, nie schodzącego ze sceny, ciągle frapującego swymi pomysłami, wyskokami, niespodziankami i intryganctwem. W aeropagu dyplomacji europejskiej na tle takich indywidualności jak Cavour, Palmerston, Beaconsfield, Gorczakow, Nesselrode, Beust, Bismarck,

Thiers i t. p. poważnie i spokojnie pracujących nad utrzymaniem równowagi europejskiej i pacyfikacją choćby z bronią u nogi Badinguet ze wszystkimi swoimi efektami sprawiał wrażenie magika i prestidigitatora, o niewyjaśnionej nawet narodowości. Trzeba tu bowiem przydać jeszcze, że choć milczek i pozornie w sobie zamknięty lubiał się często rozgadywać, coprawda głównie o sobie samym i w tych rozmaitych nie fortunnych konfidencjonalnych zwierzeniach, raz nazywał siebie to korsykaninem, to znowu Włochem, a kilka razy nawet... Holendrem. Wojna z Prusami, do której lekkomyślnie parli też kiepscy jenerałowie faworyci jak Trochu, Bazaine, Espinasse, Mac-Mahon, Gallifet miała być tym heroicznem lekarstwem, któreby uzdrowiło znów chory, skorumpowany organizm i po zwycięstwie nie ulegającem wątpliwości pognębiło doszczętnie pomrukującą coraz głośniej opozycję. I wojna przyszła, a z nią bezprzykładna klęska i zdemaskowanie tego, jak izolowaną była Francja dzięki Badinguetowi i ujawnienie tego jak to Badinguet adorowany u siebie znienawidzonym był w całej Europie. Nawet palcem nie skrzywił żaden rząd w Europie, żeby ulżyć ciężkiemu losowi tego „nałogowego podpalacza“ Europy.

*   *   *

W tym krótkim szkicu przypomniało się z grubsza sylwetę Napoleona Małego, ponieważ historja jak wiadomo i indywidualności historyczne powtarzają się tylko z małymi modulacjami i warjacjami. Odpowiednie warunki i podobne sytuacje wytwarzają i pomagają do

rozrastania się analogicznych postaci historycznych. Wiele z rysów sfinksa Tuilleryjskiego odnajdujemy w trywialnej sylwecie Wilhelma II w jego megalomanji, awanturnictwie, oratorstwie, zamiłowaniu szychu i reklamy, w jego bawieniu się wojskiem, wreszcie w jego pogardzie dla parlamentaryzmu i konstytucji. Jak gadzinowa prasa Bonapartystoska judziła opinję na Zgromadzenie Narodowe jako na ognisko spisków, ekspozycję nieudolności i niekompetencji tak i hakatystyczna pangermańska prasa radziła przed Niemiec Sedanem wziąść 10 ludzi i jednego oficera i zamknąć „budę". Gdyby był nie osłabł opór opozycji ugniatanej przez prasę Badingueta, nie byłoby przyszło ni do izolacji, ni do wojny ni do katastrofy ni do Sedanu.

NAPOLEON III A VICTOR HUGO

Z okazji rocznicy śmierci Zoli przypomniała prasa europejska także i dwudziesto tomowy cykl jego powieści, dzieje grzechów rodziny Rougon-Macquart. W tych dwudziestu tomach daje Zola historję wzniesienia i upadku dużej silnie rozrodzonej prowincjonalnej rodziny, której członkowie, wilczym apetytem powodzenia, fortuny, karjery i sukcesów obdarzeni, przepychają się łokciami i kopytami przez życie, zawdzięczając swoje triumfy i bogactwa moralnie zgniłej i bagniskowej atmosferze regimu Napoleona III, „Badingueta".

W 20-tu tomach daje Zola olbrzymią panoramę obyczajową tej ery błyszczącej i uspaniałej w oczach spółczesnych, a w oczach dzisiejszych Francuzów upokarzającej, kompromitującej i starannie przemilczanej jakby wykreślonej z dziejów, wyklętej.

W cyklu powieści o Rougon-Macquartach Zola udowadnia i tłómaczy, z jakich przyczyn i racji ta era pozornie tak wspaniała, promieniejąca i błyszcząca musiała skończyć się dla Francji Sedanem. Tłómaczy atoli ex post i post factum.

Był atoli człowiek, który już na początku tego dwudziestolecia dyktatury i cesarstwa przewidywał i ostrzegał i jasnowidząco przeczuwał czem się tak zaczęte „panowanie" degenerata nieubłaganie skończyć musi.

Człowiekiem tym był dramaturg literat, polemi-

sta i poeta Victor Hugo. Zola patrzył w tył poza siebie, w materjał dziejowy gotowy; wielki autor romantyczny u zarania ery patrzył w przyszłość nieznaną, patrzył z wygnania. I jeżeli cykl Rougon-Macquartów jest wielkiem j'accuse całej ery II-giego cesarstwa, to V. Hugo: „Napoleon Le Petit" w r. 1852 w świat rzucone jest wielkiem j'accuse tego nieszczęsnego człowieka, którego chora, przewrotna, posępna zeprzała psychika całej epoce nadała swe piętno, swój styl. V. Hugo zdemaskował triumfującego szalbierza jeszcze zanim zaczęły się największe sukcesy jego błyszczącej karjery. Mając tylko pióro w ręce jako jedyną broń, nie dał sobie nigdy zaimponować żadnym, ale to żadnym jego triumfem. Stare przysłowie francuskie: rien ne reussit comme le succés" nie miało do niego dostępu.

Już od pierwszej chwili, od pierwszego poznania przeniknął wskroś kabotyńską płaską duszę tego parwenjusza potęgi i władzy. W zapiskach swoich z 1849 r., jeszcze jako deputowany, notuje V. Hugo scenę przymilania się i jak zwykle wdzięczenia ponurego hypokryty. „Jak mam rządzić Francją?" pyta się sławnego literata pokornie wyga awanturnik. I wobec V. Hugo udaje prezydent zasłuchanego, zapatrzonego, potulnego. Pragnie sobie zaskarbić i przebłagać rozgłośnego autora „Ernaniego", „Burgrabiów". „Marji Tudor", „Cromvella". Ale dramaturg francuski, grzebiący w dziejowości wolnych ludów, nie daje się skokietować blademu hypnotyzerowi: traktuje go chłodno i notuje w pamiętniku, „ma metodę sztucznej prostoty"...

Poznaje się na tym fałszywym bonhommie już od pierwszych momentów jego olśniewającej karjery. Romantyka i emocjonalnego radykała V. Hugo nie „biorą“ i nie wzruszają Bonapartego spiski i konspiracje za Ludwika Filipa. Nie wierzy w jego carbonaryzm i przeczuwa, że dla czerwonego karjerowicza to tylko pierwsze szczeble na drabinie. V. Hugo nie bierze nawet do rąk pierwszych pisanych dzieł Bonapartystoskiego skryby t. j. „Idei Napoleońskich“ i „Memorjału o pauperyzacji“, bo odczuwa, że w tej kompilacji w idejach innym zeskamotowanych niema cienia własnego przekonania i wiary. Legenda rewolucyjnego rastakuera, ta legenda, która stanowi jego żelazny kapitał polityczny i z której tyle lat profituje i odcina kupony u szerokiego motłochu, uznającego tylko bohaterów kryminalistyczno-melodramatycznych, ta legenda V. Hugo twórcy „Cromvella“, zaimponować niemogła. „Obywatel“ Bonaparte siedział w twierdzy Ham za spiski; z twierdzy tej uciekł przebrany za murarza. Miał przybrane nazwisko „Badinguet“. Dla szerokich mas „pecus“ wyborczego, jest już odtąd „więźniem z Hamu“ otoczonym aureolą, cierpienia, wygnania, męczeństwa, ofiary, bohaterstwa. Spasionej, tchórzliwej, egoistycznej i niezdolnej do żadnych poświęceń burżuazji „smakuje“ taki bohater ludu, zwłaszcza jeżeli dorwawszy się, włamawszy się do władzy, zaczyna potem bronić jej interesów, a „lud“ oszukiwać i deptać. Legenda konspiratorska i więzienna kabotyna z Ham zaspakaja w masach prymitywny pierwszy głód bohaterstwa i romantyzmu, pierwszą

wyższą tęsknotę szarej miazgi do „wielkich ludzi“ niepospolitych, innych.

Z chaosu rewolucji r. 48 rodzi się gwiazda z pod ciemnej gwiazdy. Czerwony sztandar z Ratusza paryskiego zdziera poeta Lamartine, ale czerwoną hydrę anarchji powoli nieznacznie chwycić za mordę może tylko czerwony autorytet, czerwone nazwisko, szampion ulic, placów, przedmieść i rogatek. Tak bywa zawsze od niepamiętnych wieków. Szatana wypędza się Belzebubem, nie białoskrzydłymi aniołami. I gdy generałowie najpierw uprzątają stajnię rewolucji Lutowej i tłumią bestjalizm rozwydrzonej ulicy „więzień z Hamu“, „robociarz Badinguet“ przychodzi już do gotowego, by jak zwykle sobie zgarnąć zasługi i profity karjery za stłumienie komuny. Burżuazja już wywąchała w zawsze „nieśmiałym“, „zakłopotanym“, „rewolucjoniście“ charakter bez żadnych skrupułów elastyczny, kompromisowy wobec silnych i ważnych a nikczemnie mściwy, zaciekły i „twardy“ wobec osłabionych i bezsilnych. Takiego „trybuna ludu“ zawsze da się oswoić na podwórzowego brytana broniącego tych, co aktualnie rosną w potęgę.

„Napoleon Le Petit“ z faworyta motłochu i ulicy został w kilka lat ulubieńcem plutokracji, aferzystów i giełdy. Długi czas jeszcze lud „trwał w kulcie“ „dziecka rewolucji“ i „więźnia z Hamu“. Długi czas wegetował aforyzm: „Bonaparte a radykalizm to jedno“, a pyskacze karbonarscy i szumowiny konspiracyjne o rozmierzwionych łbach wykładały na wiecach ewangelję Badingueta i „Idee Napoleońskie“.

Dopiero z grudnia 1852 condotier radykalizmu

stale milczący a niekiedy tylko nagle histerycznie znów rozgadany i bełkocący „Sfinks Tuilleryjski“ przemówił właściwym swym językiem, brutalną gwarą bratobójczych armat, kiedy nabrał bezwzględnego przekonania o posiadaniu wszystkich szans w swoich rękach i o bezładzie, tchórzostwie i bierności szerokich mas znów spragnionych i tęskniących do bata.

Oparty mocno na swojej legendzie Ludwik Napoleon potrafił zmistyfikować wszystkich po lewej i po prawej stronie wygrywając naprzemian jednych przeciw drugim po szulersku, kompromitując bo korrumpując wszystkich. Ponieważ tylko w parlamencie jeszcze grupa lewicowych adwokatów markowała opozycję i gadała szarlatanowi prawdę, przeto z włoska rasowo chytry i sprytny „valereux poltron“, jak go nazwali Goncourtowie, potrafił rozjudzić opinję publiczną przeciw siedmiuset suwerenom i tylko w sobie, w geniuszu jedynego chef d'Etat widzieć źródło siły i potęgi Francji.

Autor „Cromvella“ t. j. dramatu o prawdziwym urodzonym dyktatorze, o predystynowanej opatrznościowej duszy władczej musiał czuć bezbrzeżną pogardę dla tego falsyfikatu historycznego, dla tego wulgarnego deuterotypu, dla tej tandety suwerenności. W pamflecie V. Hugo odczuwa się przedewszystkiem tytaniczną pasję prostej i szczerej natury twórczej do mieszańca psychicznego, do destruktora grającego rolę organizatora i konstruktora, do wrodzonego przeniewiercy każdej wogóle ideologji, do człowieka z gutaperki, który całymi okresami, całymi latami udaje i zgrywa się jako człowiek „ze stali“.

V. Hugo nie tai się ze swoim wstrętem wprost nerwowym, naskórkowym obserwując jak ten wolnomyśliciel w każdej fibrze, w nic nie wierzący, bo nie posiadający w sobie nawet cienia zmysłu metafizycznego klęka w Notre Dame i bije się w piersi i odprawia wszystkie celebry kornie, uwodząc w ten sposób i zyskując sobie najrdzenniej, najdziedziczniej katolickie, ba ultramontańskie środowiska starej Francji. Nawet Montalambert ma chwile wahania i wątpliwości, V. Hugo dramaturg grzebiący w dziejach ludzkości i znający i bardzo „wielkich“ oszustów i Cagliostrów politycznych nie ma jednej chwili wahania. Dla niego ten „socjalista“ nie był nigdy socjalistą, ten katolik nie był przez sekundę wierzącym katolikiem, ten regent nie ma w sobie jednej danej na regenta, jest kaprysem Przeznaczenia, jest szyderstwem Losu, jest pajacem w dziejach Francji i jest jej przekleństwem, fatalnością. Wzrasta przemysł, Paryż ma dwie wszechświatowe wystawy, otwiera się kanał Sueski, powstaje Credit Foncier, Credit Mobilier, armja francuska walczy w Chinach, Meksyku, w Syrji, we Włoszech, flota francuska oblega Kronstadt, wojna krymska, Sebastopol, Włochy, Magenta, Solferino, Montebello kongres berliński, upokorzenie Rosji, raz po razu wracają przez Arc de Triomphe falangi rzekomo zwyciężających wojsk, triumfujący parweniusz gra rolę arbitra Europy, zafundowana kanalia prasowa pomiata społeczeństwem, parlamentem, wykazując czarno na białem same sukcesy, same triumfy, same zwycięstwa, ultramontanie gloryfikują w nim nawróconego wiernego syna Kościoła, wolnomularze wolnomularza, po-

stępowcy postępowca, rewolucjoniści rewolucjonistę, a Europa to protektora uciśnionych niezjednoczonych narodów, to orędownika idei nacjonalnego samookreślenia, to guardiana pokoju i równowagi, to znakomitego batalistę i stratega (pogromcę Moskali).

Pozornie wydaje się, że Francja cesarska gra pierwszą rolę mocarstwową a więzień Ham jest kapelmistrzem najbardziej zgranej orkiestry. Zwalczający cesarskiego kabotyna i odmieńca w swej „Latarni" H. de Rochefort uchodzi za błazna. Poważny mąż stanu i dziejopis Adolf Thiers, który największego rastakuera dziejów nazwał „drewnianą pałą" długie lata więdnie w cieniu przemilczenia i passywności, Victor Hugo na wygnaniu w Belgji, w Yersey, w Guernsey. A w Paryżu, w ville lumière przebudowanej przez Haussmanna rozpanoszona klika generałów paradjerów, włoska tajna policja, międzynarodowy zamtuz, rej wodzące dynastje giełdziarskich jobberów i rekinów, Rougon-Macquarci i blichtr, szych, fałszywe złoto fałszywe blaski, fałszywa glorja. Mocarstwo ale fasadowe, teatralne, na sztucznem rusztowaniu, dekoracyjne, pantominowe, wielki pałac na lodzie, olbrzymi gmach z kart i to fałszowanych.

I pisze o „Badinguecie" balansującym zygzakowato od reakcji do radykalizmu, od księcia Grammont do Olliviera, od pacyfizmu do militaryzmu, od dewocji kościelnej do orgji rajskich wesel, od „triumfów" do „triumfów":

„Jego talent to jego milczenie"...
...Jego polityka ukazuje się wam na nieoczekiwanym zakręcie z pistoletem w ręku jak u złoczyńcy...

...Ten figlarz mówi Francji, że ją uratował od niej samej...
— W tym kraju francuskim, gdzie nie wolno spoliczkować człowieka, można policzkować naród. Ilekroć pan Bonaparte splunie, wszyscy musicie twarze ocierać"...

Z biegiem lat, kiedy chorzejący fizycznie uzurpator coraz bardziej odkrywał swe karty i swę „nagą duszę" obcego rdzennej Francji z korsykańskich „Rougon Macquartów" uzurpatora i bezceremonjalnego plebeja, zwiększał się krąg tych intellektów, które poznawały się na fałszywej grze potulnego lisa. Prasa rządowa, sprostytuowana doszczętnie ladacznica, tuliła jego pomazaną (pomadą) głowę do swego łona, w byzantynizmie przeszła samo Byzancjum, w dworactwie i podchlebstwach wszelkie granice śmieszności i przyzwoitości.

Ale takich co ostrzegali przed Phyrusem triumfującym było wielu; był Gambetta, Floquet, Noir, Picard... Ale tylko jeden Victor Hugo przeczuł i prześwietlił nicość i nijakość tego rozdętego balonu i krótkotrwałość pyrotechnicznego spektaklu, tych rządów, bo tylko V. Hugo jako dramaturg mógł do samego dna przeniknąć i przemyśleć tę „wielkość bez wielkości", tego Cezara dla wodewilistów.

Gdyby Francja była przeczytała do końca pamflet V. Hugo „Napoleon le Petit", nie przyszedłby na nią dzień Sedanu.

Wiekopomną zasługą tego pisarza romantycznego, którego stulecie Francja obchodzi obecnie było i zostanie to, że w triumfatorze z pod Magenty i Solferino jasnowidząco dostrzegł nie „więźnia z Ham" a więźnia z Sedanu.

KRÓL UBU

W nowym cyklu zapowiedzianych romansowych biografij pod wezwaniem *La Vie de Bohème* (Grasset) porozdzielano między kilku paryskich pisarzy o ekscentrycznej renomie tematy w ten sposób, że o niesamowitym malarzu Modiglianim ma pisać dziwaczny Cendrars, o tajemniczym malarzu Utrillu—Carco, między innych rozdano Nervala, Toulouse Lautreca, Apollinaire'a, sympatyczna zaś a niezmożona bojowniczka z najściem Chazarów na Paryż, pani Rachilde ma dać konterfekt A. Jarry.

Oczekujemy tego z łatwo wytłumaczoną niecierpliwością. W tym autorze, z dziwacznych najdziwaczniejszym tkwi przecież jakaś zagadka, która nas Polaków najspecjalniej oddawna frapuje wprost niepokojąco; dotychczas nikt jeszcze, kto o nim pisał, oprócz pewnych suppozycyj, nie powiedział nic konkretnego. Utworzyła się formalna legenda, pełna aluzyj, niedomówień i hypotez, ale gdzie, skąd, kiedy i w jaki sposób nastąpiło zetknięcie się z polskością A. Jarry, hyper-*bohemien*'a, nikt nic nie umiał powiedzieć ni objaśnić. Fakt pozostaje faktem, że gigantycznie rozczochrany, absurdalny, rozmierzwiony, rozkudlony, perwersyjnie gruboskórny, brutalnie fantastyczny paszkwil na Polskę, znany we Francji z 19-tu wydań, a noszący tytuł *Ubu Le Roi ou Les Polonais* napisał Jarry mając lat szesnaście, siedząc w prowincjonalnej

dziurze, zanim jeszcze w Paryżu zetknął się z paryską bohemą tego odcinka stulecia między rokiem 1900 a 1906, *ergo* zanim mógł zobaczyć wogóle na oczy „żywego Polaka", względnie któregoś starozakonnika z *Taverne du Panteon* czy z innych kawiarń, gdzie się Polonia i „Cohnfederaty" zbierały.

Miejmy tedy nadzieję, że w swej biografji powieściowej pani Rachilde wreszcie nam jakąś tajemnicę rozświetli. Tajemniczą bowiem sprawa ta jest od samego początku.

Początek zaś był taki, że krągło lat temu czterdzieści t. j. wtedy, kiedy sprawa polska mniej więcej najgłębiej była w całej Europie pokryta przemilczaniem, a jutrzenka aljansu francusko-rosyjskiego właśnie wschodziła nad Europą, paryski cyganeryjski teatrzyk na Mortmartrze *Les Marionettes* odegrał sobie przy odpowiedniem audytorjum dziką, sprośną komedję arystofanesowską, w której na głos mówi się bez przerwy jednym ciągiem najplugawsze, najrozwiąźlejsze, najtrywjalniejsze słowa, jakie zaistniały we francuszczyźnie od Villona i Rabelais'go, jednym ciągiem, bez przerwy, bez wytchnienia, przyczem niektóre *cochonneries* powtarzają się z uprzykrzenie natrętną monotonją; poprostu „świństwo" „świństwem" jedzie i „świństwem" pogania, do tego stopnia, że i Boyby tu się zarumienił i uszy zatykać musiał. Premjera miała *éclat* skandalu. Autor był nieobecny, bo jeszcze tkwił w gimnazjum. Utwór wydrukowano i odtąd podawano sobie z rąk do rąk jako *curiosum.*

Z Polaków, obficie wówczas w Paryżu koczujących, ani jeden literalnie o tej nowalji nie usłyszał, ani je-

den na to: *ou les Polonais* nie zwrócił uwagi, słówkiem o tem nie dał znać do kraju. Już to trzeba przyznać, gdy się porównywa *service* informacyj kulturalnych z zagranicy, dostarczanych np. Czechom i czesko-słowackiej prasie z... naszym, to jak na tylu Polaków, rezydujących w Paryżu, dopływ jest skąpy, nikły i lichy i to stale, jak lat temu 40, tak i teraz. Coprawda często Polak, skazany biedą na dożywotni pobyt w ojczyźnie, zdumiewać się musi nad bezdnem ignorancji u tych, co świeżo z Paryża po długoletnim pobycie wróciwszy, są tu jako „Paryżanie *in partibus infidelium*" ale co było, co mogło być ciekawe w Paryżu, dowiadują się *ex post*... w Sarmacji.

To też i Alfredem Jarrym nikt jakoś z „rodaków" nie uważał za wskazane zająć się nieco, gdy ten z prowincji przeniósł się do Paryża i tutaj przeżył kilka lat górnych w dzikim, można powiedzieć opętańczym i desperackim alkoholicznym szale. Książka o „Królu Ubu, albo Polakach" miała zkolei 18 wydań, Jarry stał się centrem i ośrodkiem krystalizacyjnym pewnej grupy, „szkoły", względnie bandy literackiej, wreszcie wespół z innymi dziwadłami t. zw. „demonami absurdu" (Max Jacob, André Salmon. Rimbaud) zaczął wydawać efemerkę: *Le Festin d'Ezope*, w której pisywali nawet Claudel, Valery, Apolinaire... pewne terminy z jego sarabandy *anti* i *quasi* polskiej, a już szczególniej słowo: Ubu i „Król polski Ubu" weszły w prasę, potem w życie jako *proverbes*, a mimo tego żaden Polak nie zainteresował się tym fenomenem. Było to zaś tem dziwniejsze, że do *cenacle* tych przyjaciół i adorantów Jarrego należał też słynny w za-

mkniętych kołach ekskluzywnej literatury perypatetyk i filozof z Warszawy Miecislas Goldberg, wydający wtedy swoje *Cahiers de M. Goldberg*. Co więcej, jeszcze w r. 1900 *Mercure de France*, z którym przecież pewne stosunki Polacy mieli, wydał nowe wydanie ozdobne *Ubu le Roi* a nasi *les Polonais* nadal nie raczyli zająć się tajemniczym autorem.

A tymczasem rzecz godna była uwagi i wywiadu. Autor jak autor, poeta z czarciej łaski, alkoholik *summo gradu* desperacki, przemieszkiwał przy bulwarze *Saint Germain*, kochankę miał Małgorzatę Moreno pono wiedźmę gorszą od Verlainowskiej, pił na umór absynt z... sacharyną, a bywało, że i atrament wleje, i tak dzień w dzień, noc w noc, aż wreszcie jako że „ulubieńcy bogów umierają młodo" a więc i on z wycieńczenia i z *delirium*, w szpitalu na ogólnej sali (1906); był pogrzeb jak Mimi Pinson.

Cztery tomiki po nim zostały i legenda i tradycja dziwadłości już bezkonkurencyjnej, bo to i w kryminale wielokrotnie pono za strzelanie do garsonów i t. p. Co z jego twórczego dorobku zostanie w literaturze, to się pokaże dopiero. Jaki tam zaś za życia był, nam znowu zaimponować ekscentrycznościami nie zaimponuje, bo Krakowie i w Warszawie dziwniejsze *monstra miraculosa* bywały.

O to atoli rzecz idzie, skąd do niego się przyczepiła ta polska manja i skąd on się do tej Polski jak pijany płotu doczepił. Pomóc to tam nam tym utworem w opinji francuskiej nie pomógł, ale raczej setnie zaszkodził. W mentalności francuskiej elity prasowej, parlamentarnej, literackiej, dyplomatycznej ten *Król*

Ubu (w r. 1921 znów na scenie teatru *L'Oeuvre* wznowiony, 17 lut.) uchodzi i nadal stale za najplastyczniejszy, choć groteskowo-wyolbrzymiony obraz polskiej permanentnej anarchji, zadzierzystej kłótliwości, partyjnego i fakcyjnego furjactwa, nierządności i bezładu. Z afisza teatru *L'Oeuvre* wskutek interwencji szybko go zdjęto, ale z świadomości intelektualnej elity francuskiej równie szybko wyskrobać go się nie da.

Skąd 15-letni chłopiec wszedł na ten temat i jakim cudem mógł utworowi tyle dać dynamiki, sugestywności, to pozostanie zdaje się psychologiczną zagadką, nawet po monograficznym romansie pani Rachilde. Można tylko postawić pewną djagnozę wpływologiczną, to znaczy wykazawszy, co, gdzie i jak było we francuskiej literaturze satyryczno-krytycznego o państwie Sarmatów, udowodnić potem, gdzie w tekście tej szaleńczej arystofanesowskiej tragifarsowej hyperbujdy są pewne rezonanse, echa, pogłosy z dzieł historycznych, które mógł może na poddaszu jak Cervantes wertować chłopak, nazwiskiem Alfred Jarry, gimnazjasta. Bezwględnie upada teza jakoby *Ubu le Roi* był sobie tylko jakąś zemstą — paszkwilem na jakiegoś pedanta, profesora historji a polskość w tem wszystkiem całkiem przypadkowem akcesorjum. Alfred Jarry wielokretnie zajmował się w swym skromnym twórczym dorobku polskością, co więcej, napastował polskość, jak o tem świadczy np. *Le Bain du Roi*, znacznie później napisany. Nie, to nie mógł być przypadkowy, kapryśny dobór środowiska przez swą kolorystyczność, egzotyczność i orjentalizm pociągającego tak, jak w „Życiu snem“ Calderona.

Nie będziemy tu szerzej opowiadali treści tej wściekłej, opętańczej szopki, w malignie cerebralnej porodzonej. Szereg obrazów furjackich, prezentujących przygody najwulgarniejszego *conquistadora* pod słońcem, jakiejś odmiany Falstaffa, a najbliżej Marchołta grubego i sprośnego. Ubu-Mondragone z Aragonji *(sic)*, dowódca gwardji króla Wacława, podbechtywany przez lubieżną megerę żonę, po spisku przeciw swemu suwerenowi buntuje się, zagarnia władzę, przepędza króla, morduje rodzinę. Królewicz Bougrelas ucieka. Ugodowi magnaci godzą się z nowym nieporządkiem, czerń klaszcze uzurpatowi i wtedy Ubu zabiera się do łupienia i zdzierania skóry z magnatów, których pakuje do lochów twierdzy toruńskiej. Jeden z wodzów pokonanych z dynastji, Bordure, ucieka do Rosji i wzywa cara Aleksandra Michajłowicza do najazdu. Następuje humorystyczna arystofanesowska bitwa na dzikich polach Ukrainy. Pobity Ubu chroni się na Litwę, w stolicy znowu rewolta, Bougrelas przychodzi do władzy, zbiera wojska i książętami Leszczyńskim i Sobieskim atakują Ubu, który wreszcie z Babą chroni się na statek i wraca do... Hiszpanji.

Taka byłaby zatem „osnowa" tej rozpasanej parodji. Co ma zatem oznaczać w tytule dodatek... *Ou les Polonais?...* Główna figura, „bohater" nie jest Polakiem; jest Hiszpanem, Aragończykiem... Mon-dragone. Charakteryzując tę kukłę jako żarłoka, tchórza, zarozumialca, niechluja, chciwca i paranoika, lubującego się w skatologji i koprolalji, biorąc dosłownie nie obraża Jarry polskości, tylko... Hiszpanję, Aragonję, skąd najwyraźniej ten zaciężny *landsknecht* pochodzi i dokąd

wraca. Gdyby nie dodatek w tytule *ou les Polonais* obchodziło by nas to wszystko tyle, co śnieg zeszłoroczny. Dopiero ten dodatek w tytule poronionego a popularnego w licznych kołach francuskich płodu rozognionej fantazji awansuje przemijające zjawisko literackie na utwór, który zaciekawienie i ze strony polskiej musi sprowokować. Jeżeli bowiem w samym Królu Ubu na pewno nie chciał dać Jarry synonimu czy symbolu polskiego władcy w absurdalnem przekrzywieniu, to jednak w całej tej pantominie klownowskiej świadomie czy nieświadomie, w hyperbolicznem zgęszczeniu i opuchliźnie, dane są jednakże stosunki, uwarunkowania, okoliczności, podłoże lokalne, klimat lokalny, które mogły wytworzyć tło i sztafaż z takim „Chłopa-Królem“ harmonizujące i wściekliznę satyrycznej szarży niejako usprawiedliwiające.

I tu krótko musimy zestawić, z czego to, z jakiej lektury mógł czerpać soki i zasób wiadomości o Sarmacji młody student, aby w chorobliwej jego imaginacji mogła wytworzyć się taka skroś spaczona koncepcja stosunków, może nie stałych i panujących, ale jakiś czas w Polsce jednak istniejących. W komedji Al. Jarry echa i reminiscencje bowiem są. Po skontrolowaniu z dziełem możemy je zestawić. Mógł tedy młody Jarry wertować liczne tomy, z których zostały mu w głowie męty i chaotyczny osad. Musiał mieć w ręku Woltera tragedję *Minos*, która się dzieje na Krecie, ale w której występuje król St. August jako Teveries a Sołtyk jako Phares, jest przebieg konfederacji Barskiej i usiłowanie porwania króla. Musiał mieć w rękę Rulhiére'a: *Histoire de l'anarchie de Pologne*

a może i melodramat Picciniego grany często w *Porte Saint Martin* p. t. „*Stanislas Roi de Pologne*". I musiał mieć w ręku markiza de Noailles w r. 1867 napisaną: *Henri de Valois et la Pologne* i musiał znać z obelżywych wierszy na Polskę i Filipa Desportes z r. 1572 „Pożegnanie z Polską" (*Gallo crocitanti* odpowiedź) i późniejszy z r. 1790 „*Orangutang en Europe ou le Polonais*". najpierw po niemiecku wydany. Możliwe jest, że znał pamiętnik z Polski gen. Doumurieuza, że czytał Thiersa: *Histoire du Consulat* (*l'esprit anarchique en Pologne*) Rambauda: *Histoire de la Rusie* i Micheleta: *Legendes democratiques du Nord*, gdzie tyle razy mówią o *race genereuse, mais crédule et un peu chimerique.* Musiał znać w każdym razie Balzaca *Cousine Bette*, gdzie czytamy: „*introduisez 10°/o de sournoiserie anglaise dans le caractére polonais si franc, si ouvert et le genêreuxet Aigle Blanc régnerait aujourd' hui partout où se glisse l'Aigle à deux têtes*". I może słyszał od starszych młody gimnazjasta, co o Polakach mówili Mably, Talleyrand, Napoleon I i III, a w każdym razie słyszał w potocznej mowie *ivre comme un Polonais*... nazwy najbardziej zapuszczonych, brudnych ulic i przedmieść Paryża... *petite Pologne*... i o drzewie na bulwarach, pod którem się schodzili kłamliwi reporterzy bulwarówek *l'arbre de Cracovie*, lub o wszelkich nieudałych terrorystycznych zamachach nazywanych *bombes du vieux Polonais.*

I z tego wszystkiego wytworzyła mu się chyba dziwna koncepcja tej dalekiej Polski jako nieco Szekspirowsko-Falstaffoskiej, nieco meksykańsko-aragońskiej

krainy wiecznych spisków, konspiracyj, wojen domowych, zajazdów, najazdów, uzurpacyj, degradacyj, elekcyj, konfederacyj, jednem słowem permanentnej anarchji i swawoli, na której podłożu i tle może dopiero rozrość się taki „bohater narodowy“, tak opatrznościowy despota, taki muchomor ludzki jako ten „król Ubu“. Czy A. Jarry znał przedtem inne utwory dramatyczne na tle dziejowości polskiej osnute, o tem można też wątpić. Czy już w szkole mógł się zapoznać z Calderona *La Vida es Sueno* lub z Szyllera fragmentem *Demetriusa* w Polsce się dziejącym, temu można zgóry zaprzeczyć. Poezja satyryczno-krytyczna zresztą nie zwraca się u Jarry przeciw Polakom jako rasie, jako charakterowi etnicznemu, ale wyłącznie przeciw tej olbrzymiej kukle elekta i *conquistadora*, awanturnika i pyskacza w jednej osobie, przeciw królowi Ubu.

Dla odmalowania tej dziwacznej, nieco poczwarnej, wrzaskliwej a wojowniczej, awanturniczej a tchórzliwej postaci Jarry, stwarza specyficzny język francuski. Ile razy „Król Ubu“ otwiera paszczę, by wypowiadać mowę, orędzie, manifest, tyle razy z ust tego Bramarbasa na tronie sypią się wyzwiska, oszczerstwa, kłamstwa, bufonady, plugastwa, sprośności, nędzne inwektywy i plugawe drańswa. „Król Ubu“ szkaluje wszystko i wszystkich bez przerwy, używając obłędnie sprośnych, skabrycznych karczemnych słów „pijanego mnicha“, czy dorożkarza...

Są pewne ustępy w monologach „Króla Ubu“, pewne powiedzonka, które polski czytelnik dzisiejszy musi czytać poprostu ze zdumieniem, z osłupieniem,

nie wierząc ze zdumienia oczom, nie zdając sobie sprawy, czy śni czy majaczy, czy halucynacji ulega? Przecież to było napisane w r. 1898! Czterdzieści lat temu? Są wydania z tego roku! Skąd się to wzięło? Jak to wytłómaczyć? Co to za zagadka? Gdzie szukać rozwiązania? Czy wierzyć w jasnowidzenia historyczne? Na czem to polega? W czem rzecz? Czy są fakty przewidywania na tak odległe termina? Co na to mówią medjumiści, mistycy, spirytyści? Czy ten utwór znają Wells i Conan Doyle?

Na te pytania prawdopodobnie odpowie nam w swej monografji o A. Jarrym pani Rachilde!

Może też i wypadałoby, czy opłaciło się przetłumaczyć to *curiosum opusculum* na język polski wraz z przedmową — polemiką — responsem: *Gallo crocitanti?* Tylko teraz ktoby się mógł podjąć tłumaczenia *Ubu le Roi*, to znowu kwestja, boć musi być ktoś, kto takim chuligańskim żargonem gracko włada, kto oszczerstwami nikczemnymi sypie jak z rękawa, dla kogo świat czy Polska jest jednym wielkim kryminałem — szpitalem i kloaką, jednem słowem, kto A. Jarry i Królowi Ubu dorówna, zamiast słów sypiąc...

No, ale nie używajmy tu rymów Króla Ubu i nie kuśmy się mu sprostać. Czekajmy cierpliwie... Może tłumacz kongenjalny paranoik koprolaljami sypiący, jednak się znajdzie?

OBYWATEL PIOTR BONAPARTE

„Sfinks z Tuillerji“ Napoleon III, „Badinguet“, „więzień z Ham“, Cezar i karzeł, jak go określił Henri de Rochefort, miał dwóch braci, ale tylko stryjecznych.

Jeden z nich Napoleon Józef, Karol, Paweł, urodzony 1822 był synem wesołego króla Hieronima Westfalskiego. Drugi Piotr, był synem Lucjana.

Jest rzeczą bardzo interesującą i pouczającą, przypomnieć sobie przy okazji te zapadłe w niepamięć wielkości owych czasów, skoro się zważy, że historja wogóle się powtarza i że historja uczy ludzi, że ich przedewszystkiem nigdy niczego nie nauczyła.

I pierwszy i drugi byli w pojęciach swoich radykałami, przyjaciółmi ludu, postępowcami, wolnościowcami, deklamującymi stale najdemokratyczniejsze frazesy w stylu epoki po r. 1848-mym. Pierwszy bardzo sympatyczny grubas, ożeniony z księżniczką Klotyldą Sabaudzką, dłuższy czas służył w armji, brał udział w kampanji krymskiej, odznaczył się na placu boju pod Inkermanem, zapadł na cholerę, musiał dymisjonować i osiadłszy pod Paryżem, uwił tam gniazdo dla politycznie najczerwieńszych.

Najgorętszą sympatją otaczał Polaków, przyjaźnił się z rozwichrzonym półanarchistą, słynnym Ksawerym Branickim (potomkiem hetmana), protegował Mierosławskiego; pewne szczegóły ciekawsze o nim są w pa-

miętniku Wł. Mickiewicza. Po zamachu styczniowym „więźnia z Ham“ (rok 1852) dłuższe lata kokietował opozycję i niby to podsycał ich przeciw kuzynowi, równocześnie asekurując Bonapartyzm w radykalizmie.

W roku 1859 był na zjeździe monarchów w Warszawie i tutaj tak agitował jawnie przeciw caratowi, że doradzono mu wyjazd. Znany był ogólnie pod nazwiskiem Plon-Plon. Polaków tak lubił i popierał, że wypadałoby nawet gdzieś kiedyś napisać o nim choćby broszurkę.

Z komedjantem na tronie sympatyzował mało. Na dworze nie bywał. Frondował. Nadchodzenie klęski Sedańskiej przewidywał. Umarł aż w r. 1891 doszedłszy do siedmdziesiątki. Dynastycznej rodzinnej megalomanji nie miał, w gwiazdę takiego Cezara nigdy nie wierzył.

Drugi Pierre, trzeci syn Lucjana, mniej sympatyczny. Długie lata oporny na uroki i na sukcesy Cezara. Zamach 2 grudnia potępiał najbezwzględniej. Jako prezydent Ludwik Napoleon mu jeszcze nie imponował, gdyż znał go od wewnątrz i wiedział dobrze, jakimi środkami i metodami wielkość i legendę Bonapartystoską narzucono biednej, przemęczonej tyloma zmianami i metamorfozami Francji. Wybrany deputowanym z Korsyki, należał najpierw do konstytuanty, później do legislatywy, w epoce cesarstwa zaś do Senatu jako dożywotni nominat.

I w tym charakterze uczestniczył on żywo i aktywnie we wszystkich przeprawach i kampaniach parlamentarnych i brał udział dwukrotnie w częstem, znamionującem tę epokę awanturniczą naprawianiu

konstytucji, przesuwając się z lewego skrzydła coraz bardziej na prawo, aż i doszło wreszcie do słynnej awantury z dnia 10 stycznia r. 1870, która to awantura (zabicie dziennikarza Victoira Noira) stała się początkiem końca Napoleona III „chorego na militaryzm cywila".

Zajmiemy się tutaj tylko ostatnią fazą Napoleońskiej epoki, t. j. tą erą, w której „Badinguet", tylokrotny triumfator (Syrja, Chiny) i zwycięzca, pogromca Rosji z wojny krymskiej, zdobny w laury italskie (Magenta, Solferino), rzekomy ulubieniec całego ludu francuskiego, arbiter Europy, równocześnie świetny literat („Idee Napoleońskie" i t. p.) równocześnie w oczach konserwatystów konserwatysta, w oczach motłochu i ulicy najszczerszy demokrata... znów czując pod sobą trzeszczący tron cesarski zabrał się po raz niewiadomo już który, do gruntownego naprawiania konstytucji, i „ratowania ojczyzny"...

Już od 14 stycznia 1852 tę konstytucję zaczęto przykrawać do fasonu „Cezara", do faktycznej dyktatury prezydenta. Przyszedłszy do władzy przy pomocy motłochu ulicy, armat i organizowanej mafji „Ratapoilów", postanowił sobie zyskać przez następne lata solidne warstwy społeczeństwa i nauczyć Francję „chodzić" i na prawą nogę. Korupcją i terrorem zafundowawszy, sobie oportunistyczną większość, spreparował ustrój taki, któryby jemu i jego bandom zagwarantował jak najdłuższy okres rządzenia i „wysysania" Francji. Tym systemem udawało się bluffować Francję i Europę długie lata aż do afery meksykańskiej.

Od tej klapy od rozstrzelania tam arcyksięcia Ma-

xymiljana, rozpoczyna gwałtownie blednąć gwiazda „magika na tronie“. Opozycja rośnie na siłach a w pałacu Burbońskim szereg takich mowców i działaczy jak Floquet, Favre, Flourens, Ferry, a wreszcie Thiers i Gambetta, demaskują bez pardonu matactwa i kabotynizm „wielkiego rewolucjonisty“ „męczennika na tronie“. Raz po razu grzmi po Jowiszowemu V. Hugo a dzień w dzień wali w najazd „Ratapoilów“, w okupację zgrai awanturników, we dwór Eugenji w „Sfinksa z Tuillerji“ Henr. de Rochefort w swojej „Marsyljance“ a potem w „Lanterne“.

I wtedy to zwąchawszy w powietrzu mocny prąd oziębienia swej popularności, pisze Napoleon III słynny list do Rouhera, o konieczność naprawy zbyt autokrackiej konstytucji na — dla odmiany — liberalną.

Między macherami preparującymi nowy fason ustrojowy jest też senator, książę Piotr, asekurujący Bonapartyzm w izbach parlamentarnych, wydający i piszący pismo „L'avenir de la Corse“, ale już nie ten dawny opozycjonista, a nowy, gorąco solidarnie oddany rodzinie i dynastji, wierzący w to, że jednak Napoleonidom Opatrzność dała misję sterowania losami Francji. Ale opozycja już się nie daje brać na kawały szarlatańskie i efekciarstwa zwycięskiego chimeryka i karykatury swego stryja. Thiers demaskuje opłakany stan armji: efektowna, strojna, ale wobec pruskiej, zwycięskiej (Sadowa) do niczego, nienowoczesna, sztab ma zdemoralizowany przez nepotyzm Badingueta. Gambetta najbliższych doradców Napoleona nazywa krótko „wyrzutkami społeczeństwa“, Floquet dwóch nowo-

mianowanych marszałków określa w parlamencie jako „saltimbanków dworu".

W gruncie rzeczy nikt już Cezarowi nie wierzy, nikt mu nie ufa, najpierw odpada lewica, potem prawica, potem resztki lewicy i ostatnie resztki prawicy. Pozostaje mob, motłoch ulicy, pozostają wierne czeredy karjerowiczów, które przewrót z roku 52-go a potem cesarstwo wydobyło z nicości, z niebytu, z prowincji. Rzucone na wabia hasło nowej rewizji konstytucji już nie emocjonuje szerszych warstw inteligencji. Wszyscy już widzą, że wedle znanego przysłowia, im więcej się to wszystko zmienia, tembardziej zostaje tem samem. Atmosfera publicznego życia za cesarstwa jest w każdym calu kwadratowym zatruta pogardą dla praworządności, swawolą biurokracji, cynizmem korrupcji.

W maju r. 1869 przychodzą nowe wybory. Mimo terroru administracji i korrupcji uzdrawiaczów Francji i naprawiaczy konstytucji rząd odnosi fatalną porażkę. Książę Piotr tak w swojem piśmie teraz jak w Senacie doradza kuzynowi wycofanie się z liberalnych reform. Wierzy tylko w armję jako w czynnik stały i podporę tronu, przemawia i pisze stale za szybkiem powiększeniem armji, jej organizacją, za jej uprzywilejowaniem. Wśród napoleonidów jest najbardziej bonapartystoskim, jest taranem kliki „Ratapoilów", t. j. tych mieszańców, odpadków i wypędków wszystkich stronnictw wierzących i wiszących tylko przy „Sfinksie z Tuillerji".

2 stycznia 1870 r. Napoleon zdradza po raz trzeci konserwatystów i oddaje rządy liberalnemu Olivierowi.

Tej nowej lalce Badingueta, Gambetta na przyjęcie w Izbie mówi słynne: „pan jesteś mostem, po którym my nie przejdziemy"!

I w tedy przeciw patrjotom radykalnym, widzącym, jak Francja stacza się moralnie w dół pod batutą „cygana z cygańskiej kapeli", występuje namiętnie brat cesarza, książę Piotr, napastując i obrażając głównie redakcję „La Revanche". 10 stycznia w imieniu obrażonego Wiktora Noira (Yvon Salmon) przychodzą księcia wyzwać na pojedynek radykalni narodowcy Pascal Grousset i Touville. Wybucha sprzeczka i książę Piotr wali z pistoletu kładąc na miejscu trupem Noira...

Wybucha przerażający skandal. Brat cesarza, zamiast mu pomódz jak chciał, grzebie go do reszty. Napoleon każe mu się wynosić ze stolicy, byle jaknajdalej. Następuje szereg manifestacyj, pogrzeb stutysięczny Noira, twarde i zuchwałe mowy nad grobem wzywające do zemsty na kabotynie z Tuillerji. Garnizon paryski skonsygnowany i wojsko biwakuje na ulicach...

Odtąd już Berlin nie spuszcza oka ze stolicy Don Cezara z melodramatycznego wodewilu. Od tego momentu sztab pruski już nie kładzie się spać przed północą; pracuje gorączkowo. Wtedy to Bismarck mówi swoje słynne: „Czekajmy! Niech się Francuzi smażą w swoim własnym sosie".

„Obywatela Piotra Bonaparte" (tak zaczynał karjerę) niema już w Paryżu, uciekł do Belgji. Ale choć brat, zlikwidowany jako parlamentarna znakomitość, Napoleon III właśnie teraz wypełnia jedną z rad grupy

Bonapartystoskich ultrasów „Ratapoilów“ domagających się od wielkiego herszta w koronie nowego zamachu stanu. Listem z 21 marca 1870 r. do E. Oliviera odwołuje się do znanego tricu nieuleczalnych conquistadorów demagogów — do „woli ludu“; niech plebiscyt zdecyduje, czy lud francuski uznaje jego reformy liberalne czy nie?

Następuje plebiscyt.

I teraz niespodzianka, wielki hazardowicz i szczęściarz znów wygrywa partję „l'hombre'a“ z... ludem. Na dziewięć miljonów głosujących tylko półtora miljona jest przeciw „więźniowi z Ham“. Olbrzymia reszta za Napoleonem III. „Ratapoile“ szaleją i wyją z radości. Parlament oniemiały czeka tylko na baty. Jenerał Cassagnac wygłasza mowę o niezwyciężonej armji francuskiej, która szybko zgniecie wszystkich wrogów zewnętrznych, ale najprzód wewnętrznych. „Rabagasy“ z prasy rządowej, utrzymanki reptilienfondu, wzywają „zwycięzcę z pod Magenty i Solferino“, aby położył wreszcie kres wichrzeniom „wrogów ojczyzny“ i gadułom z „Folies Bourbonnes“... a potem, potem na Wschód... a Berlin!...

To był moment najwyższego, zenitowego triumfu Cezara, jako bożyszcza ludu francuskiego. Ale ani na jedną sekundę moment ten nie olśnił, ani nie zachwiał poglądami ni Thiersa, ni Gambetty, ni V. Hugo, ni H. de Rocheforta. Ci znali mały format wielkiego fasonu Cezara.

A kiedy potem przyszły straszliwie ciężkie dni jesieni, zima r. 1871, oblężenie Paryża, ten i ów przypomniał sobie nietylko ostrzeżenie Rocheforta, ale

z listy winowajców także i księcia Piotra Bonapartego i jego artykuły w „Avenir de la Corse", mające na celu utrwalenie regimu „Ratapoilów" i „Badingueta", a to właśnie przez przykrawanie konstytucji do figury „Sfinksa", a to znów przez domaganie się uprzywilejowania we wszystkich dziedzinach armji, która może być zdrową i silną tylko tam, gdzie etyka politycznego życia jest silną i zdrową. Obywatel Piotr Bonaparte życzył może Francji najlepiej, ale dobro Francji zbyt identyfikował z powodzeniem, karjerami i rządami olbrzymiego i żarłocznego bractwa „Ratapoilów", wśród których znalazły się także wedle słów Gambetty i „ostatnie wyrzutki społeczeństwa".

Nie przysłużył się też Piotr Ludwikowi Napoleonowi, popychając go do rozgrywek i drastycznych posunięć, uwierzywszy bezkrytycznie w wielką rolę, wielką misję historyczną i w wielkoduszność swego stryjecznego brata.

Nie przysłużył się, rozpalaniem jego patologicznie śmiesznej megalomanji, zamiast, znając go tak dobrze, gasić ją stale i na każdym kroku, przypominając mu jego małość, jego przypadkowość, jego znikomość a Wielkość i Piękno słodkiej i nieśmiertelnej Francji.

SHELLEY... PASZKWILISTA

W siódmem niebie poezji światowej, w najwyższym archanielskim chórze angielskich liryków, w grupie Serafitów obok Keatsa, Moore'a, Blake'a, R. Browninga rysuje się zwiewna w konturach i rozpływająca w tle postać, która była poezją samą w sobie, inkarnacją, synonimem poetyczności, samoczynnym niejako instrumentem natchnienia, harfą na której najprzedziwniejsze melodje przegrywały jak w grocie Fingalla wichury Boże. Poeci o nim mówią i piszą z najgłębszem wzruszeniem jako o zjawisku twórczem ponadziemskiem. Niechętnie wymieniają w zestawieniu inne wielkie nazwiska, gdy pada słowo: Shelley; chcieliby go mieć sanktuarycznie oddzielonego jakby w jakiemś miejscu: „święte świętych“ z zabronionem dla „bliźnich“ wejściem. Do niego *introitus* ma być zawarowany zazdrośnie tylko dla wtajemniczonych i zaprzysiężonych; szerszego czy węższego ogółu ten testament poetycki nie ma obchodzić wcale, nie powinien obchodzić. To jest poezja dla poetów, *melodia prohibita*. Tam, gdzie się kończy zainteresowanie i apercepcja nawet elity intellektualnie najwyrafinowańszej, tam dopiero zaczyna się twórczość Shelleya. Nawet Keatsowi godziło się jeszcze schodzić na niziny i rozdawać chleb poezji pomiędzy rzesze. Manna Shelleya przeznaczona jest tylko dla gminy akolitów wezwanych i wybranych.

Szczęśliwym zbiegiem polskich przypadkowości, trafów i okoliczności, klejnoty tej liryki czystej, liryki absolutnej, tej muzyki w słowach, oprawne też zostały i to co najpiękniejsze, w złoto szczere, dwunastokaratowe polskiej mowy; dokonała tego grupa jubilerów i majstrów jeszcze z „Chimery", z tej łabędziej pieśni intelektualnie pańskiej Polski przed jej zapadnięciem się w trzęsawisko *griaduszczego*, definitywnego już chamstwa. Posiedziciele tej literackiej Golcondy mogą sobie kolejno symfonje Shelleya przypomnieć. Muzyka to czysto kameralna, kwartetowa i kwintetowa. Najwyższa sfera twórcza, odkażona już nietylko od wszelkiego realizmu, obserwacji, zainteresowań codziennością, społecznictwem, obywatelstwem świata czy planety... *Tief unter ihm im wesenlosen Scheine, lieg was uns alle bindet... das Gemeine...*

Nie, o tem nawet mowy niema, bo być nie może... To są już regiony o najczystszem ozonowem powietrzu wyżyn, do których nie dochodzi od niższych kręgów ani jeden wiew z dymów pospolitej ziemian egzystencji... *Omne humanum a me alienum puto.* Tu są już najswobodniejsze, najwyższe, najdalsze loty niczem nie obciążonej imaginacji, szybującej szlakami uskrzydlonej, kapryśnej, wolnej, suwerennie wolnej myśli, czasem opuszczającej się nad szczyty ludzkich rozmarzań i dociekań filozoficznych, czasem niknącej w obłokach, alegorycznie skorupę ziemską odbijających, czasem nieuchwytnie ginącej za dalekiemi, niedostrzeganemi, ni rozumem ni wzrokiem niedosięgalnemi horyzontami. Nie widać już globu, jego mieszkańców i ich cierpień, wierzeń, tragedyj czy modłów, a jest

już tylko całe wielkie *universum*. Dźwięki olbrzymich „bazaltowych“ organów i muzyka sfer na niezliczonej mnogości najstarszych skrzypcach. Każdy utwór (jeżeli improwizacje kosmicznego wizjonera godzi się tak bluźnierczo tytułować) to jakby *missa solemnis* twórczości, czy to będzie szczyt szczytów: „Epipsichidion“ czy „Alastor, Duch Samotności“ czy „Wizja Morza“, czy „Oda do Wiatru Zachodniego“ czy „Adonais“, egzekwie za zmarłego wajdelotę Keatsa. Z niczem to niezwiązane, ni z czasem ni z przestrzenią. Srebrzące się w poświacie księżycowej kaskady obrazów, abstrakcji, barw, tonów, alegoryj, reminescencyj, metafor, nie związanych ze sobą pozornie, aracjonalnych, antylogicznych, działających tylko natężeniem światła i koloru, ale każdy poemat, każdy hymn, każda strofa, każdy wiersz przepojony panteistyczną, otchłanną miłością świata, żałością istnienia, wdzięcznością za cud człowieczeństwa.

To też poeci i artyści najwyższej klasy i rangi duchowej pielgrzymują do Shelleya jak na Monsalwat, odrywając stopy z trudem od gliny, strzepując kurz ziemski z obuwia i spinając się w górę po spiralach myślowych, aby tylko dojść do tej marmurowo-kolumnowej świątnicy o strzelistych wieżycach, gdzie odbywa się najwyższe misterjum, gdzie przemawia poeta dosłownie ponad obłokami tylko do Boga, do siebie i do wszechświata.

I oto jest rzecz dziwna ale zrozumiała, że krótki bo trzydziestoletni („ulubieńcy bogów umierają wcześnie“) żywot tego Serafity nie był, bo nie mógł być pogodną sielanką i przechadzką po różach i po mu-

rawie. Kamienistą była ścieżka, którą przeszedł, raniąc nogi raz po raz do krwi pielgrzym z kijem wygnańca. Od samego zarania życia często mu podawano na dzidach gąbki przepojone żółcią, ale bo też od samego zarania kołatał się w wątłej piersi zbyt przeolbrzymi „duch wieczny rewolucjonista“. Ciężko już było pacholęciu z ojcem nieco tyrańskim, obrońcą *cantu*, *correctness*, *fashion* i *high church*; wedle biografów W. Sharpa i Todhuntera wiele z jego rysów odnaleźć można w starym Cencim z Eschylosowskiego dramatu o rodzinie wsławionej incestem. Młode pacholę szlacheckie relegują z Oxfordu za dziecinny pamflet *The Necessity of Atheism.* Zostaje mu z Oxfordu tylko kultura i więź humanistyczna i wczesne a dośmiertne ukochanie Hellady, najpierw tej starożytnej ziemi bogów, tragików i... Arystofanesa, a potem tej drugiej, dobijającej się właśnie za jego czasów o niezależność. Żeni się zbyt wcześnie i szybko rozwodzi, niestworzony do pożycia światowego z panną z *society*, tembardziej że schedy po ojcu zrzeka się na rzecz siostry i zamieszkując na poddaszu traci czas na pisanie... arcydzieła fantastyki: *Queen Mab.* Rozpoczyna się nań pierwsza naganka snobów i mobu. Odbierają mu dzieci, a pierwsza żona kończy samobójstwem. Naganka towarzystwa londyńskiego wzrasta, a prowadzi ją dworski poeta *laureatus* denuncjant Southey. Serafita żeni się po raz drugi z Mary Godwin, córką rozwichrzonego radykała, ekonomisty, starego Willa, trochę powieściopisarza a nieco warjata. Naganka przybiera dzikie rozmiary, tembardziej, że Shelley nie kryje się z rady-

kalizmem i republikanizmem. Wreszcie zaszczuty przez całą sforę pieśniarz *The Revolt of Islam.* „Prometeusza Rozpętanego“, „Indyjskiej Serenady“ „Aretuzy“, „Pieśni Proserpiny“, „Hymnu Apolla“ ustępuje miejsca skrybom i dworakom, eunuchom ze „Szkoły Jezior“ i pochlebcom Hannowerskiej dynastji i przenosi się do drugiej ojczyzny wszystkich wolnych Anglików, do Italji (r. 1819). I tu bierze go pod czarne skrzydła swej romantycznej peleryny zbuntowany demon lord Gordon Byron...

Jest w tej opiekuńczej przyjaźni Byrona dla Shelleya coś z uczuć matki do syna, Mentora do Telemaka i furjującego, wściekłego, miotającego piorunami i rzygającego płomienną lawą... Kaina (z poematu), Kaina — Lucyfera... do kobiecego, elfowatego delikatnego, przebaczającego, wyzbytego ze wszystkich agresywnych, wojowniczych, mściwych affektów i impulsów marzyciela... Anhellego... Niecałe trzy lata trwa ta przyjaźń dwóch Dioscurów angielskich, dwóch wielkich opozycyjnych duchów na dobrowolnej banicji. Shelley upaja się urokami Italji, a raczej cudami kosmosu w urokach Italji skoncentrowanego i pisze, i pisze i czasem to czyta w gronie wytwornych sympozjonistów, a czasem nawet drukuje. Pewnego pięknego dnia czerwcowego (1822) wyjeżdża z Livorna na spacer do Lerici po zatoce Spezia... „Płyń barko moja, pogoda sprzyja“... Ale burza nadchodzi... żaglówka niezdolna do oporu... poeta tonie w kobaltowej toni. Ośmnastego czerwca, wyławiają rybacy ciało. Wedle praw toskańskich wszystko, co wyłowione, po 14 dniach miało podlegać spaleniu. Smutnemu

obrzędowi towarzyszą Byron, Hunt i Trelawney. Opisał to w pięknym poemacie poeta niemiecki Alfred Meissner, za nim powtórzył nasz Antoni Lange. Serce w aloesie spowite pogrzebano na protestanckim cmentarzu w Rzymie obok monumentu Keatsa. Po śmierci zapłakało niewielu. Londyn nawet nie wiedział o tem. W Londynie zresztą go przeklinano a dzieci *shopkeeper'ów* i lichwiarzy nim straszono... Dopiero po latach, po latach przypomniano go sobie. I zaczęto czytać i rozczytywać się i pisać o nim grube tomy i zakładać „Assocjacje“ ku szerzeniu kultu dla Shelleya. I wtedy to poetę „Epipsichidiona“ i „Prometeusza“ nazwano: Arielem... jasnym duchem, kochającym wszystko i wszystkich? Nie! Nie wszystkich!

Percy Bysshe Shelley, poeta o duszy promienistej i jasnej jak dzień słoneczny, chłopięco dobry i łagodny charakter na codzień, wszystko wszystkim przebaczający, szybko uraz nie pamiętliwy, kalumnij nie mszczący, gehennę życia krótkiego znoszący cierpliwie, miał jednak jedną nienawiść płomienną, pochłaniającą, zeżerającą, absorbującą, wieczystą, czujną i aktywną. By tę nienawiść podsycić i nasycić schodził w niziny pospolitych zainteresowań przeciętnego *man of street* i gromadził w pamięci i świadomości materjał oskarżycielski. Apostoł „piękna intelektualnego“ zajmował się namiętnie człowiekiem, który był dlań uosobieniem piekielnej moralnej brzydoty. Anhelli, którego mózg wchłaniał tylko promienność światła, zagłębiał się w czeluście posępnej duszy syna złych bezsennych nocy. Gardzący pożywieniem mięsnem i karmiący się tylko jarzynami i owocami angielski baronet ob-

myślał i knuł latami zemstę nad człowiekiem, który był tylko kawałem mięsa i znał z życia tylko chuci mięsne, zwierzęce.

Tym człowiekiem był ten, który rządził ojczyzną Shelley'a, był król Jerzy IV...

Jest w *National Gallery* w Londynie portret tego regenta, za którego rządów Wielka Brytanja pokonała swego największego wroga... Napoleona, regenta, którego armja dzięki kilku genjalnym wodzom obaliła kolos rodyjski, ale o którym właśnie jego wódz największy: Wellington puścił straszliwe: „Biada narodowi, którym rządzi król nie *gentleman*“! Na tym portrecie dworskim przedstawiony jest „herszt bandy Hannowerczyków“ w pełnym majestacie, obwieszony orderami, uśmiechnięty umyślnie, by ukryć posępność duszy drapieżnego nocnego ptaka. Niechętnie stają dzisiejsi obywatele największego pod słońcem Imperjum przed wizerunkiem tego monarchy, którego tak złowrogą charakterystykę dawali Macaulay, Thackeray i inni, a którego za jego życia takiemi górami pochlebstw obsypywano. Cóż bowiem z tego, że armje J. K. Mości dobiły nawet... Napoleona, jeżeli J. K. Mość nie był nawet... *gentleman*'em.

I jest w tej samej *National-Gallery* olbrzymi obraz historyczny z gatunku oficjalnych panoram. Przedstawia scenę melodramatyczną, kiedy to żona Jerzego IV, Królowa Charlotta Brunświcka, oskarżona przez własnego męża o wiarołomstwo staje przed Izbą Gmin, by się bronić. Zielony wór leży na stole przed *Speaker*'em Parlamentu. Oskarżają kanalje z bandy Hannowerczyków, w obronie staje lord Brougham,

ten sam szlachetny Torys, który w obronie Polski Kościuszkowskiej, Polski tego Naczelnika z którego zawsze będzie dumną, powiedział swoje słynne: „Wszyscy w Anglji płaczą teraz nad niedolą murzynów, a nikt nie uroni łzy w obronie... Polski".

I oto o co i odkąd znienawidził Ariel regenta z duszą Calibana, mściwego, ziomącego wulgarnościami, plugawego Calibana. I oto z jakiego powodu ten poeta, który, najwyżej ceniąc swe dostojeństwo wieszcze, nigdy nie był autorem ani literatem, a „harfę druida chował tylko na ołtarzu", zdecydował się ze swego pałacu z kości słoniowej zejść po kilkuset schodach aż na brudny bruk Londynu i wymierzyć przeciw Hannowerczykom, królowi Jerzemu, jego ministrom, Londynowi i bezwstydnej Anglji, która takiego regenta znosiła... poprostu paszkwil, wysoce ordynarny, dostosowany do poziomu czytelników, potworny, obłędny paszkwil. A nosi ten paszkwil tytuł: *Sweelfoot the Tyran* i *The Masque of Anarchy*. A na polski język przełożył to ku zdumieniu krytyków, a widocznie jasnowidzący wszystko, co przyszłość przyniesie, ku przestrodze i pouczeniu... Anglików nie kto inny tylko... Jan Kasprowicz.

A była z tem sprawa taka. Kiedy Francję opanował *demovores* zjadacz ludów, wielki i wspaniały potwór z Ajaccio, na stolcach cesarskich i królewskich siedzieli truchlejący, zdenerwowani „Dynaści", jeden gorszy od drugiego, jak to można się przekonać z Tomasza Hardy'ego dramatu, liczącego 19 aktów a 130 scen: *The Dynasts*. Najgorzej jednak było w Anglji. Tu po usunięcie Stuartów przyszła familja Hanno-

werska, jeszcze gorsza, którą stara szlachta normandzka w duszy traktowała jako uzurpatorów, przybłędów ze Wschodu. W dodatku jeden z nich Jerzy III wpadł w obłęd. Wielka Brytanja warjatów i furjatów na czele państwa nie znosi, wobec tego zamianowano regenturę, a wedle praw angielskich regentem musiał zostać książę Walji, tym razem Jerzy IV. Ironja dziejów chciała, że za panowania tych hannowerskich degeneratów-dynastów, wodzom i armjom angielskim udało się powalić Tytana i zamknąć go na wyspie Św. Heleny. Sława wodzów uratowała dynastję, bo promienie jej spadły na pomazany łeb Jerzego III, a potem Jerzego IV.

Pomimo tego, gdy ogłoszono regenturę (r. 1817) a Jerzy jechał koronacyjnie ugalowany do Parlamentu, aby zaprzysiąc i zagaić obrady, patrjoci londyńscy obrzucili karetę królewską błotem i kamieniami! Karetę regenta, którego armje pokonały Napoleona *Boneya!* Okazuje się, że w stolicy W. Brytanji praktykowano takie owacje i to dla... pomazańca, a kanalja Hannowerska nie ośmieliła się jednak ukuć z tego na wieczne czasy oręża partyjnego przeciw patrjotom. I za co tak obłocono i uraczono otwartą karetę regenta, który dwa lata temu po pogromie *Boneyego* przyjmował jako gospodarz wszystkich panujących w Europie? Oto na razie za jedno, t. j. za to, że Jerzy IV był *Punchem*... to znaczy za to, że źle żył z żoną, tak się znęcał nad nią i tak ją maltretował, że Karolina Brunświcka wreszcie uciekła odeń na kontynent, uciekła z małym orszakiem i... szambelanem Bergaminim. Regent rozpoczął wtedy swe rządy. Były to czasy złote

„Świętego Przymierza“, najohydniejszej, najciemniejszej, rozwścieklonej reakcji. Byron mówił o swej ojczyźnie: „Anglja stała się dozorcą więzienia i pachołem absolutyzmu“. Tomasz Hardy w swoich „Dynastach“: „Trzej łupieżcy Polski nabili kiesy żołdem Johna Bulla“. A dla Shelleya taka Anglja to nie była *old merry England* a tylko *perfide Albion* i poprostu chlew, wielki, olbrzymi chlew. Nad tym chlewem panował „Tyran Opuchłołydziec“, syn degenerata, sam degenerat z przybłędów hannowerskich, a rządzili najohydniejsi i najgorsi. Po wielkich Pittach przyszedł gnom konserwatywny Perceval. Tego premjera pewnego dnia zastrzelono z kół patrjotów. Ale kanalja dworska Hannowerczyków, jak mówi Tomasz Hardy w „Dynastach“ „banda 140 pretorjanów“, jednak nie ważyła się z tego nawet zamordowania ukuć sobie broni zatrutej na patrjotów. Potem przyszedł Castlereagh... wielki „genjusz gospodarczy“, prawa ręka Jerzego IV, „lord Londonderry“, który atoli, gdy się później swoją prawą ręką sam samobójczo zarżnął, Wielka Brytanja odetchnęła z ulgą, a Byron grzmotnął ze swego italskiego Olimpu trzy djabolicznej złośliwości epigramaty, chwaląc Castlereagha „za pierwszy szlachetny czyn“...

Już od r. 1820 Jerzy IV zasiadł normalnie na tronie, po śmierci papy. U rządu stali konserwatyści, odpadki Torysów i znikczemnieli zaprzańcy, Judasze Whigów. Torysi gardzili skandalizującym się i ordynarnym dynastą z przybłędnej familji, ale w myśl maksymy wszystkich junkrów wszystkich narodów: *mag der König absolut wenn er unseren willen thut*

wysługiwali się tronowi. Cenzura szalała w Anglji gorzej, niż w Caracie. *Bill*'e „kneblujące“ szły jedne po drugich. Stan urzędniczy w nędzy. Lud włościański w brudzie. Wielcy agrarjusze tylko rozpromienieni i szczęśliwi. A koło dworu hałastra rymopisów, zapraszana do *Carlton-House*, pochlebiająca „Tyranowi Opuchłołydźcowi“, jako pogromcy Francji i Napoleona.

I na takie to czasy i do takiego to Londynu wracała Królowa Karolina do swego małżonka na koronację. Wracała zawezwana i zaproszona przez ludność. A król, który jej lata całe nie pozwolił wracać do Londynu, który ją publicznie nazywał „przystojnem cielęciem“, który ongiś dostał za nią i przepuścił olbrzymi posag... a później szpiegował ją po Europie przez swych adjutantów, teraz znalazł się w sytuacji fatalnej.

Tomasz Hardy w „Dynastach“ wkłada „Opuchłołydźcowi“ królowi takie słowa w usta w tym momencie: „Niech djabli biorą cały pokój! *And dam the war! and dam Boney* (Napolena tak nazywano w Anglji: Bonaparte+*pony) and dam Wellington victories! The question is how I am to get over this infernal woman...* Jak ja się pozbędę tej piekielnej baby!!... I wtedy to zdecydował się na skandaliczny proces, przedkładając Parlamentowi propozycję *bill*'u o rozwodzie. Tymczasem wracającej do Londynu Karolinie ludność na ulicach urządziła wspaniałe owacje. Izba Lordów *bill* przyjęła i uchwaliła cynicznie. Izba Gmin odrzuciła. Podczas koronacji Tyrana, królowę trzymano zamkniętą w opactwie. Ze zgryzoty i wstydu w kilka dni umarła.

Tyran Opuchłołydziec na pogrzeb się nie pofatygował.

A opinja publiczna, — angielska! — opinja publiczna przeszła nad tem chamstwem nie *gentleman*'a do porządku dziennego.

I to rozwścieklilo Serafitę do szału. Metafizyka i panteistę zapatrzonego lunatycznie w wielkie misterjum świata zaczęło fascynować, rozdrażniać i we wstrząsy moralne wprawiać to małe bydlę, koronowane bydlę z *Carlton-House*. Śpiewak Boży, beznamiętny i omal bezkrwisty, o którym Trelawney przyjaciel pisał, że: „kochał wszystkich prócz siebie", zgrzytał zębami, zaciskał pięście i ciskał się po pościeli bezsennie na samą myśl, że jego ojczyzną rządzi ten opuchłołydy paranoiczny karzeł, profitujący z genjuszu swych wodzów. Ten poeta, której wyśpiewał „Dytyramb do Skowronka", tracił oddech i dławił się, uświadamiając sobie, że jego ojczyzny *patriae pater* jest zuchwały, zły, przewrotny i parszywy knur. Ten angielski rasowy, dystyngowany szlachcic, rozmiłowany w Helladzie, twórca „Hellas" i Prometeusz, musiał bezbronny i słaby znosić, że w Londynie rezyduje Teuton, Niemiec, z duszy „Pers"... I wtedy stało się, że *indignatio fecit versum*. Już nie Eschylosa, ale Arystofanesa i jego „Żaby" wziął sobie za wzór P. B. Shelley. I w kilka dni grzmotnął komedję-satyrę Arystofanesowską na Anglję Jerzego IV, macochę ludzi uczciwych na mamkę łotrów, na Londyn, kordegardę „bandy 140 Hannowerczyków", na władcę, o którym inny Anglik, nam współczesny Tomasz Hardy napisał: „mały łotr pogardy godzien". To, że Wielka Bry-

tanja zmogła znienawidzonego przezeń Bonapartego, nietylko Shelley'owi nie imponowało, ale właśnie przydało ostatecznej goryczy: amoralny strupieszalec dynasta zwyciężył amoralnego, parwenjuszowskiego awanturnika *conquistador*'a. I taką Anglję daje Shelley w swem paszkwilu jako... chlew. I kościoła anglikańskiego nie może szanować poeta, który w „Hellas" takie piękne strofy poświęca Chrystusowi, skoro *High-Church* toleruje i uznaje pomazańca w takim wieprzu. Służalcom poetyckim dostaje się osobno potężny cios: *Peter Bell.* Ale dwór, kamarylla klika, kloaka i klaka Jerzy IV to wszystko chlew pełen warchlaków, prosiaków i wieprzów; Londyn to Teby... Castlereagh to „Mammon"... duchowym kapłanem tego chlewa... „Mojżesz (!) rzezak..." a "męczennica" królowa to żona Taurina. To, co jest na obrazie w *National Gallery*... proces o rozwód przed Izbą Gmin... to sparodjowane do ostateczności, skłębione w szczegółach, obłędnie wyolbrzymione, potwornie przekrzywione, opuchłe przekoloryzowane dzieje się w... „Opuchłołydźcu". Niemożliwym w swej rubaszności i wulgarności jest ten paszkwil angielskiego Nowalisa, angielskiego Norwida, Chopina liryki angielskiej. Kiedy wyszedł z druku, wycofywano go raptownie, wykupywano masami, palono nim w kominkach, niszczono. Takiej erupcji obłędnej, satyrycznej furji mało jest w literaturze. Zagadką psychologiczną pozostanie na wieki, jak doszło do tego, że arystokrata ducha, wytworny *Mignon* z duszą mimozy, kwiat agawy, co wyrasta raz na sto lat w zachodnich cieplarniach, mógł takim, dodajmy jeszcze całkiem nieudałym, właśnie „literackim" „utwo-

rem" do skrzyni swoich bezcennych klejnotów i kosztowności wrzucić i grudę ziemskiego zwykłego błota... Ariel?...

Aby sobie zagadkę wytłumaczyć conieco, przypomnijmy sobie, że w „Burzy" Szekspirowskiej nawet Prospero traci czasem opanowanie i cierpliwość. I wtedy wali w kark silnego, mocarnego, zionącego plugawemi słowy Calibana.

Ale czy nie szkoda było na to pióra, pióra wyrwanego kolibrom Arielu? Caliban jest wieczny. Caliban się przewciela. Calibana słowem nie przezwycięży...

CZY HORACY BYŁ RZYMIANINEM?

Pytanie to już przez swą paradoksalność i niespodzianość wywołuje chyba wrażenie już nietylko śmieszne ale „śmiszne“.

Jakże to? Synonim romańskiej, dworskiej, cezarycznej wytworności i uprawy umysłowej, człowiek najwyższej rafinady gustów i smaków, Cezara i Maecenasa współbiesiadnik i zaufaniec, najwykwintniejszy rymopis, ucieleśnienie wizualne i intelektualne tego, co w pojęciu „aryjskości“ bez reszty się mieści, miałby być semitą? Toż już zanadto niemożliwe.

A jednak z taką hipotezą wystąpił w kilku dziennikach równocześnie doc. Jecheskel Lewin i to nie z pierwszego własnego impulsu, ale opierając się na już istniejących zarysach, pisanych po niemiecku, pióra współwyznawców swoich Brainla i Sectra.

Cała zabawa polega na dwóch cieniutkich motywach, pierwszym czysto literacko-psychologicznym, że z twórczości Horacego wyłania się indywidualność rzekomo bliźniaczo podobna do Heinego, a drugim faktycznie, stwierdzonym biograficznym, że Horacy pochodził z wyzwoleńców (Libertinów), zaczem możliwe, że ze Semitów, którzy już za czasów Sulli do Italji się przesiedlili.

Dr. Jecheskiel Lewin do tych wątluchnych przesłanek dodaje jeszcze trzecią, t. j. argument, że w pobliżu rodzinnego miasta Horacego Venusii odnaleziono

niedawno... katakumby żydowskie... *ergo:* wyzwoleniec z pochodzenia, pod którego rodzinnem miastem odnaleziono *kimeterjon* Semitów, *musi* chyba być Żydem, tembardziej, gdy nie które pomysły i idee w jego wierszach, pewien sarkazm, kolor humoru, goryczka i pieprz obok finezyjnej doskonałości wersyfikacyjnej i nieskazitelności formy łudząco pono mają przypominać, antycypować Heinego.

Dłużej i szerzej zajmować się lub kontrować argumentacyjnie takim przypuszczeniom byłoby syzyfową zabawą i przelewaniem z pustego w próżne. Właśnie na podstawie spadku twórczego, na podstawie Od, Epod, Satyr, Listów i Horacjuszowskiego *Carmen Seculare* psychologiczne wydedukowaćby można, że w patrycjuszoskim ironiście wszystko tkwiło raczej niż Heinoski niepokój, rozterka, szamotanie się, awersja do wszystkiego co jest organizacją, lubowanie się we wszystkiem co zapowiada rozkład, melancholja. *Weltszmerc* i *Kampf gegen die Umwelt.* Horacjusz to kobaltowe niebo, złoto słoneczne, rozrzucone po tafli morskiej, spokój, równowaga, wyrozumiałość, flegma empiryj życiowych, spokój, wszystkim wszystkiego wybaczenie, sceptycyzm nieco sybarycki, światowładny, a nie cynizm nieco demoniczny, światoburczy.

Nawet, gdy zrywa z Mecenasem dworak Horacy i wraca na wieś w samotnię jako Rousseau czy Cyncynnat, zerwanie to odbywa się po gentlemańsku, w niczem nie podobne do awantury, którąby wyzwolony Semita zrobił Arjom za to, że mu po latach dali raz odczuć jego libertynizm czy rasową podrzędność.

To atoli akkaparowanie Horacego przez dr. Jecheskela Lewina jako jeszcze jednego nabytku do Walhalli genjalnych Semitów, samo przez się tak zabawne przez swą nikłość, przypomina nam jednakże, że nie Horacy jeden zyskał sobie wysoką protekcję i fawory, że takich próbnie adoptowanych i przyhołubionych jest wielu, że jak powiedziałby Szekspir: „w tem szaleństwie jest pewna metoda". Do kogo to bowiem tam się nie przyznawano, kogo to nie chciano łaskawie wciągnąć na listę wybranego ludu szczególnie w ostatnich czasach. Ta nieszkodliwa manja, nieco coprawda imperjalistyczna, przyszła jakby w spadku po pangermanach z przed wojny. Moc wtedy publikacyj wychodziło udowodniających na podstawie rzekomo antropologicznych dociekań, że wszystko co wielkiego na globie stworzyli, napisali, zorganizowali wyłącznie Teutoni i zaczęła się ta „nauka", ta nowa gałąź wiedzy o człowieku od Niemców z francuskiemi nazwiskami — od Gobineau i Lapouge'a i aż do wojny dotrwała w publikacjach H. S. Chamberlaina i Woltmanna, udowadniających np., że cały renesans francuski i włoski stworzyli zlatynizowani Germanie. Znacznie, znacznie jeszcze atoli przed wojną jedna z bardzo ciekawych. problematycznych i problematycznie „wielkich" postaci angielskich t. j. lord Beaconsfield, jeszcze zanim został lordem, premjerem i omal wicecesarzem Indji a wicekrólem W. Brytanji, jeszcze jako parlamentarzysta i powieściopisarz d'Izraeli w dwóch powieściach swoich t. j. w „Nowej Generacji" i w „Conningsby" przeprowadził tezę, że wszystko co wielkiego było na świecie' pochodziło z t. w. *sephardim* t. j. „spaniolów" także

„maranów“ t. j. hiszpańskich arystokratycznych Semitów. W „Conningsbym“ postać zwąca się Sidonią udowadnia to, cytując jako dowód: pierwszych Jezuitów, marszałków napoleońskich Massenę i Soulta, dyplomatów i ministrów rosyjskich (Szafiro = Shapiro, Nesselrode, Giers, Mohrenheim, Cancrin). Te objawy rozwierzganej nieco megalomanji rasowej *(race consciousness)* sparodjował potem Thackeray w powiastce: *Coglingsby*, gdzie podobnie od rzeczy wspaniałości o *chosen people* wyplata figura Rafael Mendoza (od *mendax* = kłamca). Nawet Mozart wedle Disraelego wywodził się bowiem od żydów...

Po wojnie ta manja Disraeliczna zaczęła grasować nagminnie, a nawet wedle pewnego jakby uplanowanego systemu. Kto tylko gdziekolwiek w czemkolwiek odznaczył się, zabłysnął nieprzeciętnymi talentami, temu próbowano zaraz jakby przypiąć średniowieczną „żółtą łatę“. Czasami to nawet bywało do twarzy, niekiedy jednak zdawało się niepoczciwą insynuacją. Im bardziej jakaś indywidualność robiła wrażenie lub pronsowała się jako aryjska, tem z większą skwapliwością próbowano zarejestrować ją na wielką listę. Nie wystarczyły już wielkości autentycznie rodzinne jak Sara Bernhard, Brandes, Bergsohn, wielcy szachiści, wielcy autorzy, aktorzy, pianiści, Citroeny w Paryżu, Lyonsy w Londynie, Ida Rubinsztein, Sasza Schneider, dr. Schnitzler, Molnar, Bracco, Porto-riche, Lombroso, Luzatti etc., to wszystko jeszcze za mało. Grube to były ryby, ale sieci i niewody trzeba było zapuszczać jeszcze głębiej i dalej. Przyszła kreska i na Matyska. Wzięto się najpierw do Kolumba ze

względu na profit propagandy w Stanach. Okazało się, że pierwszą wyprawę finansowali dwaj starozakonni Santagol i Coloma... dzięki im Christobal Colomb mógł się wyprawić za Ocean. A że Semici tylko Semitów mogli protegować, tedy jasne jak słońce, że ten wczoraj już półkandydat na świętego, pewnego dnia został proklamowany „naszym“, poczem i jeden ze znakomitych Hiszpanów Blasco Ibanez stwierdził semickie pochodzenie Colona: aż wreszcie i wyszła książka poety Marjusza Andreégo stwierdzająca tylko w innej manierze semityzm Kolumba, bo „udowadniająca“, że Kolumb był mistyfikatorem awanturnikiem, spekulantem i kawalarzem, *luftmenschem*, a Nowy Świat odkryli tylko Cabot i Vespucci.

Blasco Ibanez, który kaczkę o Kolumbie na wody prasowe puścił, w nagrodę za to też przez niektóre *Weltblatty* w drodze łaski został zaliczony do Semitów, aczkolwiek wywodził się notorycznie ze starej szlachty kastyljańskiej i całym swym żywotem awanturniczorycerskim aryjskość swą stwierdzał.

Również inny znakomity pisarz latyński przez dlugi czas zarekwirowany był na rzecz Semitów, a mianowicie Gabrjel d'Annunzio. Kiedy jego poematy dramatyczne i jego Don-Juanerja zdobyły sobie wielki rozgłos, wtedy dokomponowano mu specjalną legendę, że nazywa się właściwie Rapagnetta (Rzepka), ale i to jest fikcją, bo właściwie miano jego: Rappoport i pochodzi z... Trjestu. Dla sukcesów teatralnych jego sztuk i poczytności książek bajka ta okazała się bardzo przydatną, i długie lata się utrzymywała, przezornie przez poetę nie zbyt dementowana. Dopiero w ostatnich

czasach definitywny biograf d'Annunzia G. M. Pasquaris, podając fascimile jego metryki, stwierdza, że Gabriele urodzony w r. 1864 na okręcie, pochodzi z rodziny zamieszkałej w Pescara w Abruzach z ojca Francesca a matki Louizy de Benedictis, najrdzenniejszy czysty Italianin, wykazujący już zresztą swą aryjskość pełnym przygód, awantur, bohaterstw, odwagi i heroizmu żywotem.

Długi okres czasu insynuowano też i lansowano „delikatnie" po Europie bajki o żydowskiem pochodzeniu G. B. Shawa i Anatola France'a. Ponieważ obaj sarkaści, rzekomo też mający w sobie i coś z Heinego, przynależeli do obozów społecznie radykalnych, a często obu mistrzów widywano w towarzystwie bardzo ich radykalizm popierających żywiołów z *chosen people*, przeto ze starego antykwarza Thibault, ojca A. France'a zrobiono Abrahama, a znowu Bernardowi dano łaskawie matkę Semitkę, co jest również fikcją.

W ostatnich czasach w tej dziedzinie śmiesznostek są dwa rekordy.

Z okazji śmierci J. Verne'a odświeżono blagę, że Verne to jest pseudonim, za którym kryje się emigrant żydowski z Płocka. Skomponował to w r. 1903 podczas jubileuszu 75-lecia Verne'a redaktor ówczesnej w Warszawie wychodzącej gazety: *Hacefiry* znany działacz późniejszy Nachum Sokołow. Że niby Verne to znaczy drzewo: „olcha", a w Płocku żył Joel Olszowic do Vernego podobny jak dwie krople wody.

Jeszcze bajeczniejszą była zresztą krótkotrwała bujda, puszczona w Anglji o żydowskiem pochodzeniu... Conrada. Kiedy gwiazda znakomitego narratora wzbiła się

nad Anglją, wtedy próbowano ją ściągnąć na przedmieście Whitechapel, londyńskie „Nalewki". Pierwszą pogłoskę rzucił karykaturzysta Józef Pennel w książce p. t.: *The Adventures of an Illustrator*, w której opowiedział, że kiedy zbierał materjały do dzieła zbiorowego p. t.: *The Jew at home*, i studjował egzystencję żydów rosyjskich, był także na Ukrainie i w Berdyczowie; po powrocie stamtąd odwiedził wywiadowo Conrada, który mu rzekomo miał się zwierzyć, że pochodził właśnie z Berdyczowa, z żydowskiej rodziny. Śmieszną a głupią kalumnję napiętnował Frank Harris i biograf R. L. Megroz w specjalnym wywiadzie *Revue hebdomadaire*.

Jak więc widzimy z tego, apetyty na zagarnianie i annektowanie wielkich ludzi na swój benefis bywały wielkie. Nawet w tej erze, kiedy znakomitości plemienne sypały się jak z rogu obfitości: Marx, Lassale, Disraeli, później Bergsohn, Freud, Einstein, Weininger, Steinach i wielu innych. Można się więc było kontentować swoimi i nie sięgać dookoła, u nas nawet po... Mickiewicza! w starożytności nawet po... Horacego.

Nie. Horacy nie był Semitą. Byli nimi Flawjusz, historyk-feljetonista i Lukjan ze Samosaty, Heine Hellady. Ale Horacy?

Mówiąc słowami Cycerona: „w to uwierzy chyba Judaeus Apella..."

NIEZNANY HEINE

Henryk Heine cieszył się w Polsce długotrwałą, wielką popularnością. Właściwie (niema co zatajać) ze wszystkich poetów niemieckich klasycznych i romantycznych autor „*Niemcy, Baśń Zimowa*“ najdłużej i w najszerszych warstwach inteligencji był *en vogue*. Niema poety cudzoziemskiego, nawet francuskiego czy rosyjskiego, którydy tak wielu i tak świetnych znalazł tu tłumaczów. Jeden z nich p. Wł. Nawrocki zszeregował ich, zaregestrował i wypadła cyfra: czterdziestu, a w tych czterdziestu firmy literackie pierwszorzędne. Zaczęło się kiedyś od Gaszyńskiego, Romanowskiego, Pługa, Kondratowicza, Ordona, Faleńskiego potem przyszli K. Borowski, Asnyk, Konopnicka, A. Urbański, Wł. Zagórski, Bałucki, Gawalewicz, Gomulicki, C. Jankowski, Rossowski, Méyet, Lieder, a już za naszych czasów J. Kościelski, A. Niemojewski, K. Tetmajer, Butrymowicz, A. Kraushar, no i co mało komu wiadome, świetny autor *Sobola* i *Panny*, największy dziś żyjący mistrz i władca języka polskiego.

Pytanie teraz czy Heine na taką popularność właśnie w Polsce zasłużył i czem zasłużył? Otóż na podstawie obecnego stanu wiedzy o nim, na podstawie nowych i najnowszych publikacyj możemy krótko i węzłowato oświadczyć, że: nie zasłużył, że tą wziętość jego w ojczyźnie „Krapulińskich i Warschlapskich“, „Szelmuwskych i Sznabelewopskich“ była jednem z tych

wielkich nieporozumień, jedną z tych wielkich omyłek, jakie często zdarzają się w republikach *litterarum*. Opierała się ta popularność Heinego w Polsce na fundamentach z bardzo dziwnego materjału, a mianowicie po pierwsze na jego mocnej awersji do Prus Hohenzollernowskich, i na jego dogadzającym nam pomiataniu i wyszydzaniu tak Prus jak i Niemiec wogóle, dalej na jego przelotnej sympatji i współczuciu dla sprawy polskiej, a wreszcie na jego istotnym i notorycznym kulcie dla kobiety-Polki, któremu kilkakrotnie dał strzelisty i ognisty wyraz. Jako „duch wieczny rewolucjonista" w erze niewoli i rozbiorów stał się nam jednym z współkombattantów w dążeniu do wyzwolin, przez swoje dyffamowanie dynastji pruskiej, przez swój Napoleonizm i paryzjanizm, przez swoją lekkość, feljetonizm, ametafizyczność, lekceważenie wszystkiego, co poza-doczesne, a potrącanie od czasu do czasu w polską strunę, stał się podwójnie umiłowany i „ogromnie nasz".

Dziś można i trzeba raczej stosunek ten rozstrząsnąć nieco krytyczniej i z innej perspektywy, jako całość, a nie przez pryzmat wdzięczności za słynne powiedzenie o Polkach jako „aniołach nieba".

Konwencjonalnie i wedle utartego truizmu uważa się u nas nadal Heinego za przysięgłego przyjaciela Polaków. Nic bardziej nieprawdziwego. Stawianie Heinego w rzędzie czy nawet na czele tych poetów niemieckich, którzy w pierwszem półwieczu niewoli „wstawiali się" u Europy za uciemiężonymi Polakami jest całkowicie błędne i paradoksalne. Tych poetów i pisarzy było wtedy istotnie sporo. Zebrał ich *Die Polenlitteratur 1800 — 1900* Fr. Arnold i to nawet

nie wszystkich. Zaczęło się bowiem od Herdera kultu dla Stanisława Leszczyńskiego, od E. T. Hoffmana noweli o Kościuszce, od Uhlanda hołdu dla Mickiewicza i od dwóch dramatów przyjaznych nam jako Słowianom Zacharjasza Wernera („Wanda“ i „*Kreuz an der Ostsee*“). Potem przyszedł Kotzebue z apoteozą Beniowskiego, (B. *oder die Verschwörung auf der Kamtschatka*“) a nie można pominąć i tego szczegółu, że Schillerowskiego Dymitra (gdzie tak ostro potraktowany jest przerost parlamentaryzmu i sejmokracji) starali się dokończyć lub poraz drugi koncypować: Teveles, Grün, Maltitz, Hebbel, Laube, zawsze w sensie i w duchu sympatycznym dla polskości. W rzędzie poetów, którzy na serjo i poważnie bronili polskiej niepodległości, wysławiali polski heroizm lub opiewali polskie męczeństwo i martyrologję syberyjską byli tacy jak Lenau (v. Strehlenau) Seume, Rückert, Chamisso, Anastazius Grun (Graf von Auersperg) A. Grimm, Grillparzer („Elga“ *Kloster im Sandomir*) Mauritzius (*Modernes Polen*, nie wspominany u Arnolda) i wielu innych. Oni to w Niemczech i w Szwajcarji szerzyli przyjaźń dla emigrantów, kult dla Napoleońskich wiarusów, sympatję dla przegranej sprawy, wzgardę dla represji carskiej, oni przemawiali Europie do sumienia i serca. Z jednego wiersza Holteya „Łagienki“ (wspomnienia o Kościuszce) kompozytor Nicolai wysnuł i napisał jednoaktową operę. Poeta Laube za zbyt zuchwałe napaści na monarchów rozbierających Polskę został skazany na rok twierdzy. Inni powpadali w niełaskę u dworów. Ale kult dla polskiej przegranej, moda na „żałobną Polskę“ przetrwała w Europie od upadłego

powstania i pierwszej emigracji, aż po długie, długie lata, dopóki modzie tej pierwszy cios nie zadał, pierwszy jej nie wyśmiał właśnie... właśnie H. Heine!

Tu trzeba przedewszystkiem przypomnieć, że młodziutki Heine swego czasu bawił dłużej w Polsce na letnich wywczasach. W roku 1822 zaprosił go kolega i przyjaciel E. Breza do siebie, do Wielkopolski. Był dłużej w Poznaniu, poczem w Podzamczu, poznał bliżej obywatelstwo, panie, panny i tę całą wówczas i intelektualnie wysoko stojącą elitę ziemiaństwa z czasów. gdy to... Chopin grywał u namiestnika Radziwiłła, a u stóp Elizy Radziwiłł klęczał berliński królewicz. Wtedy i tych Sarmatów Heine opisywał w feljetonach bardzo pochlebnie. I nie było Polaka, znającego język niemiecki, któryby bez wzruszenia słuchał elegijnego patetycznego wiersza o dwóch grenadjerach, ciągnących do Francji... *De te fabula narratur.* Ale kiedy po 31-szym roku wezbrała w Niemczech fala szczerych gorących i podniecających sentymenty ogółu dla katowanej za wolność i innych narodów męczennicy, kiedy poeta Moser wystąpił ze swym dziś jeszcze wzruszającym „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę", w Heinem już zaczynała się wielka przemiana pojęć, zaczęła brać górę rewolucyjno-socjalna mentalita, zupełne zobojętnienie na niedolę i męczeństwo narodu, który był bądź cobądź skróś katolicki, a tem samem jemu skróś obcy, obojętny, a że nadto jeszcze w strukturze socjalnej szlachecki, junkierski, ziemiański — więc i nie sympatyczny i już raczej niemiły w sumie. Wtedy bowiem, już podczas paryskiej rewolucji lutowej, Heine jak pouczają o tem, najnowsze publikacje

jemu poświęcone, wierzył i kochał tylko jeden naród' jedną rasę, to jest tę z której pochodził, której był kwiatem i owocem najchakterystyczniejszym i najbardziej reprezentatywnym.

Opierać się już możemy na świeżych studjach badaczów Heinego definitywnych. Decydujące, a pełne rewelacyj studja dali ostatnio Otto Fischer, Max Wolff, wiedeński profesor Fr. Hirth, Hermann Wendel (Heinrich Heine und der Sozialismus [1]), dr G. Ras z Gröningen, pani Margaret A. Clarke: „Heine et la Monarchie de Juillet [2]; dalej wydana korespondencja Heinego z Rotszyldami..., a wreszcie ostatnio opublikowane w *Revue de Paris* (czerwiec i lipiec 1928) materjały do stosunku Heinego z Marxem, i o Heinem jako członku tajnej organizacji pansemickiej p. t.: „Zjednoczenie Żydów dla spraw cywilizacji i wiedzy".

Dopiero teraz go znamy i dopiero teraz poznaliśmy kto zacz. Znamy do głębin całego jak nikt z jego współczesnych. Dzieje się z nim to, co z całym szeregiem różnych wielkości z poprzednich wieków ludzkości i to z różnych dziedzin życia. Fragmentarycznie, najpowierzchowniej znani swoim współczesnym, potem słabo i niepewnem światłem oswietlani przez następne generacje, teraz dopiero po wszechstronnych źródłowych studjach bio- i monograficznych, dopiero właściwie naszej generacji, ściślej mówiąc dopiero po ostatniem dziesięcioleciu pawojennem prezentują się nam w obnażeniu analizy naukowej najdokładniej, jakby przez mikroskop, jakby z porozwijanych, długich,

[1] *Berlin Cassirer 1919.*
[2] Ricder Editeur Paris 1927.

zwietrzałych powijaków poodkrywane mumje... Jedni nic, a nic nie uronili ze swej wielkości, jedni tem drożsi, że po człowieczemu bliżsi, inni zdemaskowani, poniżeni, mali, upokarzająco mali.

Publikacja pani Clarke, listy Heinego do Rotszylda oraz ostatnie stwierdzenie w *Revue de Paris* duchowego ojcostwa komunizmu i równocześnie schylokracji w Heinem zdarły z poety „Atta Troll" resztki draperyj idealistycznych. Ten wieszcz niestety nie miał piersi skrojonej na miarę Fidjasza. Niestety to był choć wielki i natchniony liryk, równocześnie nieco także geszefciasz i macher. Odarty przez te odkrycia i studja ze wszystkich impulsów idealistycznych z niezależności i czystości myślowych poczętych, stale na żołdzie Rotszyldów, potem kupiony i przepłacany przez Metternicha, staje przed nami dość przykry typ fanatyka tylko jednej wiary istotnej, właściwej, permanentnej, to jest wiary w misję światową swego li tylko narodu, fundującego władztwo nad światem po komunistycznym przewrocie globowym.

Już tylko mimochodem potrącimy o jego stosunek do polskości. Kulminuje w tem jednem, że kiedy wszyscy inni poeci niemieccy tych czasów wolnościowych do martyrologji polskiej odnosili się patetycznie, można powiedzieć, może nawet z przesadą kornej admiracji i lirycznego afektu, ten jeden w momencie krytycznym nasz tragiczny problem ujął ze strony śmiesznej, aby ludzki materjał tragedji podać w wzgardę i kult utrącić, lejąc na entuzjazm zimną wodą kpin i sarkazmu. Przeciwstawiając Moserowskiemu „Tysiącowi walecznych" dwóch emigrantów paryskich już

w fazie ich łazęgostwa, naciągania, egzystowania na ekrdyt bohaterstwa, przeciwstawiając jako jeszcze pełnych szlacheckiej bufonady wagabundów, żulików, blagierów, rzuca na papier rymy pełne zatajonej latami wzgardy i półskórnej nienawiści: *Krapulinski und Warszlapski, Polen aus der Polackei*... Jakże tu dalecy jesteśmy od tonu Lenaua, Holteya, Grüna i Grillparzera, a jak przedziwnie bliscy temu tonowi, diabolicznie natrząsającemu się z istotnego zresztą bałagaństwa, bałagulstwa, niedołęstwa i nieporządku, jaki wyłącznie tylko w konfederacji Barskiej dostrzegł Wielki Fryderyk i w poemacie *Guerre des Confedcrées* (1768) upamiętnił. I Heine swego dopiął i dokazał. To ośmieszenie t a k i c h dwóch p o l s k i c h g r e n a d j e r ó w utłukło modę na Polskę. Od tego czasu ta struna na lutniach niemieckich poetów już zamilkła. Już odtąd nie śpiewają sentymentalne Gretchen i Eryki przy klawikordach: *Denkst du daran, mein tapfer Lagienka, wie war es damals bei Ostrolenka.* Już opinja publiczna zaczyna na Polaków patrzeć raczej jako na „Szelmufskich“, „Eselińskich“, „Schnabelewopskich“... „Krapulinskich und Warschlabskich“... W modę przychodzą na miejsce Rückertów i Lenauów górnośląski renegat Piątek-Freitag ze swemi powieściami, i drugi taki z Czortkowa Carl. E. Francos, opisujący galicyjską *Halbasien.*

Und das hat mit ihrem Singen die Lorelei gethan... Dokazał tego przyjaciel nieco niewdzięczny gość Brezów z Podzamcza...

Mniejsza z tem atoli. Nie w tem rzecz. I nie o to sprawa. To się tylko łączy z głównym Hejnoskim

problemem, dzisiaj aktualnym, t. j. z rezultatem rewelacyj biograficznych, teraz dopiero na jaw powydobywanych. Już publikacja listów do Rotszyldów, uskuteczniona jeszcze podczas wojny, była dla Heinego jako człowieka druzgocącą. Wyciągnęła to niemiecka prasa nacjonalistyczna, a sprowokowała liberalna. Chcąc bowiem udowodnić narodowi i Wilhelmowi, jakim to Heine był właśnie patrjotą niemieckim, hurra-patrjotą niemieckim, zaczęto wyłuskiwać i przedrukowywać to wszystko, co obelżywego różnemi czasy wypisywał o Anglikach i o caracie. Okazało się tego sporo. Szczególnie to, co w roku 1846 wytaczał przeciw Albjonowi, utrafiało w nastroje *Gott strafe England*. Tagblaty udowadniały, że on pierwszy poznał się na perfidji Albjonu. Ponieważ *Hass* i *Hassgesänge* były wówczas w Niemczech w modzie, więc wiedeński profesor Hirth, entuzjasta i propagator Heinego, wyszperał i wyciągnął dla wszechniemców z r. 1838, z prospektu, napisanego przez Heinego dla pism *Deutsche Pariser Zeitung* także taki kwiatek Hassgesangu prozą z wróżbą wielkiej przyszłości światowej dla „świętych Niemiec".

Inny zasię liberał jeszcze to zdystansował wyiskaniem z jakiegoś feljetonu (z roku 1844) takiego wyskoku:

> „Pflanzt die schwarz-rot-goldene Fahne auf die Höhe des deutschen Gedankes, macht sie zur Standarte des freien Menschentums!... Nicht bloss Elsass und Lothringen, sondern ganz Frankreich wird uns alsdann zufallen, ganz Europa, die ganze Welt wird deutsch werden!"

Tak! To był jak mówią Niemcy: „Starker Tobak". To powinno było „wziąć" i przekonać najfantastyczniejszych Pangermanów o lojalnych uczuciach wielkiego liryka. Atoli nie przekonało. Niemiecki nacjonalizm ma w swoim obozie moc piór o głębokiem wykształceniu literackiem. I ci już mieli materjał prokuratorski przygotowany. W 1918 roku opublikowano równocześnie w kilkudziesięciu pismach kilkanaście listów Heinego z różnych lat, z których wyszło na jaw, że ten protektor i przyjaciel Marxa i Lassale'a, komunistycznej ideologji współtwórca, pozostawał stale na utrzymaniu familji bankierskiej Rotszyldów. Jako próbkę dworactwa, lizusostwa, płaszczenia się, podchlebczej pokory, dajemy tu jeden fragment z listu tego poety, który tak kopnął „Krapulińskiego i Warszlapskiego" za... ich naciąganie:

„Wie wenig verstehen zumal die Neo-Milionäere die Kunst des Gebens! Jedes Mal, wenn sie uns ein Stück Geld zuwerfen, werfen sie uns zugleich ein Loch in den Kopf; denn sie wissen, dass feinere Köpfe, die leicht wundbar, nicht zu unterscheiden von den dicken Hirnschädel des Pöbels, der alles verträgt. Ja die Kunst des schönen Gebens wird in unserer Zeit immer seltener, in demselben Masse wie die Kunst des plumpen Nehmes, des rohen Zugreifens täglich allgemeiner gedeith. Daher nochmals meine Danksagung, Herr Baron, für Gabe und Form des Gebens, so wie überhaupt für den Antheil an meinem traurigen Leibeszustand, der sich in Ihrem Briefe so lieb-

reich und gefühlvoll ausspricht. Genehmigen Sie die Versicherung, dass niemand mehr als ich, der getreue Verehrer einer Familie ist, wo die jüngere Generation so würdig in die Fusstapfen der älteren tritt und auf welcher auch in dieser Beziehung der Segen Gottes so sichtbar ruht. Hier haben wirklich die Tugenden der Väter Häuser gegründet und welch glänzende Häuser! Ihre Familie hat gewiss eine providenzielle Bedeutung von der glorreichsten Art! In dieser Ueberzeugung und mit den besten Wünschen für Ihr besonderes Heil, verharre ich! Herr Baron, Ihr ergebener

H. Heine".

Kiedy ten dokument opublikowano, jeszcze nieznany był stosunek Heinego do Metternicha. Otóż te znów brudy przykre na jaw wyciągnęła dopiero Marg. A. Clarke w swej książce „O Heinem i monarchji Lipcowej". Poeta „Atta Toll" był wtedy t. j. podczas rewolucji i później korespondentem *Allgemeine Zeutung*. Sześć pierwszych listów, t. zn. „*Französische Zustände*", zwróconych jest przeciw Ludwikowi Filipowi i *juste milieu*; poczem zmiana frontu, cała furja sarkazmu Heinego zwraca się przeciw Prusom i odtąd już Prusy stają się na stałe celem i pałubą, w którą wali wszystkie zatrute strzały. Przez całe lat dziesiątki podziwiało się te *Deutschland. Ein Wintermärchen* (ostatnio tłumaczone przez dr. Monata), jako nieposkromioną, wspaniałą szarżę satyryka na obskurantyzm autokracji i zacofanie i ciemnotę pruską. Otóż to wszystko było zakupione przez gabinet Metternicha i stale płatne

od każdej napaści na Prusy. Dokumentami stwierdza to niestety pani M. A. Clarke (a firma paryska, która to wydała, wydaje dużo dzieł semickich!). Na tem tle też przyszło do rozdwojenia między Heinem a uczciwym radykałem Börnem.

I oto ten to Heine, „stypendysta“ Rotszylda i Metternicha, a nie kto inny jest wedle innych znów publikacyj współtwórcą konsekwentnego socjalizmu, t. j. komunizmu. On to uratował w r. 1830 z więzienia i dał światu Marxa i marksizm, on wpłynął na kształtowanie się Lassale'a i... rewizjonizmu... i jego równocześnie trzeba uważać za protoplastę rosyjskiego leninizmu i bolszewizmu.

Tak to udowodnił nam znowuż bardzo światły, spokojny, a głęboki badacz niemiecki, mocno zresztą komunizujący Hermann Wendel w książce, wydanej w r. 1919, to jest wtedy, kiedy czerwone morze wystąpiło z brzegów i groziło zalaniem burżuazyjnej Europie. I to tak samo stwierdza obecnie *Revue de Paris* w pracy o Marxie i Heinem. Okazuje się, że od roku 1819 istniało na Zachodzie tajne konspiracyjne sprzysiężenie p. t. *Zjednoczenie żydowskie dla spraw cywilizacji i wiedzy*, do którego od 23-go roku życia należał świeży „protestant“ Heine, do którego przed rokiem 1830 wciągnął o 13 lat młodszego od siebie Karola Marxa... a którego duszą i ideologiem był Baruch Loeve. Jakie były krypto-idee i cele tego „Zjednoczenia“, o tem mówi list B. Loevy do Marxa, publikowany teraz po raz pierwszy w *Revue de Paris*. Oto jak sensacyjnie brzmi ten autentyk:

„Naród żydowski ujęty kolektywnie będzie sam swoim Mesjaszem. Jego królestwo nad światem osiągnięte zostanie przez unifikację wszystkich ras ludzkich, przez zniesienie granic, które są szańcami partykularyzmów oraz przez stworzenie powszechnej republiki, która udzieli żydom wszędzie praw obywatelskich. W tej nowej organizacji ludzkości synowie Izraela już teraz rozrzuceni po całej przestrzeni globu, wszyscy jednej rasy i jednego ukształtowania wnet staną się z łatwością wszędzie elementem kierowniczym, zwłaszcza jeśli uda im się narzucić masom robotniczym trwałe kierownictwo przez Żydów. Rządy narodów, które stworzą powszechną republikę, wszystkie bez trudu dostaną się w ręce izraelitów, dzięki zwycięstwu proletarjatu. Wtedy własność prywatna będzie mogła być zniesiona przez rządzących z rasy izraelickiej, którzy wszędzie obejmą administrację majątku publicznego. W ten sposób urzeczywistni się obietnica Talmudu, że gdy czasy Mesjasza nadejdą, Żydzi będą trzymali pod swym zawiadywaniem dobra wszystkich ludów świata".

Tak swój program wyłuszczał B. Loewy Marxowi i ten to program w skojarzeniu z ideałami Saint Simona przeprowadzał potem w talmudzie Międzynarodówki w swym „Kapitale" K. Marx, zaś poetycznie i feljetonistycznie H. Heine. Oto bowiem, co np. na dowód tego, że to Heine jest prekursorem konsekwentnego marksizmu, przytacza z jego pism Herm. Wendel:

„Ist die Mission der Juden geendigt? Ich glaube: wenn der weltliche Heiland kommt: Industrie, Arbeit, Freude. Der weltliche Heiland kommt auf einer Eisenbahn, Michel bahnt ihm den Weg. Rosen werden gestreut auf seinen Pfaden".

„Michel" niemiecki zatem jest tym, który ma prostować drogi kolektywnemu Mesjaszowi... świeckiemu... światowemu.

Inny cytat, z „Geständnisse":

„Die mehr oder minder geheimen Führer der deutschen Kommunisten sind grosse Logiker, von denen die stärksten aus der Hegelschen Schule hervorgegangen, und sie sind ohne Zweifel die fähigsten Köpfe und die energievollsten Charaktere Deutschlands. Diese Doktoren der Revolution und ihre mitleidslos entschlossenen Jünger sind die einzigen Männer in Deutschland, in denen Leben innewohnt, und ihnen gehört die Zukunft"

Do niemieckich tedy komunistów „hegeljanów", „logików"... „doktorów rewolucji" należy przyszłość świata... Jeszcze wyraźniej sprecyzował Heine swoją wiarę komunistyczną w mesjanizm *collectivum* semickiego, w schoslokrację w „Listach o Niemczech":

„Die Vernichtung des Glaubens an den Himmel hat nicht bloss eine moralische, sondern auch eine politische Wichtigkeit; die Massen tragen

nicht mehr mit christlicher Geduld ihr irdisches Elend und lächzen nach Glückseligkeit auf Erden. Der Kommunismus ist eine natürliche Folge dieser veränderten Weltanschauung, und er verbreitet sich über ganz Deutschland. Es ist eine ebenso natürliche Erscheinung, dass die Proletarier in ihrem Ankampf gegen das Bestehende die fortgeschrittensten Geister, die Philosophen der grossen Schule, als Führer besitzen; diese gehen über von der Doktrin zur Tat, dem letzten Zweck alles Denkens, und formulieren das Programm".

Tu już, mówiąc trywialnie, wychodzi całe szydło z worka, ale z worka... Judaszowego. W dniach rewolucyjnych 48-go roku Heine (utrzymywany przez Rotszylda i Metternicha) zdemaskował się jako zawzięty, zaciekły, zatajony wróg burżuazyjnego świata, o ile nim władają na razie Aryjczycy. I to w nim było najesencjonalniejsze, najistotniejsze, najgłębsze, t. j. drzemiąca jak wulkan nieugaszony, nienawiść do Chrystjanizmu. Mógł i on bywać w pewnych momentach omal dzikim szowinistą niemieckim (odpowiedź Mussetowi na jego wiersz o Renie), mógł i on raz bać się i truchleć po burżujsku przed rewolucją proletarjacką (wiersz o „Szczurach", z motywem powtórzonym przez Tuwima), raz znowu grozić nią i oczekiwać jej (wiersz o górnośląskich „Tkaczach") i stwierdzać, że „niebieski kwiat romantycznej poezji zakwita tylko pod barykadami", mógł się nawet unosić egzaltowanie nad postacią Chrystusa („boski komunista") ale jedna, jedyna nieodstępna nienawiść do najpotężniejszej orga-

nizacji Chrześcijaństwa, jedynej siły, tamującej nadchodzącą wszechwładzę Schylokracji, t. j. do katolicyzmu, nie opuszczała go nigdy. Ta najżywotniejsza pasja komunisty-mamonisty Heinego stale i maniacko manifestowana, z największą furją wybucha w „Opowieści zimowej o Niemczech“ w ustępie, gdzie mowa o budowie kolońskiej katedry, na której wzniesienie daje datki król pruski, gra koncerty wielki Liszt a „gawiedź Kyrie Eleison śpiewała“:

Nie skończy tego tumu, nie!
Choć głupie szwabskie gagatki
Przysłały do budowy już
Kamieniem ładowane statki...

. . . .
I przyjdzie nawet chwila ta,
Gdy miast się silić tu skrajnie,
Z obszernych jego pustych wnętrz
Dla koni zbudują tu stajnie...
(Tłum. *Monata*).

To „niemiłe“ obskurne, bluźniercze marzenie Henryka Heinego, pensjonarjusza i jurgeltnika Metternicha i Rotszyldów się nie spełniło. Wiele punktów z programu Barucha Loevy i jego akolitów: Marxa i Heinego, się spełniło. Ale ten się nie spełnił. Katedra kolońska stoi, w jakiej krasie i potędze, o tem... Wyspiański daje świadectwo w swych listach.

Heine natomiast leży. Jako typ moralny jest osądzony bez apelacji. Wyciągnęli bolszewicy ze swego centrarchiwu, z raportów grafa Tołstoja z roku 1848 rewelacje, cokolwiek kompromitujące przemiłą postać melancholijnego twórcy „Cyganerji“ Murgera, rozradowani, że brudzą pamięć tak ukochanego przez wszystkich artystów świata twórcy „Mimi“. Ale pyłkiem

przydrożnym są te listy Murgera wobec publikacyj o Heinem. Cudne perełki liryzmu rzucał w świat pieśniarz „Romanzera", ale brudnie skomlał o złoto od bankierów i kanclerzy autor cynicznego nagrobka o „Krapulinskim i Waszlapskim", niewdzięczny gość Brezów, orędownik i chorąży komunizmu, a rzeczywisty rzecznik Schylokracji.

Pora już była najwyższa sprezentować go i u nas takim, jakim był właściwie, genjuszem ale dziedzicznie obciążonym, poetą, ale głównie rozmarzonym snem o zemście *ghetta.*

SŁAWA RODU CHODOWIECKICH

Cała prasa niemiecka poświęciła niedawno wiele miejsca wspomnieniom dwóchsetletniej rocznicy urodzin znakomitego artysty niemieckiego, noszącego rdzennie polskie, a w Warszawie popularne nazwisko Chodowieckiego. W Berlinie i w Gdańsku urządzone specjalne, wielkie propagandowe wystawy tego artysty, kładąc wielki nacisk na to, że w Chodowieckim czci się także największego obok Schopenhauera syna miasta Gdańska.

Polska nic na to. Propaganda polskiej sztuki zaranicą milczy, z ministerstwa S. Z. nie wyszedł żaden mpuls, aby skorzystać z okazji tak wydarzonej, przypomnieć polską prozapję Chodowieckiego i równocześnie polskość Gdańska w XVIII wieku właśnie na podstawie twórczości Chodowieckiego sprezentować. Tymczasem druga taka sposobność nie tak prędko się trafi. To niedobrze.

W październiku 1726 r. urodził się w zamożnej kupieckiej rodzinie gdańskiej jeden z największych grafików światowych. Już jako 17-letni młodzieniec przeniósł się do Berlina, gdzie przeżył przeszło lat 58 jako sztycharz i illustrator, poczem dyrektor berlińskiej akademji. W wspaniałej i bogatej spuściźnie po nim zostało 978 płyt i 2075 prac, które rozsławiły imię jego w całej Europie. Wśród tych plansz są urocze obrazeczki illustrujące dzieła Goethego, Lessinga, Vossa, Gellerta, a także wielu autorów francuskich, dalej są

przemileńkie sceny z życia Fryderyka Wielkiego, a wreszcie to co nas najbardziej tu może obchodzić to jest illustrowana 108 rysunkami Chodowieckiego *Künstlerfahrt nach Danzig*...

Arcydziełko to ma dla nas ważne znaczenie i polityczne. Dawno już powinno było wyjść polskie tegoż wydanie. Dotychczas nie wyszło i nikt jakoś o tej „propagandzie" nie myśli.

„Artysty podróż do Gdańska" miała miejsce w roku 1773-cim. Chciał sobie przypomnieć rodzinne miasto i wybrał się doń konno z Berlina już jako *pater familias*, jako ojciec pięciorga dzieci. Jechał siedem dni, w Gdańsku przepędził dwa miesiące. Rezultatem tych wywczasów gdańskich był przezabawny pamiętniczek djarjusz, oraz 108 rysuneczków dobrze znanych w Europie a zgoła nieznanych w Polsce.

Djarjusz pisany po francusku, nie po niemiecku jest poprostu skarbniczkiem obyczajowości z końca XVIII wieku, pełnym klejnocików obserwacyjnych, doskonałych charakterystyk ludzi, anegdotek, dykteryjek i rysów charakteryzujących epokę i środowisko, oczywiście gdańskie. Okazuje się z tego, że znakomitość berlińska, jaką już wtedy był portrecista Fryderyka Wielkiego i jego dworu, przebywając w swem rodzinnem mieście, obcowała cały czas głównie... z Polakami. Magnaterja i szlacheckie rodziny rezydujące tu nadawały ton całemu życiu. Patrycjuszowskie i kupieckie rodziny niemieckie względnie flamandzkie, holenderskie, hugonockie o nazwiskach van der Smissen, Fabricius, Wessel, Gralath, Boquet, Ienin, van Waasberghe, Conradi, Engelke, Uphagen, są tu ra-

czej sztafażem nieco małomieszczańskim dla wielkopańskich domów Czackich, Czapskich, Ledóchowskich, Podoskich, Chrząszczewskich, Przebendowskich. Chodowiecki sam zresztą syn Hugonotki o krwi francuskiej Ajzerównej, raz wprowadzony w to środowisko wykwintne, kulturalne, protegujące plastykę, malarstwo, muzykę, tylko w niem się obraca i z niego omal nie wychodzi. Jest codziennym gościem rezydującego tu prymasa Podoskiego i z artystyczną pasją konterfektuje wszystkich Polaków i Polki dookoła, równocześnie zapisując sobie w djarjuszu wszystkie swoje nawet bardzo drobiazgowe spostrzeżenia. Nie mówi, bo nie umie po polsku, bo już w trzeciem pokoleniu jest zniemczony, bo tylko pradziad jego pastor w ewangelickim kościele św. Jerzego w Toruniu był Polakiem, a jednak tylko wśród Polaków czuje się dobrze, czuje się wśród swoich, jeżeli już nie rasowo, to w każdym razie kulturalnie i towarzysko.

To też Chodowieckiego *Künstlerfahrt nach Danzig* jest niezaprzeczalnym dokumentem tej roli, jaką polskie towarzystwo grało w Gdańsku i tego dominującego znaczenia, jakie nasze obywatelstwo pomorskie zresztą wielokrotnie spokrewnione tam z niemieckimi rodzinami Kleistów, Kayserlinków Crockowów i innych miało wówczas w oficjalnem życiu gdańskiem. Pamiętniczek Chodowieckiego daje tego dowody na każdej stronie.

Że zaś sam wielki grafik znowuż swego polskiego pochodzenia nie tylko się nie wypierał, ale ostentacyjnie niem się cieszył, o tem świadczy niezbicie jeszcze inny dokument, to jest list jego własnoręczny

do krakowskiego astronoma, Józefa Łęskiego, do dziś dnia w Bibljotece Jagiellońskiej przechowywany.

Kiedy w r. 1922 sprawę polskiego pochodzenia Chodowieckiego na zasadzie listu jego do Łęskiego poruszyłem w niemieckim dodatku tygodniowym do *Gazety Gdańskiej* z 3 sierpnia, wystąpiło przeciw moim wywodom dwóch poważnych mężów kolejno w dwóch numerach *Danziger Neueste Nachrichten* (z 16 sierpnia Nr. 191 i 196). Spokojnie polemizował historyk i profesor politechniki dr. A. Matthaei, natomiast z dziką furją rzucił się dyrektor archiwum miejskiego dr. Kaufmann. Ten ostatni zakwestjonował istnienie listu Chodowieckiego do Łęskiego.

I aczkolwiek główni biografowie Chodowieckiego t. j. Oettingen, Kämmerer, Frieda, Schottmüller wyraźnie zaznaczają polskie pochodzenie artysty, to jednakże tak pp. Matthaei jak i Kaufmann, idąc śladem p. Frankego, który pisał przedmowę do nowego wspaniałego wydania *Künstlerfahrt nach Danzig* przeciw jakiemukolwiek przyznawaniu się do rasowej polskości Chodowieckiego protestują, z namiętnym uporem kładąc nacisk na germańskość, na pruskość, na *Berlinerthum* i *deutsche Kultur* Chodowieckiego, zapominając o najpryncypalniejszym względzie i motywie, t. j. o tem, że Berlin Fryderycjański, Berlin t. zw. „Zopfu", Berlin z czasów Vossa i Gellerta, Maupertuis i d'Alemberta, Woltera i Krasickiego miał kulturę wyłącznie francuską i że owocem tejto skroś „sfrancuziałej" artystycznej kultury, owocem dojrzałym był *gente Polonus natione artifex* Daniel Chodowiecki.

Korzystając teraz z dwuchsetletniego jubileuszu na-

rodzin Daniela Chodowieckiego należałoby jednak Niemcom sprezentować *in extenso* ten list Chodowieckiego, przypominający w swym tonie dumę i innego jeszcze wielkiego Niemca że swych polskich przodków Nieckich, t. j. Nietschego. *Baltische Presse* wychodząca w Gdańsku pod światłym kierunkiem dr. Rickerta byłaby do tego powołaną. Równocześnie zaś należałoby też wydać z polskim wstępem: „Artysty podróż do Gdańska". Książeczka ta, zdobna 108-ma arcydziełami czcigodnego następcy Hondiusów i Falcków byłaby najartystyczniejszym, jaki sobie można wymarzyć prezentem dla członków Ligi Narodów, dla angielskich parlamentarzystów, dla odwetowców niemieckich i dla etranżerów goszczących u nas co czas jakiś. Statystyczne broszury propagandowe zwykle wyrzucane są do kosza; Chodowieckiego bibelocik, jakim jest Artysty podróż do polskiego Gdańska, dałby im dużo do myślenia.

»NIESPODZIANKA«
K. H. ROSTWOROWSKIEGO

Największy po Wyspiańskim władca sceny polskiej, najczystszej krwi i pomazania dramatysta, wizjoner potężny a niedoceniany, sprawił pokoleniu swemu prawdziwą niespodziankę, bo dał mu... archidzieło.

Tak się często i lekko szafuje tem słowem, że doprawdy obawa bierze, aby tak śmiało postawione znów nie uszło za liczman przygodny lub kurtuazyjny superlatyw. Otóż nie, tym razem stanowczo nie, tym razem niema w tem nic z egzaltacji pod świeżem wstrząsającem wrażeniem. To jest tylko radosne a może nieco pokorne wyznanie tego, że znów się dożyło i asystowało przy realizowaniu na scenie polskiej utworu najwyższej rangi i klasy. W tem określeniu niema nawet nic z reweransu pracownika z tej samej winnicy Pańskiej dla wielkiego, szczęśliwego twórcy. To spokojne, krytyczne stwierdzenie faktu jaki się zdarzył i chęć, tym razem gorąca chęć zwrócenia uwagi ogółu na to, że jednak między nami żyje i współcześnikiem naszym jest poeta sceny, równy najtęższym i najsłynniejszym dramatystom europejskim, kapłan i prorok swego kunsztu, *sacerdos magnus*.

Od czasu „Klątwy“, „Sędziów“ i „Wesela“ ze sceny polskiej nie przemówił nikt tak czystym, mocnym, *imo ex pectore* donośnym głosem urodzonego, predestynowanego tragedjopisarza jak K. H. Roztwo-

rowski w swem ostatniem dziele. Czy ten pogląd z czasem przyjmie się w świadomości krytyki i tej cieniutkiej już warstwy elity, która piśmiennictwem poważnem jeszcze się interesuje, — przyszłość pokaże. W Krakowie, gdzie tragedję nagrodzono i gdzie ją odegrano, przyjęto „nowość“ repertuarową tylko z należytym respektem, szybko przechodząc nad nią do porządku dziennego, nie wpatrując się w nią przenikliwiej i głębiej. Co więcej, nawet sam twórca tej Eschylesowskiej, klasycznie surowej i podniosłej tragedji greckiej, nalepiając na swój potężny złom marmuru (może kieleckiego — ale pentelikońskiemu równego) zbyt lekką i majestatycznej powadze sprawy niewspółmierną etykietę: „Niespodzianka“, nie miał widocznie samowiedzy tego, że daje utwór jeszcze o kilka pięter wyższy i niebios bliższy od „Judasza“, „Kaliguli“, „Miłosierdzia“. W trzy tygodnie na papier to rzucił, więc prawdopodobnie już przemęczony, wytrzeźwiony z ducha i natchnienia, nie zdawał sobie dokładnie sprawy, że właśnie teraz obdarza nietylko literaturę teatralną ale współczesną Polskę dziełem ważnem, niezbędnem, oczekiwanem, immanentnem, o s t r z e g a w c z e m, a że bardzo głęboko w glebę społeczną wkorzenionem, z praiłowych uwarstwowień narodu dobytem i soki czerpiącem, więc nietylko emocjonalnemi walorami artystycznemi wzruszającem, ale otwierającem aspekta o bardzo rozległej perspektywie społecznej i politycznej. Ponieważ dotychczas walczył na koniu, uskrzydlonym rymem i rytmem zwyciężając, przeto tu teraz, przemawiając prozą szarą, szorstką, twardą, gruzłowatą, nie przypisywał swej ostatniej

pracy hierarchicznie najwyższego znaczenia. A w takim razie był w błędzie.

Ostatni utwór autora „Kaliguli“ jest pierwszy i musi „posiąść się wyżej“. Ma w sobie majestat grup Rodinowskich, ma w sobie spokojną głębię symfonij beethovenowskich; zapłakałby nad niem cicho Słowacki, Norwid milcząco uściskałby poecie ręce.

Więc niech choć narazie jeden z Rostworowskiego kolegów po piórze wypowie co mu zawdzięcza, czego się dopatrzył, co potem przemyślał, czem mu autor do samych trzewi zatargał, czem łzy wycisnął, czem w tak rzadki dziś entuzjazm wprawił.

„Niespodzianka“ — a raczej chyba „Matka“ — jest pozornie chłopskim dramatem, pozornie „z prawdziwego zdarzenia“, pozornie „naturalistycznym“ czy „realistycznym“. Są to epiteta *ornantia* i określenia pomocnicze właściwie bez żadnego znaczenia! To co chłopskie mogłoby być i... królewskie i dziać się w Mykenach lub w Sparcie, gdyby nie to, że właśnie przez wybór tej chłopskości przemówił w artyście wielki i czujny społecznik, mający dziś Polsce spółczesnej ważną rzecz, ważne *memento* do powiedzenia. „Zdarzenie prawdziwe?“ Szczegół w tym procesie zgoła błahoważny. Można się było na wierutność straszliwego wypadku autentyczną i nie powoływać, tembardziej, że jak się już okazało, nietylko zbrodnia taka nie była syngularna, nietylko na wschodnio-europejskim terenie ziem słowiańskich tak upiornych omyłek zbrodniczych faktycznie zdarzyło się kilka, ale że nawet (jak to autora informował p. Sobieniowski) w aktualnej produkcji teatralnej angielskiej ten temat, pozornie

unikat, kilka razy był „obrobiony". Pod tym względem nic pod słońcem nowego, a życie prześciguje zawsze najkoszmarniejsze wizje fantastów. I to wszystko są imponderabilia i szczegóły obojętne. Również takie słowa przyczepne jak „naturalizm" lub „realizm", — to są już tylko literackie, puste, spłowiałe, wyświechtane termina, któremi „reportage" krytyczny niech sobie nadal operuje dowolnie, olśniewając profanów z ulicy; w tym sensie dwadzieścia pięć wieków temu i „Medea" i „Elektra" mogły uchodzić za utwory... naturalistyczne. Również atoli nie mają żadnego ciężaru gatunkowego wobec tragedji, chcącej być tylko tragedją, takie przymiotniki, jak: okrutna, groźna, straszliwa, przerażająca, szarpiąca, deprymująca, nie do wytrzymania. Owszem, to wszystko prawda, bo tak być powinno, ale nie to przecież najważniejsze. Wyjątkowość i podniosłość zjawiska twórczego polega nie na tem, że tragedja wyjątkowo wstrząsa sumieniami a potem przygniata, ale że spełnia tu swoje najwyższe posłannictwo i sięga szczytów doskonałości przez to, że budząc grozę budzi równomiernie współczucie, że w pantragizmie równouprawnia wszystko, stwierdza raz jeszcze, że zło jest tylko chorobą dobrego, że zbrodnię może spłodzić i bezgraniczna miłość, że choć po przestąpieniu praw Boskich i ludzkich kara następuje w te tropy, jak cień, to jednak z najwyższych regjonów ogólno-ludzkiej niedoli patrząc, zbrodzień bywa tak samo godny litości jak jego ofiara, a nad wszystkimi rozpięta jest równomiernie niezbadana, zagadkowa przemoc przeznaczenia, los, fatum, ananke, mojra, jak ongiś w Helladzie prastarej, tak i dziś w zapadłej

wsi lechickiej. Do tych wyżyn chrześcijańskiej absolucji i przebaczenia doszła twórczość dwóch narodów słowiańskich w fortissimach swych wysileń twórczych: w „Samuelu“ Słowackiego i w najgórniejszych utworach Dostojewskiego... może i Tołstoja. I co najbardziej zaszczytnego da się powiedzieć o ostatnim dramacie Rostworowskiego, to to, że czysto religijne, pokory pełne wrażenie, jakie zostaje po jego wstrząsającem dziele, może się równać z tem ukorzeniem, jakie się miewało po lekturze arcydzieł tych dwóch rosyjskich apostołów miłości bliźniego i współczucia dla całego człowieczeństwa z jego błędami, kalectwami, nawet zbrodniami.

Tak silnie wstrząsając sumieniem widza, doszedł autor „Judasza“ i „Kaliguli“ do zenitu swoich możliwości twórczych, osiągając triumf wielkich kaznodziei, wielkich moralistów, wielkich etyków.

Na czemże dalej polega doniosłość tego tak rzadkiego w naszem piśmiennictwie zdarzenia literackiego? Oto przedewszystkiem na bezwzględnej ekscepcjonalności jego zamierzeń i jego taktyki twórczej. Autor wspaniałych, kolorystycznych, malarskich, rytmem rozkołysanych, rymem rozdźwięczanych fantasmagoryj dramatycznych, tym razem cofnął się w głąb swojego osamotnienia jak najdalej od zgiełku dnia i od gustów powszechności. Nieugięty, nieustępliwy, niezłomny książę swego kunsztu, tym razem już nie pozwolił sobie na żaden pakt, na żadną koncesję ni ustępstwo na rzecz upodobań dzisiejszości, nie raczył nawet wziąć pod uwagę egzystencji jakiegokolwiek choćby idealnego intelektualnie audytorjum. Wprost przeciwnie, wbrew i jakby naprzekór wszystkiemu, co mogłoby

ułagodzić, zjednać, skonwinkować dlań bestję mnogogłową dzisiejszej publiczności, Rostworowski staje przed dzisiejszością surowy, posępny, nieubłagany, szorstki, jakby we włosiennicy, w drewnianych sandałach jak mnich ascetyczny, jak Savonarola. Nawet Szekspir, nawet Dante pozwalali sobie dla ulżenia, dla pofolgowania, dla wytchnienia widzów, na jasne plamy w ciemnem tle, na przeplatanie tragicznych perypetyj scenami słonecznemi, miłosnemi, wulgarnemi lub neutralnemi w kolorze. Rozstworowski okazuje się twardy jak stal w odtrąceniu wszelkich wabików, lepów, powabów i kompromisów z dzisiejszą mnogogłową bestją, czyhającą w teatrze nawet na dramatach na okazję do śmiechu i na ryku wesołości. W tonacji *b-moll* jest w „Matce" („Niespodziance") wszystko od początku do końca. Tak jest w „Edypie", tak jest w „Klątwie", tak ma być w teatrze tego dnia, kiedy teatr staje się świątynią myśli i cierpienia za miljony, kościołem prawdy i piękna. Żadnego pardonu dla upodobań, żadnego względu dla chorego nerwostanu tej ciżby ludzkiej. Teraz mówi duszpasterz-poeta, kaznodzieja, a scena jest jego amboną czy też konfesjonałem. Tyle, tyle wieczorów w roku słuchacie błazeństw, patrzycie na bagno i wyjecie z rozkoszy na widok sfotografowanej parszywej egzystencji burżujskiej... to możecie raz na rok spojrzeć w oczy... Sfinksa... I nie apeluje też Rostworowski ani do jednej nawet grupy na widowni, nie solidaryzuje się z nikim, ani z Horacym, ani z *profanum vulgus*; ażeby odstraszyć i odstręczyć i tych ostatnich gotowych do oklasków estetycznych pięknoduchów, którzy przyszli w zbożnym zamiarze

po owe „dreszcze", byle piękne dreszcze, on rozmyślnie, prowokacyjnie rzuca im na głowy już w pierwszych aktach swej patetycznej symfonji dysonansowe, gburne, chłopskie słowo „gówno". Niech się nie łudzą, że to będzie tylko jeszcze jedna „uczta duchowa", artystyczne przeżycie, „boski wieczór". O nie. Tak dobrze nie jest. W tem też: niespodzianka. To jest nietylko jedno więcej udałe dzieło sztuki pisarskiej, nietylko kunsztownie zmaterjalizowana zjawa poety. To jest nietylko architektonicznie świetnie skonstruowany, trwale i mocno wzniesiony gmach dramatyczny. To nietylko mistrzostwo akcji potoczystej i rwącej jak wezbrany strumień, nietylko krwią żywą tętniący djalog, nietylko łańcuch mocno skowanych scen, organicznie narastających, oddech tamujących, potężnych jedna w drugą. To nietylko szereg, pięć, sześć żywych, istotnie, bryłowacie plastycznych, omal dotykalnych ludzi, wplątanych w fatalistyczne kolisko. I jeszcze więcej. To nietylko do głębi wzruszająca pieśń, kantata o miłości matczynej, o niedoli i niezaradności matczynej, o niezawinionej winie matczynej. To coś jeszcze znacznie więcej, co i dla samego autora może znowu być... niespodzianką.

To jest wedle mojego najgłębszego przekonania może w podświadomości twórcy poczęte, terminem naukowym wyrażając się — subliminalnie poczęte, orędzie szlachcica polskiego do narodu z datą r. 1928—9, jego wielkie: *memento* — jego ostrzegam!

Niech mi tam teraz nikt w Krakowie nie zarzuci, że taka interpretacja krytyczna — to tylko interpretacja i komentarz publicysty, kategorjami wewnętrzno-

politycznemi myślącego, dopatrującego się drugiego dna tego dzieła i starającego się swoją koncepcją zasugestjonować łaskawie słuchających czy czytających. Tak nie jest. Gdyby dzisiejszy Kraków, *la citta morte*, w którym dramat Rostworowskiego aż ledwie dziesięć wieczorów zagrano, był tem czem był za czasów „Wesela“, „Klątwy“, „Sędziów“, — „Niespodzianka“ („Matka“) Rostworowskiego byłaby rozbudziła olbrzymi rezonans komentarzy, byłaby punktem wyjścia nieźliczonych dysertacyj polemicznych, kłótni i płodnych w następstwa walk ideowych. Dzisiaj tam *in gurgite vasto* wołającemu do puszczy wielkiemu pisarzowi i moraliście nie odpowiedziało omal żadne echo, a obym fałszywie proroczył, suponując, że i w całej Polsce słabe echo im odpowie. „To jest tylko chłopskie“... — zamruczy krytyka po miastach. „Co nas tam teraz chłopskie tragedje obchodzą“... Co chłopskie, to niemodne, nielubiane, nieaktualne... „Poco nam pisze poeta o chłopstwie?“... „Co pięknego może być w chamstwach?“...

...Ej, czy nie tak lub też podobnie będziecie o tem pisały gryzipióry?

A tymczasem sprawa jest djabelnie ważna, aktualnością ciężarna, o przyszłości naszej decydująca.

Rostworowski, szlachcic, biedny grandseigneur, długi, suchy, kościsty hidalgo, dał tym razem społeczeństwu polskiemu alarmująco jaskrawą, posępną, przedburzową przypowieść-opowieść o nędzy, o bezgranicznej, potwornej, infernalnej nędzy pracującego na roli ludu, polskiego chłopstwa... I Rostworowski, uspołeczniony, unarodowiony „hrabia z talentem“, taki ja-

koś po Krasińsku nad Polską boleśnie zaturbowany, zamyślony, zamartwiony poszukiwacz społecznej prawdy i sprawiedliwości... rzucił równocześnie snop światła na straszliwą despocję, moc, przemoc... dólara... na demonizm dólara, na religję dólara, na wszechświatowe dynamos dólara, na trucicielski czar i magję dólara.

I to są dwa najważniejsze motywy i momenty tego pozornie tylko literackiego dzieła sztuki, tego konkursowo może przypadkowo, ale jakżeto symbolicznie nagrodzonego utworu rzetelnego obywatela odnowionej Republiki.

Nędza rodząca zbrodnię, nędza — macierz zbrodni! Ale jaka nędza! Po dziesięciu latach niepodległości i nadal taka nędza? Mimo złotego Paktolu dólarów z Hameryki jeszcze taka nędza? U rzekomo dostatnich „kułaków", gospodarzy małorolnych, nadal taka nędza? Toż tak to mało się zmieniło od stu lat? Nadal *infernus rusticorum?* Więc zupełnie to samo co w Orkana trzydzieści lat temu malowanych obrazach podhalańskich, co w Sewera „Matce"? Ta sama nędza zoologicznego bytowania chłopstwa polskiego i w tej „sztuce" jak upiór rzuca się ze sceny na burżujską widownię i dusi ją i przytłacza do ściany!?

Oj, coś za mało się zmieniło i od stu lat, no i od dziesięciu lat! Na zewnątrz: szych, blichtr, mocarstwo — moczarstwo, a na wewnątrz? jak to, „panowie w stolicy", wygląda pra-komórka tego organizmu? jak żywie zagładzające się osiemdziesiąt procent narodu? Na łóżku jednem troje ludzi sypia? ostatnią krowinę zawsze muszą na przednówku sprzedawać? kury kradnie matka jednego dnia dla syna, a co to kradnie przez

360 dni następnych, żeby wytrzymać? A jak to ta miazga narodu przewegetowała tę straszną zimę? czem palili? wielu tam żywcem pomarło? ostały się jakie płoty jeszcze? czem bydełko karmiono? Ile ludzisków zeschło z głodu, ile zginęło w brudzie?...

Takie to myśli chmarą czepiają się natrętnie widza, co przypatruje się straszliwemu widowisku z żywota chłopów krakowskiej ziemi — „Niespodziance". A jak to sobie sto lat temu ten byt chłopski imaginował inny nasz wielki dramaturg? jak to pisał w liście mało znanym Słowacki?

> „Matko, wystaw sobie chłopa bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat w cichym gdzieś domku pod Krakowem; odpoczywa po wojnie szczęśliwy! Ogień się pali w izbie, a przy kalendarzu już niektóre książki znajdują się na stole! Wystawcie go sobie, że czyta „Balladynę"; ten utwór bawi go jak baśń a zarazem uczy jakiejś harmonji! bierze „Lillę Wenedę"! To samo"...

Hehehe. Szatanby się uśmiał, czytając te fatamorgana Juljusza: „po wojnie odpoczywa?" „szczęśliwy?" ogień się pali? na stole „Balladyna"? „Lilla Weneda"? Hehe. Oto i Rostworowski teraz pokazuje, jak to jest w „cichym domku"... po stu latach... postulatów wieszczych, niespełnionych... I ostrzega Rostworowski w tym właśnie straszliwym spektaklu inteligencję polską, tak jak ją sto lat temu Słowacki ostrzegał:

„Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia-chłopi... Ojczymostwem względem ludu niegodnymi staliśmy się łaski Boga Rodzicy... Mierzyłeś chłopa swym rozumem, a on wyższy jest od Ciebie wiarą swoją. Bądź mu równy w miłości i bojaźni Boga, byś go uszanował jako brata rodzonego. Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą... Stań się Ojcem chrzestnym dziecięciu chłopskiemu, opiekunem wdowie i sierotom. I zdobędziesz serce sercem, a gdy czasy będą spełnione, chłop ci poda swą prawicę do budowy wielkiej“...

To samo, literalnie tosamo, ale nie wprost, pośrednio, między aktami „Niespodzianki“ mówi duch nam współczesnego poety do słuchacza i widza dzisiejszego! Tragedją swoją otwiera Rostworowski okno z pałacu naszej państwowości na bezgraniczną biedę ludu siermiężnego. Nie sztukę dla Sztuki daje, nie żeby wzbogacić piśmiennictwo, nie! To przez niego może raczej przemawia jakaś wyższa siła, w romantycznej erze Królem-Duchem górnie i szumnie zwana. Dla tego niespodziewanego *memento! mementote!* przerwał sobie „piszący hrabia“ wielki, popisowy, rostandowski dramat antyrewolucyjny o rewolucji francuskiej. Widocznie, bardzo widoczne, że ten „chłopski temat“ był bardziej naglący, bardziej niecierpiący zwłoki, natychmiastowej domagający się realizacji w pisanym dokumencie, skoro nagle Hekubą mu się stała ta literacka kopalnia wielkich kolorystycznych efektów

dramatycznych, a ręką sięgnął po grudę naszej lepkiej, błotnistej, rodzimej ziemi. I widocznie znowuż jest w tej tragedji chłopskiej czy też tragiczności losu chłopstwa polskiego coś bardzo niepokojącego, skoro już i przed nim inny poeta *natus* a niepospolity dramaturg też nad tą przepastną nędzą kmiecą „Lampkę oliwną“ zapalił. Ale w Zegadłowicza chłopsko-polskim „Królu Lirze“ obok nędzy jako impulsu dramatycznego pchała do zbrodni także drapieżna chciwość, grzech pierworodny, demonizm powabu kobiecego, namiętność, żądza. W tragedji Rostworowskiego niema ani motywu erotycznego, ani grzechu chciwości, ani okrucieństwa zezwierzęconego gatunku, przyziemnych, prymitywnych kreatur. Jest tylko miłość macierzyńska jako pramotor, *spiritus agens* akcji, miłość, która dla ratowania jednego syna morduje nieznajomego człowieka-przechodnia, a w tym przechodniu... drugiego syna. Ta sama miłość, ambitna miłość matki-królowej, chcącej synowi-królewiczowi zapewnić koronę, mogłaby ją pchnąć do zamordowania goszczącego na dworze w gościnie królewicza z sąsiedniego kraju, któryby się po zabójstwie okazał ongiś zagubionem dzieckiem, wykradzionym, synem młodszym. A taki „śliczny“, estetyczny dramat w cacanych kostjumikach ze szpadkami i pióropuszami mógłby się dziać i grać np. w renesansowej Italji czy w Grecji czy w Bizancjum. Nieuspołeczniony, nie niepokojący się Polską, socjalnem *etos* Polski artysta kunstmistrz, ba! nawet posągowych dramatów snycerz, byłby to wybrał, grecką linearność nawet zachowując i tak samo trzy jedności —

czasu, miejsca i akcji — respektując; nagrodziłby go potem wawrzyny d'Anunzia czy... Sem Benellego.

Ale poeta „Miłosierdzia“ z innej jest gliny, serce ma na właściwem miejscu i obdarzony tą wrażliwością i zatroskaniem społecznem, którego znów pozbawiony był Wyspiański, rozmarzający się Homerem i homeryckimi bogami i wojami i bojami. Inne bo też były tamte czasy a inne teraz, gdy... mogą... zapłonąć lasy... I dlatego też „nasz hrabia w literaturze“ wzgardził szychem, gronostajami i purpurą, w które mógł ubrać postacie takiego samego tragicznego splotu zdarzeń jak w „Niespodziance“, bo nie o sukces w pięknie mu chodziło. Jasno sobie zdając sprawę, jak idzie przeciw wszystkim apetytom artystycznym, wyciągnął, wydźwignął na jaw szare chłopstwo, nie kolorkowe, nie strojne „po krakowsku“ czy „po łowicku“, ale zaharowane, wybiedzone, wychudłe, wynędzniałe, posępne, ociężałe, przepracowane a może zawszone polskie chłopstwo, jakże dalekie od... „wycinanek“ a jakże bliskie „Tkaczom“ Hauptmana i bosiactwu Gorkiego... a w Polsce dzisiejszej ogromnie... „niemodne“ chłopstwo... nie „tańczące“ a cierpiące chłopstwo... coś jakoś dzisiaj (po erze „zamków na lódzie“) zanadto może w głąb w dół... w drugą ostateczność zepchnięte... gdzieniegdzie nawet skopane... Nie „Wesele“ to i nie wesoło tu i nie „chata rozśpiewana“, malownicza, a chałupa-rudera biedoty polskiej, rozmnożonej i przegłodzonej biedoty, na coraz mniej morgach glebę drapiącej, emigrującej, uciekającej, ostatniemi wysiłkami i zaparciami się, głodowaniem i brakowaniem dobywającej się z dołu egzystencji

w górę, wyżej, do oświaty, do światła, do miast, do warstw wyższych.

I za to, że się Rostworowski na ten „temat“ drastyczny, drażniący, „niesmaczny“, odważył, i za to, że jego tragedja jest właściwie jego odważnem „oskarżam!“, na dank i hołd zasłużył. Daleko się od Rostandyzmu oddalił, może już i Victora Hugo nie będzie przypominał, ale do samego siebie się już zbliżył, no i Sztuce i Ojczyźnie dobrze przysłużył.

A teraz jeszcze drugi motyw, lejtmotyw: tych dólarów. To słowo „dólar“ dźwięczy uporczywie jak jeden ton, ciągle, stale, od początku do samego końca się powtarzający. Tak jak i w całej Polsce, jak może i na całym już europejskim kontynencie, niestety! Dólar ukazuje się na horyzoncie „wsi spokojnej, wsi wesołej“, dólar zaczyna hipnotyzować wszystkich, dólar zatruwa każdy metr kwadratowy powietrza, dólar rozbudza wszystkie żądze, chucie, namiętności, wszystkie zadrzemane złe instynkty. Tak w „Nibelungach“ na mózgi mitycznych sagowych rycerzy działało „złoto Renu“. Pięć... dólarów dał „nieznajomy“ małej Zośce. W karczmie u Abramka rozmieniał... dólary. Zebrani wioskowi *rough-riders* o niczem już nie mogą myśleć i mówić jak tylko o sprowokowaniu zwady z tym „Nieznajomym“, co ma w kabzie tyle dólarów. Abramek, już rozdenerwowany do ostateczności, przeczuwa, że ta pierwsza paczka dólarów to szatański posiew. Stary ojciec wyciąga sikirę z za pieca... Matka, co tylko kury kradła a po Bożemu życie przepędziła, już każdej chwili do zbrodni gotowa, byle te dólary, te dólary mieć w ręce!...

I jest jedna przewspaniała scena już w czwartym akcie, już kiedy zasłona tajemnicy sama się rozdarła, kiedy już wszyscy wiedzą, co i jak się stało, scena, kiedy to chłopska pani Makbet, zdruzgotana, szalejąca z bólu, obłędna, synobójczyni, zbrodniarka, biedna zbrodniarka, wobec całego nabiegłego ze wsi tłumu chwyta tę garść banknotów i drze i rozdziera i strzępi po deskach nędznej chałupy... Może tam tego będzie z tysiąc, z dziesięć, może ze dwadzieścia tysięcy dolarów, kto ta wie, ile. A wszystko dokoła stoi godzące się z tem, potakujące... nie ratujące skarbu... niech drze, niech śladu po tych zakrwawionych banknotach nie zostanie.

I w tej potężnej scenie tkwi, mojem zdaniem, znowu, może i autorowi nieświadoma wielka alegorja, wielkie ostrzeżenie dla wszystkich. Nie dawajcie się zbyt łatwo fascynować globowemu urokowi dolara! Oto do jakich zbrodni może chuć dolara doprowadzić individuum — ale i collectivum. Czy suma szczęścia, spokoju i uczciwości ogólnej byłaby w Polsce wzrosła, gdyby państwo było dostało w ręce drugą pożyczkę amerykańską? Czy dolar nie rodzi przemocy i gwałtu? Wzbogacajcie się *(enrichissez vous!)*, pnijcie w górę, w dobrobyt *(prosperity)*, w cywilizację, ale nie kosztem zaniku moralności prywatnej i etyki w życiu publicznem, nie na linji łajdactw, przemocy, nasilstwa i zbrodni... Jak droga do szczęścia Franka nie idzie przez zamordowanie Antka, tak i potęgi państwa nie osiągnie się przez wyzysk, gniot i wysysanie warstw jednych na dobro drugich, zależnie od tego, która

ma siekierę w ręku i która nią się pierwsza zamachnie...

Takie i tym podobne rozmyślania, refleksje, parerga i paralipomena snują się w głowie między aktami mistrzowskiego ascetycznego dzieła tego uroczego poety z rasy duchowej tych „Polaków co są piękni". Czy i jemu się te szerokie horyzonty i dale przewidywały, czy on na taką socjologiczną i polityczną przy wartościowaniu wykładniębу się godził, to jeszcze kwestja, ale jedna z obojętniejszych. Wyspiańskiemu u samych początków też wiele winterpretowaliśmy z tego, o czem jemu się nie marzyło ni śniło, a z czasem dopiero na egzegezę się godził. To są privilegia święte komentatorów.

Tragedja najpiękniejsze ma finale. Powiedziałbym całkiem religijne, oratoryjne. Właściwie zaczyna się już od powrotu ojca i od tego jego nieartykułowanego mamrotu-bełkotu z uwięzłemi w gardle słowami i z wydobywającemi się na zewnątrz gruzłami podźwięków ludzkiej mowy, zniekształconej, nijakiej, żadnej a straszliwej. Wprost monumentalnie zagrał, nie zagrał — przeżył tego ojca, tego starego Słowianina, ciężkiego, beznadziejnego, jakby ziemistego, jakby jeszcze jakieś bezradne biedne zwierzę pociągowe, ugięte pod chomątami mozołu, Józef Sosnowski. Kiedy na tłum wioskowy pada grom nowiny o zbrodni, początkowo ogarnia gromadę jakiś pospólny paraliż, odrętwienie. Na matkę idzie też wieczysty mrok, zmąciły się jej zmysły, mózg ślepnie. I wtedy jak bywało, jak jest i będzie... jedyny ratunek, jedyne ocalenie znajduje gromada w religji, w modlitwie, w kolanach zgiętych,

w ukorzeniu. W miastach tam mogą się z tego śmiać czy ramionami wzruszać, nie zawadzi, niech sobie na dnie nieszczęścia i niedoli gdy im się wszystko waliło będzie na głowy... w czem innem szukają ratunku! Na szerokich ziemiach pociecha i ocalenie w religji zostanie i nic nigdy nigdzie tego nie skruszy i nie przezwycięży. „Tu trza się pomodlić" — mruczą. „I nie wódź nas na pokuszenie!"... „Boże! Boże czemuś mnie opuścił?"... *(Eli... Eli... lama sabachtani!)* — to tej matki biednej ostatnie zdanie, wryte w mózg głęboko, zostaje w pamięci jako akord ostatni. Katarsis. I teraz przypomnijmy sobie tu jeszcze co to nam mówi Słowacki o wierze chłopów i o rozumie naszym...

Rostworowski dał nie piśmiennictwu, nie literaturze, ale i społeczeństwu i państwu, dzieło ogromnej wagi i waloru! Biada nam, jeżeli się o niem nie dowiemy wszyscy! biada nam, jeżeli z jego tragedji o nędzy bezdennej chłopstwa polskiego nie wyciągniemy morału i nie zaradzimy złemu póki czas, póki czas!

OSTATNIE DZIEŁO REYMONTA

„Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł liberum veto, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną". *Stefan Żeromski.*

Ostatniem dziełem Żeromskiego było: „Przedwiośnie", ostatniem dziełem Reymonta: „Bunt".

Podczas gdy nad powieścią Żeromskiego zaskrzypiało tysiąc piór, gdy każde zdanie z niej, każdą myśl, każdy przebłysk ideowy, każde powiedzenie przygodne rozdziobały kruki i wrony rozkrakały i całe ptactwo świegotliwe rozniosło na wszystkie Polski strony, o „Przedwiośniu" Reymonta, zaledwie bąknął ten i ów, zaledwie mruknął łaskawie tamten, a właściwie cisza. „Buntu" niema, lub jest tem, o czem się nie mówi, nie rozprawia, nie dyskutuje, nie analizuje. Dlaczego? Jak do tego doszło? Skąd się to wzięło? Rozmyślne czy przypadkowe? Werdykt czy grymas?... Zmowa czy niesumienność... Znawstwo czy stado?

Analizując *crimen*, dochodzimy do rezultatu, że to drugie: przypadek, niesumienność, grymas a przedewszystkiem: stado. Stado czyli psychoza gromadzka. Takich objawów stadowości w naszych plejadach pisarskich bywało i bywa sporo. Stadowy entuzjazm, pędzenie na oślep za pierwszym krytykiem baranem, który egzaltuje lub potępia, albo znów stadowy chłód lodowaty — barany skupiają się w ciżbę i na złamanie karku lecą w drugą stronę.

„Bunt“ jest niejako „Przedwiośniem“ Reymonta. Główna koncepcja zrodziła się z tych samych niepokojów, przerażeń, przeczuć, jasnowidzeń, z tych samych rozczarowań i rozpaczy. W tych samych nocach bezsennych wpatrywali się w mroki za oknami obaj Łazarze na swych śmiertelnych pościelach. Ten sam zimny dreszcz zgrozy przed tem, co przyjść może, jeżeli tak dalej będzie szło, wstrząsał jednym i drugim. Ta sama odraza, uczuciowa, lechicka do przewrotów krwawych i morderczych, do bratobójczej walki i wojny klasowej, do brutalnego i zwierzęcego wstrząsu rewolucyjnego, takiego, jaki miał miejsce tam, na bliskim Wschodzie, za graniczną ścianą. I jeden i drugi wchłaniał w siebie wszystkie złe wieści i wiadomości dnia powszedniego plugawego — i jeden i drugi załamywał ręce, i jeden i drugi powzięli w osamotnieniu i kontemplacjach niezłomny zamiar, aby raz swymi wstrząsnąć, aby ich przerazić, zaalarmować, zastraszyć, ostrzedz.

U Żeromskiego wzeszła z tego powieść, romans, *j'accuse*, klątwa! Jowiszowy: *quos ego!* Mojżeszowy gniew i tłuczenie tablic dekalogu; u Reymonta allegorja apokaliptyczna, koszmarna fantasmagorja, gorączkowy sen febryczny, niesamowita wizja rewolucji zwierzęcej, nowej, najnowszej, jeszcze niewidzianej, rewolucji już nie trzeciego stanu, a piątego czy szóstego, buntu proletarjatu zwierzęcego przeciw ciemięzcom tyranom... ludziom.

Wielkie memento Reymonta pomyślane jest na większą skalę, a przemyślane głębiej; przeprowadzone atoli dziwnie, dziwacznie, rwanie, kurczowo, rzutowo i wreszcie zerwane przed końcem kilku raptownemi,

szybkiemi, pośpiesznemi akordami; rapsodja nieskończona, niedokomponowana, urwana zgrzytliwymi dysonansami. Jest to *torso.* Odłupany fragment ostatni. Atoli to, co jest, tak jak jest, daje dziś już literaturze europejskiej jedną z najoryginalniejszych fantasterji, dręczącą, niepokojącą, szarpiącą, gigantyczną bajkę o przepastnej niedoli człowieka, ale nie *homo sapiens*, tylko człowieka zoologicznego, człowieka może już dzisiejszego, może jutrzejszego, człowieka bezdusznego, człowieka zmaterjalizowanego do szpiku kości, bez ewangelji, bez wiary, bez sztuki, bez ideałów, żyjącego poza prawami Bożemi i poza pięknem, poprostu bydlaka, walczącego już tylko o byt i paszę jednem słowem człowieka... może już dzisiejszego.

Bunt bydląt.

Wyzwolenie ostatecznych parjasów kreatury, wyzwolenie proletarjatu czworonogiego z pod hegemonji wszystkich stanów, cisnących z pod człowieka wyzyskiwacza, harpji kapitalistycznej, która ujarzmiła cały stan zwierzęcy i orze nim i jeździ i katuje go i zabija i zeżera masowo i tuczy się nim.

Baryką tego istotnie dopiero katowanego i wysysanego, zeżeranego stanu jest pies, włóczęga bezpański, pies-kundel, „Rex", trybun podwórzowy, szczekacz i agitator, Spartakus zbuntowanego zwierzostanu. Psi Baryka wywabia całe gromady, stada, czeredy, ciżby cierpliwych baranów, krów, koni, katowanych osłów, wilków, lisów, łasic, z lasów, z za opłotków, z obór, ze stajni, z psich bud, z gnojówek, z pól i łąk, bydląt roboczych, wypowiadających służbę wiekowemu ciemięzcy dwunogowi. Ale nie prowadzi tego zbunto-

wanego bydła na... Belweder, a poprostu w świat, w dale, na południe, czy gdzieś, byle dalej od katów, krzywdzicieli i despotów, od ludzi. Świnie i wieprze, maciory i warchlaki do tego *exodus*, do tej *secessio in naturam* przystępują oczywiście ostatnie... I odbywa się jakaś przedpotopowa wędrówka narodów zwierzęcych. Rex prowodyr prowadzi te coraz to rosnące stada i czeredy do wolności, do szczęścia, do ziemi obiecanej. I wali ten nieprzeliczony motłoch za nim rycząc i wyjąc, tłamsząc się, cisnąc, gryząc i grożąc przez łąki, pola, wody, lasy, przez jakiś pejzaż kosmiczny czy dyluwialny, przedpotopowy Dantejski, przez jakieś puszcze i dżungle, chaszcze i mateczniki, doliny i równiny o horyzontach wyolbrzymionych, jakby w czas Sądu Ostatecznego.

Wali ta lawina zwierzęca, płynie szeroko rozlana, wezbrana Wołga wyzwolonych plebejów czworonogich, ślepo ufna, wierna, posłuszna swemu Rexowi. Przyświeca im gwiazda nadziei, że bydło będzie samo sobą już rządziło i nadawało sobie prawa, że bydło obejdzie się bez bata i władzy tych obmierzłych mózgów ludzkich, że przedewszystkiem nie będzie pracowało, nie będzie słuchało rozkazów, będzie wolne. Ale ziemi obiecanej, ale raju na ziemi jakoś nie widać. Im dalej od władcy człowieka, od człowieka ku władaniu stworzonego, od „dobrego pasterza“, im wolności więcej, tem głód większy. Kundel przywódzca wiedzie i wiedzie, ale sam nieszczęsny nie wie, gdzie i jakiemi szlakami, byle naprzód! *vorwärts, avanti wpierod!*

Bydło, najpierw pijane Sabbatem wolności i ra-

dosne, tratujące, niszczące, depcące, teraz już coraz głodniejsze, chudsże, złe, pomrukujące, zgrzytające kłami, już traci fantazję, zuchwalstwo, cierpliwość i wytrzymałość. Dawniej za bydło myślał mózg ludzki i paszy poddostatkiem bywało. Teraz niema co żreć a *Paradissus* coraz dalej. Bydło ogarnia defetyzm i panika, głucha złość i pasja na... „złego pasterza"... na Barykę. Zwykła linja perturbacyj rewolucyjnych. W wychudzonych, zziajanych, przemęczonych, upadających pod brzemieniem wolności zwierzętach budzi się bestja ludzka? nie, nieludzka bestja. Kto winien? Ten, co z obór, ze stajni, od pełnych koryt i żłobów ich wyprowadził ku swobodom, ku wolnościom, ku poniewierce ku głodowaniu.

Jakżeż to dobrze i wygodnie było czeredom i stadom przy człowieku, przy mocnych rządach, pod dyscypliną bata! A jak teraz, gdy obiecywana kraina coraz dalej, a zagłada coraz bliżej? I w zbłąkanych czeredach, w zbiorowej zwierzęcej społeczności wzbiera furja buntu teraz przeciw psu uwodzicielowi. Nie prorok to dwunogi, więc go nie kamienują, ale roznoszą na kopytach i herszta rewolty przygniatają racicami aż do zdechu... Byli „niczem, chcieli być wszystkiem", zostali niczem, rozszalałą z niedoli, z rozpaczy czeredą zabłąkanego w obczyźnie bydła. Z porządku, z normy, z pracy i dostatecznego karmu i paszy wpadli w głód, nędzę, w chaos dzisiejszości. Psiakrew „Rex" oszukiwał. Trzeba zawracać z tej drogi do przepaści, trzeba obierać innego prowodyra, wodza i „rexa". I obierają... goryla.

Takiem demonicznem szyderstwem kończy się prze-

dziwna allegorja dzisiejszości, to najokrutniejsze i najjaskrawsze prześwietlenie czasów, w których żyjemy. Niby to bajka zwierzęca o „wielkiej rewolucji“, nie już „ludzi bezdomnych“ a „zwierząt bezdomnych“, opowieść o wyjarzmieniu się najbardziej upośledzonej i uciskanej kreatury z pod nacisku i wyzysku wszystkich warstw wyższych, niby to antropomorfizacja zwierząt i podniesienie ich do kategorji Parjasów czworonogich, których uczłowiecza najszlachetniejszy z instynktów i popędów, instynkt wolności... W gruncie rzeczy atoli jest to zoologizacja człowieka, zwierciadło wklęsłe, postawione dzisiejszemu *collectivum*. Niby to bunt „warstwy“ zwierzęcej, w której nastąpiło „uświadomienie klasowe“, „samowiedza klasowa“, zaczem wypowiedzenie posłuszeństwa „burżuazji“ wszechludzkiej i „walka klasowa“ *action directe*. W gruncie rzeczy to rozpętane, rozjarzmione, rozwierzgane, ślepe, głuche, bezładne, na oślep gdzieś ku nieznanemu pędzące i gnające bydło, to tylko dzisiejsza nowoczesna ludzkość, powrotnie barbarzyńska, ateistyczna, zoologiczna, brutalna, stadowa, czworonoga, nawracająca do natury w myśl Rousseau, ludzkość, odchodząca w puszcze mroczne od swych „panów“ przyrodzonych. Najpryncypalniejsze dręczące zagadnienie naszych czasów i czasów nadchodzących podane w całej nagości, pierwotności, w prawdzie okrutnej, w fantastyczności koszmarnej, majaczej, ponurej, nieubłaganej, średniowiecznej. Wizja wyśniona jakby z reminiscencji średniowiecznego religijnego flamandskiego malarstwa... z Breughelów, z „piekielnych Breughelów“ i ich „Sądów Ostatecznych“. Rzecz twórczo poczęta w mrokach, w omroczeniu najbezdenniej-

szego pesymizmu, w momentach definitywnego zwątpienia w idealne wartości człowieka, w opuszczeniu i rezygnacji, w pustelniczem nastroju mizantropji beznadziejnej, w ekklezjastycznem obrzydzeniu życia w *taedium vitae.* To nie ten stan ducha, który dyktował A. France'owi (autorowi „Wyspy Pingwinów“) „Bogowie łakną krwi“, to nawet nie ten stan, w którym Szekspir pisał „Tymona Ateńczyka“, Molier „Mizantropa“, to jest ten stan zgorzknienia, w którym Swift Anglik pisał swoją bajkę o koniach...

Ostatnie dzieło Reymonta nie jest „romansem“, o nie, niema tam ni „kobietek“, ni anegdot, ni scen „rodzajowych“ „z życia“ potocznego. To nie to, to nie to. Nic zabawnego ani ciekawego. To nie lektura ani „beletrestyka“.

To *Mane—Tekel—Pharisim.*

Choć o zwierzętach *fabula narratur* to ani to Hamsun, ani Kipling, ani Dygasiński... Ani to o „ichneumonach“, „pingwinach“, „beldonkach“ sielskie „humanitarne“ opowiastki. Nie. To jest bezapelacyjnie groźne *memento,* ostrzeżenie i swoich i obcych, rzucone na papier w chwili, gdy wielki pisarz czuje się „sam wśród ludzi“, daleki, obcy, inny bo nastygmatyzowany nieśmiertelnością a jeszcze wśród śmiertelnych.

Zapewne, że jest w tej książce pesymizm trujący, zarażający, niebezpieczny, deprymujący. Może też ten bezdenny pesymizm i negacja zraziły, odstręczyły, zniechęciły. Dla „maluczkich“ i dla prościaków to nie jest. Ale dla dojrzałych, dla myślących, czuwających, no więc i dla mocnych, ta książka jest niepozbędna.

Takie było ostatnie słowo, ostatnie do nas posłanie autora „Chłopów“? Polaka, którego od dwóch lat czyta, czytała, lub będzie czytać elita inteligencji świata. To przecież chyba bardzo ważne? O artystycznych walorach niech się przekonają i niech je wykażą w estetycznej gwarze inni. Niech stwierdzą, że rozlewności nurtu narracyjnego, takiej lawiny opisowego pejzażowego piękna nie było w żadnym tomie. Niech podkreślą, że takich wyolbrzymionych fantastycznie krajobrazów świata nie mieliśmy w literaturze dotychczas nigdzie. Niech podniosą, ile tragizmu, ile znów uczuciowości i liryzmu, ile zapachu ziemi i woni lasów jest w tej niedokończonej, przedwcześnie skończonej... przedwiośnie.

Tu trzeba zwrócić tylko uwagę tych spółczesnych co Go przeżyli, na... jedno. Jeszcze na jedno..

Pisarz, który przed wskrzeszeniem niepodległej Polski dał jednej z powieści swoich tytuł: *Nil desperandum!* po sześciu latach niepodległego państwa pisze posępną allegorję, w której grozi zagładą cywilizacji coprawda całej ludzkości, ale wywodzi swe prawo do groźby i opiera swój horoskop, swoje Kassandryczne wróżenie, swoje: *desperandum* swoje: „biada! biada narodowi, który... i t. d.“ na tem, co widzi, na co patrzy dokoła u swoich w pobliżu.

I z tej racji i „Bunt“ jest w pewnej mierze i do pewnego stopnia Reymonta przedśmiertnem... „Przedwiośniem“.

PAMFLECISTA

(Wywiad)

— Nietylko, kochany panie, nie odmawiam panu wywiadu, ale wprost przeciwnie — jestem wdzięczny za umożliwienie mi i danie okazji wypowiedzenia się raz w życiu przed szerszym ogółem z drugiego brzegu, przed audytorjum może nie wrogiem, ale w każdym razie nie mojem. Ponieważ zaś należę do stałych waszych czytelników i podobnie jak trzej wielcy zmarli, Kasprowicz, Żeromski i Reymont, jak nie taiłem tak nie taję pewnej dla „Wiadomości Literackich" jeżeli już nie sympatji, to w każdym razie słabości, przeto ułatwię wam jeszcze ten wywiad, wysyłając do siebie współpracownika inteligentnego i najbardziej zasługującego na pełne moje zaufanie... to jest siebie samego.

Pytanie pierwsze dotyczy mego przedostatniego dzieła, t. j. „Komendanta Paryża". Tak? Wydany w książce, rozesłany był pół roku temu pięćdziesięciu redakcjom. Dotychczas recenzje o książce zamieściło pięć pism. W innych redakcjach egzemplarze albo wprost skradziono albo zeskamotowano, nie poczuwając się do obowiązku zdania referatu z książki. Jest to przestępstwo w kodeksie karnym nieprzewidziane, przynoszące nakładcy duże materjalne straty. Każde pismo otrzymujące „egzemplarz recenzyjny" a nie zamieszczające recenzji, powinno książkę odwrotną

pocztą odesłać nakładcy, albo też, traktując ją jako prezent od nakładcy, przesłać rewanżując się wiązankę kwiatów. Firmy wydawnicze stoją bowiem w nowej Polsce finansowo fatalnie, bo stoją przed bankructwem. Na prezenty tedy bez rewanżu pozwolić sobie nie mogą i nie powinny. Kradzież książek przez redakcje pism przybrała ostatnio zastraszające rozmiary. Od Niemców, Czechów i Europejczyków jak wogóle tak i pod tym względem moglibyśmy się uczyć rudymentarnej uczciwości. Tam odbiór każdej książki kwituje się co najmniej wzmianką w rubryce bibljograficznej. U nas z eskamotowanych wydawnictw albo kompletują się księgozbiory, albo też bez rozcięcia kartek sprzedają je recenzenci antykwarjuszom.

O „Komendancie Paryża" nie zamieszczono w 45 pismach recenzyj jeszcze dla innych względów. Po pierwsze: z panującej tendencji przemilczania mnie i ubicia przez *conspiration du silence* wogóle, co jest bardzo zrozumiałe i da się usprawiedliwić, — po drugie zaś z powodu bezkresnej ignorancji w kulturze i w wiedzy historycznej tych osobistości, któreby z profesji literackiej tą książką zająć się miały obowiązek. Pomijając narazie motyw pierwszy, bagatelny, zajmę się drugim. Zachodzi on już nie pierwszy raz. Krytyka literacka skonfrontowana z mojemi dramatami historycznymi, bywała zawsze zaskoczona tem, że materjał dziejowy, poruszany i odkryty przeze mnie, był dla niej poprostu *tabula incognita* i *terra rasa*. Tych dramatów jest dziesięć. Wszystkie wyszły w książkach i były grane. Tyle też razy zdemaskowałem kompletny brak poważnej kultury historycznej w całem

omal gremjum pisarzy, chronicznie lub przygodnie referujących o danem dziele sztuki, które bywało równocześnie rewelacją i odkopaliskiem historycznem.

Z okazji mego dwudziestopięciolecia pisarskiego, tak uroczyście obchodzonego przez całe społeczeństwo i prasę, pozwolę sobie przypomnieć je dzisiaj te dziesięć dramatów.

Tytuły: „Starościc ukarany“, „Rej w Babinie“, „Smocze gniazdo“, „Car Dymitr Joannowicz“, „Wielki Fryderyk“, „Bóg wojny“, „Cyganerja warszawska“, „Pułaski w Ameryce“, „Komendant Paryża“, „Wojna Wojnie“.

Ile tematów, tyle odkrytych i rewokowanych przeze mnie światów i kontynentów dziejowych. Wobec każdego z nich krytyka literacka stawała przeważnie bezradna i zaambarasowana, mówiąc po sarmacku — jak cielę przed malowanymi wrotami. Historyczność zanadto była w nich elementem i czynnikiem dominującym, aby można było, omawiając utwór artystyczny, pominąć i pozbyć się jej, nie zdradzając bezmiarów nieuctwa i niekompetencji. *Inde irae.* Stąd dysonanse i nieporozumienia od pierwszego dzieła *usque ad finem.* Wieszczący Wyspiański dziejowość traktował tylko za podłoże tematyczne, z którego odbijał się i startował, aby szybować nad nią wysoko w romantycznych wirażach i wizjach. Ułatwiało to zadanie i proceder piszącym tak o poszczególnych dziełach i arcydziełach poety, jak i o całem jego posłannictwie, pozwalając na szerokie flukty panegiryczności, retoryki analitycznej i na wspaniałe, pompatyczne przelewanie z pustego w próżne, aż wreszcie i kult,

snobizmem podżegany, doszedł do zakłamania i załgania samoniszczącego.

W stosunku do mnie mieli do czynienia z twórczością „prozaiczną“, z realizmem historycznym, z materjałem faktycznym, naukowo dającym się uwierutnić, sprawdzić i skontrolować. Na emfazę w grandilokwencji, na blagę estetyczną i pianę słów barwnych nie było miejsca. Jedynym urokiem prozy tych dramatów był ich język, t. j. zrekonstruowany koloryt językowy każdej epoki ewokowanej kolejno w dramatach. Tu trzeba było tedy coś gruntownie wiedzieć, aby coś istotnego powiedzieć, tu trzeba było jakichś predyspozycyj naukowych, aby ferować i dekretować o utworze dramatycznym, który równocześnie był i rewelacją dziejowo-naukową. Ponieważ zaś krytyka, nieprzygotowana, zakłopotana, nie umiała i nie miała nic do powiedzenia, więc mówiła negatywnie lub gołosłownie, coraz to więcej bagatelizując dramatystę o indywidualności przynajmniej tak zajmującej i nienormalnej, jak Grabbe lub Hebbel.

— Dlaczego pan wymienia tych dwóch autorów niemieckich?

— Dlatego, że oni właśnie wywarli na mnie taki wpływ decydujący, jak na Wyspiańskiego... Wiktor Hugo, o którym bazgracze krytyczne zdaje się nigdy nie wspomniały. Nadto Ibsen i Strindberg, nadto Lacroix i Vitet.

— Cóż to znów za jedni?

— Dwaj przedromantyczni prekursorzy romantyzmu francuskiego. Mało znani u siebie, więc tem bardziej poza granicami. Obaj pisali kroniki drama-

tyczne i oni pierwsi wprowadzili w utwory swoje urok rekonstruowanego języka danej epoki. Vitet napisał: „La Ligue“, „Les états de Blois“, „Mort de Henri III“, Lacroix: „La danse macabre“, „Le roi des rimbauds“. Po nich dopiero przyszedł Balzac z „Contes drolatiques“. Od Lacroix i Viteta począwszy autor historycznych dramatów czy powieści już nie może sobie pozwolić na język szablonowy, konwencjonalny odtwarzając różne zamierzchłe czasy. U nas to patynowanie mowy pierwszy zastosował Henryk Rzewuski, do bardzo pięknych rezultatów doszedł Henryk Sienkiewicz, ale ja dopiero doprowadziłem do wirtuozostwa.

— Do czego?...

— Do wirtuozostwa, czyli do maestrji, do mistrzostwa. Mam wrażenie, że moji współcześni jeszcze się na tem nie poznali, ale to jest detal zupełnie trzeciorzędny. Za lat mniej więcej 25 lub 30, kiedy mnie jako autora dramatycznego odkryją i odkopią, dopiero wtedy znajdzie polska elita intelektualna zmysł i smak dla tych galwanizacyj językowych, dla mowy reyowskiej, dla mowy z w. XVI, dla rokoka warszawskiego, dla Zopfu fryderycjańskiego, dla polszczyzny z r. 1812, dla języka, jakim musiał mówić Pułaski (Puławski, jak pisały notable krytyki krakowskiej), dla gwary cyganerji literackiej z r. 1848, lub dla gwary emigracji paryskiej po r. 1863. Współczesna mi generacja literacka do tej rafinady nie dojrzała. Do zwielokrotnienia polskiego terytorjum językowego, do nieprzewidzianego w poprzednich pokoleniach zbogacenia go całemi złożami nowych klejnotów, przyczynili się za

naszych czasów najwięcej Żeromski, Reymont, Tetmajer. Pewnych pięknych wysileń w tym kierunku dokonali... Leśmian i Tuwim. Inni poprzestają na odświeżaniu swego slangu literackiego słowami: zew, mocarny, naręcze. Mnie przypada zasługa odtworzenia autentycznych dziewięciu polskich języków dawnych, oraz całkowitego już postawienia na nogi i zorganizowania języka polemicznego, wskroś nowoczesnego, względnie jutrzejszego, rozmyślnie i tendencyjnie nasilonego słownictwem obcem, a to celem zbliżenia nas i pod tym względem do Zachodu, do tego Zachodu, który kocha się w calembourgach (kalamburach), w dysjekcjach słownych, w latynizmach, angielszczyźnie, neologizmach i paneuropeizmach. Tenże to język, „barokowy" i „pamfletowy", może się komuś podobać lub nie podobać, ale wystarczy żeby mnie się jeszcze długo podobał i w ten sposób narzucił się miljonom.

— Komu?...

— Miljonom.

...Na to zaś, że czasem przedrzeźniają mnie niepowołani, nic się nie da poradzić. Można przedrzeźniać Napoleona, to można i mój styl dzienikarskiej prozy. Wzory językowe zostaną, *scripta manent*, między niemi moja monografja Mikołaja Reja, pisana językiem Kochanowskiego i Modrzewskiego, którą nie wahałbym się określić, tak jak prof. Brückner, jednem słowem, to jest: „arcydzieło".

— Mieliśmy mówić o „Komendancie Paryża"...

— Tak. — Ale narazie jeszcze pomówimy o kim innym, a mianowicie o... Leonie Daudet. Otóż jeszcze w sprawie tego języka. Można uznawać i mieć sza-

cunek dla t. zw. czystości języka polskiego, której się domagają purytanie i starzy i młodzi belfrzy zabłąkani w literaturę. Pod tym względem uznaję np. moją antypodę, t. j. Stanisława Pieńkowskiego, który pisuje najczystszą, najklarowniejszą, najkrystalniejszą, źródlaną, kryniczną polszczyzną. Cieszę się że taki jest, ale dla produkcji codziennej. aby była skuteczna i dawała pozytywne rezultaty, *deteriora... sequor.*

Mistrzem moim jest od lat szeregu boski Dodik. Czytam go sobie codzień, nie zawsze nawet rozumiejąc, a częściej przeczuwając o co mu chodzi i kogo skalpuje. W szeregu pamflecistów francuskich, od starego Woltera począwszy, po Courrièrze, Veuillocie, Rochefortcie, Vallèsie, Leonie Bloy, Drummoncie, Tailhadzie, Leon Daudet stanowczo jest najpotężniejszą i najtragiczniejszą indywidualnością.

— No dobrze, ale cóż to ma wspólnego z pana dramatem?

— Pozornie nic. W rzeczywistości bardzo wiele. Ponieważ Leon Daudet u nas jest zupełnie nieznany (tu gdzie omal popularny jest taki knur jak Wiktor Margueritte), pozwolę sobie o nim co nieco pomówić. Jest synem wielkiego powieściopisarza Alfonsa, Gaskończyka („Tartarin z Taraskonu“), a ojcem, szefem i leaderem rojalistycznej partji. Ten fenomen siły, zdrowia, treningu, odwagi, ryzyka i pracowitości, dzień w dzień od lat piętnastu w piśmie, które redaguje *(L'Action Française)*, daje wspaniały wstępny artykuł. Zawikłany w walkę ze wszystkiem i na wszystkich polach i dziedzinach, doprowadził napastliwość do bohaterstwa. Publicystyczny jego żywot jest codzien-

nym pojedynkiem z całą prasą republikańską. Trzymając dłoń na pulsie, ciągle przyśpieszonym, chorej na *phtysis* parlamentarną i *rabies democratica* Francji, jest Daudet mistrzem w diagnozie, jasnowidzącym dalszy rozwój choroby i wszystkie stadja rozkładu. Mozoł codziennego dialogu z czytelnikami o kwestjach aktualnych i jutrzejszych nie przeszkadza mu rzucać w świat corocznie dzieł tak kapitalnych i pełnych nowych i oryginalnych myśli, jak słynne „Avant guerre“, „Dans la lumière“, „Le sang de nuit“, „Voyage de Shakespeare“, „Lutte“, „Le monde des images“, „Le stupide XIX siècle“, wreszcie ostatniej. „L'homme et le poison“ etc. etc.

— Daudet? Dziennikarz? I tyle tomów napisał?

— Tak, panie, a u nas całkiem, niestety, nieznany, jak nieznani także Leon de Montesquiou i Karol Maurras i Maurycy Pujo i cała plejada integralnego nacjonalizmu. I ten to Daudet, poważny, o głębokiej, wszechstronnej wiedzy filozoficznej, socjalnej, humanistycznej, jurydycznej, medycznej i literackiej estetycznej — myśliciel, na codzień jest pamflecistą, polemistą zajadłym, zawziętym, niepohamowanym, posługującym się językiem najspecyficzniejszym, w którym co drugie słowo jest obelgą i wyzwiskiem, co trzecie kalamburem, co czwarte wzięte z argotu ulicznego, co piąte przekręcone i przekształcone, co szóste impertynencją i prowokacją, a całość zawsze olbrzymiej siły ładunkiem ekrazytowym, rozsadzającym paseistyczne zabobony i przesądy dzisiaj jeszcze rządzącej demagogji ochlokracji i chamomanji. I na tego to, byłego deputowanego paryskiego, mam zaszczyt powo-

ływać się, kiedy do mnie szara czerń naszej pseudointeligencji z lewej i z prawej strony kieruje pretensjonalne zarzuty i skomlące propozycje, abym nie pisał tak mocno i eksplozywnie, a natomiast żebym pisał umiarowo, umiarkowanie, poważnie, powściągliwie, wykwintnie, wyrafinowanie, delikatnie, szykownie, dystyngowanie, z galanterją, z kurtuazją, z szarmem, z wdziękiem, bez afektu, bez wehemencji, bez zapalczywości, bez zadzierzystości, bez ości i bez kości, które antagonistom stają w gardle! Jeżeli, moi państwo, leader rojalistów francuskich, syn autora „Tartarina z Taraskonu", idący z najwyższej paryskiej elity towarzyskiej i intelektualnej, do swoich czytelników archiarystokratycznych, wśród których są potomkowie feodalnych rycerzy z wojen krzyżowych, Orleani, Burboni i Bayardzi, pisze stylem... Leona Daudeta, to jakże można żądać ode mnie, abym w dzisiejszej Polsce Chama, Sema i Jafeta ostatnich już wałów historycznych, tradycyjnych okopów świętej Trójcy bronił cienką szpadką, lejąc może na łby kwadratowe oblegających grzaną różaną wodę z kryształowych flakonów? Na browningi i „nagany" Pochronia nie wystarczy styl aforyzmów Larochefoucaulda czy Vauvenargues'a czy opata Galianiego; wobec Chama nie można być Chamfortem, czyli:

La satire, dit on, est un métier funeste qui plait à quelques gens et choque tout le reste... Satiriste c'est un fou qui se croit tout permis... Et qui pour un bon mot va perdre vingt amis...

— Tak to bardzo pięknie, ale paszkwile pana zaszkodziły mu ciężko jako autorowi dramatycznemu.

Jakże możemy być *chapeaux bas* i z mózgiem w dłoni kłaniać się komuś, kto codzień schodzi na bruk, zdejmuje chiton i boksuje się z przechodniami i śmiertelnikami, których ma tyle ile piasku w spluwaczce lub pcheł w przytułku nocnym?

— Odpowiem panu na to wierszem Franciszka Zabłockiego, którego pan zna zapewne z przysłowia: „Licz na mnie jak na Zawiszę, a wyjdziesz na tem jak Zabłocki na mydle“:

„Przezacna powszechności! Nie sądź mnie Zoilem!
Wiem, że paszkwil nie zdobi uczciwego pióra:
Ale kiedy i c h całe życie jest paszkwilem,
Na które się prawdziwie otrząsa natura,
Kiedy widocznie idą na ojczyzny zgubę —
Ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę“.

Otóż moje „paszkwile“, które ja sobie mam za chlubę, są więcej niż doskonałą literaturą i najświetniejszą polemiką jaka kiedykolwiek u nas powstała, bo są mówiąc bez fałszywej skromności: c z y n a m i h i s t o r y c z n e m i.

— Może histerycznymi...

— Nie, panie. Historycznymi! Wyraźnie. Szereg kampanij, które w różnych latach przeprowadziłem za czemś lub przeciw czemuś, szereg odpraw, dekapitulacyj, zdemaskowań i propagand ma wagę i walor akcyj i kontrakcyj historycznych. Pozwolę sobie z okazji mego jubileuszu tylko panu jednemu je przypomnieć. A więc kampanja o margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, jazda do Anglji i odświeżenie w Polsce w bardzo licznych pracach kultu dla Anglosasów, co wpłynęło też na kierunek zainteresowań

intelektualnych (sądząc wedle listów) Stanisława Brzozowskiego i Jana Kasprowicza, dalej: paszkwil na Fryderyka II i pierwsze postawienie oficjalne kwestji dostępu do morza (1904). Odkrycie Gdyni. Odkrycie Podhalan. Odkrycie Czechów. Pierwsze nawiązanie korespondencji z Przybyszewskim i pierwsze przypomnienie Josephowi Conradowi o jego polskości i stąd nawiązana korespondencja. Pierwsze zdemaskowanie germanofilskiego Krakowa („Nowe Ateny"). Pierwsza próba rewizji kultu romantycznego („Cyganerja warszawska", „Meandry"). Dalej odkrycie i mianowanie marszałkiem Piłsudskiego.

— Kogo?...

— Piłsudskiego... W r. 1914, przed wojną europejską, w miesięczniku „Kłosy" (nr. 5, w. 33) drukowałem meander:

„Jakto, ty żyjesz jeszcze, Marszałku Piłsudski
W spokoju gdzieś? I z nietkniętą szyją?
Gdy Twe falangi zdawna w ziemi gniją?
Nie strzeże Ciebie żaden stróż kałmucki?
Więc France ma rację, znawca bestji ludzkiej,
Że rewolt „bóstwa krwi łakną", krew piją?"

O ile mnie pamięć nie myli, z moich znajomych burżuazyjnych ani jeden osobnik nawet nazwiska tego wówczas nie znał. Nominację moją zatwierdzono dnia 19 marca r. 1921 niestety nawet nie powołując się na mnie...

— Mało kto o tem wie...

— Tak tego nie można formułować, a raczej... nikt u nas nic o niczem nie wie!... i nikt nigdy o niczem nie pamięta... Przed wojną kampanij i polemik

o ważne problematy historyczne stoczyłem kilkanaście. Jak szczupak w stawie, nie pozwalałem karpiom w Warszawie tyć i spać... Potem przyszła wojna europejska i okupacja pruska. Wówczas przez trzy lata wzmogłem do *maximum* napięcia moją działalność paszkwilarską, jawną i tajną. Jawną uprawiałem w „Kurjerze Porannym“ („Listy Anonima“) i w „Gazecie Porannej“, tajną w licznych, dość zuchwałych, drukach i pisemkach, prozą i wierszem. Paszkwilami temi podtrzymałem antypruską i ententową orjentację Warszawy wspólnie z nieodżałowanej pamięci znakomitym a tak zapomnianym! publicystą Andrzejem Niemojewskim, spełniając w stolicy tę rolę i to posłannictwo, jakie podczas pierwszej pięcioletniej okupacji pruskiej na początku w. XIX do r. 1807 spełniał... zegarmistrz Gugenmus.

— Jaki znowu?...

— Gugenmus, zegarmistrz. Nic na to nie poradzę. Nadchodzi r. 1917: paszkwil w obronie Piłsudskiego („Odprawa“) i paszkwile przeciw „Wermachtowi“. Proces, uwięzienie, koniec wojny, wybuch Polski, czerwona fahna na Zamku, chaos, bałagan. Grudzień. Zakładam w piwnicy przy ul. Żórawiej *Liberum Veto* i paszkwilami obalam w dwa miesiące gabinet Moraczewskiego.

— Co takiego?... Co takiego?

— Paszkwilami w *Liberum Veto* w momencie bezgranicznej prostracji, tchórzostwa, przerażenia, przestrachu, ataraksji, apatji, kismetu i tołstoizmu całej warszawskiej burżuazji, — mimo ostrzeżeń przyjaciół, gróźb nieprzyjaciół, szykan, konfiskat, napaści, — de-

maskowałem bez żadnego pardonu komplot czerwoniastych bęcwałkoni, wykazując co tydzień czarno na białem, że w to można było bić jak w bęben, aż pęknie. Dokonałem wtedy tego, co Arystofanes w Atenach, opanowanych przez Kleona, i mogę o sobie powiedzieć, jak Arystofanes w parabazie „Pokoju“:

> „Nie miernoty i nie baby przedstawia poeta w swych komedjach, lecz jak Herkules nieustraszony z najsilniejszymi walczy. On ma prawo powiedzieć: „Tak, ja pierwszy ośmieliłem się napaść na tę ostrozębną bestję, której oczy ciskały płomienie wśród zgrai płaszczących się przed nią podchlebców. Bestja miała głos huczącego potoku, wydzielała smród foki, z tyłu podobna była do wielbłąda. Na widok takiego potwora nie cofałem się z przestrachem, lecz dla waszego zbawienia, rodacy, walczyłem z nią nieustannie“.

Z Arystofanesem porównał mnie zresztą w jednym ze swoich entuzjastycznych dla mnie feljetonów p. Kazimierz Erenberg, który wówczas, nawiasem mówiąc, do współpracy w *Liberum Veto* się zgłosił, ba, nawet pierwszy skromną zaliczkę (nie oddaną) pobrał... W tych to czasach (styczeń r. 1919) odkryłem też po raz pierwszy: niebezpieczeństwo żydowskie, czyli pansemityzm.

— Aha... A co jest prawdy w tem, że pan w gruncie rzeczy nie uważa siebie za antysemitę?

— Dużo. Ale tak tego definjować nie można, bo to byłoby za symplistyczne ujęcie problemu. Z anty-

semityzmem integralnym, naukowo-nerwowo-rasowym bezwzględnie nic nie mam wspólnego, jak nic nie mogę mieć wspólnego z zoologicznymi ślepymi odruchami i instynktami czerni i miazgi; wszelka walka na pięści z grożącą hegemonją jest mi organicznie wstrętna. Odczuwając atoli w danym momencie historycznym konieczność więzi i solidaryzmu rasowego polskiego, poczuwam się do obowiązku alarmowania o nadchodzącej przemocy, tak jak alarmuję o każdem niebezpieczeństwie: „romantycznem", „progermańskiem", „galicyjskiem". Jest to co najwyżej asemityzm, ściśle mówiąc — antypansemityzm. Do asemityzmu muszę się już poczuwać z predestynacji o tyle, o ile poczuwali się do niego wszyscy wielcy reprezentatywni pisarze światowi, jak Szekspir, Marlowe, Dante, Wolter, Goethe, Dostojewskij, Hebbel, Dickens, Nietsche, Krasiński, Mochnacki... Nie bez pewnego sceptycyzmu co do charakteru rasy i jej posłannictwa dziejowego odnosili się podobno Marx, Lassale, Heine, Weininger. Ostatnio zdaje się i Shaw (w polemice z Bernsteinem) i Barbusse (w „L'Humanité") i Hamp („Obrona Shylocka") coś tam niebardzo zbyt pochlebnie... Dla rasy jako całości (Arabowie piękny naród) mam pełny szacunek, jak dla każdej starej a niedającej się usunąć lub zdegradować arystokracji ludów, oraz najgłębszą wdzięczność za r o z b u d z e n i e swym wiecznie młodym, czujnym, agresywnym, wojującym, szczerym a gorącym, może nawet zgorączkowanym hipernacjonalizmem wszystkich nacjonalizmów na całym globie. W momencie istnej psychozy czy influenzy internacjonalistycznej ten „profesor energji" w procesie zatamowania

niwelacji i mimikryzacji wzajemnej — zasługi położył niepożyte i nieocenione. Za niebezpieczny typ Żyda uważam chrześcijanina 50-procentowego po kądzieli, podświadomie *(subliminal)* związanego z rasą silniejszą. Mniej niebezpieczny jest typ neofity; najmniej niebezpieczny typ Żyda religijnego, wierzącego w wiarę przodków. W sjonizmie widzę najidealniejszy eksperyment politycznego geszeftu o bardzo wątpliwym sukcesie, ale nieprzepartym sentymentalnym uroku. Gdybym był Żydem, byłbym... Żabotyńskim. Tak zw. asymilacja dzisiaj musi się wyradzać w asymulację, nawet jeżeli występuje w formie asymilicji, t. zn. wyrażając się obrazowo a najjaskrawiej: suponuję, że najbardziej uświadomiony aryjsko Lechita mógłby np. *coram publico* pocałować w rękę starego, siwowłosego chasyda krakowskiego, idącego w otoczeniu mełamedów w piątek wieczorem w czarnym jedwabnym chałacie, w futrzanej czapie lisiej, z tałesami... idącego z bóżnicy starą uliczką św. Jakóba w stronę Skałki... natomiast... Natomiast nie do zniesienia są dla mnie objawy t. zw. asymilacji, t. zn. gdy np. pułkownik szwoleżerów (ongiś zwał się Dreifus), obecnie Trzynogowicz, obwieszony orderami, albo tańczy oberka (Joselewicza), albo deklamuje fragmenty z Wyspiańskiego, albo dziewięćdziesiąt procent Polaków jako „endyków“ odsądza od czci i wiary i patrjotyzmu. W marynarce dobrze skrojonej... dobrze, ale w Marynarce polskiej?... Nigdy!

— Tak, ale przyzna pan, że to jest chyba „czarnosotienstwo“ à la Kruszewan czy Puryszkiewicz?...

— Nie panie. Tak jest w dzisiejszych Stanach

Zjednoczonych, które Żydzi uważają przecież za „ziemię obiecaną", za Chanaan, i z której właściwie dyrygują resztą planety. O „czarnosotienstwo" nie można też posądzać tych, którzy swego czasu we Francji stanęli przeciw (niesłusznie zresztą skrzywdzonemu) Dreyfussowi, a wśród których znaleźli się Bloy, Mallarmé, Bourget, Renard, Richepin, Coppée, de Curel, Lemaître, Barrès, Maurras, Lavedan, Donnay, Rostand, no i Daudet! Jest to stanowisko także i artystyczne, estetyczne. Sarmacie o sumiastych wąsach nie do twarzy jest na giełdzie... czy w mikwie, księżom lub zakonnicom na... dancingach, lotnikom w... piechocie, a Dreifussom w... sztabie. Tem się narodu wybranego ani nie przebłaga, ani nie przekupi, ani nie oblaguje...

— A w dyplomacji? administracji, w nauce, w literaturze, w prasie, w sportach?...

— W nauce, w dyplomacji, w sportach *patent portae:* lepsi Baderyci jak Abderyci. W administracji? W jurysprudencji i jurysdykcji najsolidniejszy i najkulturalniejszy element, rzadko elemęt. W literaturze i prasie? *Numerus clausus distinguens.* Zresztą talenty mają glejty, za któremi ich wszędzie puszczą, choćby woźni przy bramie na Parnas robili obstrukcję... Szczerze mówiąc, gdyby tych gorącokrwistych drożdży u nas nie było, trzebaby byłoby ich importować, gdyż inaczej żywcembyśmy jedni zasnęli, inni zatęchli, inni zeprzeli, inni sparcieli, inni zaśmierdli, inni wyjałowieli, inni zardzewieli, inni wprost zgnili w kwietyzmie i kiśmecie. Strach bierze pomyśleć, coby się stało z intelektualnem rozwojem słowiańskich plemion

bez tych fermentowych czy gnilnych grzybków! jak łatwo cała Słowiańszczyzna stałaby się mierzwą Germanów. Trzebaby było Semitów sprowadzać jak superfosfat...

— *All-right, all-right!* Brawo!

— Spokojnie! Spokojnie. Inna natomiast rzecz, że tym nawozem sztucznym (choć w kraju normalnymi sposobami produkowanym) nas specjalnie Opatrzność opatrzyła opacznie, zbyt hojnie i po pańsku, jako Algier moskitami, Indo-Chiny „tse-tse“, Szampanję filoxerą... W każdym jednak razie i w całokształcie stosuku do pansemityzmu trzymam się tezy mistrza Daudeta, który na wiecu w „Manège de Panthéon“ mówił z właściwą mu egzageracją:

„Oświadczam głośno i wyraźnie, że jeśli jest w Paryżu jeden b. poseł, do którego żywię sympatję, jeżeli jest jeden b. poseł w Paryżu, na którego głosowałbym podczas wyborów, to jest nim Żyd Ignace! Choć zdobył się na niezwykłą odwagę: chwycił za gardło Józefa Caillaux. Otóż my nie jesteśmy niewdzięcznikami i umiemy odróżniać“.

Tak mówił szef francuskich integralnych nacjonalistów. Niestety, u nas takiego Ignace'a, któryby za gardło chwycił naszego Josefa... Caillaux czy naszych Caillaux wogóle nie było ani jednego.

— To prawda. Czy pan atoli jest istotnie rozkochany w Józefie Piłsudskim, jak o tem świadczyłaby ta ustawiczna od lat ośmiu inwigilacja?

— To nie jest ścisłe. O rozkochaniu nie może być mowy, jak niema też mowy o żadnej osobistej awersji czy antypatji, jak to sobie imaginuje, wyrażając się już argotem objektu: „swołocz“ i eufermy. Każdy Napoleon musi mieć swego Benjamina Constanta czy swoją panią de Staël, każdy Napoleon III („Badinguet“) swego Wiktora Hugo czy Rocheforta. Wielkość postaci historycznych można też mierzyć wielkością ich antagonistów. Z tej racji pan marszałek jest naprawdę indywidualnością historyczną na największą skalę, i łatwą kliszą posługują się ci, co twierdzą, że cała monumentalność tej postaci funduje się i warunkuje bezdenną i bezkresną nijakością, cherlactwem, kalectwem i karłowatością jego nieprzyjaciół. Tak nie jest. W praktyce codzienności zapewne i ten współczynnik wielkości zawsze i wszędzie trzeba brać pod uwagę, ale nie godzi się uwygadniać sobie problemu takimi fortelami w jego roztrząsaniu. Zaliczanie mnie tedy i wyzywanie od Piłsudczyków nie ma żadnej podstawy realnej, gdyż jestem tylko naopak *à rebours*, i tylko w tym charakterze w powiększaniu olbrzyma codzienną od lat dziesięciu inwigilacją i atakami, żywość i czujność kontrataków prowokującymi, istotnie oddaję mu większe usługi, z perspektywy dziejowej patrząc, od tej czeredy nieprzeliczonych kamelotów i kaporalów, bonzów i muezzinów, szamanów i lamów, Gaskończyków i Taszkientców, akolitów i zelantów, nadto wprost batjarów i andrusów, którzy na lukratywnej dewocji i idolatrji z piwnicznych przedmiejskich suterynnych ciemnych nizin bytowania wydostali się w światło pomyślności i sławy. Ten bagaż

ciężki każdego wielkiego człowieka, jadącego pośpiesznym pociągiem do nieśmiertelności, w tym wypadku bywa czasem istotnie ambarasujący i wtedy gdy: *pro*... i... gdy: *contra*. W asyście źle wytresowanej trupy największy solista sprawia wrażenie wielkiego wirtuoza małego kalibru. Atoli jak nie po szlafroku i szlafmycy, tako też i nie po służbie wnoszącej i wynoszącej porcelanę pod łóżko sądzi się czy to regentów czy conquistadorów, ni Corteza ni Pizarra, zdobywcę Meksyku, który Meksykiem zawsze zostanie. Oddając atoli co jest cesarskiego cesarzowi, a Dziadkowi co jest dziadowskiego, pozwolę sobie przypomnieć, że nie można za idealne arcytypy polskiego męża stanu i statysty uważać Aleksandra Wielopolskiego, Agenora Gołuchowskiego, z dawnych — Ostroroga i kanclerza Zamoyskiego i równocześnie .. Józefa Piłsudskiego. Parafja to inna. A jednak moralnym dyktatorem czy naczelnikiem czy prezydentem czy królem marzyłoby się zawsze mieć raczej urodzonego męża stanu, choćby nawet nie bohatera i nie wodza zwycięskich wojen, nie Wallensteina czy Garibaldiego, a raczej Colberta lub Cavoura... Od święta niech będą i Sulle, ale na codzień życzmy sobie Marka Aureljusza. Z tej racji T. G. Masaryk jest bardziej normalnym typem idealnego pasterza narodu.

— Taki filister?!

— Gentleman w każdym calu! Demokrata w najbardziej zachodnio-europejskiem tego słowa znaczeniu. Bezwyznaniowiec? — Ale przy aparacie fotograficznym nie klęka. Socjalista? — Ale bez bomby w zanadrzu.

Filogermanin? — Ale z rozumu i z rozsądku, a nie z pasji i afektu i dla przekory.

— Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie...

— Nasz to obyczaj cierń w życia przeciągu kłaść im na głowy, kamień na posągu. Tak bywało w Grecji, w Rzymie, tak i w Polsce. Pod tym względem jesteśmy i będziemy klasyczni. Perykles... Milcjades... Korjolan... Spartakus... Marjusz... Sulla... Kaligula... Wespazjan. Oddajmy więc co jest cesarskiego cesarzowi, i niech będzie imię jego rozsławione. A zaś Mahometowi w karjerze, a mahometanizmowi w ekspansji, najbardziej zaszkodziły nie... krucjaty, ale bałwochwalcy.

— No, a z punktu widzenia artysty?

— A to co innego. Proza Piłsudskiego, sądząc po jego dotychczasowym dorobku literackim jest, jest w niektórych pracach wcale doskonała, emocjonalna i sugestywna. „Moje pierwsze boje" czyta się jednym tchem. „Wspomnienia o Narutowiczu" „wzruszające". Arcydziełem zaś, wprost perłą języka polskiego, śmiałbym nazwać modlitwę do krajobrazu polskiego w księdze pamiątkowej druskienickiej. Mniej przekonywające bywały różne mowy i polemiki, których bezceremonjalna napastniczość i figlarny język wywarły zresztą wielki wpływ i na antagonistów z drugiego brzegu. Czasami atoli wogóle się wydaje, że pan marszałek rozminął się z powołaniem i raczej powinien był „błyszczącą karjerę" mieć także ale w literaturze. Miałoby się wtedy po drugiej stronie barykady polemistę i pamflecistę politycznego najwyższej klasy, z którym ogień

tarabanowy byłby rozkoszą bogów. A tak przemawia dziad do Dziadka jak do obrazu, a obraz do niego ani razu...

— A czy pana nie męczy już wogóle i nie wyczerpuje to ustawiczne użeranie się na wszystkie strony?

— Wprost przeciwnie, czyli akurat odwrotnie. Urodzony w roku 1876 dziewiątego stycznia, ujrzałem światło dzienne Podgórza (Josefstadt! nawet nie w samym Krakowie!). W okresie lat ostatnich odwaliłem sto wyjazdów samolotowych (dożywotnio *gratis!)*, wdarłem się pierwszy na Kowieńszczyznę, przeżyłem potwornie ciężką burzę morską na Bałtyku (i na „Hallerze"), od biedy łażę po górach, a piechotą rżnę po kilka kilometrów, bywało, że i tańczę po dwie godziny. Bardzo gładko znoszę alkohol i... Mokotów. Wstaję bardzo wcześnie, pracuję przy biurku po dwanaście godzin, tak że na jakieś wyczerpanie, znużenie, albo wogóle na „poddanie się" moi najserdeczniejsi w najbliższej przyszłości jeszcze nie mogą liczyć; oczywiście przypadki chodzą po ludziach i nie oszczędzają nawet najtęższych indywidualności naszej generacji. W Daudeta zapatrzyłem się i pod względem hartu i wytrzymałości i odporności.

— Niósł wilk, ponieśli i wilka, od czego kto wojuje, od tego ginie, no i nie mów hoc, aż przeskoczysz...

— Bez kwestji. Ale w każdym razie życie wytężone *(strenous life)*, atmosfera ustawicznego ostrzeliwania na najbliżej okopów wrogów wysuniętej wedecie trzyma szermierza w „formie", bo nie pozwala

mu zdrzemnąć się ani na moment lub hajnt. Oczywiście w czterech zamkniętych ścianach przeżywa się czasem inlucida intervalla infernalnej depresji ale z czterech ścian wychodzi się znów na świat wyprostowanym i w drucianej koszulce. Byle nie zabrakło zapaśników na arenie, byle tak łatwo nie kapitulowali, byle się tak szybko nie przemęczali! Iluż to już dało za wygrane, ilu znudziło się, zmieniło fach, partje, światopogląd, a człowiek na tym samym odcinku trwa i trwa. Przecież nie było w piśmiennictwie polskiem ani w publicystyce drugiego takiego, o którymby tyle złego, tyle potwornego napisano, co o mnie! Odkąd zeszedłem z balkonu literatury na bruk prasy, odtąd narażony jestem, że lada apasz, bękart, znajda i przybłęda do kultury może we mnie walić grudami swego rozmiękczonego mózgu lub guanem knajpianych obelg. Dochodzi do tego, że z melancholją wspomina się *del tempo felice*, kiedy polemizowali ze mną i gromili mnie Chmielowski, Gostomski, Rabski, Kisielewska-Oksza, Cz. Jankowski, Glass-Avanti, Siwik-Wiski, Grzymała-Siedlecki, potem znowu już w Niepodległej: Wolski, Kisielewski, Moraczewski, Sieroszewski, Irzykowski, Tadeusz Zagórski, Savitri, Zadora, Asz, Ejsmond, Wielopolska, Pierrot, Rzymowski, Okręt, Nemo, Widz, Słonimski, Benuś, skoro w ostatnich czasach przyszło mi znosić już skroś łotrowskie napaści anonimowych guanofagów, rzezimieszków z Oleandrów krakowskich i z pod mostów... z pod mostu Poniatowskiego... Nie mogąc mi zarzucić w całej trzydziestoletniej działalności nic niehonorowego, ani cienia oportunizmu, złej woli, interesowności, fałszu (pomyłki zawsze pro-

stowałem), spotwarzano mnie gołosłownie, czepiając się choćby koloru grzywy lub „Neuwerta", by mi rabować w biały dzień rodzinne rodowe nazwisko i korzystając z tego, żem pseudonim taki kiedyś dołączał do nazwiska przez trzy lata, insynuować antypansemicie właśnie żydowską prozapję! Griadiuszcze chamstwo kojarzyło „Neuwerta" z „Rudzielcem" i wyło z radości, że odkryło Żyda w tym, co w Napoleonie ale może III nie chciał dojrzeć Bonaparta!...

— Wszystko to cacy-cacy, ale podobno zasady i poglądy zmieniał pan często?

— Od pięćdziesięciu lat ani razu. Literalnie. Aczkolwiek zmiany w poglądach socjalnych czy innych nie uważam zasadniczo za rzecz zdrożną („Journal" z r. 1916 przez kilka miesięcy miał rubrykę p. t. „Clemenceau contra Clemenceau", gdzie poglądy jego zwalczał codzień artykułami z poprzednich lat trzydziestu), to jednakże sam nie mogę się pochwalić elastycznością i metamorfozami. Socjalistą nie byłem w życiu ani jednej godziny, radykalny w poglądach byłem *ab ovo* i będę *usque ad finem.* Nacjonalistą zostałem w trzeciej gimnazjalnej, od pogrzebu Mickiewicza w Krakowie i od pierwszego obchodu konstytucji trzeciego maja, kiedy to nam gimnazjum św. Anny wojskiem otoczono. Austrjacczyznę lekceważyłem i nie cierpiałem od dziecka. Sądzę, że jeżeli w literaturze naszej było tyle tuzów, propagujących odpór przeciw najazdowi rosyjskiemu, to powinien był i mógł się w niej, zmieścić i rozrosnąć jeden, co z dyfamowania serwilizmu wobec tego z trzech zaborców najperfidniejszego, bo najbardziej charakter polski korumpującego, specjal-

ność i misję sobie wyczynił. Od r. 1912 też datuje się moja agresywność wobec mentalności lodomeryjskiej i jej przedstawicieli — i od tego też czasu konflikt z rodzinnem miastem c. k. Krakowem, zdaje się że już niestety dożywotni wobec tego, że miasto to od ciągot i inklinacyj wiedeńskich oduczyć się nie zdaje i z piersi Germania Mater nadal kulturalny swój pokarm pokornie ssie.

Stąd też poszło nadmierne, a tak dla mnie ambarasujące często rozszerzenie i wydłużenie mego polemicznego frontu bojowego. Z tego to bowiem Krakowa, jak z puszki Pandory, poszły na Polskę wszelkie plagi, do jakich od dn. 6 sierpnia 1914 r. zaliczam stańczykowską malarję i jezuityzm, faryzeizm społeczny (czerwona konserwa, salonowy socjalizm), mimetyzm rasowy, przy równoczesnym kulcie Żydów mądrych i bogatych, a pogardzie dla biednych bo głupich i t. p. tamtejsze mankamenta inne. Oczywiście, jeżeli w kampanjach przeciw politycznemu Krakowowi egzageracja mnie ponosiła aż do ogniskowania tam sobie wszystkich polskich stron ujemnych, to stawiałem się sam wonczas w sytuację tego Epimenidesa Kreteńczyka, który twierdził, że wszyscy Kreteńczycy są łgarzami... *Ergo* i ty, Epimenidesie, jesteś łgarzem? A zatem Kreteńczycy nie są łgarzami...

— Czy pan swemu rodzinnemu miastu odmawia wogóle patrjotyzmu?

— Przenigdy. Krakowskie społeczeństwo jest bardzo patrjotyczne, ale jest skroś antynacjonalne, ma kolektywnie najwięcej rozumu państwowego, *raison*

d'etat, ale najmniej instyktu narodowego, *ergo* jest chronicznie antynarodowo-demokratyczne.

— A cóż pana tak znowu wiąże z Narodową Demokracją?

— Wszystko. Wiara, nadzieja i miłość. Przeszłość. teraźniejszość i przyszłość. Wszystkie idee, nie wszystkie metody. Wspólność zasad, mniej kult jednostek, w obecnej generacji zasady te reprezentujących. Dogmaty nasze piękne, ludzie bywają ułomni, niepełni, przemęczeni. Do nacjonalizmu należy jutro. U nas obóz narodowy, wszystkich politycznych idej rodziciel, odegrać musi rolę jeszcze decydującą, gdy wielkości idei będą odpowiadały indywidualności, młode, mocne, śmiałe, przedewszystkiem śmiałe, „ryzykanckie". Tylko odwaga cywilna uskrzydla wszelką ideologję. Im mocniejsze w kolorze maksymy, tem zuchwalszych muszą mieć chorążych, no i męczenników. *Sanguis martyrorum semen regentium.* Bez męczenników żadna ideologja nie może liczyć na ekspansję. To też w moim obozie politycznym mnie należy traktować raczej jako enclave, nie obarczając conta obozu dobrodziejstwem mego inwentarza: radykalizm potencjalny, wprzęgnięty w obronę tradycjonalizmu, nie konserwatyzmu, no i oczywiście nie kołtunerji! *Adlatus non adscriptus.* Indywidualność pisarską, nie dającą się okiełznać partyjnem wędzidłem, traktuje się w takich razach podobnie jak torpedy lub paki z ekrazytem, nieco nieufnie i ostrożnie; dobrze jest jak wybucha już po drugiej stronie okopów; nieprzyjemnie jak eksploduje wewnątrz. Tem też należy tłumaczyć sobie brak niekiedy wszelkich rezerw i posiłków

w licznych moich kampanjach i kompletną izolację, która atoli dopiero na największą skalę indywidualność bojową hartuje jak stal, dając jej tę świadomość suwerenną, że i bez sukursu pierników i śledzienników można dać sobie rady, podczas gdy przy niedźwiedzich przysługach jeszczeby się przegrywało. Jako wyznawca nacjonalizmu oświeconego, wobec ortodoksów zawsze będę herezjarchą albo więcej w prawo albo w lewo, w jednem więcej naprzód, w innem więcej wtył, zawsze nie taksamo. Liberji partyjnej nie potrafiłbym nadziać na siebie nigdy! Subordynacja? Owszem. Stąd i dysonanse z ciurami. Mój mistrz Daudet pod tym względem jest w sytuacji normalniejszej i wygodniejszej, gdyż każdą jego już nietylko eskapadę, ale nawet awanturę polemiczną, popiera wszelkimi siłami nietylko cała zorganizowana prasa obozu, ale i „literatura prawicowa" poczuwa się do obowiązku ostentacyjnego solidaryzowania się z tym, co naraża się w obronie tego ustroju socjalnego, przy którym mogą istnieć i rozwijać się literatura i sztuka.

Ba! Tam kurtuazja w stosunkach wzajemnych dochodzi nawet do tego, że podczas gdy najpiękniejszą książkę o „komuniście" France'ie pisze nacjonalista Maurras, to za skrajnie rojalistycznym członkiem... lewicowej Akademji Goncourtów, („Soviet de G") Daudetem, kilka razy w poczuciu solidarności *reipublicae litterarum* stanęli pisarze z obozu radykalnego, podczas gdy z każdej jego książki zdają referaty lewicowe tygodniki (ostatnio w „Nouvelles Littéraires" pisała gorąco znana *précieuse radicale* pani de Noailles). Do tej politesse i kultury obyczajów my oczywiście

jesteśmy jeszcze daleko, a raczej nie dojdziemy nigdy. Po prawicy... człowiek szczęśliwy, gdy go ktoś z tyłu sztyletem nie dźgnie lub mu nogi nie podstawi, bo i tak bywało!

— Cóż to? Czy jaki żal do kogo?

— Nie mam żalu do nikogo. Definitywne często osamotnienie w momentach moich kampanij przyjmuję ze stoicyzmem, gardząc do dna tchórzliwemi skrybifiksami animującymi mnie do bojów a nigdy nie eksponującymi się w obronie mojej, gdy czerń mnie opadała lub czerwonoskórzy wywijali nade mną tomahawkami. Serdeczne i przyjazne poparcie moralne oraz gorące zachęty do dalszych don-kichoteryj, jakich mi udzielali aż do końca swego życia moi gorliwi czytelnicy, ś. p. Reymont, Żeromski, Kasprowicz, dostatecznie mnie wynagradzają za oportunizm i niewdzięczność literackich Sancho-Pansów. Nadto poczucie spełnianego rzetelnie, sumiennie, pedantycznie, rygorystycznie a bez wytchnienia, obowiązku publicystycznego, spełnianie obowiązku, które winno być wzorem dla całej pisarskiej branży, pozwala mi też gwizdać na spółczesność i patrzeć na siebie z perspektywy historycznej. *Non omnis moriar...*

— No i *qualis artifex pereo!...* Cokolwiek samochwalstwa?

— Nie! Samoznawstwa czy samowyznawstwa. A megalomanja to byłby tylko *reagens* na mikromanję. Zresztą? „Nauczył nas Bonaparte, jak się chwalić mamy“. Rodakom-robakom trzeba otwierać oczy na domorosnące wielkości. Ale żalu, powtarzam, nie mam do nikogo. Jako autor dramatyczny, „pocieszam się“ straszliwem zapoznaniem np. Felicjana Faleń-

skiego. Jako satyryk „pocieszam się“ ot takim np. jubileuszem siedemdziesięcioletniego G. B. Shawa, skazanego na laury i owację tylko znowu Labour-Party, a zbojkotowanego przez cały naród Wielkich Brytanów. Coprawda stary kpiarz i szyderca z Anglji ma jako ekwiwalent sławę na globie ziemskim, no i sporą fortunę (której, choć socjalista, proletarjatowi nie oddaje), podczas gdy ja nadal marzę o złotym zegarku i futrze, choć podobno z „paszkwilów“ i ze „służby u Lewjatana“ zebrałem se już miljony (w dolarach).

— Pewien żal i gorycz ze słów pana przebijają jednak... Do jakiej narodowości chciałby pan należeć, gdyby się pan drugi raz narodził?

— Oczywiście tylko do narodowości panów świata. Tylko Anglikiem.

— Amerykaninem nie?

— Tfy, panie. Jak pan może przypuszczać coś podobnego. Tylko Anglikiem! W żadnym razie atoli nie Polakiem. Być w Polsce kimś na największą skalę, mniejsza z tem czy... Napoleonem, czy... Wolterem, to rzecz djablo męcząca, bo trzeba każdego dnia zaczynać od początku... ciągle się użerać o swój autorytet... Normalne zarabianie na nieśmiertelność w sensie europejskim nie wystarczy... Opinję publiczną trzeba „terroryzować“, wtedy tylko się poddaje. Oczywiście mając Sybir (choćby w najłagodniejszej formie trzech dni na Pawiaku za ruskich czasów) za sobą, a izra-elitę przy sobie, można dojść nawet do wspaniałych rezultatów. *Par exemple...*

— *A propos...* Kiedy pan ostatni raz widział marszałka Piłsudskiego?

— Na moście księcia Józefa dn. 12 maja 1926 r. Opis tego spotkania dało tylko jedno pismo na świecie, t. j. „Journal des Débats“ z dn. 24 maja t. r. Zacytuję panu jeden ustęp z długiego feljetonu:

„Un nouveau quart d'heure s'écoule. Une limousine s'arrête de l'autre côté, à quelque distance du pont. Le maréchal Piłsudski en uniforme, entouré de quatre officiers, se dirige à pied vers le pont. En y pénétrant, il aperçoit Nowaczyński. Les deux hommes se fixent un instant. Il n'y a dans leurs yeux aucune haine, mais plutôt de l'étonnement. Sans mot dire, le maréchal continue de marcher“.

I tak też było w istocie. Jako jeden jedyny cywilny, „pierwszy jeniec Napoleona“, znalazłem się na tym moście w decydującej historycznej chwili oko w oko, bez spuszczenia powiek. Taka scena obliguje, szczególnie pisarza o instynkcie dramatycznym. Było w tem: *memento!* dla jednego, a „stwierdzenie się w swem jestestwie“ (Hegel) dla drugiego. Tak chciały widocznie losy, Ananke, Moira, Opatrzność. W szekspirowskich „kronikach“ Przeznaczenie (Destiny) bardzo często zostawia na scenie samych: księcia, wodza, człowieka czynu, z człowiekiem śmiechu, ze „stańczykiem“, z „clownem“. I autor Hamleta mówi o tem: „błazny bywają i prorokami“...

— Tak, tak, to wszystko wcale ciekawe... Ale właściwie mieliśmy mówić o „Komendacie Paryża“.

— Pomówimy kiedyindziej, mój drogi. Choć to bowiem temat z przeszłości, aktualność jego zacznie się od zawsze niepewnego jutra...

MÓJ POGRZEB

Kunszt życia, sztuka życia polega o rodacy, także i na tem, ażeby umieć w porę umrzeć.

Nie jest to atoli tak łatwe jakby się na pierwszy rzut oka komuś wydawało. Wprost przeciwnie nawet, punktualność i poprawność pod tym względem bywa najtrudniejsza do osiągnięcia — i to właśnie dla tych, którzy kunszt życia w wysokim stopniu posiedli lub których życie przedstawia dla ogółu wogóle coś wartościowego. I nie pomogą w tym kierunku żadne indywidualne zabiegi ani starania, ani wysiłki, ani fortele, gdyż przeważnie wszystko układa się jednak przypadkowo, często wbrew woli i zamiarom jednostki wybitnej, *ergo* kunszt życia posiadającej. Okazuje się, że tę sztukę życia można opanować we wszystkich jej tajemnicach i arkanach, a jednak godzinę, dzień, porę roku, a nawet sam rok śmierci wybrać sobie najfatalniej, najbezmyślniej, najnieaktualniej, to znaczy albo stanowczo za wcześnie albo w niemożliwie opóźnionym terminie. Bardzo wytrawni i doskonali życia mistrze, opatrznościowi mężowie na miarę Plutarcha a o piersiach Fidjasza, po przykładnych, wzorowych i pięknych żywotach sam bywało moment śmierci częstokroć wybierali sobie nie w porę — albo za wcześnie albo i za późno, ale właśnie nie w sam raz jak trzeba i jakby wypadało ze względu na współczesnych, na młodzież, na maluczkich, a jeszcze więcej na po-

tomność i biografję. I nie można takim zawczesnym lub zapóźnym — a szczególnie zapóźnym — zarzucić nawet złej woli lub fałszywych intencyj czy kombinacyj; przenigdy! Przeważnie bowiem przedłużanie ich doczesności poza wskazany rozumowo termin dzieje się i z tej głównie racji, że spodziewają się oni właśnie jeszcze dokazać lub dokonać czegoś, coby usprawiedliwało nadmierną prolongatę, — a więc właśnie działają z respektu dla potomności i biografów. Nie ich tedy zawinienie, że na te oto lata ostatnie, zbyteczne i nadwyżkowe, przypada to wszystko właśnie, co we współczesnych i współżyjących wywołuje nieprzyjemny pogląd o wydłużeniu zbytniem ich żywota, a to często kulminuje w takiem dziwacznem na ten przykład zdaniu: „szkoda, że ta apopleksja nie uratowała go wcześniej". Uratowała — hehehe...

Są kraje i bywają narody, w których dostojne okazy, czołowe jednostki i wogóle wybitne ludzie umierają w samą porę, akuratnie, nie za wcześnie ale też i nie zapóźno, w sam raz. Jeżeli i w tych krajach zdarzy się, że poniektóra znakomitość, mistrz, człek z marszałkowską buławą w tornistrze, i wogóle wielki „ktoś" zejdzie ludziom z oczu w wieku bardzo młodym, to znaczy w tak zwanem zaraniu, w kwiecie, w wiośnie, to rychło jednak wykaże się, że był to tylko sprytny pomysł usunięcia się póki czas w pełni rozkwitu i rezonansu. Dużo przykładów tej zmyślnej kalkulacji i narzucania własnej woli swej doli wykazują szczególnie w starożytności Grekowie, a za naszych czasów — i to od kilkuset lat — Brytańczycy. W Helladzie na ten temat wytworzono nawet do-

wcipne acz paradoksalne przysłowie, iż „ulubieńcy bogów zamierają młodo“; znaczy to w prozie współczesnej, wyzbytej z mitologji i sentymentu, że młodzieńcami usuwają się ze sceny mędrsi wcześniej, zanim jeszcze drugą połowiną życia, wydłużonego nadmiernie, zepsowaliby i zmarnowali z kretesem to wszystko, czego w zaraniu dokonali. W Brytanji zaś, w Wielkiej Brytanji rozwinęła się i rozmnożyła, głównie może dzięki niezdrowemu klimatowi i niehigjenicznym warunkom miejskim, bardzo liczua species t. zw. „grand old manów“, t. j. czerstwych i rzeźkich starców, którzy mimo swego *ad infinitum* przedłużanego żywota nietylko nie nihilują i nie obrzydzają równocześnie tego wszystkiego, co jest ich żywota dziełem i owocem, ale właśnie w tych ostatnich latach pozornego uwiądu i zanikania nadrabiają w tem, czego omieszkali w zaraniu, — osiągając szczytne rezultaty w dziedzinach w wieku męskim zaniedbanych.

Cokolwiek akurat wprost przeciwnie jest i dzieje się w narodzie, społeczności i państwie, którego my jesteśmy współobywatelami, producentami, a w pewnej mierze i konsumentami. Brak poczucia wszelkiej punktualności, który stanowczo chyba jest pryncypalnem znamieniem oraz organicznym niedoborem tak ogółu jak i każdego poszczególnie, ujawnia się — i to nie sporadycznie a nagminnie — także i w tem, że jednostki wybitne i czołowe zdają się nie okazywać żadnej miary w lekkomyślnem i nierozważnem przedłużaniu sobie żywota. Chronicznie i przewlekle bytując w przestrzeni bez poczucia czasu („żyjąc bez zegarka“), w systematycznej kolizji ze wszystkiemi terminami, spóźniają

się też konsekwentnie i z datą swojej śmierci. Lubownicy statystyki obliczyli już na podstawie dość ścisłych danych, że 76% wybitnych jednostek odchodzi od nas o 67% za późno, to znaczy, że zamiast najpóźniej w 57-ym roku życia — aż w ...76-m i dalej analogicznie w tej proporcji obliczając, ci, co powinni likwidować się już w 56-ym, zamykają bilans aż w 67-ym, ci, co w 47-ym, dochodzą aż do 57-go, — no i tak dalej w tym stosunku. Szkodliwszym jeszcze motywem w tem wszystkiem jest ta okoliczność, że energji i siły życiowej, w wielkich zasobach zamagazynowanej w zaraniu a produktywnie i twórczo niewyczerpanej w wieku męskim, zużywają oni w dziesiesięcioleciu czy w dziesięcioleciach dodatkowych, zbytecznych, luksusowych, jedynie nato, aby w świadomości ogółu na oczach współczesnych zacierać z gwałtowną zapamiętałością i uporem pamięć tego wszystkiego, co w sensie dodatnim i chlubnym udało im się osiągnąć w okresie właściwym i pozytywnym. W następstwie czego przytrafia się, że każdy obóz, każda grupa, każda komórka społeczna, ba omal każda kamienica czy dwór czy pałac ma takiego lokatora czy taką wielkość lokalną, która przysłowiową niepunktualność sarmacką *(plica polonica)* doprowadziła do absurdum *et in articulo mortis*, — inaczej mówiąc, która nie zdołała się zlikwidować w porę i wykazawszy poprzód wysoki poziom sztuki życia, zawiodła na całej linji w trudnej może i zawiłej ale nie mniej generalnej kwestji śmierci „na czasie“. Stąd też pochodzi logicznie niezwykły procent żywych nieboszczyków, niepogrzebanych i samogrzebiących się wielkości narodowych, krajowych i pro-

wincjonalnych. Ułatwia to w dalszej konsekwencji nieprzyjemny a dość rozpowszechniony proceder t. zw. „pomniejszania olbrzymów“ i „obalania legend“, polegający na konkurencyjnem wzajemnem wykazywaniu sobie, że wielkości antagonistów nie są punktualne w aktualnym doborze dnia nagłej i niespodziewanej śmierci.

Jest faktem statystycznie stwierdzonym, że wielki procent genjalnych lub cenionych w ojczyźnie indywidualności nadal niebacznie i nieoględnie prolonguje sobie doczesność, na to tylko, aby utrudnić do niemożliwych już granic i tak już żmudną i uciążliwą pracę przyszłemu autorowi: „Żywotów polskiego Plutarcha“, i to — dodamy — żywotów lokalnych, partyjnych, okręgowych, fakultatywnych i ogólno-narodowych. Stan to wysoce niepokojący a dający wiele do myślenia historjozofom, encyklopedystom, monografom oraz tym wszystkim, którzy odczuwają nietylko potrzebę ale konieczność drogowskazów i autorytetów w pedagogji oraz edukacji szerokich rzesz i zrzeszeń. Niedobór i nieurodzaj, ba nawet księgosusz czy pomór na wielkości opatentowane na cały naród, na całe społeczeństwo, na całe stulecie, pomór na wielkości nie podlegające dyskusji, że tak powiemy — „niedysputalne“, absolutne, metafizyczne poniekąd, nieomylne (infallibilis) jest bądź co bądź objawem bezwzględnie szkodliwym, chorobotwórczym.

Z tej racji byłoby może obowiązkiem sfer miarodajnych i kompetentnych czynników wyłonić z siebie komisję-matkę czy też rozpisać szeroko pewnego rodzaju ankietę na pytanie: jak zaradzić niebezpieczeń-

stwu autokompromitacji (samounicestwienia się) u naszych mężów opatrznościowych godnych Plutarcha o piersiach na miarę Fidjasza? Dalej: jak nasze do-, stojności i znakomitości oduczyć czy odzwyczaić od autolikwidacji? jak zapobiec w porę zbyt dowolnemu prologowaniu życiowej linji, względnie wędrówki? *quo modo* ustrzec tych wszystkich, którzy zasłużyli się wobec ojczyzny *(patri patriae)*, aby wtórą, niekiedy większą połową życia nie dyfamowali nie dyskwalifikowali, nie dyskredytowali tego, co zdziałali w pierwszej.

Akcja na szeroką skalę zainicjowana w tym kierunku przez sfery miarodajne spotkać się dziś może tylko z ogółowem poparciem, ba — nawet z aplauzem, jako rzecz, jako problemat zwłoki niecierpiący. Ilość bowiem rozkładających się wielkości, niepogrzebanych nieboszczyków, niezabalsamowanych mumij, zawadzających mamutów, żywych trupów i zwłoków nie cierpiących zwłoki, jeżeli już nie zatruwa doszczętnie, to w każdym razie zanieczyszcza cokolwiek powietrze, którem muszą i mają oddychać normalni śmiertelnicy, przeciętni zjadacze chleba, płatnicy podatków, bliźni, obywatele i rodacy.

Sztuka życia bowiem (jak to teraz chyba przyzna i czytelnik), kunszt życia, szczególnie u ludzi wielkich, większych i największych polega także i na tem, aby nietylko szczytnie, chlubnie i punktualnie żyć, ale i umrzeć w porę, nie zawcześnie, ale — co jeszcze ważniejsze — pod żadnym pozorem nie za późno.

U nas w ostatnich czasach to, co wielu, bardzo wielu się nie udaje pod tym względem, to właśnie (rzecz zdumiewająca) udało się niezwykle mnie oso-

biście. W słowie „udało się“ położony tu nacisk na motyw szczęśliwego składu okoliczności, na przypadek (chance) los, przeznaczenie (destiny) mojra, ananke.

A jak się to stało, szczegółowo opowiem, od dnia i momentu krytycznego opowiem, zdając sobie trzeźwo sprawę z tego, że znów spotkam się z zarzutem: oto człowiek który własną śmierć nawet opisał! Przy tym atoli braku czy uwiądzie pamięci u wszystkich nikt tego lepiej nie przypomni, ba, wszystkim zapewne już szczegóły wyleciały z głowy. Skoro zaś już i wersje przeróżne doczepiły się do tego z prawdą niezgodne, i legenda dodała różne swoje amplifikacje, tedy głos w tej sprawie winien zabrać chyba jedynie ten, który w tem wszystkiem najbardziej był zainteresowany, który najbardziej „czynny“ musiał wziąć w tem udział...

— — — — — — — — — — — — — —

Tymofieja Prokopczuka nie widziałem jako żywo nigdy przedtem, no i oczywiście nigdy potem. Nie wiedziałem nawet, że obywatel Prokopczuk istnieje na ziemi i że także został wybrany posłem do trzeciego Seymu Rzeczypospolitej.

Kiedy krytycznego dnia, po pierwszem, inauguracyjnem, uroczystem posiedzeniu wychodziliśmy z Instytutu Maryjskiego na Wiejskiej, to tak zwanego przeczucia nie miałem literalnie najmniejszego, żadnego. Wszystko, co pisały gazety, jakobym od dwóch dni już przeczuwał nadchodzącą katastrofę, polega na imaginacji i na fikcji i „wyssanej z palca“, zaczem mija się z prawdą. Nietylko nie byłem „dziwnie niespokojny“, nietylko „jasnowidząco oczekujący czegoś nieprzewi-

dzianego", ale wprost przeciwnie — w pogodnym i radosnym nastroju ducha, promieniejący optymizmem i wiarą w przeszłość i przyszłość. No — i niemogło przecież być inaczej. Moja pierwsza dziewicza mowa w parlamencie *(maidenspeech)*, spokojna powściągliwa, umiarkowana, rzeczowa, podobno majstersztyk taktu, dojrzałości i wytrawności (w drażliwej kwestji mniejszości narodowych), zyskała wprost niebywałe uznanie omal całego sejmu, prawicy, centrum, galerji, stenografów, woźnych i sfer bufetowych. Przecież nawet wśród Ukraińców dały się kilkakrotnie słyszeć okrzyki: *Mnohaja lita!* Gratulowali mi kolejno wszyscy, a któryś z posłów rabinów *coram publico* padł w moje objęcia, szlochając rzewnie a szczerze. Po raz pierwszy przecież uchwalono druzgocącą wszystko większością głosów rozplakatowanie mojej mowy po całym kraju, a ewentualnie i tu i ówdzie zagranicą, przynajmniej w krajach sąsiednich. Wszyscy koledzy klubowi nie mieli dość słów wdzięczności, gdyż nieoczekiwany mój sukces stał się sukcesem i partji i ziemi Krakowskiej, która mnie sobie na deputata wybrała. Gdzież tu więc może być (po takiej mowie) mowa że... „dziwnie niespokojny"?

Kiedy z wrzącego jak ul pszczelny, podekscytowanego i podnieconego sejmu po tej pierwszej dla mnie rehabilitacyjnej chyba sesji schodziłem w towarzystwie najbliższych mi po schodach, nawet wśród czekającej w szpalerze publiczności dały się słyszeć gorące okrzyki zdrowia, szczęścia i pomyślności.

Była godzina dziewiąta. Śnieg pruszył delikatnie i miękko. Zapalałem fajkę. Nie „cygaro" — jak

z uporem twierdziły pisma. I właśnie odrzuciłem zapałkę.

Ze szpaleru rodaków ktoś tubalnym głosem ryknął nam wprost: „Niech żyje!“, kiedy nagle tuż naprzeciw mnie, o jakieś sześć kroków (nie trzy!) wyłoniła się z tłumu jakaś rosochata sylweta.

Dostrzegłem w zmroku tylko wyciągniętą rękę. I nagle łysk świetlny, krótki huk. Pada strzał.

Przytomność straciłem tylko na sekundę, no może na dziesięć, co najdalej na dziesięć minut, poczem natychmiast uzyskałem nie bez wysiłku z powrotem świadomość tego co się stało, i to świadomość pełną, poczwórną, skondensowaną coprawda tylko w dwóch zmysłach, t. j. słuchu i wzroku, przy absolutnym, definitywnym bezwładzie całego organizmu. Krótka chwila przeraźliwego szumu w uszach, zapadania się w przepaść wirującego chaosu z ludzi, z objektów, plam, linij, zygzaków w oczach. Tymofiej Prokopczuk trafił o tyle celnie, że odrazu w same kamienie żółciowe — ale o tyle spudłował, że pomylił się w objekcie zamachu. Mnie bowiem wziął ten nieszczęsny człowiek za jednego z dygnitarzy jakto lojalnie zaraz wyznał do wszystkich jeszcze przed wszelkiem pierwiastkowem śledztwem. Przypadek, kompletny przypadek. Nie dosłyszał dokładnie nazwiska; kiedy mu z tłumu wskazano, że oto schodzi po schodach Yński, odrazu, bez namysłu wyrżnął sobie z parabellum dumdumami do Yńskiego. Tak sobie nieboże wyobrażał historyczną postać! Bóg z nim!

I tej oto pomyłce zawdzięczam odtąd to wszystko, co się potem działo, t. j. przedewszystkiem zgon, czy

skon (jak inni piszą), w samą porę, wymarzenie punktualny i o sekundę niespóźniony (czem bardzo niewielu z nas pochwalić się może), zaczem ten pogrzeb uroczy i uroczysty, co stał się nam wspaniałą demonstracją i manifestacją.

Ale nie uprzedzajmy przypadków!

Można sobie chyba wyobrazić ten popłoch, tę panikę, ten zgiełk, ten hałas, ten chaos.

Grupa senatorów i posłów przeniosła mnie z przed sejmu ostrożnie a z pietyzmem do jednej z sal klubowych na parterze, nie pamiętam już dokładnie — do której. Ułożyli na stole jak do operacji. Dwaj posłowie lekarze szybko i dość powierzchownie skonstatowali pęknięcie tej czy tamtej aorty czy arterji, nie pamiętam dokładnie, — przyczem starano się jeszcze zatamować upływ złej krwi z rozsadzonych kamieni żółciowych, ale oczywiście bezskutecznie. „Żadnej nadziei“ — mruknął jeden. „Już po wszystkiem“ — powtórzył drugi; ktoś z posłów jeszcze zapytał: „Czy nie potrzebny termometr?“ Inny powtarzał ciągle: „Trzeba po karetkę Pogotowia“! — „Zapóźno, zapóźno, panie kolego“.

Ksiądz-poseł spełnił swój obowiązek. Poczem z bufetu pośpiesznie przyniesiono dwa wielkie czyste obrusy i zakryto mnie niemi całego z głową. Nikt się nie domyślił nawet, że nieboszczyk o tak twardej naturze jeszcze ze dwie, trzy, cztery doby po wszystkiem słyszeć i widzieć będzie nietyle to, co się dokoła niego dzieje, ale nawet *(risum teneatis amici)* poprzez ściany i mury,—a czasem w bardzo dalekim promieniu. Sala klubowa natłoczona była po brzegi posłami, senato-

rami, dziennikarstwem i zwykłą gawiedzią. Wszystkie telefony w gmachu jęczały i dzwoniły obłędnie. Obchodzono mnie dokoła wcale nabożnie, ten i ów śmielszej natury odchylał białego całunu aby przyjrzeć się osobiście ofierze tak straszliwie niesprawiedliwego politycznego mordu. Podniecenie i zdenerwowanie u wszystkich jeszcze wzrastało, a gwar krzyżowanych pytań, odpowiedzi, okrzyków, oburzeń stawał się niemożliwy do zniesienia dla ofiary (i tak dość tem wszystkiem zdenerwowanej) aż do chwili, kiedy skądś przyniesiono dwa wielkie dziesięcioświecowe — zdaje się — świeczniki paradne i ustawiono mi w tyle u wezgłowia. To dopiero wpłynęło uspokajająco bo tragicznie. Teraz dopiero rozgwar przeszedł w półgłośną szeptaninę. Dosłyszałem więc, że biedny Prokopczuk już aresztowany, a z nim kilkunastu z jego grupy... że wszystkie pisma za godzinę wydają nadzwyczajne dodatki... że prezydent polecił złożyć sobie natychmiast ustne sprawozdanie... że na kresach i w koloniach ogłoszą od jutra stan wyjątkowego oblężenia... że do sejmu przyjechało trzech ambasadorów ościennych mocarstw... że już jeden telefon się zepsuł... że to były kule dum-dum i zatrute...

Już też i z ulicy Wiejskiej dochodził szum i zgiełk tłumu i urywane głosy komendy do oddziałów wojskowych, które otoczyły gmach zwartym pierścieniem, nie wpuszając ni wypuszczając nikogo...

Była już może godzina dziesiąta, kiedy widocznie straszliwa duszność w sali klubowej, przemoc wrażeń z całego dnia, no i upływ krwi przy wysadzeniu kamieni żółciowych społem sprawiły, żem choć straszliwie

rozciekawiony i wszystko podsłuchujący, jednak zmożony zasnął i to zasnął snem, jak to mówią kamiennym, — żeby już nie użyć przykrego słowa — snem ostatecznym.

I tak sobie widocznie musiałem przespać „zdrowo" chyba dobę, dwie doby może i trzy, dość że nową, pełną świadomość odzyskałem dopiero, zdaje się, tuż przed własnym (co to ukrywać przed samym sobą?) pogrzebem.

Rozbudził mnie znów gwar przyciszonych rozmów rodaków, miarowe suwanie niezliczonych butów ludzkich po kamiennej posadzce i dojmujący a mdły nieco zapach kwiatów, zieleni, igliwia i świec woskowych. Kiedy nieco, co nieco rozwarły mi się powieki, odrazu przerażony ogarnąłem wzrokiem całokształt mojej rzeczywistości. Sytuacja nie była chyba do pozazdroszczenia. Leżałem na wysokim katafalku w krypcie, oddzielony od żyjących i żywych istnym gajem drzew, krzewów i kwiatów i dwoma rzędami świec w wysokich, wspaniałych lichtarzach. Schodami wiodącemi w świat wstępowała jedna fala ludzka, a zstępowała mijając się druga, która już nasyciła swoją ciekawość gapiowską. Na samym końcu schodów jasny brzeżek światła dziennego, ciemno-fioletowego. Teraz dopiero doznałem tego uczucia, które szczęśliwcy określają jako oblanie zimnym potem, a które mną wstrząsnęło lodowatym dreszczem śmiertelnej grozy. Ale tylko mózgowo, cerebralnie. Organizmu bowiem już nie miałem, a tylko mózg funkcjonował sobie dalej wraz z kilkoma zmysłami, i to o niezwykle spotęgowanej i wydelikaconej sile i precyzji. Domyślałem się zaraz

co to wszystko znaczy. Moje gruczoły parathyroidalne w szyi były nienaruszone jakimś cudem, i to pozwala mózgowi jeszcze jakiś czas działać normalnie. Takie wypadki zdarzają się. Bardzo rzadko — ale owszem. Medycyna notuje coś trzy czy cztery. Przeważnie w Ameryce Południowej i Australji. Przecież bez wątroby można? A że kamienie żółciowe mi rozsadziło, to lepiej. To stanowczo będzie nowa odmiana letargu, jeszcze nie notowana. Jakże mogli ci lekarze-posłowie tak pośpiesznie wyprawiać mnie na drugi świat? Coprawda obaj ze skrajnej lewicy! I bez żadnej obdukcji!

I znów zacząłem się przez szpary między powiekami rozglądać dokoła. Wzrok działał tak silnie, że poprzez słupy kamienne, i to romańskie, mogłem dojrzeć dwie staruszeczki-babki kościelne w bocznej nawie krypty w samym ciemnym rogu, skulone jak sowy i dziobiące palcami gorącą fasolę z garnka... A kiedy teraz spojrzałem sobie wdół w zieleń między świecami, zacząłem rozpoznawać znajome i znane twarze... Urywki rozmów, choć prowadzonych pokornym półgłosem, dochodziły najwyraźniej...

...Akademja Umiejętności też przysłała delegację...

...Ale wygląda jak żywy! Nawet oczy ma niedomknięte...

...Ten wieniec z fiołków to od rady ministrów...

...Komitet ograniczył listę mówców tylko do dwudziestu....

...Wszystkie gimnazja i szkoły mają dziś wolne. Rozpuszczono...

...Szpaler będzie trzymała P. O. W. i Strzelec...

...A niech no pani patrzy, jaki to ma łagodny wyraz twarzy...

...Moja pani — jeszczeby i teraz...

...Ślicznie, wszystko będzie, bo to Frycz urządza z „Polskiego“. Jemu oddali żałobną dekorację miasta...

...A to mu się udało! a to mu się udało, mój prezesie!...

...Mnie także raz opisał. Wie profesor? Ale kogo on nie opisał...

...No, własnej śmierci to nie opisał...

...Tak, to prawda, ale tylko dlatego, bo go zaskoczyła niespodzianka...

...Właściwie to on był altruista, mój radco, tylko mu się przejściowi ludzie nie podobali...

...U nas dziś na obiedzie będą flaki...

...Cicho tam! Proszę się uciszyć. Jak można tak na głos sobie rozmawiać...

...To pan bądź cicho! Nikt się pana nie pyta...

...Cicho! Wstyd...

I znów słychać tylko miarowe suwanie nóg po kamiennych taflach, chrząkania, chlipania, kaszle i poszum tłumu z ulicy. Jakimś przedziwnym nakazem czy wysiłkiem woli przestałem na chwilę i słuchać i widzieć. Ciemno i czarno, przepastnie czarno — tylko nieznośnie mocna, okrutna, przejmująca woń fiołków, róż, mimozy, lasu, świec, muru wilgotnego i wilgoci z ubrań ludzkich. Widocznie śnieg pruszył. Letarg czy nie letarg? Mózg wysyła teraz dyspozycje, aby ostatnim wysiłkiem jakoś jednak korpusem ruszyć — a może wtedy kto dojrzy i krzyknie. Daremnie. Trumna jest ciasna, no — i niezbyt wygodna. Może

łokciem? Nie działa. Stopą o deskę, gdzie jest blaszana tablica z *curriculum vitae:* „Urodził się...", to wtedy tablica z łoskotem spadnie, a wszystko w nogi! Ani mowy o tem. Nie działa. Trzeba się z tem pogodzić, że organizmu się poprostu niema, że się nie jest bryłą, materją, że została tylko jeszcze głowa, i ta pewnie nie wystarczy na dłużej jak na kilka jeszcze godzin. W takim razie jeszcze ostatnia próba jakiegoś mruknięcia, a choćby tylko świstu — przez zaciśnięte zęby, choćby najciszej, byle tylko dać tym tam znać o sobie cośkolwiek. Nic podobnego. Zęby się jakby jeszcze więcej zacisnęły. I wtedy w tym osamotnionym mózgu rodzi się na chwilę kurczowo taka rozpacz bezsilności, że znów następuje powolne... przyćmienie świadomości, cisza, ciemnia, nieistnienie.

Budzi dźwięk dzwonów, głucho dźwięczących, okrutnych w tonacji, jakby popękanych, wszelkie nadzieje już odbierających pogrzebowych dzwonów. Zachwianie jakieś, przechylenie, teraz uderzenie głową na poduszce o oparcie w tyle. To już nie w krypcie? Po szynach gładko, równo wsunęli w pawilon ze zwierciadlanemi szybami, nieco za silnie, tak że się całe posłanie poruszyło. I znów choć nad głową tkwi, i to wcale nisko, sklepiona drewniana powała, — wzrok szeroko już teraz i swobodnie roztwartych oczu ma taką widocznie przejmującą, anormalną, niesłychaną siłę, że przebija lichy materjał i sięga wdal dosłownie niezmierzoną. Letarg czy nie letarg? Czas już zdecydować, tak czy nie. Jest przedewszystkiem zimno, straszliwie zimno, i to w skronie, w uszy. Za lekko ubrali na tak długie leżenie — i tak daleką może drogę. Pie-

chotą możnaby nawet i w takiem ubraniu, ale jechać teraz, i to leżąc, w czarnym garniturze, z gołą głową, zimno, wstrętne, ohydne zimno. Ample elektryczne zaświecone, choć jeszcze zupełnie jasno. We wszystkich oknach domów głowa przy głowie. Na balkonach ludzie w futrach, głowy odkryli, zaziębią się, napewno pozaziębiają się. Poco? Za sobą w tyle słyszę stąpanie i parskanie koni — dwie pary, cztery, sześć par. W dole przede mną i po obu stronach niezmierzone morze mrowia ludzkiego, jak okiem sięgnąć. Na rogach ulic poprzewieszane krzyżujące się ciężkie czarne festony. Tu i owdzie grupy wysokich, strzelistych świerków, poprzewiązywanych czarnemi zawojami krepy. Na Krakowskiem Przedmieściu na wysokich czerwonych, nie, karmazynowych cokołach, wysokie, wydłużone urny z rozfalowanemi zniczami płonącego spirytusu *(flat ubi vult)*. Ach, ten Frycz, — jak on to prześlicznie, teatralnie skomponował! No, wreszcie już i Warszawa umie po malarsku, artystycznie urządzać reprezentacyjne pogrzeby! — nietylko Kraków! Ale co to musiało kosztować! Ile to musiało kosztować! I kto to stawia? Kto to będzie płacił? Państwo, wielkie państwo, może miasto, a może... oni... „opisani", wszyscy opisani złożyli się? Hehehe!

Teraz dochodzą poraz pierwszy dźwięki dalekiej orkiestry. Chopinowski, boski! Pewnie to Sielski gra ten marsz anielski... A potem mu przyszedł „wiek męski, wiek klęski"... „Tyle dzwonów — skąd te dzwony, co w mej głowie huczą"... Ale gdzież to musi być początek konduktu, mego konduktu, skoro

dźwięki Chopinowskiego dochodzą do mnie tak blade, tak blade...

Zbliżamy się do placu Teatralnego. Teraz będę mógł widzieć sobie najdokładniej, jak to wszystko się prezentuje. Przed Teatrem Wielkim zapewne się zatrzymają... „Z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy"... Na Wierzbowej znów rozkopany bruk w niemożliwy sposób, tak że wehikuł z kryształowemi szybami w jednem miejscu nieco się przechylił i zachwiał, czego następstwem, że wieko mej paki... *requiescat in pace...* widocznie zbyt pośpiesznie przez kochanych „towarzyszów" przybijane, nieco się odchyliło. Może przez to będę mógł jeszcze lepiej widzieć miny pogrzebowe i słyszeć mowy pogrzebowe? Taksamo. Teraz rozróżniam już poszczególne grupy...

Na kruczym koniu czarny rycerz trzyma w ręku wielki kaduceusz, kirem kryty. Aha, to z „Wesela". „Masz tu kaduceusz... masz, mąć nim narodową kadź"... Kadź, kadzić? Lepiej kadzić?! Co ten Fryczuchna ma za kapitalne pomysły dekoracyjne! Za rycerzem panowie wspaniale w czerwono-sztandarowych, purpurowych kontuszach — to delegacja krakowskich stańczyków z Potockimi i Tarnowskimi na czele! Ślicznie się prezentuje N. K. N., co to i gadać. Ale jak to wzruszające, jak to zacnie, że taką gromadą przyjechali! Jak to po chrześcijańsku. Beaupré niesie wieniec z czarno-żółtemi wstęgami — a sam blady jak chusta, zabeczany...

Za nim w ordynku po dziewięciu w rzędzie trzymają się za ręce panowie w cylindrach z przepaskami amarantowemi. Trzydzieści rządków. Co to być może?

Jak idą równo, miarowo. A tu i owdzie nawet jakaś twarz inteligentna. Na drągu napis: „Ga-Bi-Ne-Ty". Gabinety? Aha. Już wiem. To byli ministrowie, wszyscy, trzydzieści rządów po dziewięciu. Tak w falandze, w masie wcale imponująco się reprezentują, pożal się Boże...

A teraz: Były Rząd Lubelskiej Republiki... Towarzystwo Ochrony Praw Człowieka i Obywatela... Szachiści... Resursy... Czciciele Ligi Narodów... Nafciarze... Narciarze... Wioślarze... Lotnicy... Towarzystwo Ochrony Zwierząt i Zabytków Przyszłości, Teraźniejszości i Przeszłości... Tyle wieńców! skąd te wieńce?...

Teraz znów jakaś „dark lady" (czarna dama) na siwym koniu. Jest w amazonce, w wysokim cylindrze z zielonym rozwianym wualem, w obu rękach trzyma szerokie lichtarze, kontryfałowe lichtarze (czy też dziewięcioramienne świeczniki) z płonącemi świecami! Nie! Co ten Frycz ma za pomysły! Tak, to markiza „Jehanne Wielopolska". Za nią będą już chyba szły delegacje literackie. Istotnie... Idą miesięczniki i tygodniki. Sześcioma rzędami kroczą: „Skamander", potem „Czartak", „Ponowa", pragmatyści. Podhalanie, „Astrea", „Paranoja", „Rytm", „Rym", „Reduta" — wreszcie z wielkim wieńcem z róż Saronu i róż jerychońskich „najmłodsza Polska".

Skręcamy powoli na plac Teatralny. Wygląda istotnie imponująco. Choć to dopiero godzina czwarta po południu, we wszystkich oknach iluminacja, a ze wszystkich dachów zwisają wzdłuż ścian czarne i amarantowe sztandary, do trotuarów sięgające. Teatr Wielki z ratuszem połączony zielonym łańcuchem z jedliny i chmielu, tworzącym rodzaj baldachimu nad miej-

scem gdzie stajemy postojem. Choć wstęp tu mają tylko „opisani", cały plac przepełniony po brzegi tak że ni igły magnesowej ni szpilki niktby nigdzie nie wetknął. Stanęliśmy.

Dzwony dzwonią, siwe konie banderji krakusów parskają, kopytami niecierpliwie bijąc o bruk.

Na balkonie Teatru Wielkiego pierwszy: generał Or-Ort. Umieszczony na wysokiej trybunie, na wzniesieniu wzniesiony, widoczny z całego placu, wielki i potężny jak Mohort, — trombitowym głosem rapsod mówi prześliczny, wyciskając słuchaczom literalnie łzy z oczu i śluz serdeczny.

A nie jest to tak łatwe, skoro się zważy, że na plac dopuszczeni ci tylko jedynie, których nieboszczyk „opisał", opiewał... no i że mróz już dochodzi do kilku stopni Celsiusza w cieniu. A kiedy Or-Ort kończy, Or-Op (orkiestra opery) gra symfonję Ryszarda Straussa, „Sowizdrzała", z dodanymi chórami mieszanymi, do których słowa dopisali naprzemian Iwaszkiewiczówna i Iłłakowicz — i to na cztery ręce. Nie! co ten Frycz miewa za kapitalne pomysły!

I teraz dopiero przypomina mi się znów nieszczęsny Tymofiej Prokopczuk. Co też niebożątko porabia teraz? Anim go na oczy nie widział! I pomyśleć sobie, że to człeczysko może być za kilka dni rozstrzelane! Prokopczuk! który mi oddał taką przysługę, takie dobrodziejstwo wyświadczył! Przecie to jemu, tylko jemu zawdzięczam to żałobne widowisko. Jemu, że usunąłem się z widowni w samą porę, wprost w idealnym życia momencie, tuż po wygłoszeniu tej mowy w sejmie, zabłysnąwszy na horyzoncie parlamentarnym odrazu

jako gwiazda pierwszej konstelacji. Czyż można myśleć o takim Tymofieju bez rozczulenia i wdzięczności? Żeby mu choć byli pozwolili oglądać ten pogrzeb przed egzekucją! Gdyby nie moje „położenie“ obecnie, uściskałbym go serdecznie i podziękował za taką pomyłkę. Ale gdzie on — a gdzie ja? On biedaczysko tam w Mokotowie w więziennej celi klnie pewnie na czem świat stoi, a ja tu wysoko w tym szklanym jakby kloszu, zdaje się na klucz zamkniętym, oddzielony strażą obywatelską, P. O. W. i Strzelcem od nieprzeliczonych tłumów; o ucieczce jakiejś w tych warunkach nawet marzyć nie można. Jednaka ta nasza dola niedola, jednaka: i ofiary i zamachowca. I pomyśleć sobie, że właściwie cała afera polega na omyłce, na przypadku! Że gdyby Tymofiej Prokopczuk znał był z widzenia marszałka, no to...

...Nie! lepiej już o tem nie myśleć, lepiej sobie tego nie przypominać...

Na trybunę balkonu Teatru Wielkiego wchodzi teraz prezes Libicki czy prezydent Baliński, czy nawet obaj razem. Tak, to będzie teraz trwało dość długo. Tego mi mogli już oszczędzić i mieć trochę względu na to, że to przecież nie Hiob tam leży. Można teraz nie słuchać i jeszcze rozejrzeć się, kto jest a kogo niema, kto oddaje ostatnią przysługę, a kto mnie sabotuje nawet w takim momencie! Prezydenta reprezentuje oczywiście Lenc, ale nie Kociokwik, a margrabia tym razem, jakoże to kolega — dramatyczny autor. Marszałek przyjechał personalnie i stoi pod filarami Semadeniego w gronie generalicji z Dowborem i Szeptyckim. Jest sejm i senat w komplecie, izba

kontroli państwowej, Dmowski ze Skrzyńskim się zagadali, komisarjat rządowy i oszczędnościowy, P. K. O. i K. O. T., Krzywoszewski i Sieroszewski niosą olbrzymi ze sztucznych kwiatów polnych korowaj od „Niepodległościowców".

Senat uniwersytecki w pięknych togach i z berłami, rabinat warszawski w strojach rytualnych z torami na ramionach. Związek autorów dramatycznych idzie w zwartej kolumnie, a poczciwy Jan Adolf z Winaweredykiem w koturnach na nogach dźwigają z trudem kolosalnych rozmiarów grecką maskę tragiczną ze złoconego, zielonego, patynowanego gipsu. Wszystkie moje ordery na poduszce z białych koronek niosą Rzymowski i Dąbrowski, przepasani przedziwnego koloru szarfami tak połączonemi i splecionemi ze sobą, że wyglądają jako Lelum i Polelum słowiańskie... Nie! Co ten Frycz miewa za pomysły bajeczne! Pod latarnią stanął K. Erenberg blady i wzruszony, oparty ciężko na ramieniu Wassercuquata. Nawet dr Chodźko jest... Wszyscy, wszyscy! O, niech i im kiedyś ziemia lekką będzie!

Kogo tylko nie mogę dostrzedz, to Kornelów... ale się domyślam. Musieli teraz przy tym mrozie, korzystając z oracji, wpaść na chwilę do Langnera. Wzięli Perza i Lechonia, Mackiewicza i Markiewicza... Kazia! drogiego Kazia! Nie można się jednak dziwić, nie można!... Byle się nie spóźnili, tramwajem mogą jeszcze dogonić! Tylko czy tramwaje dzisiaj idą, bo kina mają być cały dzień zamknięte...

I teraz ogarnia mnie po raz pierwszy wściekły żal i zazdrość. Nigdy nikomu niczego nie zazdrości-

niejsze": życia! życia! Podczas kiedy ja teraz w tej klatce szklanej zamknięty, spętany, bezradny, bezsilny, muszę przejeżdżać wolno krok za krokiem, noga za nogą przez całe... całe Nalewki! oni tam kazali sobie u Langnera podać... nalewkę starą wiśniową, a może starkę z r. 1830 stuletnią, i koncepty sobie o mnie wyczyniają! te żyjące, obrzydłe, grzeszne, ludzkie stwory! A ja nic z tego nie słyszę, i już nigdy nie będę słyszał wogóle, i sam nic już do tego nie dodam, nie dołem, ale teraz muszę im zazdrościć „tego co najważrzucę! I już mi się śmiać z niczego nie wolno! Nawet się już uśmiechnąć nie potrafię! Biada mi! Opopoi!...

I nagle ogarnia mnie pazurami i dławi za gardło taka wściekła pasja na wszystko, na tę ślepą szelmę hajdamacką, tego Prokopczuka! na tę pompę pogrzebową, na te latarnie ukrepione, na Frycza, na mróz, na tych Demostenesów magistrackich, na tę banderję, na marszałka, na margrabiego, na wszystkich, taka pasja ostateczna, naprawdę ostatnia i ostateczna, że w ataku tej pasji czuję, jak znów gubię i tracę świadomość, zapadam w przedśmiertnie nieistnienie. Letarg czy nie letarg? Może zamarzłem żywcem w tym umrzykowym tandetnym garniturze? Sen niesamowity czy jawa okrutna, bezapelacyjna, definitywna? Znów ciemno i czarno w gałach ocznych. Z boku jeszcze dochodzi jakiś płacz czy tylko siąkanie nosa... konie kopytami walą o bruk... Zegar na ratuszu bije raz... dwa... trzy... czterysta... pięćset... Może to jednak letarg? Może jeszcze mnie wyratują i wyswobodzą... Kiedy i jak się to skończy?...

I jeszcze raz, ostatni, odzyskuję jeszcze pełną świa-

domość. Już tam — w Powązkowskim Parku. *Vulnerant omnes ultima necat...* Na niedługą chwilę coprawda. Na gałęziach drzew prześliczny, bogaty, puszysty, dziewiczy, nieskalany śnieg białemi falbanami opadający ku zlodowaciałej, oczekującej mnie ziemi...

W tyle, w głębi na grobach, na taflach kamiennych, na wzniesieniach, ludzie z pochodniami, kapryśnie fantastyczne czerwone światło roztaczającymi... Oczywiście Frycza pomysł — ale jak Rembrandtowski! Miła woń żywiczna, zdrowa i krzepiąca. Szmer przyciszony tłumu zapełniającego cimeterium. Teraz już ja, niestety, spozieram na nich z dołu, dosłownie z dołu — a oni żyjący są w górze, wysoko w górze... Dokoła w szerokim prostokącie nad świeżo rozkopaną, żółtą, piaszczystą, brzydką, miejską ziemią... pochylone nade mną, nad moim D. O. M-em twarze, twarze ludzkie, dziwnie wydłużone, pokrzywione, widmowe, okropne. Dotrwali do ostatka i stoją tu w kolisku ci najbardziej zainteresowani, czy „poranieni", czy „poszkodowani", ci, którzy po nocach nie sypiali może przeze mnie, ci najwięcej dotknięci w różnych latach i epokach. Rozpoznaję jeszcze siwy mundur, brwi krzaczaste, wąsy sumiaste, i żal mnie bierze... Ale jednak prawdziwi chrześcijanie — skoro przybyli i asystują do ostatka. Dla nich, dla żyjących mróz nieco zelżał, bo już wcale nie przebierają nogami i ręce trzymają swobodnie. Ale dla mnie zimno wieczyste nie zelżało, czuję bowiem, że głowa kostnieje już doszczętnie. Widocznie psują się już i te gruczoły, gruczoły para... para... te te w szyi... Ano darmo... Wi-

docznie to zamrożenie wpływa też i na lewą stronę głowy, gdyż już nie widzę i... prawem okiem, ni słyszę lewem uchem... Psuje się... Kontury drzew, ludzi, nagrobków zaczynają się zlewać w szarość, w jeden zygzakowaty, brzydki, już tracący barwność deseń. A tam, w górze, jeszcze jakaś mowa. Kto zacz nie wiem, nie odróżniam, nie domyślam się — no i zaczyna to mi już być całkiem obojętne. Tylko przypominam sobie jeszcze dosłyszane w krypcie zdanie: komitet ograniczył listę mówców do dwustu. Ale chyba tylu nie było. A może? Jeszcze słyszę z prawej urywane strzępy: *Obiit... natus est...* Kołatał się w nim duch — wieczny rewolucjonista... Wieczny czy wietrzny? Wietrzny odpoczynek... Wieczny?...

Teraz śpiewa chór męski... To jeszcze raz wstrząsa... Nawet poznaję. To z *Requiem* Brahmsa, najcudniejszy kryształ natchnienia... Skąd ten Frycz wiedział, że to było moje najukochańsze? Wogóle ślicznie wszystko urządził... Ale może jednak niepotrzebnie? Może to letarg się okaże...

...Za duszę...

Ktoś blisko szeptem mruknął do stojącego opodal: — „sowizdrzała". Niech mu będzie. Tak nazwali jeszcze dzieckiem... Modlą się. Widocznie „przebaczyli", wszystko „przebaczyli", skoro się modlą i żegnają i mają dobre smutne twarze. Ano jeżeli chcą, żeby im Pan Bóg przebaczył, no to i oni przecież „przebaczyć" muszą.

I teraz dopiero dostrzegam stojących tuż nade mną tych z „Hamleta". Bardzo są wstrętni ze swemi łopatami i łapami odrażającymi i pyskami szatanów;

jeden nawet szyderczo uśmiecha się pod wąsem, już gotów do swego procederu.

W źrenicy jeszcze jakaś gałąź ośnieżona... pochodnia, która się dopala i gaśnie... Dźwięk sygnaturki z kaplicy. Nazywał się... nazywał się Tymofiej Prokopczuk... Teraz Ona! Teraz rodzina... rodzina...

I pierwsza gruda żółtej, wilgotnej, sypkiej ale lepkiej ziemi piaszczystej uderza w wieko. Potem druga, trzecia, czwarta...

Ach — więc to nie letarg?... Już nie.

Bardzo zimno... bardzo ciemno i samotnie... Samotność już nieodwołalna. Nikogo już, nikogo nie zobaczę... ani się zaśmieję, ani zapłaczę.

Znów gruda jedna. I znów jedna... Tyle grud nieboszczyk odczuwa, ile lat przeżył...

I teraz spada dudniąc na wieko trumny coś cięższego. Nie bryła to ziemi, a kamień? Wyraźnie kamień — i to dość nawet ciężki! Skąd się tu na cmentarzu wziął kamień? Przyniósł go kto ze sobą? Modlił się tu i żegnał, a jednak w trumnę rzucił nie miękką, dobrą ziemią — a kamieniem? Będzie mu ten kamień ciężył na piersiach... na sumieniu całe życie!

Kto rzucił kamieniem?

GLORIA MUNDI

Jak nie należy zazdrościć sławy, potęgi i rozgłośnej karjery historycznej t. zw. wielkim mężom politycznym, dochodzącym do swoich szczytów mieczem, i *manu militari*, przemocą, zwycięstwami na polach bitew z wrogiem zewnętrznym i uciskiem a terrorem wewnętrznym, tego dowody przeliczne mamy w dziejach ludzkości.

Gdy się wertuje biografje wielkich „demovoresów“, — „zjadaczy ludzi“ wielkich zdobywców, wodzów, uzurpatorów, conquistadorów, pogromicieli, widzi się czarno na białem, jak właściwie ciężką była ich dola doczesna, jak marnie i smutnie kończyły się przeważnie ich wielkie triumfy, jak w ostatecznym rozrachunku nikły był definitywny, realny wynik i rezultaty ich olbrzymich wysileń i czynów jak i pozytywnie z małą korzyścią wychodziły z tego narody, które nie wielkich i wielkodusznych mężów, a wielkich bohaterów wojennego rzemiosła wydawały.

Przeważnie były to wielkie wulkany aktywności, energji, agresywności i napastliwości, które wybuchając przepotężnie dawały światu przewspaniałe widowiska ognia i krwi ludzkiej rozlanej w hekatombach, ale po których zostawały tylko zniszczenie, pożoga i twarda nieużyteczna lawa. A jednak ludzkość nienauczona doświadczeniami kilku tysięcy wieków nadal i zda się po wieczne czasy czci i uwielbia ra-

czej tych wielkich demonów, upiorów dziejowych, te harpje wysysające krew przeważnie z młodych generacji aniżeli tych prawdziwie wielkich ludzi, twórców religji, bohaterów wiedzy, cierpiętników i męczenników nauki, pomnożycieli postępu i dobra ludzkości.

I kiedy nadal nieznane są szerokim masom nazwiska i treści nazwisk wielkich twórców, wielkich wynalazców, wielkich charakterów, wielkich organizatorów życia i genjalnych budowniczych państw, to najszerszy motłoch oswojony jest z imionami wielkich niszczycieli i podpalaczy, korsarzy i despotów i imiona te ze zbożnym respektem wymienia choćby to były Attyle i Czingischany, Tamerlany i Pizarry.

Każde dziecko angielskie rozmarza się przy dźwiękach: Cromwell, Nelson, Wellington, ale mało które wie, którzy to kanclerze i premierzy położyli największe zasługi w *macking of Empire.*

Każde dziecko włoskie wie kto to był Garibaldi, ale nie wie, że *Italia Unita* powstała dzięki Benno Cavourowi.

Każdy Prusak ma we krwi od maleńkości kult dla Fryderyka wielkiego, ale nie każdy a raczej rzadko który ma to w świadomości, że już za panowania jego następcy w dziesięć lat po śmierci Fryca państwo ufundowane na takich rozbojach i na takiej krzywdzie poddanych i sąsiadów rozpadło się jak domek z kart za jednym podmuchem.

Że atoli historja uczy nas tylko tego jednego, co jest pewnikiem niewstrząśniętym że: n i c z e g o n i g d y l u d z i n i e n a u c z y ł a, przeto nadal trwa i trwać bę-

dzie korny kult dla Aleksandra co „zdobył Indje"... dla Hannibala co stanął *ante portas* Rzymu, dla Juljusza Cezara, co postawił nogę zwycięską na ziemi Faraonów, dla Bolesława, kóry wbijał słupy w Dnieprze, a co wszystko dawało tylko krótkie przemijające aczkolwiek bezsprzecznie wspaniałe epizody rycerskiej expansji, podczas gdy wielkość historyczna prawdziwa, wielkość autentyczna regentów, budowniczych, wielkość tych co zasłużyli na epitet *patres patriae*, wielkość Marków Aureljuszów i Wespazjanów, Waszyngtonów i Lincolnów wzbudza tylko w elitach ludzkich poważny ale bierny respekt i szacunek, masy do entuzjazmu pobudzić nie zdolna.

I chociaż ani śladu, ani popiołu nie zostało w dziejach z wielkich czynów wojennych Xerksesa, czy Kambyzesa, Tyberjusza czy Klaudjusza, Krim-Gireja czy Batuchana, imaginację maluczkich, egzaltację stadowej ludzkości, wyobraźnię „tschandali" mierzwy człowieczej prymitywnej i indywidualnie nie zróżniczkowanej pobudzać zawsze będzie tylko „demovores" zjadacz, pożeracz mas wsparty na rękojeści miecza.

I nie Marek Aureljusz i nie Wespazjan, nie Colbert i nie Franklin będą przedmiotem stałych zainteresowań i badań uczonych, tematem powieści, poematów, epopeji, tragedji, a zawsze i po wieczne zdaje się czasy... Juljusz Cezar, z którego imienia *terminus technicus* powstał dla wodzów, władców, despotów i zwycięzców.

A znakomity angielski historjozof i myśliciel statuując swój kult bohaterów ludzkości *hero-worship*, w pierwszym rzędzie postawi króla stratega i milita-

rystę a nie króla filozofa i nie mędrca dobroczyńcę, i nie prawodawcę i nie odkrywcę nowych lądów.

A wychodzący ideowo z doktryn kollektywistycznych, socjalistycznych i z materjalizmu dziejowego dramaturg angielski G. B. Shaw, weźmie za „bohatera" Juljusza Cezara na złość Szekspirowi pomniejszycielowi tego olbrzyma. Gdy zaś sam chciał pomniejszyć olbrzyma (co jest zawsze formą kultu, tylko na opak *a rebours*) to wziął Napoleona męża przeznaczenia *(The Man of Destiny)* to znaczy jednak także nie genjusza pokoju a jednego z „bogów wojen", może wśród nich nawet największego, jedynego, fenomen wszechświatowy, zjawisko przyrody syngularne.

I otóż to właśnie, właśnie na tragedji tego nadczłowieka, którego, gdy „Bóg stworzył potem odpoczywał", na tym przykładzie z przykładów najkolosalniejszym dopiero właśnie teraz wykazać można wieczystość i spiż tego łacińskiego wersetu: *Sic transit gloria mundi.*

Jego imię jest przecież oceanem wielkości niezmierzonym i niewyczerpanym. Jego sławie wszechludzkiej pono żadna, żadnego śmiertelnika, ale i nieśmiertelnego nie dorówna. Jego nazwisko stało się jak cezaryzm także pojęciem. Orły na sztandarach jego szwadronów błyszczały w słońcu wszystkich krajów europejskiego kontynentu. Członkami jego rodziny obsadzone były różne trony. Mapę Europy zmieniał tak swobodnie jak zmieniał rękawiczki. I co z tego zostało w definitywnem obliczeniu? *Vanitas vanitatum et omnia vanitas.* Francja, którą On rozszerzył na całą Europę zdeptawszy wszystkie

armje i powywracawszy wszystkie trony, już w r. 1814 wracać musiała do swoich granic z przed roku 1789 a w sto lat potem musiała być bronioną czynnie lub moralnie przez 45 państw globu. A kiedy pogromca tylu państw i tylu wodzów szedł pierwszy raz na wygnanie, już wtedy zakładano pierwsze fundamenta pod olbrzymie Emporium W. Brytanji, pod dwukontynentowe mocarstwo eurazyjskich Słowian, pod unifikację i zjednoczenie Niemiec no i pod potęgę nie tylko dynastji Rotszyldów ale i całej rasy wybranej dążącej do hegemonji nad światem.

Dopiero teraz właściwie t. j. w dziesięć lat po likwidacji trzeciego w przeciągu stu lat od Napoleona najazdu Teutonów na ziemie francuskie można znów z nowej, dalszej, a ostrzejszej perspektywy rozpatrywać kometę Empereura!

Jakby smutne zawodzenie płaczek greckich nad ostatecznie zamurowywanym grobem już całego Bonapartyzmu wychodzą dwa pamiętniki dwóch ostatnich kobiecych reprezentantek wielkiego conquistadorskiego rodu.

W książce wyszedł pamiętnik księżnej Matyldy Bonaparte nieszczęśliwie zaślubionej i rozwiedzionej, córki Hieronima, staruszeczki dawno zmarłej, ongiś uroczej patronessy literatów i artystów za II-go Cesarstwa. W *Revue des Deux Mondes* zaś drukuje się Maurice'a Paléologua, słynnego dyplomaty i dworaka, rodzaj pamiętnika z rozmów byłej cesarzowej Eugenji. Idzie z tych stronic beznadziejny smutek upadłego domu i zbankrutowanej dynastji.

Z szeroko rozrodzonej, pokoligaconej, obficie dzie-

ciatej, wielkiej rodziny (Napoleon miał pięcioro rodzeństwa, Lucjan jedenaścioro dzieci) ani śladu. Ani z tych Baciocchich, ani Borghesów, Camerata, książąt Canino, książąt „Luki i Piombino" ni po mieczu ni po kądzieli omal nikogo; jeszcze tam jakaś prawnuczka z rodu nie tak dawno musiała uciekać z Aten; jeszcze tam gdzieś jakiś dogorywa w Monte Carlo. Jeszcze się przytem i żenili między sobą, degenerowali, żarli, procesowali; biednieli aż prawie do ostatecznej nędzy. Potomkowie Bernadottego, jednego z nieprzeliczonej falangi marszałków ale... „zdrajcy" przetrwali jako dynastja w Szwecji. Z Napoleonidów nie ostało literalnie nic.

Jeżeli się zważy, jakie to ambicje właśnie dynastyczne rozpaliły się i rozpierały „Boga Wojny" nieco parweniuszowską duszę od r. 1807, to się pojmie, jaka ironja Losu leży w tym upadku i uwiądzie tęgiego bądź co bądź szczepu. W prostej linji następcy tronu obu cesarzów, skończyli żywot doczesny bardzo smętnie. Wiadomo, jaką nie to już wagę przypisywał, ale jak gorączkowo i kurczowo marzył o męskim potomku i dziedzicu cesarz; z tej przyczyny przecież rozstał się brutalnie z Józefiną. Wiadomo jak pompatycznie odbyły się chrzciny króla Rzymskiego.

I znaną jest śmierć na suchoty tego „syna człowieka" (poemat Bartholome: *Le fils l'homme*) jako kapitana strzelców austrjackich w Schoenbrunnie (1832). Publiczność zna tę tragedję z efektownej sztuki Rosstanda; w rzeczywistości było znacznie gorzej i posępniej, jak to się można przekonać z dzieł Welchingera *(Le Roi de Rome)* Wertheimera *(Der Herzog*

v. Reichstadt), Massona *(Napoleon et son fils)* i wreszcie z książki E. Łunińskiego. Istnieją tragiczne medale pierwszego Orlątka z napisem na otoczu *N. F. C. Josef roi de Pologne...*

Drugie Orlątko, syn Napoleona III urodzony w Compiegne (r. 1856) Napoleon Eugeniusz Ludwik Jan Józef był też oczkiem w głowie cesarza, ulubieńcem dworu, uwiecznionym jako pacholę w rzeźbach Carpeaux, w akwafortach Perrina, w wierszach i porcelanach, w niezliczonych fajansach, biskwitach. Jako już syna Bonapartych banitów mieszkających pod Londynem, wyprawiono go w randze porucznika wojsk angielskich do Transwaalu. Tam nieszczęsnego „Lulu" zabili Zulusi...

Matka Napoleona, księżna Letycja zmarła staruszką siedemdziesięcioletnią w zupełnem osamotnieniu w pałacu swoim (nieopalanym) w Rzymie; nie dano jej widzieć nawet wnuka. Odmówiono prośbie widzenia wielkiego syna, kiedy dogorywał na wyspie św. Heleny.

Na tej wyspie św. Heleny był teraz, niedawno, w lutym jakiś Anglik. I jako „Viator" opisał swoją wizytę w Longwood (należy do Francji) w „Times'ie". I angielski turysta wybuchł skargą i oburzeniem. Ani śladu jakiegoś pietyzmu dla domku, w którym dwa lata ostatnie spędził ciężko dogorywając na raka ledwie 52-letni „cesarz Francuzów". W dwóch pokoikach wygnańca ani jednego mebla, ani jednej pamiątki. Dwie szyby wybite zaklejone papierem. Na jednej ścianie gablotka z wybitą szybą, a w gablotce papier ze spisem zwycięstw. W pokoju gdzie umarł dwa sztandary angielski i francuski na ścianie i, blaszany kubek,

którym ostatnio pił wodę z ukochanej studni Napoleona... dzisiejszy książę Walji... A tam, gdzie dawny grób Napoleona leży potłuczona płyta kamienna, dokoła niej zardzewiała, wyłamana żelazna krata...

Tak ludzkość czci ostatnią piędź ziemi, którą zdobył sobie L'Empeureur!

A gdzie serce Napoleona? Serce, którego niema w sarkofagu w pałacu Inwalidów? O to także przykra historja! Właściwie okropna, makabryczna, piekielna! jakaś nienapisana nowela Poego czy Barbey d'Aurevilly. O tem wiedzą badacze z pamiętnika Antommarchiego... Zaufany lekarz na banicji. Przyjaciel. Dogorywający prosił Antommarchiego, aby asystował przy obdukcji, wyjął serce i przewiózł je wdowie Marji Ludwice... tej austrackiej księżniczce tak szybko pocieszającej się potem romansami z huzarami (Neuperg). Antommarchi spełnił ostatnią wolę. I chciał je przewieźć do Francji w srebrnej urnie. Ale angielski gubernator i ciemięzca cesarza Hudson Law nie pozwolił. Skorzystał Antommarchi ze śmierci jednego z żandarmów angielskich i jego wyjęte serce dał do srebrnej urny. Oddał je gubernatorowi. A Napoleona serce schował w gliniany słój. I pojechał na statku do Francji. Ale w drodze wybuchła burza. Słoik się stłukł i serce upadło na podłogę. Próżno go szukali. Po jakichś kilku godzinach znaleziono szczątki. Samo serce zjadły szczury okrętowe. Serce Napoleona! Szczury!

A kogo wstrząsa do szpiku kości groza i zimny dreszcz po ciele kogo przebiega, ten niech szuka pocieszenia a znajdzie je w strasznych obrazach Hisz-

pana Goyi, Belga A. Wiertza i Francuza Henri de Groux.

Przepotężną epopeją rycerską jest wzniesienie i upadek Epimenidesa. Przeszła nad zmurszałym światem, jak czyszcząca burza! tucza! orkan! huragan! Ludzkości dała nową Iliadę i Odyssę. Tak. Ale hekatomby z żywotów ludzkich były za wielkie. Serce „Robespierra na koniu" dla ludzi jako ludzi nie biło, bliźnich swoich nie kochało, setki i tysiące słało na ogień, na zagładę, bez jednego skrzywienia ust, bez sekundy refleksji, na ołtarzu *gloire* składało stosy młodych ciał a krocie dzieci zostawiało jako sieroty, matki staruszki bez synów, żony bez mężów. I to serce z nieuchylonego wyroku Przeznaczenia pożarły okrętowe... szczury...

Ale jest przecież sława, zostaje sława opromieniająca naród, który wyradza z siebie taką „gwiazdę spadającą z obłoków"... A jest. Nietylko sława ale myt, mytologja olbrzymi Olimp z bogami — marszałkami, z Zeusem nawiedzającym w różnych postaciach Europę, albo bijącym gromami piorunodzierżcą. Ej, czy i to nie jest czczy dym nawet ta Napoleonitis? Ten zakon, wyznanie, sekta istniejeż jeszcze? Dużoby na ten temat dało się i refleksji wysnuć i contr dokumentów przedłożyć. W każdym razie i tutaj *vanitas vanitatum et omnia vanitas.*

Ostatnie echa kultu wielkiej legendy istnieją jeszcze w pewnych krajach kontynentu europejskiego i nadspodziewanie w republikach południowo-amerykańskich, odczepionych od macierzy hiszpańskiej, broniącej się przed jej wpływami i wdzięcznej Napoleo-

nowi, że na Hiszpanję jeszcze wonczas silną najazd uczynił. Ciepłe uczucia dla Napoleona zachowała wyłącznie Polska z powodów dostatecznie znanych, ale które podlegać jeszcze mogą bardzo silnemu zakwestjonowaniu. W Rosji, Hiszpanji, Niemczech Napoleonite oczywiście nie istnieje. W anglosaskich Stanach Zjednoczonych „firma" ta nie istnieje. W ankietach uniwersyteckich w odpowiedziach: „jacy są najwięksi mężowie ludzkości?", Napoleon albo nie przewija się wcale, albo na ostatniem miejscu.

Rzecz oczywista, że w krajach i dominjach Trójkrólestwa W. Brytanji zwyciężony przez Anglików Tytan i jak Prometeusz do skały przykuty, traktowany jest albo pogardliwie („Boney), albo z patrjotyczną czy purytańską odrazą moralną (Carlyle, Walter Scott, T. Hardy w „Dynastach"), albo z nienawiścią (poeta Shelley).

Abecnie właściwie w świadomości ogółu, mas, ludzkości pojęcie: „Napoleon" prawie nie istnieje. Ponieważ zaś W. Brytanja właśnie dzięki wyczerpaniu i wyssaniu Francji Ludwików przez genjusz militarystyczny Bonapartych (Włochów, mszczących się podświadomie — *subliminal* — za aneksję Korsyki) liczy 32 miljony mil kwadratowych na globie i 425 miljonów obywateli, przeto tam wszędzie, gdzie język angielski dominuje, tam dźwięk słowa Napoleon jest dźwiękiem negatywnym anti-angielskim, wrogim.

No a we Francji? Dużoby o tem dało się mówić. Dwa lata temu stwierdzono na podstawie specjalnych dociekań i ankiet badaczy, że są całe wsie, całe nerostwa, całe kompleksy terenów wiejskich, od kolei odległych, gdzie wieśniacy francuscy, nie analfabeci,

słowa „Bonaparte“ nawet nie znają, a o wielkim micie i eposie narodowym nawet nie mają pojęcia!

Co zaś do inteligencji, albo jeszcze wyżej, elity intelektualnej, to są przypływy i odpływy „Napoleonite“.

Za królów-filistrów pod Bourbonami, za Restauracji, w okresach, kiedy nowa ławica radykałów opanowuje „Folies Bourbon“, a parlamentaryzm się degeneruje i febra kryzysowa Francją trzęsie, zaczynają wzbierać ciągoty do wielkich, władczych, twardych jednostek, wodzów, sterników despotycznych natur.

Literatura nadobna, beletrystyka, poezja, kabarety, artyści, cyganerje inklinuują zawsze do atletów woli i energji, gardząc *mediocrite microcephale* parlamentarnych łyków i kołtunów. Kultem wielkiego Napoleona przepojeni byli jak klasycy niemieccy Goethe, Schiller, Kleist, Grillparzer), tak i cały romantyzm francuski. Niektórzy, jak Stendhal czy Beranger, do adoracji i miłości przychodzili z nienawiści; inni z antypatji i odrazy do Napoleona III egzaltowali wielkość I-szego (V. Hugo, Gautier). Pisarze historjozoficzni i polityczni odnosili się, bywało, bardzo krytycznie. Obaj przyjaciele naszego fanatycznego Bonapartysty Mickiewicza, t. j. Michelet i Quinet, bardzo sztywnie; ten drugi z pogardą („lichy naśladowca J. Cezara“). Historyk i wielokrotny szef gabinetu Thiers na złość Napoleonowi III wysoce cenił I-szego, potępiając atoli bałwochwalstwo i chłoszcząc zbrodnie Napoleońskie (mord księcia Enghien). Renan i Taine („Origines“). potępiali bezwzględnie. Najsurowiej i najbezwzględniej atoli August Comte, wielbiciel Cromwella, Cezara, Ludwika XIV, zwący Napoleona *ce faux*

grand homme, ...homme presque etranger a la France. Z poetów dyfamował Napoleona A. Barbier.

W ostatnich latach dał się skonstatować lekki nawrót ku Napoleonowi ze strachu przed komunizmem i pod wpływem faszyzmu. Cały szereg podrzędniejszych beletrystów i salonowych nacjonalistów rzucił nietyle w świat, ile w bulwary powiastki lub broszury z afektowaną tęsknotą do jakiegoś „nieznanego despoty“, któryby mieczem, batem lub buławą porozcinał wszystkie gordyjskie węzły. Fala tych jednodniówek historjozoficznych już odpłynęła. W badaniach historycznych Napoleonizmu przyszła kolej na sensacje alkowowe, studja nad erotycznem życiem Korsykanina, który był jak wiadomo myzogynem i traktował kobietę *(la femme)* tylko jako objekt chuci, istotę drugorzędną, niezbędną dla utrzymania gatunku, duchowo, mózgowo niższą (cywilny kodeks Napoleoński). W tej dziedzinie pojawiły się Massona: „Napoleon et les femmes“, lub takie kurjosum jak „Napoleon Adultere“ C. Fleischmana „udawadniająca“, że cesarz miał kazirodcze stosunki kolejno z dwoma siostrami: Elizą późniejszą w. księżną toskańską, a następnie czarownie piękną Pauliną, księżną Borghese. Ale nie tu koniec jeszcze kuriosów tego stylu kultu dla Napolena. Z końcem zeszłego roku wyszła w Niemczech „naukowa“ praca badacza kiły czyli przymiotu prof. Brunona Springera p. t.: „Die genialen Syphiliker“. Uczony niemiecki w rzędzie genjalnych „przymiotników“ stawia Sokratesa, Celliniego, Filipa II, malarza El. Greco, Ludwika XIV, Courieta, Beethovena, Heinego, Schumanna, Lassala, Dostojewskiego, Maneta van Gogha,

Maupassanta, A. Daudeta, O. Wilde, Nietschego, malarza Gaugina, Strindberga, wreszcie... Lenina. Duży rozdział poświęca kampanji rosyjkiej w r. 1812 i twierdzi, że powodem klęski 600.000-nej armji była nietyle zima, ile kiła. Zarazie tej miał ulec także i sam cesarz i od tego momentu datuje się osłabienie genjuszu, poczem rozgrom... Waterloo... Taka jest teza uczonego Springera...

I oto, na jak potwornie brzmiących dysonansach kończy się gigantyczna, cały wiek trwająca, symfonja heroicznej chwały i sławy. Oto są zdaje się ostatnie pożegnalne akordy europejskiego kultu wielkiej legendy.

O Napoleoniźmie powiedziano już wszystko. Ta kopalnia jest całkowicie wyeksploatowaną. Badania schodzą już na bezdroża Fleischmanów i Springerów, ekstazy poetów ustąpiły miejsca nakręcaczom filmowym. Ostatni, zresztą anemiczny nawrót paryskich utopistów autokracji, też już przepłynął. Odpowiedzią jakoby ale zgoła ironiczną na prośby i pomysły przeflancowania Mussolinizmu na grunt francuski jest całkiem stanowczy ruch separatystyczny i irredentystyczny na francuskiej Korsyce, t. j. tam, gdzie się Napoleon urodził!

W miarę jak wzrastać będzie bądź co bądź przyszłościowy ruch pacyfistyczny na świecie, kult wszelkich wielkich wojowników zaborców, demonów przemocy gwałtu fizycznego, nadludzi, depczących i tratujących etykę i dziesięcioro przykazań, będzie opadał.

Tęsknota ta ideału pełnego człowieka, pięknego człowieka, zwróci się od Cezarów i brygantów do Marków Aureliuszów, do męczenników nauki i idei.

Nowoczesna ludzkość nie będzie potrzebowała t. zw. wirylizacji, zmężnienia i wzrostu rysów rycerskich i bohaterskich natury ludzkiej w wojnach i w rzeziach, bo je już znajduje w sportach, w podróżach, w obłokach i pod wodą. Wojny nie będą wykreślone z repertuaru dziejowego, ale będą traktowane jako w ostatecznym stopniu *malum necessarium*, a nie jako „stalowa kąpiel" bohaterów, jako „seminarium heroum. Z tej racji typ Napoleoński wszelkiego kalibrn i wymiaru należy do okazów szczątkowych zdeklasowanej romantyki. Z kalendarzy historycznych, gdzie obok wielkich świętych są dnie poświęcone pamięci wielkich demonów demosu, będą wykreślone.

A, że na przykładzie największego kolosa dziejów może nietylko nowoczesnych, ale całej ludzkości, wykazaliśmy, jak małą drobiną jest wielkość wobec przeznaczenia (Destiny), wobec Fatum, Losu, jak szczury okrętowe zagryzają serce największego z wielkich, „groźnego instrumentu w rękach Opatrzności", przeto rozmyślanie nad żywotem Napoleona niech nam przypomni to wieczyste: *sic transit gloria mundi* i, niech nas oduczy od zazdroszczenia takim wielkim ich siły, potęgi, władzy, sławy!

Prochem są i w proch się obrócą. Im wyżej sięgają, tem niżej upadną. A jeśli nie samych dotknie dopust Boży, to zniszczy dzieło ich żywota... o ile na złości, złoczyństwie i krzywdzie ludzkiej fundowane.





SPIS RZECZY